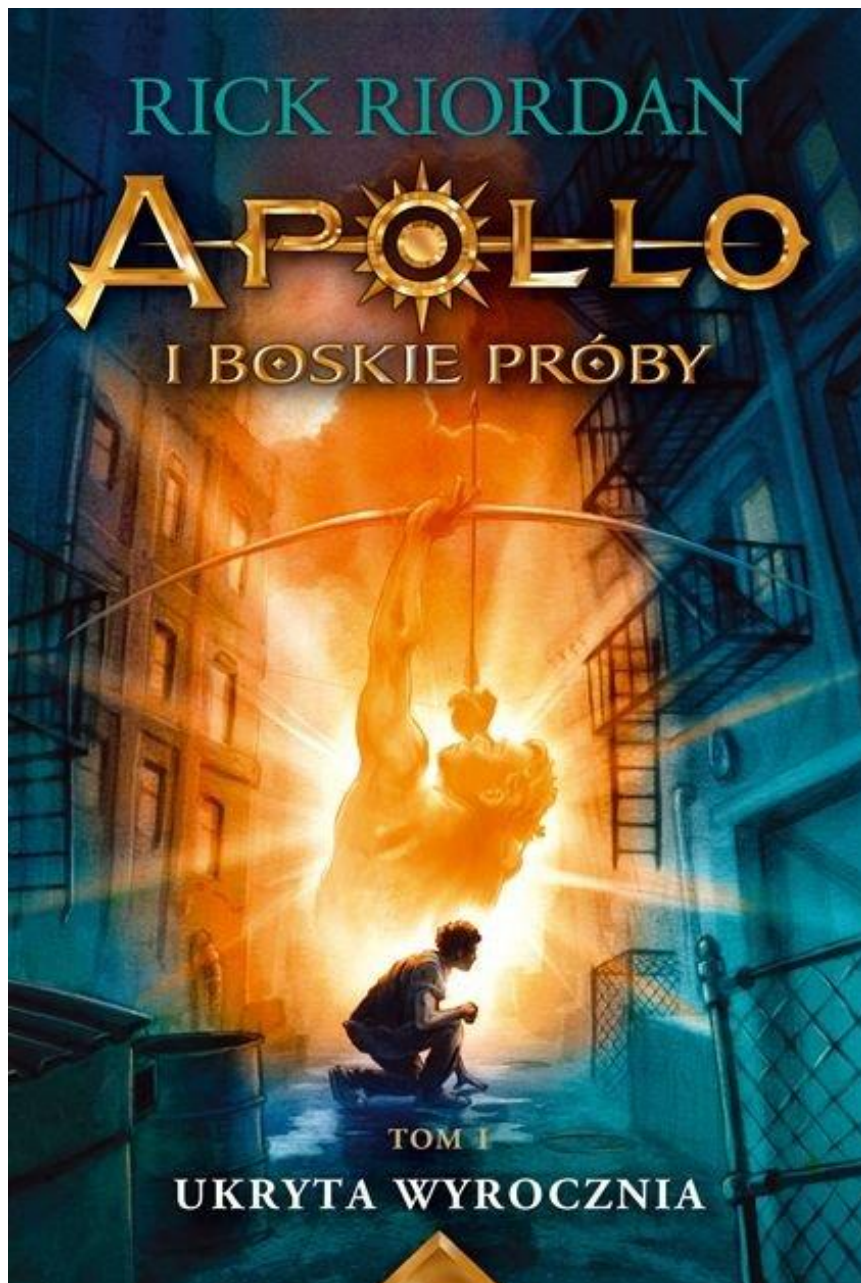


RICK RIORDAN

# APOLLO

I BOSKIE PRÓBY



TOM I

UKRYTA WYROCZNIA



RICK RIORDAN

**APOLLO**  
**I BOSKIE PRÓBY**

◀ I ▶

**UKRYTA WYROCZNIA**

Przełożyła Agnieszka Fulińska

Wydawnictwo Galeria Książki  
Kraków 2016



# APOLLO

I BOSKIE PRÓBY

◀ I ▶

UKRYTA WYROCZNIA

Galeria  
Książki

Przełożyła Agnieszka Fulińska  
Wydawnictwo Galeria Książki  
Kraków 2016

Tytuł oryginału

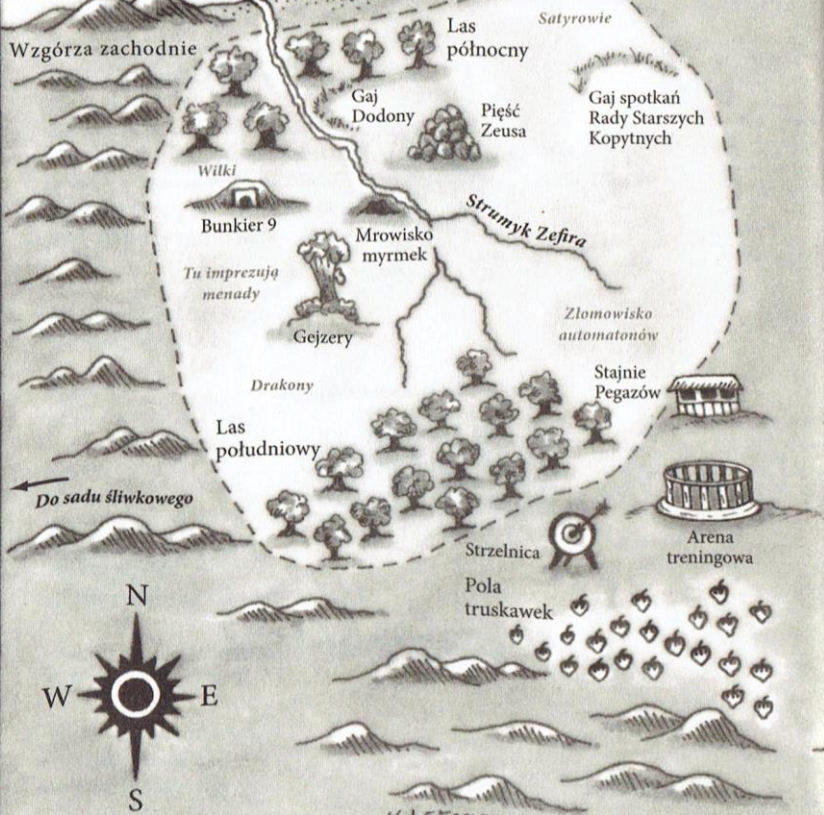
*The Trials of Apollo, Book One: The Hidden Oracle*

*Dla muzy Kaliope  
Z wielkim opóźnieniem.  
Proszę, nie róbcie mi krzywdy.*



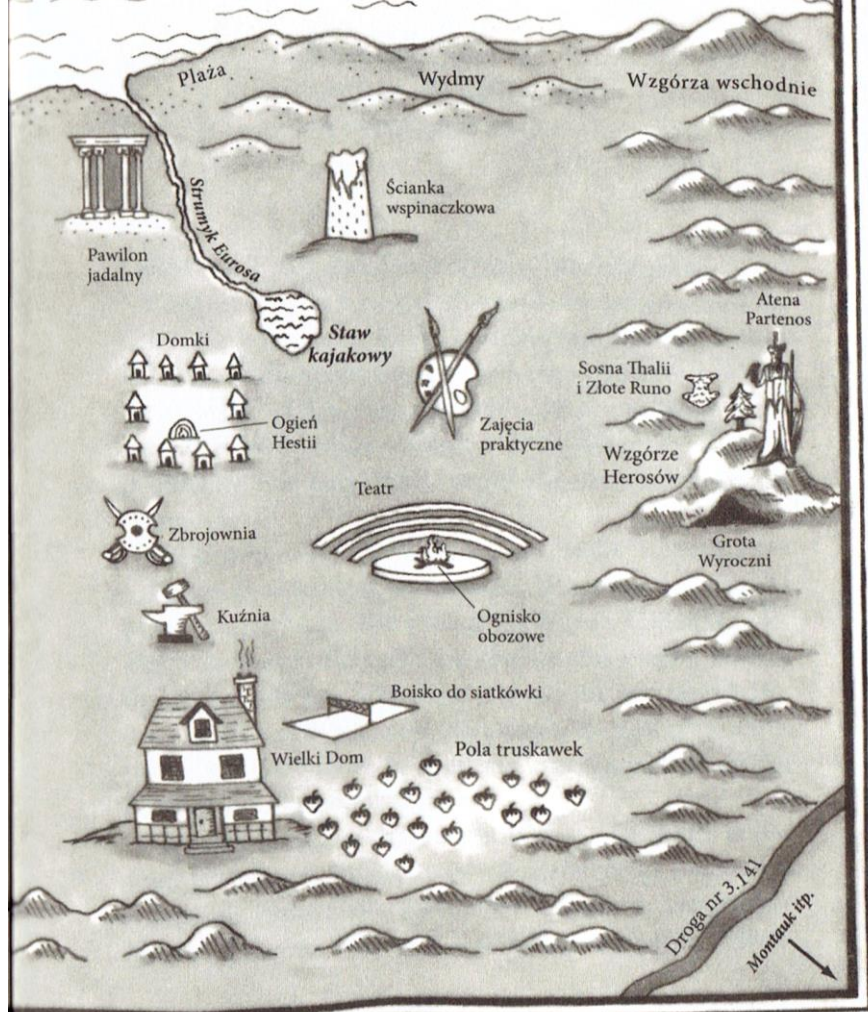


# OBÓZ HEROSÓW





# ZATOKA LONG ISLAND



*Zbiry mi dają po pysku Zmiotłbym ich, gdybym mógł  
Śmiertelność jest nie teges.*

**MAM NA IMIĘ APOLLO.** Niegdyś byłem bogiem.

Przez cztery tysiące sześćset dwanaście lat życia sporo dokonałem. Zesłałem zarazę na Greków oblegających Troję. Dałem Babe'owi Ruthowi trzy home runy w czwartym meczu World Series w 1926. Objawiłem mój gniew Britney Spears podczas gali MTV Video Music Awards w 2007. Ale przez całe swoje nieśmiertelne życie nigdy nie wylądowałem w kontenerze na śmieci.

Nie bardzo nawet wiem, jak do tego doszło.

Po prostu obudziłem się, spadając. Wieżowce wirowały mi przed oczami. Moje ciało otaczały płomienie. Usiłowałem lecieć. Próbowałem zamienić się w chmurę albo teleportować na drugą stronę świata, albo zrobić którąś z miliona innych rzeczy, z których zrobieniem nie powinienem mieć kłopotu, a jednak dalej tylko spadałem. Trafiłem w wąski przesmyk między dwoma budynkami i BUM!

Czy istnieje na świecie coś smutniejszego niż dźwięk wydawany przez boga uderzającego w stertę worków ze śmieciami?

Leżałem, jęcząc z bólu, w otwartym kontenerze. Nozdrza palił mi smród nieświeżego sosu bolońskiego i zużytych pieluch.

Miałem wrażenie, że połamałem żebra, choć to nie powinno być możliwe.

Mózg gotował mi się od natłoku myśli, ale jedno wspomnienie wciąż wypływało na powierzchnię - głos mojego ojca Zeusa, mówiącego: „TWOJA WINA. TWOJA KARA”.

Pojąłem, co się ze mną stało, i zapłakałem z rozpacz.

Nawet dla boga poezji, którym jestem, opisanie, jak się czułem, stanowi problem. Jak więc możecie wy - zwykli śmiertelnicy - choćby próbować to zrozumieć? Wyobraźcie sobie, że ktoś pozbawił was ubrania, a następnie wychłostał strumieniem wody ze szlauchu na oczach rozbawionej gawiedzi. Wyobraźcie sobie, że lodowata woda wypełnia wasze usta i płuca, jej ciśnienie tłucze w waszą skórę, zamieniając stawy w galarety. Wyobraźcie sobie poczucie bezsilności, wstydu i całkowitej bezbronności - publiczne brutalne odarcie ze wszystkiego, co czyni was sobą. Moje upokorzenie było gorsze.

„TWOJA WINA”, grzmiał w mojej głowie głos Zeusa.

- Nie! - krzyknąłem rozpaczliwie. - Nie, nie moja! Proszę!

Nikt mi nie odpowiedział. Po obu stronach przemykały zardzewiałe drabinki przeciwpożarowe na tle ceglanych ścian. Nade mną rozciągało się szare i bezlitosne zimowe niebo.

Usiłowałem przypomnieć sobie szczegóły wyroku. Czy ojciec powiedział mi, jak długo potrwa kara? I co mógłbym zrobić, by odzyskać jego łaskę?

Pamięć była zbyt rozmyta. Ledwie przypominałem sobie, jak wyglądał Zeus, nie miałem więc pojęcia, dlaczego postanowił zesać mnie na ziemię. *Była jakaś wojna z gigantami*, pomyślałem. Bogowie zostali zaskoczeni, skompromitowani, prawie pokonani.

Jednego byłem pewny: moja kara była niezasłużona. Zeus potrzebował kozła ofiarnego, więc oczywiście wybrał najprzystojniejszego, najbardziej utalentowanego i najpopularniejszego boga z całego panteonu - mnie.

Leżałem na górze śmieci, wpatrując się w naklejkę na wewnętrznej stronie wieka kontenera: „WYWÓZ ŚMIECI” i numer telefonu.

Zeus *zmieni zdanie*, powtarzałem sobie. Chce mnie tylko nastraszyć. Lada moment zabierze mnie z powrotem na Olimp i pozwoli odejść z ostrzeżeniem.

-Tak... - Mój głos zabrzmiał głucho i rozpaczliwie. - Właśnie tak.

Usiłowałem się poruszyć. Zamierzałem znajdować się w pozycji stojącej, kiedy Zeus zjawi się z przeprosinami. Zebra mnie bolały. Żołądek miałem ściśnięty. Chwyciłem się krawędzi kontenera i zdołałem się na nią wciągnąć, ale przeleciałem na drugą stronę i wylądowałem na ręce, która trzasnęła w zetknięciu z asfaltem.

- Auaaa! - jęknąłem z bólu. - Wstawaj. Wstawaj.

Podniesienie się na nogi nie było łatwe. W głowie mi się kręciło. Omal nie zemdlałem z wysiłku. Stałem w ślepym zaułku. Jakieś dwadzieścia metrów dalej jego jedyny wylot otwierał się na ulicę z ponuro wyglądającymi witrynami biura kuratora sądowego i lombardu. Domyślałem się, że to jakieś miejsce po zachodniej stronie Manhattanu, może Crown Heights na Brooklynie. Zeus chyba naprawdę był na mnie wściekły.

Obejrzałem swoje nowe ciało. Byłem białym nastolatkiem ubranym w tenisówki, niebieskie džinsy i zieloną koszulkę polo. Totalna porażka. Czułem się chory, słaby i tak bardzo, bardzo ludzki.

Nigdy nie zrozumieć, jak wy, śmiertelnicy, potraficie z tym żyć. Jesteście przez cały czas uwięzieni w worku z mięsa, niezdolni do przeżywania tak zwyczajnych przyjemności jak zmiana w kolibra albo rozplynięcie się w czyste światło.

A teraz, o niebiosie, zostałem jednym z was - kolejnym workiem mięsa.

Pogrzebałem w kieszeniach spodni, w nadziei że znajdę tam kluczyk do rydwanu słońca. Nic z tego. Znalazłem jedynie tani plastikowy portfel zawierający sto dolarów amerykańskich - zapewne w sam raz na drugie śniadanie pierwszego dnia w skórze śmiertelnika - a poza tym prawo jazdy wydane przez stan Nowy Jork. Widniało na nim zdjęcie głupekowato wyglądającego nastolatka z kręconymi włosami, który nie mógł być mną, oraz imię i nazwisko: Lester Papadopoulos. Okrucieństwo Zeusa nie zna granic!

Zajrzałem do kontenera, tym razem w nadziei że może na ziemię spadły wraz ze mną moje łuk, kołczan i lira. Może choćby harmonijka ustna. Ale nie było nic.

Wziąłem głęboki oddech. *Wyluzuj*, pomyślałem. Musiałem zachować jakieś boskie zdolności. Mogłoby być gorzej.

Nagle rozległ się chrapliwy głos:

- Ej, Cade, zobacz tę ofertę.

W wejściu w zaułek stali dwaj młodzieńcy: jeden krępy o platynowych włosach, drugi wysoki i rudy. Obaj mieli na sobie obszerne bluzy z kapturami i luźne spodnie. Ich szyje były pokryte zawijasami tatuaży. Brakowało im tylko słów: „JESTEM OPRYCHEM” wypisanych wyraźnym pismem na czołach.

Rudy utkwiał wzrok w portfelu, który trzymałem w ręce.

-E no, bądź miły, Mikey. Ten koleś wygląda przyjacielsko. - Wyszczrzył się i wyciągnął zza pasa nóż. — W sumie mogę się założyć, że chce nam oddać całą swoją kasę.

Za to, co nastąpiło zaraz potem, winię moją dezorientację.

Wiedziałem, że odarto mnie z nieśmiertelności, ale nadal uważałem się za potężnego Apollina! Zmiana sposobu myślenia nie jest tak łatwa jak, powiedzmy, przemiana w śnieżną panterę.

A poza tym kiedy wcześniej Zeus karał mnie zamianą w śmiertelnika (tak, zdarzyło mi się to już dwa razy), zawsze

zachowywałem niezwykłą siłę i przynajmniej część moich boskich mocy. Założyłem, że to samo dotyczyło tej sytuacji.

Nie zamierzałem pozwolić tym młodocianym śmiertelnym rzezimieszkom przywłaszczyć sobie portfela należącego do Lestera Papadopoulosa.

Wyprostowałem się, oczekując, że moja królewska postawa i boska uroda wprawią Cade'a i Mikeya w przerażenie. (Tych właściwości nie da mi się przecież odebrać, cokolwiek by o tym mówiło zdjęcie w moim prawie jazdy). Starłem się nie myśleć o ciepłym soku owocowym ze śmietnika spływającym mi po plecach.

-Jestem Apollo - oznajmiłem. - Macie trzy możliwości, śmiertelnicy: złożyć mi hołd lub daninę albo ulec zagładzie.

Chciałem, by moje słowa poniosły się echem w zaułku, wstrząsnęły wieżami Nowego Jorku i sprawiły, że z nieba zacznie się sypać dymiący gruz. Nic takiego się nie wydarzyło. Przy słowie „zagładzie” głos mi się załamał.

Rudy Cade wyszczerzył się jeszcze bardziej. Zastanawiałem się, jak zabawne byłoby, gdybym mógł ożywić węża wytatowanego na jego szyi i zmusić go do uduszenia właściciela.

-Co o tym sądzisz, Mikey? - zapytał kumpla. - Złożymy temu koleśowi hołd?

Mikey skrzywił się. Jego szczeciniaste blond włosy, okrutne małe oczka i masywna sylwetka przypominały mi potworną maciorę, która terroryzowała wioskę Krommyon w dawnych dobrych czasach.

-Nie mam ochoty na hołd, Cade. - Jego głos brzmiał jak głos kogoś, kto żywi się zapalonymi papierosami. - Jakie są pozostałe opcje?

- Ucieczka? - zapytał Cade.

- Nieee — odparł Mikey.

- Nasza zagłada?

Mikey prychnął.



- A może to my byśmy go jednak zgładzili?  
Cade podrzucił nóż i złapał go za rękę.

- Przeżyję to jakoś. Ty przodem.

Wsunąłem portfel z powrotem do tylnej kieszeni spodni. Uniosłem pięści. Nie uśmiechała mi się perspektywa zamienienia śmiertelników w gofry, ale byłem przekonany, że potrafię to zrobić. Nawet osłabiony powinienem być silniejszy od każdego człowieka.

- Ostrzegałem was - powiedziałem. - Moja moc jest dla was nie do pojęcia.

Mikey strzelił palcami.

- Aha.

I ruszył do przodu.

Kiedy tylko znalazł się w zasięgu moich pięści, uderzyłem. Włożyłem w ten cios cały swój gniew. To powinno wystarczyć, żeby wyparować Mikeya, pozostawiając jedynie cień w kształcie bandziora na asfalcie.

Zamiast tego on uchylił się, co mnie niezłe zirytowało.

Zrobiłem krok do przodu. Muszę przyznać, że kiedy Prometheus ulepił was, ludzi, z gliny, wykonał marną robotę. Ludzkie nogi są niezdarne. Usiłowałem to nadrobić, korzystając z moich nieskończonych zasobów zwinności, ale Mikey kopnął mnie w plecy. Upadłem na swą boską twarz.

Nos napęczniał mi jak poduszka powietrzna. W uszach mi strzeliło. Usta miałem pełne metalicznego smaku. Z jękiem przewróciłem się na plecy i ujrzałem nad sobą gapiących się na mnie dwóch rozmazanych bandziorów.

- Mikey - odezwał się Cade - pojmujesz moc tego gościa?

- Nie - odparł Mikey. - Nijak jej nie pojmuję.

- Głupcy! - wycharczałem. — Zniszczę was!

- Ta, jasne. - Cade odrzucił nóż. - Ale chyba najpierw my cię rozdepczemy.

Cade uniósł but nad moją twarz i zapadła ciemność.

*Dziewczyna znikąd  
Dopełnia mojego wstydu  
Durne banany*

**NIE ZOSTAŁEM TAK ZDEPTANY** od czasu mojego pojedynku gitarowego z Chuckiem Berrym w 1957.

Kiedy Cade i Mikey mnie kopali, zwinąłem się w kłębek, usiłując ochronić żebra i głowę. Ból był nie do zniesienia. Miałem mdłości i drgawki. Straciłem przytomność i ją odzyskałem, a przed oczami pływały mi czerwone plamy. Kiedy napastnicy znudzili się kopaniem, uderzyli mnie w głowę workiem ze śmieciami, który pękł, pokrywając mnie fusami z kawy i spleśniałymi skórkami owoców.

W końcu odsunęli się, dysząc ciężko. Ich szorstkie łapy zaczęły mnie obmacywać i zabrały mi portfel.

-Co my tu mamy? - powiedział Cade. - Trochę kasy i prawko na... Lestera Papadopouloza.

Mikey zaśmiał się.

- *Lester?* To jeszcze gorsze niż Apollo.

Pomacałem się po nosie, który sprawiał wrażenie, że jest wielkości materaca wodnego, i miał podobną konsystencję. Na palcach połyskiwało mi coś czerwonego.

- Krew - wymamrotałem. - To niemożliwe.

-Bardzo możliwe, Lester. - Cade przykucnął obok mnie. - A w przyszłości czeka cię zapewne więcej krwi. Wyjaśnisz nam może, dlaczego nie masz karty kredytowej? Ani telefonu? Bardzo nie uśmiecha mi się myśl, że rozdeptaliśmy cię dla nędznych stu dolców.

Wpatrywałem się w krew na opuszkach palców. Jestem bogiem. Nie mam krwi. Nawet kiedy dawniej bytem zamieniany w śmiertelnika, w moich żyłach nadal płynął złoty ichor. Nigdy wcześniej nie byłem do tego stopnia... *przeinaczony*. To musiał być jakiś błąd. Sztuczka.

Cokolwiek.

Usiłowałem usiąść.

Dłoń natrafiła na skórkę z banana i upadłem ponownie. Moi napastnicy zawyli z radości.

- Boski jest! - oznajmił Mikey.

-Aha, ale szef powiedział, że będzie miał kasę - marudził Cade.

- Szef... - wymamrotałem. - Szef?

-Zgadza się, Lester. - Cade pstryknął mnie w głowę. - „Idźcie w ten zaułek - polecił nam szef. - Łatwy zarobek”. Powiedział, że mamy cię zbić i zabrać wszystko, co masz. Ale to - zamachał mi banknotami przed nosem - to nie jest nawet dniówka.

Pomimo tarapatów, w jakich się znajdowałem, poczułem przyływ nadziei. Jeśli te rzezimieszki zostały na mnie naślane, to ich „szef” musi być bogiem. Żaden śmiertelnik nie wiedziałby, że spadnę na ziemię w tym miejscu. Może Cade i Mikey też nie są ludźmi. Może to sprytnie zakamuflowane potwory albo duchy. To przynajmniej tłumaczyłoby, dlaczego mnie tak łatwo sprali.

-Kim... kim jest wasz szef? - Podniosłem się z trudem na nogi, a z ramion spadały mi fusy. W głowie kręciło mi się tak, jakbym podfrunął zbyt blisko wyziewów Pierwotnego Chaosu,

ale nie mogłem sobie pozwolić na upokorzenie. - To Zeus was tu przysłał? A może Ares? Żądam audiencji!

Mikey i Cade spoglądali po sobie, jakby mówili: „On jest niewiarygodny”.

Cade uniósł nóż.

- Ty nic nie rozumiesz, co, Lester? \*

Mikey wyjął z za pasa spory kawał łańcucha rowerowego i owinął sobie wokół pięści.

Uznałem, że muszę zaczarować ich śpiewem, zmuszając do uległości. Mogli stawić opór moim pięściom, ale żaden śmiertelnik nie oprze się mojemu złotemu głosowi. Usiłowałem wybrać między *Love Me Tender* a moim własnym utworem *Dla Ciebie jestem bogiem poezji, kotku*, kiedy rozległ się czyjś okrzyk.

- EJ!

Chuligani odwrócili się. Nad nami, na platformie schodów przeciwpożarowych na wysokości pierwszego piętra, stała mniej więcej dwunastoletnia dziewczyna.

- Zostawcie go - rozkazała.

W pierwszej chwili myślałem, że to Artemida przybyła mi na pomoc. Z przyczyn kompletnie dla mnie niezrozumiałych moja siostra często pojawia się jako dwunastolatka. Ale coś podpowiadało mi, że to nie ona.

Dziewczyna na platformie nie bardzo budziła przerażenie. Była niska i pyzata, ciemne włosy miała ścięte na nieporządnego pazia, nosiła też czarne kocie okulary z cyrkoniami połyskującymi w kącikach. Pomimo chłodu nie miała na sobie kurtki. Jej ubranie wyglądało, jakby dobierał je przedszkolak: czerwone tenisówki, żółte legginsy i zielona bluza. Może właśnie wybierała się na bal przebrana za światła na skrzyżowaniu.

A jednak... w wyrazie jej twarzy było coś groźnego. Podobny uparty grymas jak u mojej dawnej dziewczyny Kyrene, kiedy mocowała się z lwami.

Na Mikeyu i Cadzie nie zrobiło to wrażenia.

- Spadaj, mała - powiedział jej Mikey.

Dziewczynka tupnęła nogą, aż platforma się zatrzęsła.

-Mój zaułek. Moje zasady! - Mówiła stanowczo i lekko przez nos, co sprawiało, że brzmiało to, jakby drwiła z koleżanki w erpegu. — Wszystko, co ma przy sobie ta oferma, należy do mnie, włącznie z pieniędzmi!

-Dlaczego wszyscy nazywają mnie oferumą? - zapytałem słabym głosem.

To określenie było niesprawiedliwe, mimo że byłem pobity i utyłany w śmieciach. Nikt jednak nie zwrócił na mnie uwagi.

Cade rzucił dziewczynie wściekłe spojrzenie. Czerwień włosów jakby zaczęła spływać na twarz.

-Chyba sobie ze mnie kpisz. Pokaż, co umiesz, smarkuło! - Podniósł zgniłe jabłko i cisnął nim. Dziewczyna nawet nie drgnęła. Owoc wylądował u jej stóp, toczył się przez chwilę i zatrzymał grzecznie.

-Chcesz się bawić jedzeniem? - Dziewczynka wytarła ręką nos. - Niech ci będzie.

Nie widziałem, jak kopnęła jabłko, ale pofrunęło ono z powrotem i uderzyło Cade'a prosto w nos. Chłopak padł na tyłek.

Mikey warknął. Podszedł ku drabince przeciwpożarowej, ale skórka z banana jakby celowo przesunęła się na jego drogę. Poślizgnął się i runął jak długi.

- AUUU!

Odsunąłem się od leżących na ziemi rabusiów. Zastanawiałem się, czy powinienem uciekać, ale ledwie trzymałem się na nogach. A poza tym nie miałem ochoty zostać zaatakowany przeterminowanymi owocami.

Dziewczynka przeskoczyła przez barierkę i wylądowała na ziemi z zaskakującą zwinnością, po czym chwyciła worek ze śmieciami.

-Stój! - Cade cofał się jak krab, usiłując oddalić się od napastniczki. - Porozmawiajmy!

Mikey z jękiem przetoczył się na plecy.

Dziewczynka wyduła wargi. Nad kącikami ust miała delikatny czarny meszek.

- Nie podobacie mi się - oznajmiła. - Wynoście się.

- Tak! - zawołał Cade. - Jasne! Tylko...

Sięgnął po pieniądze rozsypane wśród fusów z kawy.

Dziewczyna zamachnęła się workiem ze śmieciami. Plastik eksplodował, wypływając z siebie niewyobrażalną liczbę zgnitych bananów, które przygwoździły Cade'a do ziemi. Mikey był oblepiony tyłoma skórkami, że wyglądał, jakby zaatakowały go drapieżne rozgwiazdy.

- Wnocha z mojego zaułka - powtórzyła dziewczyna. - Już.

W kontenerze kolejne worki ze śmieciami wybuchały jak popcorn, zasypując Cade'a i Mikeya rzodkiewkami, łupami ziemniaczanymi i najrozmaitszymi składnikami kompostu. Jakimś cudem nic z tego nie wylądowało na mnie. Pomimo obrażeń obaj chuligani podnieśli się na nogi i uciekli z krzykiem.

Odwróciłem się do mojej mikrej wybawicielki. Nieobce są mi niebezpieczne kobiety. Moja siostra potrafi siec strzałami śmierci. Moja macocha Hera regularnie doprowadza ludzi do takiego obłądu, że szatkują się na kawałki. Ale ta dwunastolatka wymachująca śmieciami wprawiała mnie w nerwowy stan.

- Dziękuję — zaryzykowałem.

Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi. Na środkowych palcach obu dłoni miała identyczne pierścionki z oczkami w kształcie półksiężyców. Jej ciemne oczy połyskiwały jak u kruka. (Mam prawo do tego porównania, ponieważ wymyśliłem kruki).

-Nie dziękuj mi - odparła. - Ty nadal znajdujesz się w moim zaułku.

Obeszła mnie dookoła, lustrując wzrokiem, jakbym był krową na wystawie. (To porównanie też wolno mi zrobić, ponieważ kolekcjonowałem kiedyś krowy medalistki).

- Jesteś bogiem Apollinem? - Nie sprawiała wrażenia przejętej grozą. Ani też zdumionej perspektywą bogów przechadzających się między śmiertelnikami.

- Podśłuchiwałaś?

Przytaknęła.

- Nie wyglądasz na boga.

- Nie mam się najlepiej - przyznałem. - Mój ojciec Zeus wygnał mnie z Olimpu. A ty kim jesteś?

Pachniała lekko szarlotką, co było dziwne, ponieważ wygląd miała bardzo niechlujny. Jakaś częśćka mnie marzyła o znalezieniu czystego ręcznika, wytarciu jej twarzy i podarowaniu pieniędzy na ciepły posiłek. Inna częśćka miała ochotę zasłonić się przed nią krzesłem, na wypadek gdyby postanowiła mnie ugryźć. Przypominała mi przybłędy, które przygarnia moja siostra: psy, pantery, bezdomne dziewczyny, małe smoki.

- Jestem Meg - odparła.

- To zdrobnienie od Megary czy Margaret?

- Margaret. Ale nie waz się mówić do mnie Margaret.

- Jesteś herosem, Meg?

Poprawiła okulary.

- Dlaczego tak sądzisz?

Znowu nie wydała się zaskoczona pytaniem. Wyczułem, że musiała już kiedyś zetknąć się z tym określeniem.

- Cóż - powiedziałem - najwyraźniej posiadasz jakieś moce. Przegoniłaś tych chuliganów za pomocą zgniłych owoców. Może władasz bananokinezą? Albo masz władzę nad śmieciami? Znałem kiedyś rzymską boginię imieniem Kloacyna, która patronowała miejskim ściekom. Może jesteście spokrewnione...?

Meg skrzywiła się. Miałem wrażenie, że być może powiedziałem coś niewłaściwego, choć nie bardzo wiedziałem co.

- Myślę, że po prostu zabiorę ci kasę - oznajmiła. - No już. Wynocha stąd.

- Nie, zaczekaj! - W moim głosie pojawiła się desperacja. - Proszę, ja... chyba potrzebuję trochę pomocy.

Oczywiście czułem się idiotycznie. Ja - bóg przepowiedni, zaraz, łucznictwa, uzdrawiania, muzyki i jeszcze paru innych rzeczy, których chwilowo nie mogłem sobie przypomnieć — prosiłem o pomoc pstrokato ubranego dzieciaka z ulicy. Ale nie miałem nikogo innego. Jeśli to dziecko postanowi zabrać mi pieniądze i wykopać mnie na srogą uliczną zimę, nie zdołam go powstrzymać.

-Powiedzmy, że ci wierzę... - W głosie Meg słychać było śpiewny ton, jakby zamierzała wyrecytować zasady zabawy: „Ja będę księżniczką, a ty pomywaczką”. - Powiedzmy, że postanowię ci pomóc. Co wtedy?

*Dobre pytanie, pomyślałem.*

- Eee... jesteście na Manhattanie?

- Aha. - Obróciła się i wykonała radosny podskok. - Piekło na ziemi.

Miałem wrażenie, że dziecko nie powinno mówić o piekle. Ale w sumie dziecko nie powinno również mieszkać w zaułku i walczyć na śmieci z chuliganami.

Zastanawiałem się nad udaniem się do Empire State Building. Znajduje się tam nowoczesna brama wiodąca na Olimp, ale wątpiłem, czy strażnicy wpuszczą mnie na tajne sześćsetne piętro. Z Zeusem nie ma tak łatwo.

Może zdołam znaleźć mojego starego kumpla, centaura Chejrona. On ma obóz szkoleniowy na Long Island. Może zaproponuje mi schronienie i naukę. Ale to będzie niebezpieczna podróż. Bezbronny bóg to łakomy kąsek. Każdy napotkany potwór z radością mnie wypatroszy. Zazdrosne duchy i pomniejsze bóstwa też mogą zechcieć skorzystać z okazji. A poza tym jest jeszcze tajemniczy „szef” Cade’a i Mikeya. Nie



miałem pojęcia, kim on jest oraz czy ma innych, groźniejszych pachołków, których mógłby na mnie nasłać.

Nawet jeśli zdołam dotrzeć do Long Island, moje nowe śmiertelne oczy mogą nie być w stanie znaleźć obozu Chejrona w magicznie ukrytej dolinie. Potrzebowałam przewodnika, który mnie tam zaprowadzi - kogoś doświadczonego i znajdującego się w pobliżu...

- Mam pewien pomysł. - Stałam tak prosto, jak pozwały na to moje obrażenia. Nie było łatwo wyglądać na pewnego siebie z rozkwaszonym nosem i fusami spadającymi z ubrania. - Znam kogoś, kto może mi pomóc. On mieszka na Upper East Side. Zabierz mnie do niego, a zostaniesz nagrodzona.

Meg wydała dźwięk będący skrzyżowaniem kichnięcia i chichotu.

- A czym mnie nagrodzisz? - Cały czas tańczyła wokół, wybierając spośród śmieci dwudziestodolarówki. - Już sobie biorę całe twoje pieniądze.

- Ej!

Rzuciła mi portfel, pusty, jeśli nie liczyć prawa jazdy Lestera Papadopoulosa.

- Mam twoją kasę, mam twoją kasę - zaśpiewała Meg.

Stłumiłam warknięcie.

- Słuchaj, dziecko, nie będę na wieki śmiertelnikiem. Kiedyś na powrót stanę się bogiem. Wtedy nagrodzę wszystkich, którzy mi pomogli... i ukarzę tych, którzy odmówili mi wsparcia.

Wzięła się pod boki.

- Skąd wiesz, co się wydarzy? Byłeś już kiedyś człowiekiem?

- Owszem, po prawdzie dwukrotnie! Za każdym razem moja kara trwała najwyżej kilka lat!

- Ach, tak? A jak zdołałeś wrócić do bycia całkiem bogowym i tak dalej?

- Nie ma takiego słowa jak „bogowy” - wytknąłem jej, aczkolwiek moja poetycka wrażliwość rozważała już sposoby jego

użycia. - Zeus zazwyczaj wymaga ode mnie popracowania jako niewolnik dla jakiegoś ważnego herosa. Jak na przykład ten koleś z Upper East Side, o którym ci wspomniałem. On byłby idealny! Przez parę lat wykonuję różne zadania wyznaczone mi przez mojego pana. Jeśli się dobrze sprawuję, zostaję przyjęty z powrotem na Olimp. Teraz muszę tylko odzyskać siły i wymyślić...

- Skąd wiesz na pewno, który to ma być heros?

Zamrugałem.

- Że co?

- Któremu herosowi masz służyć, głupku.

- Eee... no. Cóż, zazwyczaj jest to oczywiste. Po prostu na niego wpadam. Dlatego chcę się udać na Upper East Side. Mój nowy pan zażąda moich usług i...

- Jestem Meg McCaffrey! - Cisnęła we mnie maliną. - I żądam twoich usług!

Nad naszymi głowami przez szare niebo przetoczył się grzmot, odbijając się echem w miejskich wąwozach niczym boski śmiech.

Cokolwiek jeszcze pozostało z mojej dumy, zamieniło się w lodowatą wodę i napełniło moje skarpetki.

- Sam się w to wpakowałem, prawda?

- Aha! - Meg podskakiwała w czerwonych tenisówkach. - Ale będzie zabawa!

Z wielkim trudem powstrzymałem chęć, aby usiąść i zapłakać.

- Jesteś pewna, że nie jesteś przebraną Artemidą?

- Jestem tym drugim czymś - odparła Meg, licząc moje pieniądze. - Tym, o czym mówiłeś wcześniej. Herosem.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. — Uśmiechnęła się do mnie łobuzersko. - A teraz mam pomocnika, boga imieniem Lester!

Uniosłem oblicze ku niebu.

- Proszę, ojcze. Rozumiem. Proszę, wszystko tylko nie to!

Zeus nie odpowiedział. Zapewne był zbyt zajęty zapisywaniem mojego upokorzenia, aby podzielić się nim na Snapchacie.

- Uszy do góry — powiedziała mi. — Kogo to chciałeś zobaczyć. .. kim jest ten koleś na Upper East Side?

- Innym herosem - odparłem. - On zna drogę do obozu, gdzie mogę znaleźć mieszkanie, pomoc, jedzenie...

- Jedzenie? - Meg zastrzygła uszami. - Dobre jedzenie?

- Wiesz, zazwyczaj żywię się ambrozją, ale zakładam, że tak.

- W takim razie to mój pierwszy rozkaz! Musimy znaleźć tego gościa, żeby zabrał nas do tego obozu!

Westchnąłem żałośliwie. To będzie bardzo długa niewola.

- Jak sobie życzysz - odpowiedziałem. - Chodźmy poszukać Percy'ego Jacksona.

*Kiedyś byłem bogowy  
W mieście jestem kijowy  
Ha, nie rymuj haiku*

**KIEDY WLEKLIŚMY SIĘ** po Madison Avenue, w moich myślach szalały pytania: dlaczego Zeus nie sprezentował mi zimowego płaszcza? Dlaczego Percy Jackson mieszka na takich peryferiach? Dlaczego przechodnie gapią się na mnie?

Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie powraca moja boska aura. Może nowojorczyacy czuli grozę na widok mojej mocy i nieziemskiej urody.

Meg McCaffrey sprowadziła mnie na ziemię.

-Cuchniesz - oznajmiła. - I wyglądasz, jakbyś właśnie został pobity.

-Właśnie zostałem pobity. I wzięty w niewolę przez małe dziecko.

-To nie jest niewola. - Meg odgryzła skórkę przy paznokciu i wypluła ją. - To raczej współpraca.

-Współpraca w tym sensie, że ty wydajesz rozkazy, a ja muszę pracować?

-Aha. - Zatrzymała się przed oknem wystawowym. - Wiesz? Wyglądasz obrzydliwie.

Moje odbicie spojrzało na mnie, tyle że to nie było moje odbicie. Nie mogło być. Twarz była ta sama, co na zdjęciu Lestera Papadopoulosa.

Wyglądałem na jakieś szesnaście lat. Półdługie włosy miałem ciemne i kręcone — trochę w stylu, który stanowił ostatni krzyk mody w Atenach Peryklesa, a potem w latach 70. XX wieku. Moje oczy były niebieskie. Twarz dość przyjemna w głupkowaty sposób, ale zniekształcona przez spuchnięty nos w kolorze bakłażana, który na dodatek krwawił, tworząc paskudny wąs czerwieni na mojej górnej wardze. Co gorsza, policzki pokrywała mi jakaś wysypka, wyglądająca podejrzanie jak... Żołądek podszedł mi do gardła.

- Potworność! - krzyknąłem. - Czy to... Czy to trądzik?!

Nieśmiertelni bogowie nie mają trądziku. To jedno z naszych niezwykłych praw. A jednak kiedy przysunąłem twarz bliżej szyby, przekonałem się, że moja skóra naprawdę stanowiła krajobraz poorany pryszczami i wypryskami.

Zacisnąłem pięści i zawołałem ku okrutnym niebiosom:

- Cóż takiego uczyniłem, o Zeusie, żeby na to zasłużyć?!

Meg pociągnęła mnie za rękaw.

- Uważaj, bo cię aresztują.

-A jakie to ma znaczenie? Uczyniono mnie nastolatkiem, i to z trądzikową cerą! Założę się, że nie mam nawet... - Z lodowatym uczuciem przerażenia uniosłem podkoszulek. Brzuch miałem pokryty roślinnym wzorem sińców będących rezultatem upadku do kontenera i tego, że następnie zostałem skopany. Ale, co gorsza, miałem *oponkę*.

-Och, nie, nie, nie, nie. - Zataczałem się po chodniku, w nadziei że oponka zostanie w tyle. — Gdzie się podział mój kaloryfer? Miałem *zawsze* idealny kaloryfer. Zero tłuszczu. *Nigdy* przez cztery tysiące lat!

Meg znów się zaśmiała drwiąco.

- Ciii, bekso, wyglądasz spoko.

- Jestem gruby!

- Jesteś przeciętny. Przeciętni ludzie nie mają kaloryferów. Daj spokój.

Chciałem zaprotestować, że nie jestem ani przeciętnym, *ani* człowiekiem, ale z rosnącą rozpaczą uświadomiłem sobie, że to określenie pasuje teraz do mnie jak ulał.

Po drugiej stronie witryny pojawiła się twarz ochroniarza spoglądającego na mnie krzywo. Pozwoliłem, żeby Meg pociągnęła mnie dalej.

Dziewczyna podskakiwała, czasem zatrzymując się, żeby podnieść monetę albo zakręcić się wokół latarni. Wydawała się kompletnie nie przejmować zimnem, czekającą nas niebezpieczną podróżą, jak również faktem, że cierpiałem na trądzik młodzieńczy.

- Jak możesz być taka spokojna? - zapytałem. - Jesteś herosem, wędrujesz w towarzystwie boga, zmierzasz ku obozowi, gdzie spotkasz podobnych sobie. Nic z tego nie jest dla ciebie dziwaczne?

- Ech. — Złożyła jedną z moich dwudziestodolarówek w samolocik. - Widziałam już dość dziwnych rzeczy.

Miałem wielką pokusę zapytać, co może być dziwniejsze od mojego poranka. Uznałem jednak, że mogę nie przeżyć szoku, jaki przyniesie ta wiedza.

- Skąd jesteś?

- Mówiłam ci. Z tego zaułka.

- Nie, chodzi o... twoi rodzice? Rodzina? Przyjaciele?

Przez jej twarz przemknęło zakłopotanie. Wbiła wzrok w dwudziestodolarowy samolocik.

- To nieważne.

Moje wysoce zaawansowane umiejętności czytania w ludziach powiedziały mi, że dziewczyna coś ukrywa, ale to nic nadzwyczajnego u herosów. Jak na dzieci pobłogosławione

posiadaniem nieśmiertelnego rodzica są oni dziwacznie wrażliwi na punkcie swojego pochodzenia.

- I nigdy nie słyszałaś o Obozie Herosów? Ani Obozie Jupiter?

-Nie. — Wypróbowała dziób samolotu czubkiem palca. - Jak daleko jeszcze do domu Perry'ego?

-Percyego. Nie jestem pewny. Jeszcze kilka przecznic... jak sądzę.

Ta odpowiedź najwyraźniej zadowoliła Meg. Skoczyła do przodu, rzucając banknotowym samolocikiem i chwytając go z powrotem. Przebiegła przez skrzyżowanie ze Wschodnią Siedemdziesiątą Drugą Ulicą - a jej ubranie było takim poplątaniem kolorów, aż obawiałem się, że kierowcy mogą się pogubić i ją przejechać. Na szczęście nowojorscy kierowcy przywykli do nagłego omijania niepomnych niczego przechodniów.

Uznałem, że Meg musi być dzikim herosem. To się zdarza. Pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia, nieodkryta przez innych herosów, bez odpowiedniego treningu zdołała jednak przeżyć. Ale jej szczęście nie mogło trwać wiecznie. Potwory zazwyczaj zaczynają polować na młodych herosów i zabijają ich, kiedy ci kończą trzynaście lat i ich prawdziwe moce zaczynają się ujawniać. Meg nie miała dużo czasu. Bezwzględnie potrzebowała się dostać do Obozu Herosów, podobnie jak ja. Miała szczęście, że trafiła na mnie.

(Wiem, że brzmi to jak stwierdzenie oczywistego faktu. *Każdy*, kto mnie spotyka, jest szczęściarzem, ale wiecie, o co mi chodzi).

Gdybym był normalnym wszechwiedzącym sobą, mógłbym przyjrzeć się przeznaczeniu Meg. Mógłbym zajrzeć w głąb jej duszy i zobaczyć wszystko, co potrzebowałem wiedzieć o jej boskim pochodzeniu, mocach, motywach i sekretach.

Teraz jednak byłem ślepy na takie sprawy. Mogłem tylko mieć pewność, że dziewczynka jest istotnie herosem, ponieważ

udało jej się zażądać moich usług. Zeus potwierdził jej prawo odpowiednim grzmotem.

Czułem na sobie więzy przypominające całun z ciasno owiniętych skórek z bananów. Kimkolwiek była Meg McCaffrey i w jakikolwiek sposób zdołała mnie odnaleźć, nasze losy były teraz ze sobą związane.

Było to niemal równie wstydliwe jak trądzik.

Skręciliśmy na wschód, w Osiemdziesiątą Drugą Ulicę.

Kiedy dotarliśmy do Drugiej Alei, okolica zaczęła wyglądać znajomo - szeregi bloków, sklepy z narzędziami i spożywczeni oraz hinduskie knajpy. Wiedziałem, że Percy Jackson mieszka gdzieś w pobliżu, ale podróże słonecznym rydwanem po niebie dają orientację na poziomie Google Earth. Nie przywykłem do poruszania się po ulicach.

A poza tym w owym śmiertelnym ciele moja absolutnie doskonała pamięć stała się... niedoskonała. Ludzkie lęki i potrzeby zakłócały moje myśli. Chciało mi się jeść. Potrzebowałem skorzystać z łazienki. Moje ciało było obolałe. Ubranie cuchnęło. Czułem się, jakby ktoś wypchał mi głowę mokrą watą. Naprawdę, jak wy, ludzie, jesteście w stanie z tym żyć?

Kilka przecznic dalej zaczął padać deszcz ze śniegiem. Meg usiłowała go łapać na język, co moim zdaniem jest bardzo mało efektywnym sposobem zaspokajania pragnienia — a na dodatek ta woda jest, delikatnie mówiąc, brudna. Wzdrygnąłem się i skupiłem na pogodnych myślach: Bahamach, idealnej harmonii dziewięciu muz i wszelkich, potwornych karach, jakie planowałem zesać na Cade'a i Mikeya, kiedy zostanę na powrót bogiem.

Nadal intrygował mnie ich szef oraz to, skąd mógł wiedzieć, w którym miejscu spadnę na ziemię. Żaden śmiertelnik nie mógł posiadać takiej wiedzy. Prawdę mówiąc, im więcej o tym myślałem, tym mniej rozumiałem, jak nawet jakiś bóg (inny niż ja) mógłby tak dokładnie przewidzieć przyszłość. Poza



wszystkim to ja byłem bogiem przepowiedni, panem Wyroczni Delfickiej i od tysiącleci szafarzem najwyższej jakości przebłysków przeznaczenia.

Oczywiście nie brakowało mi wrogów. Jedną z naturalnych konsekwencji bycia tak wspaniałym jest to, że wywoływałem u wszystkich zazdrość. Przychodził mi jednak do głowy tylko jeden przeciwnik, który byłby w stanie przepowiedzieć przyszłość. A jeśli on miałby mnie zacząć szukać w moim osłabionym stanie...

Zagłuszyłem tę myśl. Miałem dość zmartwień. Nie potrzebowałem zadrećcać się na śmierć gdybaniem.

Zaczęliśmy przeszukiwać boczne uliczki, sprawdzać nazwiska na skrzynkach pocztowych w klatkach schodowych i na tabliczkach domofonów. Na Upper East Side mieszkało zaskakująco dużo Jacksonów. Uznałem to za irytujące.

Po kilku nieudanych próbach skręciliśmy za róg i tam - zaparkowany pod magnolią - stał stary niebieski prius. Na jego masce widniały niedające się z niczym pomylić wgniecenia od kopyt pegazów. (Skąd ta pewność? Znam się na śladach kopyt. A poza tym zwykle konie nie galopują po samochodach. Pegazom zdarza się to często).

- Aha - oznajmiłem. - Zbliżamy się.

Nieco dalej rozpoznałem budynek - czteropiętrowa kamienica z cegły, z zardzewiałymi skrzynkami klimatyzacji zwieszającymi się z okien. - *Voild!* - zawołałem.

Przy schodkach wejściowych Meg zatrzymała się, jakby wpadła na niewidoczną barierkę. Spojrzała za siebie na Drugą Aleję, a w jej ciemnych oczach widoczny był niepokój.

- Co się stało? - zapytałem.

- Wydawało mi się, że znowu za nami idą.

- Kto? - Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem, ale nie dostrzegłem nic nadzwyczajnego. - Te bandziory z zaułka?

- Nie. Kilka... - Zakręciła palcami. - Błyszczących kluch. Widziałam je wcześniej na Park Avenue.

Moje tętno przyspieszyło od andante do skocznego allegretto.

- Błyszczące kluchy? Czemu wcześniej nic nie powiedziałaś? Dotknęła palcami zauszników okularów.

- Widziałam już dość dziwacznych rzeczy. Mówiłam ci. Za-  
zwyczaj to mnie nie niepokoi, ale...

- Ale jeśli to podąży za nami, to niedobrze - dokończyłem.

Przyjrzałem się jeszcze raz ulicy. Nie dostrzegąłem niczego nie na miejscu, ale nie wątpiłem, że Meg widziała błyszczące kluchy. Wiele duchów może ukazywać się w takiej formie. Mój własny ojciec Zeus przybrał kiedyś postać błyszczącej kluchy, żeby oczarować śmiertelniczkę. (Dlaczego ta kobieta uznała to za atrakcyjne, nie mam pojęcia).

- Powinniśmy wejść do środka - powiedziałem. - Percy Jackson nam pomoże.

Meg jednak zwlekała. Nie zdradzała cienia strachu, kiedy okładała bandziorów śmieciami w zaułku, za to teraz wahała się przed naciśnięciem dzwonka. Przyszło mi do głowy, że może już wcześniej spotkała herosów.

Może te spotkania nie wypadły najlepiej.

- Meg - zacząłem - wiem, że niektórzy herosi nie są dobrzy. Mógłbym ci opowiedzieć wiele historii o takich, których musiałem zabić albo zamienić w rośliny...

- Rośliny?

- Ale na Percym Jacksonie można polegać. Nie masz się czego bać. A poza tym on mnie lubi. Nauczyłem go wszystkiego.

Zmarszczyła brwi.

- Naprawdę?

Uznałem jej niewinność za w sumie czarującą. Ona nie wiedziała tylu oczywistych rzeczy.

- Jasne. Chodźmy na górę.

Nacisnąłem dzwonek. Chwilę później w domofonie rozległ się zniekształcony kobiecy głos.

- Tak?

- Cześć - powiedziałem. - Tu Apollo.

Trzaski.

- Bóg Apollo - dodałem, zakładając, że może powinienem wyrażać się bardziej precyzyjnie. - Czy zastałem Percy'ego?

Znów trzaski, po których nastąpiła stłumiona rozmowa na dwa głosy. Drzwi zabrzęczały. Otwarłem je. Kiedy robiłem krok do przodu, dostrzegłem kątem oka jakiś przebłysk ruchu. Spojrzałem za siebie na chodnik, ale nadal nic nie widziałem.

Może to tylko odbicie. Albo wirujący śnieg. A może to była błyszcząca klucha. Skóra na głowie łaskotała mnie z przerażenia.

- Co? - zapytała Meg.

- Zapewne nic. — Zmusiłem się do pogodnego tonu. Nie chciałem, żeby Meg uciekła w chwili, kiedy znaleźliśmy się tak blisko bezpiecznej przystani. Teraz byliśmy ze sobą związani. Gdyby mi rozkazała, musiałbym udać się za nią, a nie uśmiechało mi się życie z Meg w tym zaułku. - Wejdźmy na górę. Nie powinniśmy kazać gospodarzom czekać.

Po tym wszystkim, co zawdzięczał mi Percy Jackson, spodziewałem się entuzjazmu z okazji mojego przybycia. Łzy na powitanie, parę całopalnych ofiar, może nawet małe igrzyska na moją cześć byłyby na miejscu.

Zamiast tego młody człowiek otworzył drzwi mieszkania i zapytał:

- O co chodzi?

Jak zwykle uderzyło mnie jego podobieństwo do ojca, Posej-dona. Miał takie same morskozielone oczy, takie same ciemne, potargane włosy, był w ten sam sposób przystojny, a wyraz jego twarzy mógł tak łatwo zmienić się z wesołości w gniew.

Percy Jackson nie podzielał natomiast upodobania ojca do plażowych szortów i hawajskich koszul. Ubrany był w wyświechtane džinsy i niebieską bluzę z kapturem, na której z przodu naszyte było logo klubu pływackiego.

Meg cofnęła się na korytarz i schowała za mną.

Zmusiłem się do uśmiechu.

- Percy Jacksonie, przyjmij moje błogosławieństwo! Potrzebuję pomocy.

Wzrok Percy ego biegał ode mnie do Meg.

- Kim jest twoja towarzyszka?

- To jest Meg McCaffrey - odparłem. - Jest półbogiem i musi się dostać do Obozu Herosów. Uratowała mnie przed ulicznymi bandziorami.

- Uratowała... - Percy przyglądał się mojej obitej twarzy. - Mówisz, że ten wygląd pobitego nastolatka to nie przebranie? Chłopie, co ci się stało?

- Chyba wspomniałem o bandziorach?

- Przecież jesteś bogiem.

- Co do tej kwestii... *byłem* bogiem.

Percy zamrugał.

- Byłeś?

- A poza tym - ciągnąłem - jestem przekonany, że śledziły nas złowrogie duchy.

Gdybym nie wiedział, jak wielkie jest uwielbienie Percy'ego Jacksona dla mnie, byłbym przysięgł, że miał ochotę walnąć mnie w mój już złamany nos.

Westchnął.

- Może lepiej wejdźcie do środka.

*Casa de Jackson  
Brak tronów dla gości  
Naprawdę, ludzie?*

**KOLEJNA RZECZ**, której nigdy nie zrozumieć: jak wy, ludzie, możecie mieszkać w takich ciasnych miejscach? Gdzie wasza duma? Gdzie wasze poczucie smaku?

W mieszkaniu Jacksonów nie było wielkiej sali tronowej ani kolumnad, brakowało tarasów, sal bankietowych czy choćby łaźni. Mieściły się tam maleńki salon z aneksem kuchennym oraz pojedynczy korytarz prowadzący do pomieszczeń, w których domyśliłem się sypialń. Wszystko to znajdowało się na czwartym piętrze i jakkolwiek nie byłem aż tak małostkowy, żeby oczekiwać windy, zdziwił mnie brak lądowiska dla latających rydwanów. Co oni robią, kiedy mają niebiańskich gości?

Za ladą kuchenną stała, przygotowując koktajl, uderzająco atrakcyjna śmiertelniczka w wieku mniej więcej czterdziestu lat. W jej długich brązowych włosach dostrzegłem kilka siwych pasemek, ale jej błyszczące oczy, radosny uśmiech i pstrokata batikowa plażówka sprawiały, że wyglądała młodziej.

Kiedy weszliśmy, wyłączyła blender i wyszła zza blatu.

- Najświętsza Sybillo! - krzyknąłem. - Szanowna pani, ma pani coś nie w porządku z talią!

Kobieta zatrzymała się, zdumiona, i spojrzała na swój potężnie wystający brzuch.

- Cóż, jestem w siódmym miesiącu ciąży.

W oczach zakręciły mi się łzy na myśl o jej losie. Noszenie takiego ciężaru wydawało się nienaturalne. Moja siostra Artemida ma doświadczenie w położnictwie, ale ja zawsze wolałem tę dziedzinę sztuki uzdrowicielskiej zostawiać innym.

- Jak jesteś w stanie to znieść? - zapytałem. - Moja matka Latona cierpiała z powodu przedłużającej się ciąży, ale tylko dlatego że przeklęła ją Hera. Czy ty też jesteś przeklęta?

Percy podszedł do mnie.

- Eee, Apollinie, ona nie jest przeklęta. Oraz czy mógłbyś nie wspominać Hery?

- Nieszczęsna kobieto. - Pokręciłem głową. - Bogini nie pozwoliłaby sobie na takie niewygody. Urodziłaby w tej chwili, którą uznałaby za dogodną.

- To musi być przyjemne - przyznała kobieta.

Percy Jackson odkaslnął.

- No dobra. Mamo, to jest Apollo i jego towarzyszka Meg. Koledzy, to jest moja mama.

Matka Jacksona uśmiechnęła się i uścisnęła nam dłonie.

- Mam na imię Sally.

Zmrużyła oczy, przyglądając się mojemu zmiażdżonemu nosowi.

- Ojej, to wygląda paskudnie. Co się stało?

Usiłowałem wszystko wyjaśnić, ale słowa grzęzły mi w gardle. Ja, złotousty bóg poezji, nie byłem w stanie opisać tej miłej kobiecie mojego wypadnięcia z łask.

Rozumiałem, dlaczego Posejdon był pod takim jej wrażeniem. Sally Jackson prezentowała odpowiednią kombinację współczucia, siły i urody. Była jedną z tych rzadkich śmiertelniczek, które są w stanie poczuć więź duchową z bogiem jak

równy z równym - ani nie lękać się go, ani też nie pożądać tego, co może ofiarować, ale dać mu prawdziwą przyjaźń.

Gdybym nadal był nieśmiertelny, sam chętnie bym z nią po-flirtował. Ale chwilowo byłem szesnastolatkiem. Moje śmiertelne ciało oddziaływało na stan mojego umysłu. W Sally Jackson widziałem mamę - a to jednocześnie wprawiało mnie w konsternację i zakłopotanie. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio dzwoniłem do własnej matki. Pewnie powinienem zaprosić ją na obiad, gdy wrócę na Olimp.

-Wiesz co? - Sally poklepała mnie po ramieniu. - Percy pomoże ci to opatrzeć i umyć się.

- Naprawdę? - zapytał Percy.

Sally uniosła lekko brew w matczynym geście.

-W łazience jest apteczka, kochanie. Apollo może wziąć prysznic, a następnie ubrać się w coś twojego. Jesteście podobnego wzrostu.

- I to - wtrącił Percy - jest naprawdę dołujące.

Sally ujęła Meg pod brodę. Na szczęście dziewczyna nie ugryzła jej. Spojrzenie Sally było nadal łagodne i uspokajające, ale widziałem w jej oczach troskę. Niewątpliwie myślała sobie: „Ko ubrał tę nieszczęsną dziewczynkę jak sygnalizację świetlną?”.

-Mam trochę ciuchów, które mogą na ciebie pasować, dziecko - powiedziała Sally. - Oczywiście przedciążowych. Musisz się umyć. A potem dostaniecie coś do jedzenia.

- Lubię jedzenie - wymamrotała Meg.

Sally roześmiała się.

-Cóż, to coś, co nas łączy. Percy, zajmij się Apollinem. Spotkamy się tu za chwilę.

Wkrótce byłem wyprysznicowany, zabandażowany i ubrany w spadkowe ciuchy po Jacksonie. Percy zostawił mnie w łazience, żebym zajął się tym wszystkim sam, za co byłem mu

wdzięczny. Zaproponował mi ambrozę i nektar - pożywienie i napój bogów — aby wyleczyć moje rany, ale nie byłem pewny, czy spożywanie tych pokarmów w moim śmiertelnym stanie byłoby dla mnie bezpieczne. Nie miałem ochoty na samozapłon, więc ograniczyłem się do ludzkich środków pierwszej

### **pomocy.**

Kiedy skończyłem, spojrzałem na moją zmaltretowaną twarz w łazienkowym lustrze. Być może ciuchy przesiąkły młodzieńczym buntem, ponieważ czułem się posępnym nastolatkiem znacznie bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Pomyślałem, jak bardzo niesprawiedliwa jest moja kara, jak obciachowy jest mój ojciec, jak nikt w dziejach świata nie miał takich problemów jak ja.

Oczywiście to wszystko była czysta prawda. Nie musiałem przesadzać.

Przynajmniej moje rany zdawały się leczyć szybciej niż u zwykłego śmiertelnika. Opuchlizna częściowo zeszła z nosa. Zebra wciąż mnie bolały, ale nie czułem się już, jakby ktoś robił mi wewnątrz klatki piersiowej sweter na rozgrzanych drutach.

Przyspieszone leczenie było minimum litości, jaką Zeus mógł mi ofiarować. Jestem w końcu bogiem sztuk medycznych. Zeus zapewne po prostu chciał, żebym szybko dochodził do zdrowia, bo dzięki temu będę mógł więcej wycierpieć, ale i tak czułem wdzięczność.

Zastanawiałem się, czy powinienem rozniecić w umywalce Percy'ego niewielki ogień i być może spalić w nim trochę bandażu w podziękowaniu, ale uznałem, że mogłoby to stanowić nadużycie gościnności Jacksonów.

Przyjrzałem się czarnemu podkoszulkowi, który dostałem od Percy'ego. Na przodzie widniało logo Led Zeppelin: skrzydlaty Ikar spadający z nieba. Nie miałem problemu z Led Zeppelin. To w końcu ja byłem inspiracją dla ich najlepszych



piosenek. Miałem jednak paskudne podejrzenie, że Percy zrobił mi dowcip, dając ten podkoszulek - upadek z nieba. Tak, bardzo śmieszne. Nie musiałem być bogiem poezji, żeby dostrzec metaforę. Postanowiłem jednak powstrzymać się od komentarzy. Nie zamierzałem dać mu tej satysfakcji.

Wziąłem głęboki oddech. A następnie wygłosiłem do lustra tę samą formułę motywacyjną, co zawsze: „Jesteś fantastyczny, a ludzie cię kochają!”.

Po czym wyszedłem, by stawić czoła światu.

Percy siedział na swoim łóżku, wpatrując się w krople krwi, które zostawiłem na dywanie.

- Przepraszam - powiedziałem.

Percy rozłożył ręce.

-Prawdę mówiąc, rozmyślałem nad ostatnim razem, kiedy leciała mi krew z nosa.

- Och...

Wspomnienie wróciło, aczkolwiek mgliste i niepełne. Ateny. Akropolis. My, bogowie, walczyliśmy u boku Percy'ego Jacksona i jego towarzyszy. Pokonaliśmy armię gigantów, ale kropla krwi Percy'ego spadła na ziemię i obudziła Matkę Ziemię Gaję, która nie była w dobrym humorze.

Wtedy właśnie Zeus rozgniewał się na mnie. Oskarżył mnie, że rozpętałem to wszystko, tylko dlatego że Gaja wkręciła jednego z moich potomków, chłopaka imieniem Oktawian, żeby wywołał wojnę domową między obozami herosów greckich i rzymskich, a ta wojna omal nie doprowadziła do zagłady ludzkiej cywilizacji. No, pytam się was: jakim cudem to jest moja wina?

A jednak Zeus uznał mnie za odpowiedzialnego za manię wielkości Oktawiana. Zeus najwyraźniej uważa, że ten chłopak odziedziczył ego po mnie. Śmieszne. Ja posiadam stanowczo zbyt dużo samoświadomości, żeby być egotykiem.

Co się z tobą działo, chłopie? - Głos Percy ego wyrwał mnie z zamyślenia. - Wojna skończyła się w sierpniu, a teraz mamy styczeń.

Naprawdę? - Podejrzewam, że wietrzna pogoda powinna była mi to podpowiedzieć, ale nie zastanawiałem się nad tym.

Kiedy ostatni raz cię widziałem - ciągnął Percy - Zeus opierniczał cię na Akropolis. A potem *bum!* Wyparował cię. Przez pół roku nikt cię nie widział ani nie słyszał.

Usiłowałem sobie cokolwiek przypomnieć, ale wspomnienia boskości zacierały się, zamiast klarować. Co się działo przez ostatnie pół roku? Czyżbym znajdował się w jakimś stanie zawieszenia? Czy Zeus potrzebował aż tyle czasu, żeby zdecydować, co ze mną począć? A może z jakiegoś powodu czekał aż do tej chwili, żeby cisnąć mnie na ziemię.

Głos ojca wciąż grzmiał mi w uszach: „Twoja wina. Twoja kara”. Mój wstyd był świeży i bolesny, jakby ta rozmowa odbyła się dopiero co, ale nie byłem pewny.

Kiedy żyje się przez tyle tysięcy lat, problemy z rachubą czasu mogą się pojawiać nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Słyszę na przykład coś na Spotify i myślę sobie: „Och, nowość!”. A potem dociera do mnie, że to koncert fortepianowy d-moll nr 20 Mozarta sprzed dwustu lat. Albo zastanawiam się, dlaczego nie mam na liście kontaktów historyka Herodota. Po czym przypominam sobie, że Herodot nie miał komórki, ponieważ nie żyje od epoki żelaza.

To, jak szybko wy, ludzie, umieracie, jest strasznie irytujące.

— Nie... nie mam pojęcia, gdzie byłem - przyznałem. - Mam luki w pamięci.

Percy skrzywił się.

— Nienawidzę luk w pamięci. W zeszłym roku straciłem cały semestr z winy Hery.

— Ach, tak. - Nie bardzo pamiętałem, o czym mówił Percy Jackson. Podczas wojny z Gają skupiałem się głównie na

własnych niezwykłych dokonaniach. Ale podejrzewam, że on i jego kumple doświadczyli pomniejszych niedoli.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Przed tobą tyle nowych szans na zdobycie sławy! Dlatego właśnie przybyłem do ciebie w poszukiwaniu pomocy!

Znów spojrzał na mnie w ten niepokojący sposób, jakby chciał mnie kopnąć, podczas gdy ja byłem przekonany, że na pewno walczy ze sobą, by ukryć swoją wdzięczność.

- Człowieku, posłuchaj...

- Możesz, proszę, przestać nazywać mnie *człowiekiem*? - zapytałem. - To w bolesny sposób przypomina mi, że *jestem* człowiekiem.

- Dobra... Apollinie, nie mam problemu z tym, żeby zawieźć ciebie i Meg do obozu, jeśli tego chcesz. Nigdy nie odmawiam pomocy herosowi, który jej potrzebuje...

- Cudownie! Masz coś oprócz tego gruchota? Może mase-rati? Zgodzę się też na lamborghini.

- Ale - ciągnął Percy - nie mogę się teraz wplątać w kolejną Wielką Przepowiednię czy cokolwiek innego. Mam zobowiązania.

Gapiłem się na niego, nic nie rozumiejąc.

- Zobowiązania.

Percy splótł palce. Były długie i zwinne. Byłby z niego doskonały muzyk.

- Straciłem prawie cały rok szkolny z powodu wojny z Gają. Przez całą jesień usiłowałem nadgonić materiał. Jeśli chcę iść razem z Annabeth do collegeu w przyszłym roku, to muszę się trzymać z dala od kłopotów i zdać maturę.

- Annabeth. - Usiłowałem skojarzyć to imię z kimś konkretnym. - To ta przerażająca blondynka?

- To ona. W szczególności obiecałem jej, że nie dam się zabić podczas jej nieobecności.

- Nieobecności?

Percy wykonał nieokreślony gest, wskazując ku północy.

Wyjechała na kilka tygodni do Bostonu. Jakieś pilne sprawy rodzinne. Chodzi o to...

Mówisz, że nie możesz zaoferować mi pełni swoich usług celem odzyskania przeze mnie tronu?

Eee... tak. - Wskazał na drzwi sypialni. - Poza wszystkim moja mama jest w ciąży. Będę miał małą siostrzyczkę. Chciałbym tu być i ją poznać.

No, rozumiem, oczywiście. Pamiętam, jak urodziła się Artemida...

Wy nie jesteście bliźniętami?

- Zawsze uważałem ją za młodszą siostrę.

Usta Percy'ego zadrżały.

W każdym razie mama jest w ciąży, a poza tym tej wiosny ukaże się jej pierwsza powieść, chciałbym więc dożyć chwili, kiedy...

-Wspaniale! - wykrzyknąłem. - Przypomnij jej o złożeniu odpowiednich ofiar. Kaliopie robi się dość drażliwa, kiedy powieściopisarze zapominają o podziękowaniach.

-Dobrze. Ale chciałem powiedzieć... nie mogę udać się na kolejną misję ratowania świata. Nie mogę tego zrobić rodzinie.

Percy zerknął w stronę okna. Na parapecie stała doniczka z rośliną o delikatnych srebrzystych liściach - prawdopodobnie księżyczką.

-Już zapewniłem mamie dość ataków serca na jedno życie. Właśnie wybaczyła mi zeszłoroczne zniknięcie, ale obiecałem jej i Paulowi, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię.

- Paulowi?

-To mój ojczym. Ma dziś zastępstwo w szkole. To porządny facet.

-Rozumiem. — Prawdę mówiąc, nie rozumiałem. Chciałem wrócić do rozmowy o moich problemach. Byłem zły na Percy'ego, że skierował konwersację na swój temat. Niestety tego

rodzaju skupienie na samych sobie jest powszechne wśród herosów. — Pojmujesz *oczywiście*, że muszę znaleźć sposób na dostanie się z powrotem na Olimp - kontynuowałem. - To będzie zapewne obejmowało wiele męczących zadań z wysokim prawdopodobieństwem śmierci. Jesteś gotów odrzucić taką chwałę?

- Aha, jestem zasadniczo przekonany, że tak. Wybacz.

Zacisnąłem usta. Zawsze czuję rozczarowanie, kiedy śmiertelnicy myślą tylko o sobie i nie dostrzegają szerszej perspektywy - konieczności postawienia *mnie* na pierwszym miejscu - ale musiałem pamiętać, że ten tu młodzieniec pomógł mi wiele razy wcześniej. Zasłużył na moją dobrą wolę.

-Rozumiem - odparłem z niezwykłą pobłażliwością. - Ale przynajmniej możesz nas zawieźć do Obozu Herosów.

-To mogę zrobić. - Percy sięgnął do kieszeni bluzy i wyciągnął długopis. Przez moment myślałem, że poprosi mnie o autograf. Nie uwierzylibyście, jak często tak właśnie się dzieje. Po czym przypomniałem sobie, że ten długopis kamufluje jego miecz, Orkana.

Percy uśmiechnął się i w jego oczach rozbłysło trochę dobrego herosowego łobuzerstwa.

- Chodźmy zobaczyć, czy Meg jest gotowa na wycieczkę.

SALLY JACKSON okazała się godną rywalką Kirke. Przemieniła Meg z ulicznego łobuziaka w zaskakująco ładną dziewczynę. Ciemne, ostrzyżone na pazia włosy miała teraz błyszczące i wyszczotkowane. Jej okrągła buzia nie była już usmarowana brudem. Kocie okulary zostały wyczyszczone, aż cyrkonie połyskiwały. Najwyraźniej uparła się zachować stare czerwone tenisówki, ale miała na sobie nowe czarne legginsy i sukienkę do kolan w zielone wzory.

Pani Jackson wymyśliła, jak zachować dawny styl Meg, ale jednocześnie nagiąć go do czegoś mającego większy sens. Meg roztaczała teraz elfią aurę wiosny, która bardzo przypominała mi driady. Prawdę mówiąc...

Zalała mnie nagła fala uczuć. Zdławiłem szloch.

Meg wydeła usta.

— Aż tak źle wyglądam?

— Nie, nie — wybełkotałem. - Tylko że...

Miałem ochotę powiedzieć: „Przypominasz mi kogoś”. Ale nie odważyłem się rozpocząć tej rozmowy. Tylko dwoje śmiertelników zdołało złamać mi serce. I nawet po tylu stuleciach

nie jestem w stanie o niej myśleć, wymówić jej imienia, nie popadając w rozpacz.

Nie zrozumcie mnie źle. Meg nie była dla mnie pociągająca. Miałem szesnaście lat (albo szesnaście plus cztery tysiące, zależy jak na to patrzeć). Ona miała ledwie dwanaście. Ale taka, jaka mi się teraz zjawiała, Meg McCaffrey mogłaby być córką mojej dawnej ukochanej... gdyby moja ukochana przeżyła na tyle długo, żeby mieć dzieci.

To było zbyt bolesne. Odwróciłem wzrok.

- Dobra - odezwała się Sally Jackson z wymuszoną wesołością - może zrobię drugie śniadanie, podczas gdy wy troje... porozmawiacie.

Rzuciła Percy'emu zmartwione spojrzenie, po czym udała się do kuchni, obejmując opiekuńczo swój ciężarny brzuch.

Meg usiadła na skraju kanapy.

- Percy, twoja mama jest taka normalna.

- Chyba powinienem podziękować. - Zdjął ze stolika steretę podręczników i odłożył je na bok.

- Wygląda na to, że się uczysz - powiedziałem. - Dobra robota.

Percy prychnął.

- Nienawidzę się uczyć. Mam zapewniony wstęp z pełnym stypendium na Uniwersytet Nowego Rzymu, ale nawet oni wymagają ode mnie zaliczenia wszystkich szkolnych przedmiotów i zdania na przyzwoitym poziomie matury. Uwierzyłybyś? Nie mówiąc o tym, że muszę zdać KOSM.

- Co takiego? - zapytała Meg.

- Egzamin dla rzymskich herosów — wyjaśniłem jej. — Kwestionariusz Oceny Szalonych Mocy.

Percy zmarszczył brwi.

- Ten skrót oznacza coś takiego?

- Chyba wiem, nie? Układałem przecież do niego części z analizy poezji i muzyki.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - odparł Percy.

Meg machała nogami.

A więc naprawdę jesteś dzieckiem boga? Jak ja?

Tego się obawiam. - Percy opadł na fotel, pozostawiając mi miejsce na kanapie obok Meg. - Tym boskim rodzicem jest mój tato... Posejdon. A kim są twoi rodzice?

Nogi Meg zatrzymały się. Wpatrywała się w swoje obgryzione

korki i pierścionki z półksiężycami na obu środkowych palcach.

- Nie wiem o nich... zbyt dużo.

Percy zamyślił się.

Rodzina zastępcza? Dom dziecka?

Przypomniała mi się pewna roślina, *Mimosa pudica*, którą stworzył bóg Pan. Kiedy tylko dotknąć jej liści, roślina zamyka się jakby w odruchu obronnym. Meg sprawiała wrażenie mimozy zamykającej się w sobie przed pytaniami Percy'ego.

Percy uniósł ręce.

Przepraszam. Nie chciałem być wścibski. - Posłał mi pytające spojrzenie. — Jak wy dwoje się spotkaliście?

Opowiedziałem mu o wszystkim. Przesadziłem może trochę w opisie mojej odważnej obrony przed Cade'em i Mikeyem - ale to tylko dla efektu narracyjnego, sami wiecie.

Kiedy skończyłem, wróciła Sally Jackson. Postawiła przed nami miskę tortilli i drugą pełną skomplikowanego dipu złożonego z wielokolorowych warstw, niczym skała osadowa.

- Zaraz będą kanapki — powiedziała. - Ale zostało mi trochę siedmiowarstwowego dipu.

- Mniam. - Percy zanurzył w sosie kawałek tortilli. - To w sumie jej specjalność, ludzie.

Sally zmierzwiła mu włosy.

- Jest tu guacamole, śmietana, fasola, salsa...

- Siedem warstw? - Spojrzałem na nią z zachwytem. - Wiedziałś, że siódemka to moja święta liczba? Wymyśliłaś to specjalnie dla mnie?

Sally wytarła dłonie w fartuszek.



- Prawdę mówiąc, nie mogę rościć sobie prawa...

- Jesteś zbyt skromna! — Skosztowałem dipu. Smakował prawie równie dobrze jak nachosy ambrozjowe. - Zdobędziesz dzięki temu nieśmiertelną sławę, Sally Jackson!

- To uroczo. - Wskazała na kuchnię. - Zaraz wracam.

Wkrótce zajadaliśmy się kanapkami z indykiem, chipsami i dipem oraz koktajlem bananowym. Meg jadła, aż jej się uszy trzęsły, wpychając sobie do buzi więcej jedzenia, niż była w stanie pogryźć. Ja miałem pełny żołądek. Nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy. Marzyłem o odpaleniu xboxa i pogranii w *Call of Duty*.

- Percy - oznajmiłem - masz niesamowitą mamę.

- Wiem o tym. - Skończył pić koktajl. — A więc wracając do twojej opowieści... teraz musisz służyć Meg? Przecież wy się ledwie znacie.

- *Ledwie* jest eufemizmem — odparłem. — Ale zasadniczo tak. Mój los jest teraz związany z młodocianą McCaffrey.

- *Współpracujemy* - oznajmiła Meg. Najwyraźniej rozkoszowała się brzmieniem tego słowa.

Percy wyciągnął długopis z kieszeni i postukał nim w zamysleniu w kolano.

- A cała ta historia z zostawianiem śmiertelnikiem... przydarzyło ci się to już dwa razy wcześniej?

- Nie z mojej woli - zapewniłem go. - Za pierwszym razem mieliśmy niewielką rebelię na Olimpie. Usiłowaliśmy obalić Zeusa.

Percy skrzywił się.

- Podejrzewam, że nie poszło najlepiej.

- Całą winę zwalono, oczywiście, na mnie. Och, i na twojego ojca Posejdona. Zostaliśmy obaj zesłani na ziemię jako śmiertelnicy i musieliśmy służyć Laomedontowi, królowi Troi. Był surowym panem. Odmówił nawet zapłaty za naszą pracę!

Meg omal się nie udławiła kanapką.

- Mam ci płacić?

Przed moimi oczami stanął przerażający obraz Meg McCaffrey usiłującej mi zapłacić kapslami, szklanymi kulkami i kawałkami kolorowych sznurków.

Nie przejmuj się — odparłem. — Nie wystawię ci rachunku. Ale, jak mówiłem, kiedy drugi raz zostałem śmiertelnikiem, Zeus wściekł się na mnie, ponieważ zabiłem kilku jego cyklopów.

Percy zmarszczył brwi.

Nie ma w tym nic zabawnego, stary. Mój brat jest cyklopem.

To byli źli cyklopi! Wykonali piorun, który zabił jednego z moich synów!

Meg podskoczyła na podłokietniku kanapy.

Brat Percy'ego jest cyklopem? To obłąd!

Wziąłem głęboki oddech, usiłując odnaleźć wewnętrzny spokój.

- W każdym razie wtedy zostałem związany z Admetem, królem Tesalii. To był łagodny pan. Lubiłem go tak bardzo, że sprawiłem, iż jego krowy rodziły bliźnięta.

- Mogłabym mieć cielaczki? - zapytała Meg.

- Wiesz, Meg - odpowiedziałem - najpierw musiałabyś mieć jakieś mamy krowy. Bo widzisz...

- Ludziki - przerwał mi Percy. - Podsumowując, musisz być sługą Meg przez...?

- Jakiś nieznaną czas - odrzekłem. - Zapewne rok. Być może dłużej.

- I w tym czasie...

- Niewątpliwie stawię czoła wielu próbom i niedolom.

- Na przykład dostarczysz mi krowy - powiedziała Meg.

Zacisnąłem zęby.

- Jakie będą te zadania, nie jest mi jeszcze wiadome. Ale jeśli wiele w nich wycierpię i udowodnię, że jestem godny, Zeus wybaczy mi i pozwoli na powrót zostać bogiem.

Percy nie wyglądał na przekonanego - zapewne dlatego że ja nie byłem przekonujący. Potrzebowałem wiary, że moja śmiertelnicza kara jest czasowa, podobnie jak dwa poprzednie razy. Niemniej Zeus stworzył ścisłe zasady dla bejsbola i wyroków więzienia: „Trzy próby i wypadasz”. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że nie stosuje się to do mnie.

- Potrzebuję czasu, żeby się ogarnąć - oznajmiłem. - Kiedy tylko dostaniemy się do Obozu Herosów, skonsultuję się z Chejronem. Będę w stanie ocenić, które z moich boskich mocy zostały zachowane w tej śmiertelnej powłoce.

- Jeśli jakiegokolwiek - zauważył Percy.

- Bądźmy optymistami.

Percy rozsiadł się w fotelu.

- Masz pojęcie, jakie duchy zdążyły waszym śladem?

- Błyszczące kluchy - odparła Meg. - Były błyszczące i tak jakby... kluchowate.

Percy pokiwał z powagą głową.

- Te są najgorsze.

- Nieistotne — odrzekłem. — Czymkolwiek są, musimy uciekać. Gdy tylko dostaniemy się do obozu, magiczne granice mnie ochronią.

- A mnie? - zapytała Meg.

- Ach, tak. Ciebie też.

Percy zmarszczył brwi.

- Apollinie, jeśli jesteś naprawdę śmiertelnikiem, to znaczy stuprocentowym śmiertelnikiem, to czy będziesz w stanie w ogóle dostać się do Obozu Herosów?

Siedmiowarstwowy dip zaczął mnie palić w żołądku.

- Proszę, nie mów tak. Oczywiście, że dostanę się do środka. Muszę to zrobić.

- Ale teraz możesz zostać ranny... - Percy zamyślił się. - Choć z drugiej strony może potwory będą cię ignorować, ponieważ nie jesteś nikim ważnym.

Przestań! - Ręce mi drżały. Bycie śmiertelnikiem było dostateczną traumą. Myśl o tym, że mógłbym nie zostać wpuszczony do obozu, że mógłbym okazać się *nieważny*. . . Nie. To było po prostu niemożliwe. - Jestem pewny, że zachowałem jakieś moce - oznajmiłem. - Na przykład byłbym nadal olśniewający, gdybym tylko zdołał pozbyć się tego trądziku i zgubić nieco brzucha. Muszę mieć też inne zdolności!

Percy zwrócił się do Meg.

A co z tobą? Słyszałem, że nieźle rzucasz workami na śmieci. Masz jakieś inne umiejętności, o których powinniśmy wiedzieć? Umiesz przyzywać błyskawice? Wybuchać toalety?

Meg uśmiechnęła się niepewnie.

To nie jest moc.

Zapewniam cię, że jest - odpowiedział Percy. - Najlepsi herosi zaczynali od wybuchania toalet.

Meg zachichotała.

Nie podobało mi się, jak się uśmiechała do Percy'ego. Nie chciałem, żeby się zakochała. Moglibyśmy nigdy się stąd nie wydostać. A jakkolwiek doceniałem kuchnię Sally Jackson - boski zapach piekących się ciastek doleciał właśnie z kuchni — musiałem pospiesznie udać się do obozu.

- Eee. - Zatarłem ręce. - Jak szybko możemy ruszać?

Percy zerknął na zegar ścienny.

- Zaraz, jak sądzę. Jeśli ktoś was śledzi, to wolałbym mieć potwory na naszym tropie, niż węszące po mieszkaniu.

- Dobry z ciebie człowiek - powiedziałem.

Percy wskazał z niechęcią na podręczniki.

- Ale muszę wrócić do wieczoru. Mam mnóstwo nauki. Pierwsze dwa podejścia do próbnej matury... brr. Gdyby Annabeth mi nie pomogła...

- Kto to jest? - zapytała Meg.

- Moja dziewczyna.

Meg zmarszczyła czoło. Cieszyłem się, że w okolicy nie było worków ze śmieciami, którymi mogłaby zacząć ciskać.

- Zrób sobie przerwę! - zachęciłem go. - Twój mózg będzie odświeżony po miłej przejażdżce na Long Island.

- Ha — odparł Percy. — Jest w tym jakaś perwersyjna logika. Dobra. Do dzieła.

Wstał w chwili, kiedy Sally Jackson weszła do pokoju z tacą świeżych ciasteczek czekoladowych. Z jakiegoś powodu były niebieskie, ale pachniały niebiańsko - a ja coś o tym wiem. Pochodzę z niebios.

- Nie zamartwiaj się, mamó — powiedział Percy.

Sally westchnęła.

- Nie znoszę, kiedy tak mówisz.

- Zamierzam jedynie odwiedzić tę dwójkę do obozu. To wszystko. Wrócę migiem.

- Mam wrażenie, że zdarzało mi się już to słyszeć.

- Obiecuję.

Sally obrzuciła wzrokiem najpierw mnie, potem Meg. Jej spojrzenie złagodniało, a wrodzona dobroć zapewne przeważała nad troską.

- Dobrze. Ale uważaj na siebie. Miło było mi spotkać was oboje. Postarajcie się nie zginąć.

Percy pocałował ją w policzek. Sięgnął po ciastko, ale Sally odsunęła tacę.

- O nie - powiedziała. - Apollo i Meg mogą się poczęstować, ale resztę biorę na zakładników, dopóki bezpiecznie nie wrócisz. I pospiesz się, kochanie. Nie chciałbyś, żeby Paul zjadł wszystkie, kiedy przyjdzie do domu.

Mina Percy'ego spoważniała. Odwrócił się do nas.

- Słyszeliście to, ludziska? Ode mnie zależy los tacy ciastek. Jeśli przez was zginę w drodze do obozu, to nie załapię się na nie.

*Aquaman prowadzi  
Nie może być już gorzej  
Och, zaraz, jest*

KU MOJEMU WIELKIEMU ROZCZAROWANIU Jacksonowie nie mieli na zbyciu łuku i strzał, które mogliby mi pożyczyć.

Jestem beznadziejny w łucznictwie - wyjaśnił Percy.

Owszem, ale *ja* nie - odpowiedziałem. - Dlatego właśnie powinieneś zawsze liczyć się w swoich planach z *moimi* potrzebami.

Sally pożyczyła Meg i mnie porządne zimowe polarowe kurtki. Moja była niebieska, a wewnątrz kołnierzyka miała wypisane słowo: „BLOFIS”. Zapewne było to jakieś tajemnicze zaklęcie przeciwko złym duchom. Hekate by wiedziała. Magia to niezupełnie moja działka.

Kiedy dotarliśmy do priusa, Meg usiadła z przodu, co było kolejnym przykładem niesprawiedliwości mojej egzystencji. Bogowie nie jeżdżą na tylnych siedzeniach. Zaproponowałem ponownie, że pojedą za nimi maserati lub lamborghini, ale Percy przyznał, że nie mają żadnego z nich. Toyota była jedynym samochodem w posiadaniu jego rodziny.

Słuchajcie... no rany. Po prostu.

Siedząc z tyłu, natychmiast dostałem choroby lokomocyjnej. Przyzwyczaiałem się do jazdy słonecznym rydwanem po niebie, gdzie każdy pas jest szybkim pasem. Nie przywykłem do drogi ekspresowej wiodącej na Long Island. Wierzcie mi, nawet w południe w połowie stycznia w drogach ekspresowych nie ma nic *ekspresowego*.

Percy hamował i skakał do przodu. Bardzo żałowałem, że nie mogę wystrzelić przed nas kuli ognia i stopić samochodów, żeby zrobić miejsce dla naszej w oczywisty sposób ważniejszej podróży.

- Czy ten samochód nie ma miotaczy ognia? - zapytałem z oburzeniem. - Laserów? Choćby jakichś Hefajstosowych ostrzy na zderzakach? Co to za taniocha i badziewie?

Percy zerknął we wsteczne lusterko.

- Na Olimpie nie ma takich atrakcji?

- Nie mamy tam korków — oznajmiłem. — O tym cię zapewniam.

Meg obracała swoje półksiężycowe pierścionki. Ponownie zastanawiałem się, czy nie łączy jej coś z Artemidą. Księżyc jest symbolem mojej siostry. Może Artemida przysłała Meg, żeby się mną zaopiekowała?

To jednak nie wydawało się możliwe. Artemida nie lubiła dzielić się ze mną czymkolwiek: herosami, strzałami, nacjami, imprezami urodzinowymi. To typowe dla bliźniąt. A poza tym Meg McCaffrey nie pasowała mi do towarzyszek mojej siostry. Miała inną aurę... którą rozpoznałbym bez trudu, gdybym był bogiem. Ale nie. Musiałem polegać na ludzkiej intuicji, a to oznacza zbieranie igieł w kuchennych rękawicach.

Meg odwróciła się i spoglądała przez tylną szybę, zapewne sprawdzając, czy nie podążają za nami jakieś błyszczące kluchy.

- Przynajmniej nie jesteśmy...

- Nie mów tego - ostrzegł ją Percy.

Meg fuknęła.

- Nawet nie wiesz, co zamierzałam...

- Zamierzałaś powiedzieć: „Przynajmniej nie jesteśmy śledzeni” - odparł Percy. - To może przynieść pecha. Natychmiast zauważymy, że *jesteśmy* śledzeni. A to się skończy wielką bitwą, w której polegnie mój rodzinny samochód i zapewne zostanie również zniszczona cała szosa. Potem będziemy musieli biec aż do obozu.

Eg wytrzeszczyła oczy.

- Umiesz przepowiadać przyszłość?

Nie potrzebuję tego robić. - Perce zmienił pas na ten nieco mniej powoli się wlokący. - Po prostu mam doświadczenie. A poza tym - zerknął na mnie oskarżycielsko - nikt już nie potrafi przepowiadać przyszłości. Wyrocznia nie działa.

- Jaka wyrocznia? - zapytała Meg.

Żaden z nas nie odpowiedział. Na chwilę zanadto mnie zamurowało, żebym był w stanie mówić. A wierzcie mi, muszę być *bardzo* zamurowany, żeby to się stało.

- Nadal nie działa? — powiedziałem słabym głosem.

- Nie wiedziałeś? — zapytał Percy. - To znaczy, jasne, byłeś nieobecny przez pół roku, ale to wydarzyło się jeszcze na twojej wachcie.

To było niesprawiedliwe. W tamtym czasie byłem zajęty ukrywaniem się przed gniewem Zeusa, co jest całkowicie zasadnym usprawiedliwieniem. Skąd miałem wiedzieć, że Gaja wykorzysta wojenny chaos i wezwie z otchłani Tartaru mojego najstarszego i najpotężniejszego wroga, żeby mógł odzyskać swoje leże w jaskini w Delfach i odciąć źródło moich profetycznych mocy?

Och, tak. Już słyszę te głosy krytyki: „Jesteś bogiem przepowiedni, Apollinie. Jak mogłeś nie wiedzieć, że to się wydarzy?”.

Następnym dźwiękiem, jaki usłyszycie, będzie świst ogromnej maliny, którą rzucę w was na wzór Meg McCaffrey.

Przełknąłem strach i smak siedmiowarstwowego sosu.



- Ja tylko... Zakładałem... Miałem nadzieję, że ktoś się już tym zajął.

- Masz na myśli herosów — powiedział Percy. — Udających się na wielką misję mającą na celu odzyskanie Wyroczni Delfickiej?

- Tak właśnie! — Wiedziałem, że Percy mnie zrozumie. - Podejrzewam, że Chejron po prostu o tym zapomniał. Przypomnę mu, kiedy dotrzemy do obozu, a on może wysłać kilku z was, zdolnych harcerzyków... to znaczy herosów...

- Widzisz, w tym właśnie sęk — powiedział Percy. — Zęby iść na misję, potrzebujemy przepowiedni, tak? Takie są zasady. Jeśli nie ma Wyroczni, *nie ma* też przepowiedni, w związku z czym utknęliśmy w...

- Paragrafie 88. - Westchnąłem.

Meg rzuciła we mnie jakimś paprochem.

- To jest paragraf 22.

- Nie - wyjaśniłem cierpliwie. - To jest paragraf 88, który jest czterokrotnie gorszy.

Czułem się, jakbym unosił się w ciepłej kąpieli, a ktoś wyjął korek. Woda wirowała wokół mnie, ciągnąc mnie w dół. Wkrótce będę leżał drżący i nagi albo też zostanę wessany przez rurę do rynsztoka beznadziei. (Nie śmiecie się. To jest doskonała metafora. A poza tym kiedy jest się bogiem, to łatwo zostać wessanym przez otwór odpływowy — jeśli będąc zaskoczonym podczas relaksu, zmieni się kształt w nieodpowiednim momencie. Raz obudziłem się w oczyszczalni ścieków w Biloxi, ale to zupełnie inna historia).

Zaczynałem pojmować, co mnie czeka podczas mojego śmiertelniczego pobytu na ziemi. Wyrocznia została przejęta przez wrogie siły. Mój adwersarz leżał zwinięty w magicznych wyziewach grot delfickich, czekając i z dnia na dzień rosnąc w siłę. A ja byłem słabym śmiertelnikiem związanym z nieszkolonym herosem, który rzuca śmieciami i obgryza paznokcie.

Nie. Zeus *nie może* wymagać, żebym to naprawił. Nie w mojej obecnej kondycji.

A jednak... *ktoś* wysłał tych rzezimieszków, żeby przechwycili mnie w zaułku. Ktoś, kto wiedział, gdzie wyląduję.

„Nikt już nie potrafi przepowiadać przyszłości”, powiedział Percy.

To nie było do końca prawdą.

- Hej, wy dwaj. - Meg strzeliła w nas obu kłaczkami. Skąd ona brała te paprochy?

Uświadomiłem sobie, że o niej zapomniałem. I czułem się z tym dobrze, póki trwało.

- Tak, wybacź, Meg - powiedziałem. - Widzisz, Wyrocznia Delficka jest starożytną...

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła. - Widzę teraz trzy błyszczące kluchy.

- Co? - zapytał Percy.

Wskazała za nas.

- Patrzcie.

Wśród samochodów przemykały, zbliżając się do nas szybko, trzy błyszczące, ledwie humanoidalne zjawy - niczym kłęby gazu z granatów dymnych dotknięte przez króla Midasa.

- Choć raz przydałyby się niezakorkowane ulice - mruknął Percy. - Koledzy, trzymać się. Jedziemy na skróty.

Wyobrażenie skrótu według Percy'ego zdecydowanie różniło się od mojego, ja miałem na myśli rzeczywiste skrócenie drogi i czasu. Zamiast tego Percy popędził najbliższym zjazdem, pokręcił się po parkingu centrum handlowego, a następnie przemknął pod okienkiem baru dla zmotoryzowanych, nawet niczego nie zamawiając. Wjechaliśmy w przemysłowe tereny z rozpadającymi się magazynami, a dymiące zjawy nadal się do nas zbliżały.

Moje zaciśnięte na pasie bezpieczeństwa palce zbieleły.

- Czy zamierzasz uniknąć śmierci w walce poprzez śmierć w wypadku samochodowym? - zapytałem.

- Bardzo śmieszne. — Percy gwałtownie skręcił kierownicą w prawo. Popędziliśmy na północ, a magazyny ustąpiły płataninie bloków mieszkalnych i opuszczonych centrów handlowych.

- Jedziemy na plażę. W pobliżu wody lepiej idzie mi walka.

- Z powodu Posejdona? - zapytała Meg, trzymając się kurczowo klamki.

- Aha - przytaknął Percy. - To nieźle opisuje całe moje życie: „z powodu Posejdona”.

Meg podskakiwała podekscytowana, co wydawało mi się bez sensu, ponieważ i tak okropnie nami rzucało.

- Będziesz jak Aquaman? — zapytała. - Sprawisz, że ryby będą za ciebie walczyły?

- Dzięki - powiedział Percy. - Nigdy za dużo żartów o Aquamanie.

- Ja nie żartowałam! - zaprotestowała Meg.

Spojrzałem przez tylne okno. Trzy połyskujące pióropusze nadal się zbliżały. Jeden z nich przeleciał przez mężczyznę w średnim wieku przechodzącego przez jezdnię. Śmiertelnik natychmiast zemdłał.

- Ach, wiem, co to za duchy! - krzyknąłem. - To są... yy...

Umysł mi się zaćmił.

- Co? - zapytał Percy. - Co to jest?

- Zapomniałem! Nienawidzę być człowiekiem! Cztery tysiące lat wiedzy, tajemnice wszechświata, ocean mądrości — wszystko stracone, ponieważ nie jestem w stanie zmieścić tego w głowie wielkości filiżanki!

- Trzymajcie się! - Percy przeleciał przez tory kolejowe i samochód uniósł się w powietrze. Meg wrzasnęła, kiedy jej głowa uderzyła o sufit. Następnie wybuchła niekontrolowanym chichotem.

Krajobraz dookoła nas zmienił się w wiejski - płowe pola, sennie winnice, sady nagich drzew owocowych.

Już tylko jakieś dwa kilometry do plaży - powiedział Percy, - A poza tym jesteśmy prawie na zachodnim skraju obozu. Damy radę. Damy radę.

Po prawdzie nie daliśmy. Jedna z błyszczących chmur dymu wykonała brzydki numer, wznosząc się nad asfaltem dokładnie przed nami.

Percy instynktownie skręcił kierownicą.

Samochód wypadł z drogi, przemknął przez ogrodzenie z drutu kolczastego i wylądował w sadzie. Percy zdołał nie uderzyć w żadne z drzew, ale prius wpadł w poślizg na zamrożonym błocie i wpakował się między dwa pnie. Jakimś cudem poduszki powietrzne nie eksplodowały.

Percy odpiął pas bezpieczeństwa.

Jesteście cali?

Meg naparła na drzwiczki po swojej stronie.

- Są zablokowane. Wydostań mnie stąd!

Percy spróbował otworzyć własne drzwi. Były zaklinowane w pniu śliwy.

- Do tyłu - powiedziałem. — Przejdźcie tutaj!

Kopnąłem tylne drzwi i wyczołgałem się na zewnątrz, choć moje nogi sprawiały wrażenie zdezelowanych amortyzatorów.

Przy dymne postaci zatrzymały się na skraju sadu. Teraz zbliżyły się powoli, przyjmując wyraźne kształty. Wyrosły im nogi i ręce. Na ich twarzach pojawiły się oczy i szerokie, głodne usta.

Instynkt podpowiadał mi, że miałem już kiedyś do czynienia z takimi duchami. Nie pamiętałem, czym były, ale odganiałem je wiele razy, wysyłając w niebyt równie łatwo, jak rozgoniłbym stado komarów.

Niestety teraz nie byłem bogiem. Byłem spanikowanym szesnastolatkiem. Dłonie mi się pociły. Zęby szczękały. Jedyna koherentna myśl, do jakiej byłem zdolny, brzmiała: *Oj!*

Percy i Meg usiłowali wydostać się z samochodu. Potrzebowali czasu, a to oznaczało, że to ja musiałem zapewnić jakąś dywersję.

- STAĆ! - ryknąłem na duchy. - Jestem bogiem Apollinem!

Ku mojemu przyjemnemu zaskoczeniu trzy duchy zatrzymały

się. Unosiły się w miejscu jakieś dwanaście metrów ode mnie.

Usłyszałem jęk Meg, która wygramoliła się z tylnego siedzenia. Percy wydostał się za nią.

Podszedłem ku duchom, a zmrożone błoto trzaskało pod moimi stopami. Oddech zamieniał się w parę w zimnym powietrzu. Uniosłem rękę z trzema palcami wyciągniętymi w starożytnym geście odganiania złego.

-Zostawcie nas albo gińcie! - zawołałem do duchów. - BLOFIS!

Dymne kształty zadrżały. Nabrałem nadziei. Czekałem, aż rozplyną się w powietrzu albo uciekną przerażone.

One jednak skrzępy w upiorne trupy z żółtymi oczami. Ich ubrania były potarganymi łachmanami, a ciała pokrywały otwarte rany i jątrzące się wrzody.

-Och, nie. - Jabłko Adama opadło mi na pierś jak kula bilardowa. - Teraz pamiętam.

Percy i Meg podeszli do mnie z dwóch stron. Długopis Percy'ego z metalicznym trzaskiem zamienił się w głownię z lśniącego niebiańskiego brązu.

- Co pamiętasz? - zapytał. - Jak zabić to coś?

-Nie - odparłem. - Pamiętam, czym one są. To *nosoi*, duchy zarazy. A poza tym... nie da się ich zabić.

*Berek z duchami zarazy  
Mam cię i jesteś zakaźny  
Dobrej zabawy, LOL*

**NOSOI?** - Percy stanął na rozstawionych nogach, szykując się do walki. - Wiesz co, ciągle mi się wydaje, że *pozabijałem już wszystko, co pojawia się w greckiej mitologii*. Ale ta lista zdaje się nie mieć końca.

Nie zabiłeś jeszcze mnie - zauważyłem.

- Nie kuś.

Trzy nosoi przesunęły się bliżej nas. Ich trupie usta rozwarły się. Języki zachybotwały. Oczy rozbłysły błonami żółtego śluzu.

- Te stwory to nie mit - odparłem. - Oczywiście większość tego, co znajduje się w starych mitach, to nie są mity. Z wyjątkiem tej opowieści, jakobym obdarł żywca ze skóry satyra Marsjasza. To wierutne kłamstwo.

Percy spojrzał na mnie.

- Co niby zrobiłeś?

- Chłopaki. - Meg podniosła zeschniętą gałąź. — Czy możemy o tym porozmawiać później?

Środkowy duch zarazy przemówił.

- Apollooooo... - Jego głos gulgotał jak u foki z zapaleniem oskrzeli. - Przybyyyyyyliśmy, żeby...

-Pozwolicie, że wam przerwę. — Skrzyżowałem ramiona na piersi i udałem arogancką obojętność. (Było to dla mnie trudne, ale udało się). - Przybyliście, aby dokonać zemsty na mnie, co? - Spojrzałem na moich towarzyszy herosów. - Widzicie, nosi to duchy chorób. Kiedy się urodziłem, szerzenie chorób stało się jednym z *moich* zadań. Używam strzał zarazy, żeby doświadczać wredne narody ospą wietrzną, grzybicą stóp i tak dalej.

- Faj — oznajmiła Meg.

-Ktoś to musi robić! - odrzekłem. - Lepiej, żeby był to bóg podlegający regulaminowi Rady Olimpijczyków i posiadający odpowiednie certyfikaty zdrowotne niż horda niedających się kontrolować duchów jak te tutaj.

Duch stojący po lewej zagulgotał.

-Usiłujemy wykorzystać swoje pięć minut. Nie przeszkadzaj! Chcemy być wolni, niekontrolowani...

-Tak, wiem. Chcecie mnie zniszczyć. Wtedy będziecie mogli rozprzestrzenić wszelkie znane dolegliwości po całym świecie. Macie na to ochotę, odkąd Pandora wypuściła was z tego dzbana. Ale nie możecie. Porażę was!

Zapewne zastanawiacie się, jak zdołałem działać z taką pewnością siebie i spokojem. Prawdę mówiąc, byłem przerażony. Moje szesnastoletnie śmiertelnicze instynkty wrzeszczały do mnie: *UCIEKAJ!* Kolana się pode mną uginały, a w prawym oku zrobił mi się paskudny tik. Ale sekret radzenia sobie z duchami zarazy polega na tym, żeby cały czas gadać, sprawiać wrażenie posiadania kontroli i braku strachu. Zakładałem, że to pozwoli moim towarzyszom herosom wymyślić jakiś sprytny plan, który mnie ocali. Niewątpliwie miałem nadzieję, że Meg i Percy pracowali nad takim planem.

Duch stojący po prawej stronie obnażył spróchniałe zęby.

- Czym zamierzasz nas porazić? Gdzie jest twój łuuuuk?

Wygląda na to, że zaginął - zgodziłem się. - Ale czy jest  
lak naprawdę? Co jeśli pozostaje sprytnie ukryty pod tą  
koszulką Led Zeppelin, a ja za moment go wyciągnę, by  
powystrzelać was wszystkich?

Nosoi przebierały nerwowo nogami.

Kłaaamiesz - powiedział w końcu środkowy.

Percy odchrząknął.

Eee, hej, Apollinie...

Nareszcie!, pomyślałem.

Wiem, co zamierzasz powiedzieć - zwróciłem się do nie-  
go. Ty i Meg wpadliście na jakiś sprytny plan, który pozwo-  
li wam zatrzymać te duchy, podczas gdy ja ucieknę do obozu.  
To straszne, że musicie się poświęcić, ale...

Wcale nie zamierzałem nic takiego mówić. - Percy uniósł  
mlecz. - Zamierzałem zapytać, co się stanie, jeśli po prostu  
ciachnę i posiekam tych śmierdzieli niebiańskim brązem.

Środkowy z duchów zarechotał, a jego żółte oczy rozbłyły.

Miecz jest nędzną bronią. Brakuje mu poeeeeezji dobrej  
epidemii.

Zamilcz! - krzyknąłem. - Nie możecie odebrać mi i zarazy, i  
poezji!

Masz rację - odparł duch. - Dość słóóóóóów.

Trzy trupy pokuśtykały do przodu. Zamachnąłem się, w na-  
dziei że rozwalę je w proch. Nic się nie wydarzyło.

To nie do zniesienia! - pożałowałem się. - Jak herosi to ro-  
bią bez niezawodnych mocy?

Meg wbiła swoją gałąź w pierś znajdującego się najbliżej  
ducha. Gałąź utknęła. Błyszczący dym zaczął wić się wokół  
drewna.

Puść to! - ostrzegłem ją. - Nie pozwól, żeby nosoi cię  
dotknęły!

Meg puściła gałąź i odskoczyła.



Tymczasem Percy Jackson ruszył do walki. Wymachiwał mieczem, uskakując przed duchami usiłującymi go dopaść, ale jego wysiłek szedł na marne. Ilekroć ostrze dotknęło któregoś z nosoi, jego ciało po prostu rozpływało się w połyskującą mgłę, po czym krzepło na nowo.

Jeden z nich rzucił się na Percy ego. Meg podniosła z ziemi zamarznąłą szerniąłą śliwkę i cisnęła nią z taką mocą, że owoc utkwiał w czole ducha, przewracając go.

- Uciekamy - oznajmiła Meg.

- Aha. — Percy wycofał się ku nam. — Podoba mi się ten pomysł.

Wiedziałem, że rejterada nie pomoże. Gdyby dało się uciec przed duchami chorób, średniowieczni Europejczycy założyli-  
by buty do biegania i czmychnęli przed czarną śmiercią. (Dla waszej informacji: czarna śmierć to nie moja sprawa. W tam-  
tym stuleciu miałem wolne i wylegiwałem się na plaży w Ca-  
bo, a wróciłem na wieść o tym, że nosoi zerwały się z uwię-  
zi i wybiły jedną trzecią mieszkańców kontynentu. Bogowie,  
ale mnie to rozzłościło).

Teraz jednak byłem zbyt przerażony, żeby się kłócić. Meg i Percy popędzili przez sad, więc udałem się za nimi.

Percy wskazał na linię wzgórz jakieś półtora kilometra przed nami.

- To zachodnia granica obozu. Jeśli zdołamy się tam dostać...

Minęliśmy beczkowóz na przyczepie. Niedbałym ruchem ręki Percy spowodował, że zbiornik pękł. Na znajdujące się za nami trzy nosoi runęła ściana wody.

- To było dobre. - Meg rozpromieniła się, podskakując w swojej nowej zielonej sukience. - Uda nam się!

*Nie - pomyślałem - nie uda się.*

Czułem ból w piersi. Każdy oddech był chrapliwym świstem. Wściekało mnie, że dwójka herosów była w stanie rozmawiać

w tym szaleńczym biegu, podczas gdy ja, nieśmiertelny Apollo, dyszałem jak sum wyrzucony na brzeg.

Nie damy... - Przełknąłem ślinę. - One właśnie...

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, trzy połyskujące kolumny dymu wyrosły z ziemi przed nami. Dwa nosoi zestaliły się w trupy - jeden miał śliwkę w miejscu trzeciego oka, drugi gałąź wystającą z piersi.

Trzeci... Cóż, Percy tym razem nie zauważył ducha na czas. Wbiegł prosto w słup dymu.

Nie oddychaj! - ostrzegłem go.

Percy wybałuszył oczy, jakby mówił: „Poważnie?”. Upadł na kolana, chwytając się za gardło. Jako syn Posejdona mógł zapewne oddychać pod wodą, ale obywatnie się bez tlenu przez nieokreślony czas to zupełnie inna sprawa.

Meg podniosła kolejną zeschniętą śliwkę z ziemi, ale owoc stanowił niewielką ochronę przeciwko siłom ciemności.

Starąłem się wymyślić, jak pomóc Percy'emu - bo jestem bardzo za pomaganiem innym - ale nabity na gałąź nosos ruszył w moim kierunku. Odwróciłem się i uciekłem, po czym wpadłem prosto na drzewo. Chciałbym móc wam powiedzieć, że stanowiło to część mojego planu, ale nawet ja z całym moim poetyckim talentem nie jestem w stanie nadać temu optymistycznego wydźwięku.

Leżałem na plecach, przed oczami wirowały mi czarne plamy, a nade mną unosiło się trupie oblicze ducha zarazy.

Jakiej śmiertelnej choroby użyję, by zabić wielkiego Apollinaaaaa? - zagulgotał duch. - Wąglika? A może ebooooooli...

- Obgryzionych skórek - zasugerowałem, usiłując wywinąć się oprawcy. — Śmiertelnie boję się skórek.

- Już wiem! — zakrzyknął duch, brutalnie ignorując moje sugestie. - Spróbujmy tego!

Rozwiął się w dym i opadł na mnie niczym połyskujący koc.

NIE POWIEM, że całe życie przemknęło mi przed oczami.

Nie miałbym nic przeciwko. To zajęłoby kilka miesięcy i dało mi czas na wymyślenie planu ucieczki.

Zamiast tego przed oczami ukazało mi się wszystko, czego żałowałem. Mimo że jestem istotą niewyobrażalnie doskonałą, żałuję paru rzeczy. Wspomniałem ów dzień w Abbey Road Studios, kiedy zazdrość kazała mi wlać urazę w serca Johna i Paula i rozbić Beatlesów. Przypomniał mi się Achilles padający martwy na trojańskiej równinie, trafiony strzałą niegodnego łuczника z powodu mojego gniewu.

Ujrzałem Hiakintosa o spizowych ramionach i ciemnych lokach połyskujących w słońcu. Stał na skraju stadionu, uśmiechając się do mnie promiennie. „Nawet ty nie potrafisz rzucić tak daleko”, droczył się.

„Tylko zobacz”, odpowiedziałem. Rzuciłem dyskiem i potem patrzyłem w przerażeniu, jak powiew wiatru kieruje go w niewyjaśniony sposób ku przystojnemu obliczu Hiakintosa.

No i oczywiście ujrzałem ją - drugą miłość mojego życia - jak jej jasna skóra przemienia się w korę, włosy wypuszczają zielone liście, a oczy twardnieją w strużki żywicy.

Wspomnienia te przyniosły tyle cierpień, że moglibyście pomyśleć, iż powinienem powitać z radością ogarniającą mnie połykującą mgiełkę zarazy.

Niemniej moja nowa śmiertelna powłoka zaprotestowała. Jestem za młody, żeby umierać! Nawet się jeszcze nie całowałem! (Tak, mój boski katalog byłych wypełniały postacie znacznie piękniejsze niż listę gości u Kardashianów, ale żadna z tych przygód nie wydawała mi się rzeczywista).

Jeśli mam być absolutnie szczery, to muszę wyznać coś jeszcze: wszyscy bogowie boją się śmierci, nawet kiedy nie są uwięzieni w śmiertelnej powłoce.

To może się wydawać głupie. Jesteśmy nieśmiertelni. Ale jak zapewne zauważyliście, nieśmiertelność może nam zostać odebrana. (W moim wypadku trzy wstrętne razy).

Bogowie znają też zanikanie. Wiedzą, co to znaczy być zapomnianym przez stulecia. Perspektywa, że moglibyśmy całkowicie przestać istnieć, przeraża nas. Właściwie - cóż, Zeusowi nie spodobałoby się ujawnienie tych informacji, więc jeśli komukolwiek powiecie, wyprę się, że kiedykolwiek o tym wspominałem - prawda jest taka, że my, bogowie, podziwiamy was, śmiertelników. Przez całe życie macie świadomość, że umrzecie. Nieważne ilu macie krewnych i znajomych, wasza nędzna egzystencja zostanie szybko zapomniana. Jak wy sobie z tym radzicie? Dlaczego nie gonicie w kółko, wrzeszcząc i rwąc włosy głowy? Wasza odwaga, muszę przyznać, jest godna podziwu.

O czym to ja mówiłem?

No tak. Umierałem.

Wiłem się w błocie, powstrzymując oddech. Usiłowałem odegnąć chmurę choroby, ale nie było to tak proste jak pacnięcie muchy czy bezczelnego śmiertelnika.

Kątem oka zobaczyłem Meg grającą w śmiertelnego berka z trzecim nosem, usiłującą mieć zawsze między sobą a nim

drzewo śliwkowe. Wrzasnęła coś do mnie, ale jej głos brzmiał pusto i jakby dobiegał z daleka.

Gdzieś na lewo ode mnie zatrzęsa się ziemia. W powietrze wystrzelił miniaturowy gejzer. Percy podczołgał się do niego rozpaczliwie i włożył twarz do wody, zmywając dym.

Mój wzrok zaćmiewał się.

Percy zdołał podnieść się na nogi. Rozciął źródło gejzeru - rurę nawadniającą — i skierował strumień na mnie.

Zazwyczaj nie lubię być oblewany. Ilekroć wyjeżdżam na biwak z Artemidą, siostra lubi budzić mnie wiadrzem lodowatej wody. Ale tym razem nie miałem nic przeciwko. Woda rozgoniła dym, pozwalając mi odturlać się na bok i zaczerpnąć powietrza. Tuż obok nasi dwaj dymowi przeciwnicy okrzepli na nowo jako ociekające wodą trupy, których żółte oczy płonęły złością. Meg wrzasnęła znowu i tym razem zrozumiałem jej słowa.

- PADNIJ!

Uznałem to za brak taktu, ponieważ dopiero co się podniosłem. W całym sadzie poczerniały resztki ubiegłorocznych plonów zaczynały lewitować.

Uwierzcie mi, przez cztery tysiące lat widziałem wiele dziwnych rzeczy. Widziałem śniące oblicze Uranosa wyryte wśród gwiazd na całym niebie oraz pełną furję Tyfona szalejącego po ziemi. Widziałem ludzi zmieniających się w węże, mrówki zmieniające się w ludzi i ludzi skądinąd rozsądnych tańczących macarenę.

Nigdy wcześniej jednak nie widziałem powstania mrożonych owoców.

Percy i ja padliśmy na ziemię, kiedy po sadzie zaczęły latać śliwki, odbijając się od drzew jak kule bilardowe i rozczłonkując trupie ciała nosoi. Gdybym się podniósł, zabiłyby mnie, ale Meg stała w miejscu, niewzruszona i nietknięta, podczas gdy mrożone zgniłe owoce świstały wokół niej.

Trzy nosoi runęły podziurawione. Wszystkie owoce spadły na ziemię.

Percy podniósł wzrok, oczy miał czerwone i opuchnięte.

- Czo szie ształo?

Jego głos brzmiał jak przez ściśnięte gardło, co oznaczało, że nie uniknął całkowicie wpływu chorobowej chmury, ale przynajmniej nie był martwy. To zasadniczo był dobry znak.

Nie mam pojęcia - przyznałem. - Jest bezpiecznie, Meg?

Dziewczyna wpatrywała się ze zdumieniem w owocowo-trupio-drzewną jatkę.

- N-n-nie jestem pewna.

- Jak to zrobiłasz? - wysapał Percy.

Meg sprawiała wrażenie przerażonej.

To nie ja! Po prostu wiedziałam, że to się stanie.

Jeden z trupów zaczął się ruszać. Stał się chwiejnie na swoich mocno podziurawionych nogach.

- Ale zrobiiiiłaś to - warknął duch. - Jeeeeesteś mocna, dziecko.

Dwa pozostałe trupy wstały.

- Nie dość mocna - powiedział drugi nosos. - Teraz cię wykończymy.

Trzeci obnażył spróchniałe zęby.

- Twój opiekun będzie baaaaardzo rozczarowany.

Opiekun? Może duch miał na myśli mnie. W razie wątpliwości zwykłem zakładać, że rozmowa dotyczy mnie.

Meg wyglądała, jakby ktoś rąbnął ją w splot słoneczny. Jej twarz pobladła. Ręce drżały. Tupnęła nogą i wrzasnęła:

- NIE!

W powietrzu zawirowały kolejne śliwki. Tym razem owoce utworzyły fruktozowy wir, a chwilę później przed Meg stała figura przypominająca tłuste ludzkie dziecko ubrane jedynie w tetrowe pieluchy. Z jego pleców wystawały skrzydła z ulistnionych gałęzi. Niemowlęca buzia mogłaby nawet być słodka,

gdyby nie świecące na zielono oczy i ostre kły. Stwór warknął i kłapnął.

- Och, nie. - Percy pokręcił głową. - Nienawidzę ich.

Trzy nosoi też nie wyglądały na zachwycone. Odsunęły się od powarkującego niemowlaka.

- C-co to jest? - zapytała Meg.

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem. To ona musiała stanowić przyczynę całego tego owocowego dziwactwa, ale wyglądała na równie zszokowaną jak my. Niestety, jeśli Meg nie wiedziała, jak zdołała przyzwać tego stwora, nie będzie też miała pojęcia, jak go odesłać, a ja, podobnie jak Percy Jackson, nie przepadałem za *karpoi*.

- To duch ziarna - powiedziałem, usiłując nie dopuścić do głosu paniki. - Nigdy wcześniej nie widziałem śliwkowego, ale jeśli jest równie wredny jak inne odmiany...

Miałem właśnie powiedzieć: „to po nas”, ale to wydawało się jednocześnie oczywiste i dołujące.

Śliwkowe dziecko odwróciło się ku nosoi. Przez moment obawiałem się, że zawrze z nimi jakiś piekielny sojusz - oś zła między chorobą a owocami.

Środkowy trup, ten ze śliwą w czole, cofnął się o krok.

- Nie mieszaj się — ostrzegł karposa. — Nie pozwoliiiiimy...

Śliwkowe dziecko skoczyło na nososa i odgryzło mu głowę.

To nie jest figura retoryczna. Karpos otworzył pełną kłów paszczę, która rozwarła się na niewyobrażalną szerokość, po czym zamknął ją wokół głowy trupa i odciął łeb jednym ugryzieniem.

Ojej... Mam nadzieję, że nie jedliście właśnie obiadu.

Po kilku sekundach nosos zamienił się w strzępy, które zostały szybko pożarte.

Oczywiście dwa pozostałe nosoi zaczęły się wycofywać, ale karpos przykucnął i skoczył. Wylądował na drugim trupie i zajął się rozszarpywaniem go na owsiankę o smaku dżumy.

Ostotni duch rozpląnął się w połyskujący dym i usiłował odlecieć, ale śliwkowe dziecko rozpostarło liściaste skrzydła i rzuciło się za nim w pogoń. Karpos rozwarł usta i wciągał chorobę, kłapiąc i przełykając, dopóki ostatnia smuga dymu nie znikła.

Wylądował następnie przed Meg i beknął. Jego zielone oczy błyszczały. Nie wyglądał na w najmniejszym stopniu chorego, co, jak sędzę, nie stanowiło zaskoczenia, ponieważ ludzkie choroby nie są niebezpieczne dla drzew owocowych. Na dodatek nawet po skonsumowaniu całych trzech nosoi malec wyglądał na głodnego.

- Śliwki! - zawył, wałąc się pięściami w małą pierś.

Percy uniósł powoli miecz. Jego nos był nadal czerwony i nabrzmiały, a twarz opuchnięta.

Nie ruszaj się, Meg - wydyszał. - Muszę...

Nie! - zaprotestowała. - Nie rób mu krzywdy.

Ostrożnie położyła dłoń na kędzierzawej głowie stworzenia.

- Ocaliłeś nas - powiedziała do karposa. - Dziękuję.

Zacząłem w myślach przygotowywać listę ziołowych leków na odbudowę odciętych kończyn, ale ku mojemu zaskoczeniu śliwkowy dzieciak nie odgryzł Meg ręki. Zamiast tego objął jej nogę i spojrzał na nas gniewnie, jakby ostrzegał nas przed zbliżaniem się.

- Śliwki! - warknął.

- On cię lubi - zauważył Percy. - Eee... dlaczego?

-Nie mam pojęcia - odparła Meg. - Naprawdę, ja go nie przyzywałam!

Byłem pewny, że Meg go wezwała, świadomie albo nie. Miałem też pewne przeczucia co do jej boskiego pochodzenia oraz pytania odnośnie do tego „opiekuna”, którego wspomniały duchy, ale uznałem, że lepiej będzie ją wypytać, kiedy nie będzie miała owiniętego wokół nogi drapieżnego bobasa.



- Jakkolwiek było — powiedziałem — zawdzięczamy karposowi życie. To przypomina mi powiedzenie, które wymyśliłem wieki temu: „Jedna śliwka na dzień kres chorobom kładzie!”.

Percy kichnął.

- Myślałem, że to jabłka zapewniają długie życie.

Karpos syknął.

- Albo śliwki - dodał Percy. - Śliwki też działają.

- Śliwki - przytaknął karpos.

Percy otarł nos.

- Nie chcę marudzić, ale dlaczego on bawi się z nami w pomidora?

Meg zmarszczyła brwi.

- Pomidora?

- Aha, jak w tej zabawie... że się powtarza w kółko to samo.

- Obawiam się, że nie znam tej zabawy - powiedziałem. - Ale ten karpos wydaje się mieć... ukierunkowane słownictwo.

- Może on ma na imię Śliwka. — Meg głąskała karposa po kędzierzawych włosach, co powodowało, że stwór wydawał demoniczne pomruki. - Ja go w każdym razie tak nazwę.

- Ej, chyba nie zamierzasz adoptować tego... - Percy kichnął tak mocno, że kolejna rura nawadniająca eksplodowała szeregiem maleńkich gejzerów. - Uch. Choróbsko.

- Masz szczęście - powiedziałem. - Twoja sztuczka z wodą rozcięczyła moc duchów. Zamiast śmiertelnej choroby trafiło ci się przeziębienie.

- Nienawidzę przeziębień. - Zielone tęczówki Percy'ego wyglądały jak zanurzone w morzu krwi. - Oboje nie chorujecie?

Meg pokręciła przecząco głową.

- Mam doskonałą kondycję - powiedziałem. - Niewątpliwie to mnie uratowało.

- Oraz to, że zmyłem z ciebie ten dym - zauważył Percy.

- Jasne.

Percy wpatrywał się we mnie, jakby na coś czekał. Po chwili niezręcznego milczenia przyszło mi do głowy, że gdyby to on był

bogiem, a ja jego wyznawcą, mógłby oczekiwać wdzięczności.

Ach... dziękuję - powiedziałem.

Kiwnął głową.

Nie ma za co.

Odetchnąłem z ulgą. Nie jestem pewny, co bym zrobił, gdyby zażądał ofiary, na przykład białego byka albo utuczonego cielęcia.

Możemy już iść? - zapytała Meg.

- Świetny pomysł - podchwyciłem. - Aczkolwiek obawiam się, że Percy nie będzie w stanie...

Mogę prowadzić przez resztę drogi - odrzekł. - Jeśli tylko zdołamy wydobyć mój samochód spomiędzy tych drzew... - Spojrzał w tamtym kierunku i przybrał jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę. - Au, na Hadesa, nie...

Na skraju drogi zatrzymał się policyjny radiowóz. Wyobraziłem sobie oczy policjantów odkrywających ślady kół w błocie wiodące do zdewastowanego płotu i ciągnące się aż do niebieskiej toyoty zaklinowanej między dwiema śliwami. Kogut na dachu radiowozu zaświecił.

-Super - wymamrotał Percy. - Jeśli odholują samochód, jestem martwy. Mama i Paul go potrzebują.

- Idź porozmawiaj z policjantami - powiedziałem. - W obecnym stanie i tak na nic nam się nie przydasz.

- Aha, damy sobie radę - przytaknęła Meg. - Mówiłeś, że obóz znajduje się zaraz za tymi wzgórzami?

- Tak, ale... - Percy skrzywił się, zapewne usiłując myśleć rozsądnie pomimo przeziębienia. - Większość ludzi dociera do obozu od wschodu, od strony Wzgórza Herosów. Zachodnia granica jest dziksza: wzgórza, łąsy, wszystko mocno zaczarowane. Jeśli nie będziecie uważać, możecie się zgubić... - Kichnął

ponownie. - A poza tym nie jestem nawet pewny, czy Apollo się tam dostanie, skoro jest w pełni śmiertelnikiem.

-Dostanę się. — Usiłowałem emanować pewnością siebie. Nie miałem innego wyjścia. Jeśli okazałoby się, że nie jestem w stanie wejść do Obozu Herosów... Nie. Zostałem zaatakowany już dwa razy w pierwszym dniu bycia śmiertelnikiem. Nie było planu B, który mógłby utrzymać mnie przy życiu.

Drzwiczki radiowozu otwały się.

-Idź - ponagliłem Percy'ego. - Znajdziemy drogę w lesie. Wyjaśnisz policjantom, że jesteś chory i straciłeś panowanie nad kierownicą. Potraktują cię łagodnie.

Percy zaśmiał się.

-Jasne. Policja kocha mnie mniej więcej tak samo jak nauczyciele. - Zerknął na Meg. - Na pewno jesteś bezpieczna z tym małym owocowym demonem?

Śliwka warknął.

-Wszystko w porządku - zapewniła go Meg. - Wracaj do domu. Odpocznij. Wypij dużo płynów.

Wargi Percy'ego zadrżały.

-Mówisz synowi Posejdona, żeby wypił dużo płynów? Dobra, postarajcie się przeżyć do weekendu, okej? Jeśli zdołam, przyjadę do obozu i sprawdzę, jak leci. Uważajcie na siebie i... SZUUUU!

Mamrocząc coś z niezadowoleniem, założył zatyczkę na miecz, zmieniając go z powrotem w zwykły długopis. Dobry środek ostrożności przed spotkaniem ze stróżami prawa. Następnie ruszył w dół wzgórza, kichając i pociągając nosem.

-Panie władzo?! — zawołał. — Przepraszam, tu jestem. Może mi pan powiedzieć, w którą stronę na Manhattan?

Meg odwróciła się do mnie.

- Gotowy?

Byłem przemoczony do suchej nitki i dygotałem. To był najgorszy dzień w dziejach dni. Utknąłem z przerażającą

dziewczynką i jeszcze bardziej przerażającym śliwkowym niemowlakiem. Żadną miarą nie byłem gotowy na cokolwiek. Ale również rozpaczliwie chciałem dostać się do obozu. Może znajdę tam jakieś przyjazne osoby - pewnie nawet rozradowanych wyznawców, którzy przyniosą mi bezpestkowe winogrona, biszkopty i inne święte ofiary.

Jasne - odpowiedziałem. - Ruszajmy.

Karpos imieniem Śliwka warknął. Gestem nakazał nam pójście za nim, po czym podreptał ku wzgórzom. Może znał drogę. A może tylko pragnął poprowadzić nas ku makabrycznej śmierci.

Meg podskakiwała za nim, huśtając się na gałęziach drzew i przeskakując nad błotem, w zależności od nastroju. Można było pomyśleć, że wracała z miłego pikniku, a nie bitwy z roznoszącymi zarazę zwłokami.

Zwróciłem oblicze ku niebu.

Jesteś pewny, Zeusie? Nie jest jeszcze za późno na to, żeby mi powiedzieć, że wszystko to był skomplikowany żart, i wezwać mnie z powrotem na Olimp. Lekcja odrobiona. Obiecuję.

Szare zimowe chmury nie odpowiedziały. Z westchnieniem pobiegłem za Meg i jej krwiożerczym nowym pupilem.

### **WESTCHNAŁEM Z ULGĄ.**

- Teraz powinno być łatwo.

To prawda, powiedziałem to samo przed walką wręcz z Posejdonem, a ona nie okazała się łatwa. Niemniej droga wiodąca do Obozu Herosów wyglądała dość prosto. Na początek ucieszyłem się, że w ogóle widzę obóz, który jest niewidzialny dla śmiertelnych oczu. To wróżyło dobrze mojemu tam wejściu.

Z miejsca na wzgórzu, gdzie staliśmy, patrzyliśmy na całą rozciągającą się pod nami dolinę: setki hektarów lasów, łąk i pól truskawkowych otoczonych od północy zatoką Long Island, a łagodnymi wzgórzami z pozostałych stron. Tuż pod nami gęsty las iglasty pokrywał zachodnią część doliny.

Za tym lasem w zimowym świetle połyskiwały zabudowania Obozu Herosów: teatr, arena szermiercza, pawilon, w którym podawano posiłki na świeżym powietrzu, otoczony marmurowymi kolumnami. Na jeziorze kołysała się trirema. Główny trawnik, na którym wesołym ogniem płonęło wspólne palenisko, otaczało dwadzieścia domków.

Na skraju pól truskawkowych stał Wielki Dom: trzypiętrowa wiktoriańska budowla pomalowana na niebiesko, z białymi dekoracjami. W środku znajdował się mój przyjaciel Chejron, zapewne popijając herbatę przy kominku. Tam nareszcie znajdę schronienie.

Mój wzrok powędrował ku przeciwległemu krańcowi doliny, gdzie na najwyższym wzgórzu jaśniał posąg Ateny Partenos w złoto-białej chwale. Kiedyś ta potężna statua ozdabiała Partenon w Grecji. Teraz wznosiła się nad Obozem Herosów, chroniąc dolinę przed intruzami. Nawet w tym miejscu czuło się jej moc niczym poddźwiękowy szum potężnego silnika. Stara Szarooka wypatrywała zagrożeń, jak zawsze czujna, poważna, profesjonalna.

Osobiście umieściłbym tam jakiś bardziej interesujący posąg - na przykład przedstawiający mnie. Niemniej panorama Obozu Herosów była imponująca. Zawsze poprawia mi się nastrój, kiedy widzę to miejsce - małe przypomnienie starych dobrych czasów, kiedy ludzie umieli budować świątynie i składać odpowiednie ofiary. Ach, wszystko było lepsze w starożytnej Grecji! Dobra, z wyjątkiem kilku pomniejszych ulepszeń, które wprowadzili śmiertelnicy - Internetu, rogalików z czekoladą, średniej długości życia.

Meg opadła szczęka.

- Jakim cudem nigdy nie słyszałam o tym miejscu? Potrzebujemy biletów?

Zaśmiałem się pod nosem. Uwielbiam moc oświecać ciemnych śmiertelników.

- Widzisz, Meg, obóz ukryty jest za magicznymi granicami. Większość ludzi nie dostrzeże z zewnątrz nic oprócz nudnego wiejskiego krajobrazu. Gdyby się zbliżyli, zostaliby zawróceni i odeszliby w inną stronę. Wierz mi, raz usiłowałem zamówić do obozu pizzę. Było to dość irytujące doświadczenie.

- Ty zamawiasz pizzę?

- Nieważne - odparłem. - A jeśli chodzi o bilety... to prawda, że do obozu nie wpuszczają kogokolwiek, ale masz szczęście: znam dyrekcję.

Śliwka warknął. Obwąchał grunt, po czym nabrał pełne usta ziemi, przeżuł ją i wypluł.

- Nie podoba mu się smak tego miejsca - oznajmiła Meg.

- No, tak... - Zmarszczyłem brwi, patrząc na karposą. - Może damy radę znaleźć mu ziemię ogrodniczą albo z nawozem, kiedy już dotrzemy na miejsce. Przekonam herosów, żeby go wpuścili, ale dobrze by było, gdyby nie odgryzał im głów, w każdym razie nie przy pierwszym spotkaniu.

Śliwka wymamrotał coś na temat śliwek.

- Coś tu jest nie w porządku. - Meg przygryzła paznokcie. - Ten las... Percy mówił, że jest dziki, zaklęty i tak dalej.

Ja też wyczuwałem, że coś nie było jak należy, ale przypisałem to mojej ogólnej niechęci do lasów. Z powodów, nad którymi wolałbym się nie rozwodzić, uważam je za... niepokojące miejsca. Niemniej kiedy mieliśmy przed oczami cel wędrówki, powracał mój zwyczajny optymizm.

- Nie martw się - uspokoiłem Meg. - Podróżujesz z bogiem!

- Eksbogiem.

- Miło by było, gdybyś nie czepiała się tego aż tak bardzo. W każdym razie obozowicze są przyjaźni. Powitają nas ze łzami radości. No i poczekaj na film wprowadzający!

- Co?

- Ja reżyserowałem! Dobra, chodźmy. Las nie może być aż taki zły.

Las był aż taki zły.

Kiedy tylko weszliśmy w jego cień, drzewa jakby nas otoczyły. Pnie zacieśniały szeregi, blokując dawne ścieżki i otwierając

nowe. Korzenie wiły się po ziemi, tworząc tor przeszkód pełen muld, węzłów i pętli. Czułem się, jakbym brodził w gigantycznej misie spaghetti.

Na myśl o spaghetti poczułem głód. Zaledwie kilka godzin wcześniej zjadłem siedmiowarstwowy dip i kanapki Sally Jackson, a mój ludzki żołądek już się zaciskał i żebrał o jedzenie. Wydawane przez niego dźwięki były okropnie irytujące, zwłaszcza kiedy się szło przez mroczny i przerażający las. Nawet karpos imieniem Śliwka zaczął mi smakowicie pachnieć, wywołując we mnie wizje tarty owocowej i lodów.

Jak już wcześniej mówiłem, zasadniczo nie przepadam za łaunami. Usiłowałem przekonać samego siebie, że drzewa na mnie nie patrzą, krzywiąc się i szepcząc między sobą. To były po prostu drzewa. Nawet jeśli mieszkały w nich driady, to przecież nie mogły uważać mnie za odpowiedzialnego za coś, co stało się tysiące lat temu na innym kontynencie.

*Dlaczego?* - pytałem sam siebie. - *Ty sam uważasz się za winnego.*

Kazałem sobie się zamknąć.

Wędrowaliśmy wiele godzin... dużo dłużej, niż powinno nam zająć dotarcie do Wielkiego Domu. Zazwyczaj jestem w stanie orientować się po pozycji słońca - co nie powinno nikogo dziwić, jako że przez tysiące lat wozilem je po niebie - ale pod tym baldachimem drzew światło było rozproszone, a cienie mylące.

Kiedy po raz trzeci minęliśmy ten sam głąz, zatrzymałem się i przyznałem rzecz oczywistą:

- Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Meg opadła na zwalony pień. W zielonym świetle jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przypominała driadę, aczkolwiek leśne duchy rzadko noszą czerwone tenisówki i pożyczone kurtki z polaru.



- Nie posiadasz żadnych umiejętności survivalowych? - zapytała. - Jak odczytywanie kierunków świata z mchu na pniach? Tropienie?

- To raczej specjalność mojej siostry - odpowiedziałem.

- Może Śliwka pomoże. - Meg zwróciła się do swojego karposa.

Przez ostatnich kilka kilometrów karpos mamrotał coś nerwowo i rozglądał się rozbieganym wzrokiem na wszystkie strony. Teraz węszył w powietrzu, a nozdrza mu drgały. Pochylił głowę.

Jego twarz zapłonęła jaskrawą zielenią. Wydał ostrzegawcze warknięcie, po czym rozsypał się w wir liści.

Meg skoczyła na równe nogi.

- Gdzie on się podział?

Rozejrzałem się po lesie. Podejrzewałem, że Śliwka zrobił coś bardzo mądrego. Wyczuł zbliżające się niebezpieczeństwo i porzucił nas. Nie chciałem tego jednak wyjawiać Meg, która zdążyła już polubić karposa. (To zabawne tak się przywiązać do małego niebezpiecznego stworzenia. Ale w końcu my, bogowie, przywiązujemy się do ludzi, więc może nie powinienem krytykować).

- Może udał się na zwiady - podsunąłem. - Może powinniśmy...

### ***APOLLINIE.***

Ten głos rozbrzmiał w mojej głowie, jakby ktoś ustawił mi megafon za oczami. To nie był głos mojego sumienia. Moje sumienie nie jest płci żeńskiej i nie jest takie donośne. A jednak coś w głosie tej kobiety było przerażająco znajome.

- Coś się stało? - zapytała Meg.

Powietrze zrobiło się mdląco słodkie. Drzewa nachyliły się nade mną niczym liście pułapkowe rosziczki.

Po twarzy spłynęła mi kropelka potu.

Nie możemy tu zostać - powiedziałem. - Służ mi, śmiertelniczko.

Przepraszam, co? - zapytała Meg.

Eee, miałem na myśli: chodźmy!

Pobiegliśmy, potykając się na korzeniach drzew. Uciekaliśmy na oślep przez płataninę gałęzi i głązów. Dotarliśmy w końcu do czystego strumienia płynącego żwirowym korytem. Prawie nie zwolniłem kroku. Wszedłem do wody, zanurzając się po kolana w lodowatym nurcie.

Głos przemówił znowu: *ZNAJDŹ MNIE.*

Tym razem był tak głośny, że wbił się w moje czoło niczym hufnal. Zatoczyłem się i upadłem na kolana.

Ej! - Meg złapała mnie za ramię. - Wstawaj!

Nie słyszałaś tego?

Nie słyszałam czego?

*UPADEK SŁOŃCA* - zagrzemiał głos. - *OSTATNI*

### **WIERSZ.**

Runąłem do strumienia.

Apollo! - Meg przewróciła mnie na plecy. Jej głos był nabrzmiały niepokojem. - Wstawaj! Nie dam rady cię podnieść!

A jednak spróbowała. Przeciągnęła mnie przez rzekę, marudząc i przeklinając, aż wreszcie z jej pomocą zdołałem wyczołgać się na brzeg.

Położyłem się na plecach, wpatrując się dzikim wzrokiem w sklepienie lasu. Moje przemoczone ciuchy były tak zimne, że aż parzyły. Moje ciało drżało niczym zerwana struna e elektrycznej gitary basowej.

Meg ściągnęła ze mnie mokrą kurtkę. Jej własna była na innie za mała, ale owinęła moje ramiona ciepłym polarem.

- Weź się w garść! - rozkazała. - Nie wariuj mi tutaj.

Mój własny śmiech zabrzmiał oschle.

- Ale ja... ja słyszałem...

*OGIEŃ MNIE POCHŁONIE. POSPIESZ SIĘ!*

Głos rozpadł się w chór gniewnych szeptów. Cienie wydłużyły się i pociemniały. Z mojego ubrania unosiła się para cuchnąca jak wulkaniczne wyziewy w Delfach.

Jakaś część mnie pragnęła zwinąć się w kłębek i umrzeć. Inna chciała wstać i pobiec na oślep za tymi głosami - żeby znaleźć ich źródło - ale podejrzewałem, że gdybym spróbował to zrobić, utraciłbym zmysły na zawsze.

Meg coś do mnie mówiła. Potrząsała mną za ramiona. Przytknęła swoją twarz do mojej, aż moje własne zrujnowane odbicie spojrzało na mnie ze szkieł jej kocich okularów. Uderzyła mnie mocno w twarz i zdołałem rozszyfrować, co mówiła:

- WSTAWAJ!

Jakoś udało mi się to zrobić. Następnie zwinąłem się i zwymiotowałem. Nie rzygałem od stuleci. Zapomniałem, jakie to nieprzyjemne.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest wleczenie się dalej. Wspierałem się w dużej mierze na Meg. Głosy szeptały i kłóciły się, wydzierając mi kawałki umysłu i unosząc je w las. Wkrótce nie zostanie mi wiele. To wszystko nie miało sensu. Równie dobrze mogłem pójść między drzewa i zwariować. Uznałem tę perspektywę za zabawną. Zacząłem chichotać.

Meg zmusiła mnie do dalszego marszu. Nie rozumiałem jej słów, ale ton jej głosu był ponagląjący i uparty, z odpowiednią dozą gniewu, żeby zrównoważyć jej własne przerażenie.

W stanie pokiereszowania psychicznego miałem wrażenie, że drzewa rozstępują się przed nami, niechętnie otwierając ścieżkę wiodącą prosto poza las. W oddali dostrzegłem ognisko i otwarte łąki Obozu Herosów.

Wydawało mi się, że Meg gadała do drzew, rozkazując im ustąpić z drogi. To było absurdalne, ale chwilowo wydawało mi się prześmieszne. Sądząc po parze unoszącej się z mojego ubrania, miałem chyba ponad czterdzieści stopni gorączki.

Siniałem się histerycznie, kiedy wyszliśmy z lasu prosto na ognisko, przy którym siedziała grupa nastolatków i piekła pianki. Na nasz widok podnieśli się. W dżinsach, zimowych kurtkach, z najróżniejszymi typami broni u boku stanowili najbardziej posępną ekipę ogniskową, jaką kiedykolwiek widziałem.

Uśmiechnąłem się promiennie.

Hej, cześć! Jestem Apollo!

Oczy wywróciły mi się białkami do góry i straciłem przytomność.

*Autobus staje w ogniu  
Mój syn jest ode mnie starszy  
O Zeusie, przestań, proszę*

**ŚNIŁO MI SIĘ**, że jadę słonecznym rydwanem przez nieboskłon. Rydwan był w trybie maserati kabrio. Prowadziłem sobie, trąbiąc na odrzutowce, żeby schodziły mi z drogi, rozkoszowałem się zapachem zimnej stratosfery i kołysałem w rytm mojego ulubionego kawałka: *Rise to the Sun* Alabama Shakes.

Rozmyślałem nad zamianą maserati w samoprowadzący się samochód Google. Miałem ochotę wyciągnąć cytrę i zagrać szaloną solówkę, z której dumna byłaby Brittany Howard.

Nagle na miejscu pasażera pojawiła się jakaś kobieta.

— Musisz się pospieszyć, chłopie.

Omam nie zeskoczyłem ze słońca.

Była ubrana jak starożytna libijska królowa. (Wiem coś o tym. Randkowałem z kilkoma). Jej suknia mieniła się czerwienią, czernią i złotymi motywami roślinnymi. Na długich ciemnych włosach spoczywała tiara wyglądająca jak wygięta miniaturowa drabinka — dwie złote szyny połączone szczelkami ze srebra. Jej oblicze było dojrzałe i dostojne - dokładnie takie, jakie powinna posiadać dobrotliwa królowa.

A zatem to z pewnością nie Hera. Przede wszystkim Hera nie uśmiechałaby się do mnie tak łagodnie. Poza tym... ta

kobieta miała na szyi wielką metalową pacyfę, co nie pasowało do stylu Hery.

Cały czas odnosiłem wrażenie, że powinienem wiedzieć, kim ona jest. Pomimo tego staroświeckiego i hipisowskiego stylu była niezwykle atrakcyjna, założyłem więc, że musimy być spokrewnieni.

Kim jesteś? - zapytałem.

Jej oczy rozbłysły niebezpiecznym odcieniem złota, jak u drapieżnego kota.

Idź za głosami.

Poczułem, że coś ściska mi gardło. Usiłowałem myśleć rozsądnie, ale mój mózg zachowywał się, jakby ktoś go ostatnio potraktował mikserem.

- Słyszałem cię w lesie... Czy ty... czy ty wygłosiłaś przepowiednię?

Znajdź bramę. — Złapała mnie za nadgarstek. - Musisz znaleźć ją jako pierwszy, chwytasz?

Ale...

Kobieta wybuchła płomieniem. Cofnąłem poparzoną rękę i chwyciłem za kierownicę, kiedy rydwan słoneczny dał nura. Maserati zmienił się w autobus szkolny - tryb, którego używam wyłącznie wtedy, kiedy muszę przetransportować wielu ludzi. Dym wypełniłabinę.

Gdzieś za mną odezwał się nosowy głos:

- Znajdź bramę za wszelką cenę.

Zerknąłem we wsteczne lustro. Przez zasłonę dymu ujrzałem korpulentnego mężczyznę w purpurowym garniturze. Rozsiadł się na tylnym siedzeniu, które zazwyczaj wybierają łobuzy. Hermes uwielbia to siedzenie - ale ten człowiek nie był Hermesem.

Miał tłusty podbródek, za duży nos i brodę, która obejmowała ten podwójny podbródek niczym pasek od hełmu. Jego włosy były kręcone i ciemne jak moje, ale nie tak modnie

zmierzwiłone ani błyszczące. Wydał usta, jakby poczuł coś nieprzyjemnego. Może chodziło o płonące fotele w autobusie.

- Kim jesteś?! - wrzasnąłem, rozpaczliwie usiłując poderwać rydwan do góry. - Co robisz w moim autobusie?

Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi, co uczyniło jego twarz jeszcze brzydszą.

- Mój własny przodek mnie nie rozpoznaje? Czuję się urażony!

Usiłowałem go skojarzyć. Przeklęty ludzki mózg był zbyt mały, za mało elastyczny. Wyrzucił cztery tysiące lat wspomnień, jakby to był zbyt wielki balast.

- N-n-nie pamiętam - odparłem. — Przykro mi.

Mężczyzna zaśmiał się, kiedy płomienie polizały jego purpurowe rękawy.

- Jeszcze ci nie jest przykro, ale będzie. Znajdź mi bramę. Zaprowadź mnie do Wyroczni. Z radością ją spalę!

Ogarnął mnie ogień, kiedy rydwan słońca przechylił się ku ziemi. Złapałem mocniej kierownicę i wpatrywałem się z przerażeniem w ogromną brązową twarz widniejącą za szybą. Była to twarz mężczyzny w purpurze, wykonana z kawałka metalu większego niż mój autobus. W chwili gdy na nią wpadłem, rysy twarzy zmieniły się, stając się moimi.

W tym samym momencie obudziłem się, rozdygotany i złany potem.

- Spokojnie. - Na moim ramieniu spoczęła czyjaś dłoń. - Nie próbuj siadać.

Oczywiście spróbowałem usiąść.

Przy łóżku siedział młodzieniec mniej więcej w moim wieku — moim ludzkim wieku — o potarganych jasnych włosach i niebieskich oczach. Miał na sobie lekarski fartuch i rozpiętą narciarską kurtkę, na której kieszeni wyszyte były słowa: „OKEMO MOUNTAIN”. Twarz miał opaloną jak narciarz.

Czułem, że powinienem go znać. (Mam to wrażenie bardzo często, odkąd spadłem z Olimpu).

Leżałem na połówce stojącej pośrodku domku. Po obu Stronach pod ścianami ustawione były piętrowe łóżka. Nieociosane cedrowe belki podtrzymywały sufit. Pomalowane na biało ściany były nagie, jeśli nie liczyć kilku haków na płaszcze i broń.

To mogłaby być skromna siedziba w praktycznie każdym czasie - starożytnych Atenach, średniowiecznej Francji, na farmie w Iowa. Pachniała czystą pościelą i suszoną szalwią. Jedynymi ozdobami były ustawione na parapetach doniczki, w których pomimo zimnej pogody na zewnątrz kwitły wesołe żółte kwiaty.

Te kwiaty... - Mój głos był chrapliwy, jakbym we śnie nawdychał się dymu. - One są z Delos, z mojej świętej wyspy.

Aha - odparł młody człowiek. - Rosną jedynie w domku numer siedem i wokół niego... w twoim domku. Wiesz, kim jestem?

Wpatrywałem się w jego twarz. Spokojne oczy, łagodny i naturalny uśmiech na ustach, włosy wywijające się charakterystycznie nad uszami... W pamięci majaczyło wspomnienie kobiety, piosenkarki alternatywnego country nazywającej się Naomi Solace, którą spotkałem w Austin. Zarumieniłem się na jej wspomnienie nawet teraz. Dla mojej nastoletniej osobowości nasz romans był czymś, co oglądałem w filmie dawno temu - filmie, którego rodzice nie pozwoliliby mi oglądać.

Ale ten chłopak był ewidentnie synem Naomi.

Co oznaczało, że również moim synem.

A to było bardzo, bardzo dziwaczne.

Jesteś Will Solace - powiedziałem. - Mój, och... yy...

Tak - potwierdził Will. - To jest dziwaczne.

Przedni płat mózgu wykonał salto w mojej czaszce. Przechyliłem się na bok.



- Spokojnie. - Will podtrzymał mnie. - Usiłowałem cię wyleczyć, ale prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co jest nie w porządku. Masz krew, nie ichor. Rany leczą ci się szybko, ale twoje odruchy życiowe są całkowicie ludzkie.

- Nie przypominaj mi o tym.

- No, tak... - Położył mi dłoń na czole i zmarszczył brwi w skupieniu. Jego palce lekko drżały. — Nie wiedziałem o tym wszystkim, dopóki nie usiłowałem dać ci nektaru. Wargi zaczęły ci dymić. Omal cię nie zabiłem.

- Och... - Przesunąłem językiem po dolnej wardze, która była ciężka i zdrętwiała. Zastanawiałem się, czy to tłumaczy mój sen o dymie i ogniu. Miałem nadzieję, że tak. - Zakładam, że Meg zapomniała powiedzieć ci o moim stanie.

- W istocie. — Will wziął mnie za nadgarstek i sprawdził puls. - Wydaje się, że jesteś mniej więcej w moim wieku, masz jakieś piętnaście lat. Twoje tętno wróciło do normy. Zebra się zrastają. Nos jest spuchnięty, ale nie złamany.

- Ale mam trądzik - poskarżyłem się. — I brzuszek.

Will przechylił głowę.

- Stałeś się człowiekiem, a zamartwiasz się czymś *takimi*

- Tak właśnie. Jestem pozbawiony mocy. Słabszy niż nawet wy, marni herosi!

- Eee, dzięki...

Miałem wrażenie, że prawie powiedział „tato”, ale zdołał się powstrzymać.

Trudno było myśleć o tym młodzieńcu jako o moim synu. Był taki opanowany, taki bezpretensjonalny i taki wolny od trądziku. A poza tym nie sprawiał wrażenia zdjętego grozą w mojej obecności. Po prawdzie kącik jego ust zaczął drgać.

- Czy ty... czy to cię bawi? - zapytałem ostro.

Will wzruszył ramionami.

- Cóż, mam do wyboru uznać to za zabawne albo zwariować. Mój tato, bóg Apollo, jest piętnastoletnim...

*Szesnastoletnim* - poprawiłem go. - Zgódźmy się na szesnaście lat.

Szesnastoletnim człowiekiem i leży na łożku polowym w moim domku, a ja pomimo wszelkich swoich umiejętności uzdrowicielskich - które mam po nim - nie potrafię wymyślić, jak go uleczyć.

Tego się nie da uleczyć - powiedziałem żałośliwym **tonem**. - Zostałem wyrzucony z Olimpu. Mój los jest związany z dziewczyną imieniem Meg. Nie mogło być gorzej!

Will zaśmiał się, co moim zdaniem wymagało mnóstwa tupetu.

Meg wygląda na fajną. Zdążyła już walnąć Connora Hooda między oczy i kopnąć Shermana Yanga w jaja.

- Co zrobiła?!

Da tu sobie świetnie radę. Czeka na ciebie na zewnątrz... większością obozowiczów. — Uśmiech Willa zbladł. - Lepiej, **żebyś** wiedział, że zadają mnóstwo pytań. Wszyscy są zaintrygowani, czy twoje przybycie, twoja śmiertelna kondycja, ma coś wspólnego z sytuacją w obozie.

Zmarszczyłem brwi.

A co się dzieje w obozie?

Drzwi domku otwały się i do środka weszło dwóch innych herosów. Jeden z nich był wysokim, mniej więcej trzynastoletnim chłopakiem o skórze w kolorze polerowanego spiżu i z warkoczykami wijącymi się na głowie jak helisy DNA. W czarnym wełnianym płaszczu i czarnych dżinsach wyglądał, jakby właśnie zszedł z pokładu osiemnastowiecznego statku wielorybniczego. Drugim przybyszem była młodsza dziewczyna w oliwkowym kamuflażu. Na ramię miała zarzucony pełny kołczan, a jej krótkie rude włosy były gdzieś ufarbowane na wściekle zielony kolor, który zaprzeczał idei kamuflażu.

Uśmiechnąłem się, zachwycony, że pamiętałem ich imiona.

- Austin - rzekłem. - I Kayla, prawda?

Zamiast paść na kolana i zacząć bełkotać z wdzięcznością, oni spojrzeli po sobie nerwowo.

- A więc to rzeczywiście ty — orzekła Kayla.

Austin spochmurniał.

- Meg powiedziała nam, że pobiło cię kilku oprychów. Powiedziała też, że jesteś pozbawiony mocy i dostałeś hysterii w lesie.

W ustach miałem smak spalonej tapicerki szkolnego autobusu.

- Meg stanowczo za dużo gada.

- Ale jesteś śmiertelny? - zapytała Kayla. - W sensie całkowicie śmiertelny? Czy to oznacza, że stracę moje umiejętności łucznicze? Nie mogę nawet zakwalifikować się na olimpiadę, dopóki nie skończę szesnastu lat!

- A jeśli ja stracę muzykę... — Austin pokręcił głową. — Nie, to nie w porządku. Moje ostatnie nagranie miało jakieś pięćset tysięcy odsłon w ciągu tygodnia. Co ja mam zrobić?

Poczułem ciepło w sercu, że moje dzieci mają właściwe priorytety: zdolności, wizerunek, odsłony na YouTube. Mówcie sobie, co chcecie, o tym, że bogowie są nieobecni rodzicami, ale nasze dzieci dziedziczą po nas wiele najlepszych cech.

- Moje problemy nie powinny mieć na was wpływu — zapewniłem ich. — Jeśli Zeus chciałby odebrać wstecznie moje boskie moce wszystkim moim potomkom, to opustoszałyby połowa szkół medycznych na świecie. Zniknęłoby Muzeum Rock and Roila. Przemysł stawiania tarota padłby w jeden dzień!

Austin wyraźnie się rozluźnił.

- To pocieszające.

- A zatem jeśli ty byś umarł jako człowiek - powiedziała Kayla — to my nie znikniemy?

- Słuchajcie - przerwał im Will - może pobieglibyście do Wielkiego Domu i powiedzieli Chejronowi, że nasz... nasz pacjent odzyskał świadomość. Za chwilę go tam zaprowadzę.

Aha, i może udałoby wam się rozgonić ten tłum spod drzwi, co? Nie chcę, żeby wszyscy od razu rzucili się na Apollina.

Kayla i Austin kiwnęli głowami ze zrozumieniem. Jako moje dzieci znali wagę kontrolowania paparazzich.

Kiedy tylko wyszli, Will uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

Są w szoku. Wszyscy jesteśmy. Potrzebujemy nieco czasu, żeby się przyzwyczaić do... cokolwiek to jest.

Ty nie sprawiasz wrażenia zszokowanego — powiedziałem.

Will zaśmiał się pod nosem.

Jestem przerażony. Ale jest coś, czego człowiek się uczy jako grupy: musisz się trzymać ze względu na innych. Postawmy cię na nogi.

Nie było to łatwe. Dwa razy upadłem. W głowie mi się kręciło, a oczy sprawiały wrażenie ugotowanych w oczodołach. Niedawne sny nadal burzyły się w moim mózgu niczym rzeczne osady, zamulając myśli - kobieta w koronie i z pacyfą, mężczyzna w purpurowym garniturze. „Zaprowadź mnie do Wyroczni. Z radością ją spalę!”

Poczułem się, jakbym się dusił w tym domku. Pragnąłem wydostać się na zewnątrz.

Jest jedno, w czym zgadzamy się z moją siostrą Artemidą: wszystko lepiej się robi na świeżym powietrzu. Muzykę najlepiej grać pod gołym niebem. Poezję powinno się recytować na agorze. Łucznictwo zdecydowanie lepiej sprawdza się na wolnym powietrzu, co mogę potwierdzić własnym doświadczeniem, kiedy usiłowałem ćwiczyć strzelanie do celu w sali tronowej mojego ojca. A jazda słonecznym rydwanem... cóż, to z pewnością nie jest sport halowy.

Wspierając się na ramieniu Willa, wyszedłem na zewnątrz. Kayla i Austin zdołali rozpędzić tłum. Jediną osobą, która na mnie czekała - och, tęcze i jednorożce - była moja młoda

władczyni Meg, która najwyraźniej zyskała już w obozie sławę Jajcary McCaffrey.

Nadal miała na sobie pożyczoną przez Sally Jackson zieloną sukienkę, choć teraz trochę brudniejszą. Legginsy były podarte i poszarpane. Na ramieniu rząd plastrów zamykał paskudną ranę, której musiała się nabawić w lesie.

Spojrzała na mnie, skrzywiła się i pokazała mi język.

- Wyglądasz fuj.

- A ty, Meg - odrzekłem - jesteś równie czarująca jak zawsze.

Poprawiła okulary, aż zrobiły się tak przekrzywione, żeby irytować.

- Myślałam, że umrzesz.

- Cieszę się, że cię rozczarowałem.

- Ha. - Wzruszyła ramionami. — Nadal jesteś mi winien rok służby. Jesteśmy ze sobą związani, czy ci się to podoba, czy nie!

Westchnąłem. Cudownie było znaleźć się na powrót w jej towarzystwie.

- Podejrzewam, że powinienem ci podziękować... - Miałem mgliste wspomnienie mojego delirium w lesie, Meg taszczącej mnie za sobą, drzew zdających się rozstępować przed nami.

- Jak nas wyprowadziłaś z lasu?

Na jej twarzy pojawiła się rezerwa.

- Nie mam pojęcia. Miałam szczęście. — Szturchnęła Willa Solace'a kciukiem. — Z tego co on mi mówił, dobrze, że dostaliśmy się tu przed zmrokiem.

- Dlaczego?

Will zamierzał odpowiedzieć, ale ewidentnie zmienił zdanie.

- Lepiej, jeśli wyjaśni to Chejron. Chodźmy.

Rzadko zdarza mi się odwiedzać Obóz Herosów zimą. Ostatnio byłem tu o tej porze trzy lata temu, kiedy dziewczyna zwana Thalią Grace rozbiła mój autobus na jeziorze.

Spodziewałem się, że obóz będzie wyludniony. Wiedziałem, że większość herosów przyjeżdża jedynie na lato, a podczas roku szkolnego zostaje tu tylko niewielka grupka całorocznych - tych, dla których z różnych powodów obóz jest jedynym bezpiecznym miejscem.

Mimo to uderzyło mnie, jak niewielu herosów zobaczyłem. Jeśli domek numer siedem stanowił jakąś wskazówkę, w każdym było miejsce na łóżka dla około dwudziestu obozowiczów. To oznaczało maksymalną pojemność czterystu herosów - wystarczy, żeby zorganizować falangę lub naprawdę niezłą imprezę na jachcie.

A jednak kiedy szedłem przez obóz, widziałem może tużin ludzi. W gasnącym świetle zachodzącego słońca samotna dziewczyna wspinała się po ścianie, po której z obu stron pływała lawa. Na jeziorze trójka herosów sprawdzała sprzęt trieremy.

Niektórzy znaleźli pretekst, żeby przebywać na zewnątrz, tylko po to by się na mnie pogapić. Przy ognisku siedział młodzieniec polerujący tarczę i przyglądał się mojemu odbiciu w jej powierzchni. Inny wpatrywał się znad przycinanego drutu kolczastego otaczającego domek Aresa. Sądząc po kaczym kroku, musiał to być Sherman Yang i jego niedawno skopany krok.

Kiedy mijałem domek Hermesa, dwie dziewczyny chichotały i szeptały w drzwiach. Zazwyczaj ten rodzaj uwagi nie peszy mnie. Mój magnetyzm jest w zrozumiały sposób nieodparty. Ale teraz twarz mi płonęła. Ja — męski wzór romantyzmu — zamieniony w niezdarnego, niedoświadczonego chłoptasia!

Miałem ochotę wyc w niebo z powodu tej niesprawiedliwości, ale to byłoby totalnie żenujące.

Wędrowaliśmy przez puste pola truskawkowe. Na Wzgórzu Herosów dostrzegłem blask Złotego Runa wiszącego na najniższej gałęzi wysokiej sosny. Nad głową Peleusa, smoka stróżującego zwiniętego wokół podstawy pnia, unosiły się jęczyczki

pary. Obok drzewa Atena Partenos połyskiwała gniewną czerwienią w świetle zachodu. A może po prostu nie była zadowolona z mojego widoku. (Atena nigdy nie przeszła do porządku dziennego nad naszą małą sprzeczką podczas wojny trojańskiej).

W połowie drogi ze wzgórza dostrzegłem grootę Wyroczni, której wejście osłaniały grube bordowe kotary. Pochodnie po obu stronach były zgaszone - co zazwyczaj oznacza, że mojej prorokini, Rachel Dare, nie ma w domu. Nie miałem pewności, czy powinienem być rozzarowany, czy czuć ulgę.

Rachel była mądrą dziewczyną, nawet kiedy nie przekazywała prorocत्व. Miałem nadzieję, że poproszę ją o radę w kwestii moich problemów. Skoro jednak jej profetyczna moc najwyraźniej przestała działać (co, jak podejrzewam, było w *niewielkiej* części moją winą), nie wiedziałem, czy Rachel zechce mnie widzieć. Mogłaby się spodziewać wyjaśnień od szefa, a mimo że to ja wymyśliłem gadkę szmatkę i byłem najznakomitszym praktykiem tej sztuki, nie miałem dla niej gotowych odpowiedzi.

Sen o płonącym autobusie nie chciał się ode mnie odczepić: atrakcyjna kobieta w koronie każąca mi znaleźć bramę, paskudny facet w purpurowym garniturze grożący spalaniem Wyroczni.

Dobra... jaskinia była tutaj. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego ta koronowana kobieta miała taki problem z jej znalezieniem ani też dlaczego ten brzydka miał taką ochotę palić jej „bramy”, na które składały się tylko fioletowe zasłony.

Chyba że sen odnosił się do czegoś innego niż Wyrocznia Delficka...

Potałem pulsujące skronie. Usiłowałem sięgać do wspomnień, których tam nie było, zanurzać się w ogromnym jeziorze swojej wiedzy, tylko po to by się przekonywać, że zamieniło

się ono w basenik dla dzieci. Po prostu nie da się wiele zdzia-  
łać z umysłem wielkości sadzawki.

Na werandzie Wielkiego Domu czekał na nas ciemnowłosy  
młodzieniec. Miał na sobie wyblakłe czarne spodnie,  
podkoszulek The Ramones (punkt za gust muzyczny) i czarną  
kurtkę pilotkę. U boku miał miecz ze stygijskiego żelaza.

Pamiętam cię - powiedziałem. - Jesteś Nicholas, syn Hadesa?

Nico di Angelo. - Lustrował mnie wzrokiem przenikli-  
wym i bezbarwnym niczym potłuczone szkło. - A zatem to  
prawda. Jesteś całkowicie śmiertelny. Otacza cię aura śmierci,  
poważne ryzyko śmierci.

Meg prychnęła.

To brzmi jak prognoza pogody.

Nie uznałem tego za zabawne. Stojąc twarzą w twarz z  
synem Hadesa, przypominałem sobie niezliczonych śmierte-  
lników, których wysłałem do Podziemia za pomocą strzał  
zarazy. Zawsze wydawało mi się to doskonałą i zdrową zabawą  
- wymierzanie zasłużonej kary za paskudne uczynki. Teraz  
zaczynałem rozumieć strach w oczach moich ofiar.  
Zdecydowanie nie miałem ochoty stać na sądzie przed ojcem  
Nica di Angelo. Will położył dłoń na ramieniu Nica.

Nico, musimy znów porozmawiać o twoich umiejętnościach  
interpersonalnych.

Ej, ja tylko stwierdzam oczywiste. Jeśli to jest Apollo  
i umrze, to wszyscy mamy kłopoty.

Will odwrócił się do mnie.

Przepraszam za mojego chłopaka.

Nico przewrócił oczami.

Mógłbyś nie...

Wolisz *serdecznego przyjaciela*? - zapytał Will. - Albo *dru-  
gą połowę*?



-W twoim wypadku to raczej *serdeczna irytacja* - mruknął Nico.

- Och, dorwę cię za to.

Meg otarła ciekący nos.

-Strasznie dużo się kłóćcie, chłopcy. Myślałam, że przyszliśmy spotkać się z centaurem.

-A oto i on. - Drzwi się otwały i z domu wytruchtał Chejron, schylając się, żeby nie zawadzić głową o framugę drzwi.

Od pasa w górę wyglądał dokładnie jak nauczyciel, którego często udawał w świecie ludzkim. Jego brązowa wełniana marynarka miała łąty na łokciach. Kraciasta koszula nie bardzo pasowała do zielonego krawata. Broda była elegancko przycięta, ale włosy poległyby w konfrontacji z inspektorem porządkowym szurzych gniazd.

Od pasa w dół był białym ogierem.

Mój stary kumpel uśmiechnął się, choć w jego wzroku było wzburzenie i roztargnienie.

-Dobrze, że się tu zjawiłeś, Apollinie. Musimy porozmawiać o zniknięciach.

# 11

*Sprawdź folder spam  
Mogą w nim być przepowiednie  
Nie ma? To dziwne. Pa*

## **MEG WYBAŁUSZYŁA OCZY.**

- On... on naprawdę jest centaurem.

-Cóż za spostrzegawczość - odparłem. - Czyżby zdradziła go końska dolna część ciała?

Dała mi kuksańca.

-Chejronie - powiedziałem - to jest Meg McCaffrey, moja nowa pani i źródło nieustającej irytacji. Wspomniałeś coś o zniknięciach?

Chejron machnął ogonem. Jego kopyta zastukały na deskach werandy.

Był nieśmiertelny, ale jego wygląd zmieniał się z wieku na wiek. Nie pamiętałem, żeby miał tak szpakowate wąsy, zmarszczki wokół oczu nigdy nie były takie wyraźne. Cokolwiek działa się w obozie, nie obniżało mu poziomu stresu.

-Witaj, Meg. - Chejron usiłował przybrać przyjazny ton, co wymagało moim zdaniem sporo heroizmu, zważywszy na... no, Meg. - Słyszałem, że wykazałaś się wielką odwagą w lesie. Przyprowadziłaś tu Apollina pomimo wielu niebezpieczeństw. Cieszę się, że przybyłaś do Obozu Herosów.

-Dzięki - odpowiedziała Meg. - Ale jesteś wysoki. Nie uderzasz głową w lampy?

Chejron zaśmiał się.

-Czasami uderzam. Kiedy chcę być bardziej ludzkich rozmiarów, siadam na magiczny fotel inwalidzki, który pozwala mi zamknąć moją dolną część w... W sumie to nieważne.

- Zniknięcia — odpowiedziałem. — Co znikło?

-Nie co, ale kto - odparł Chejron. - Porozmawiajmy w środku. Will, Nico, możecie przekazać pozostałym, że kolacja będzie za godzinę? Wtedy przekażę wszystkim najnowsze wieści. Póki co nikt nie powinien włączyć się po obozie samotnie. Stosujcie system par.

-Zrozumiano. - Will spojrzął na Nica. - Będziesz moją parą?

- Cymbał - oznajmił Nico.

Po czym obaj wyszli, drocząc się.

Zapewne zastanawiacie się w tej chwili, co sędzę o tym, że mój syn prowadzi się z Nikiem di Angelo. Przyznaję, że nie rozumiem zainteresowania Willa dzieckiem Hadesa, ale jeśli mroczny i widzący przyszłość typ jest tym, który czyni Willa szczęśliwym...

Och. Zapewne paru z was zastanawia się, jak się czuję, widząc go z chłopakiem, a nie dziewczyną. Jeśli o to chodzi, to proszę bardzo. My, bogowie, nie przejmujemy się takimi sprawami. Osobiście miałem... policzmy, trzydzieści trzy ludzkie dziewczyny i jedenastu ludzkich chłopaków? Trochę straciłem rachubę. Moimi największymi miłościami byli oczywiście Dafne i Hiakintos, ale gdy się jest tak popularnym bogiem jak ja...

Chwila. Czyżbym właśnie wyjawiał wam, kogo lubiłem? Zrobiłem to, nieprawdaż? Na bogów Olimpu, zapomnijcie, że wymieniałem ich imiona! Czuję się taki zażenowany. Proszę, nie mówcie nikomu. W tym śmiertelnym życiu nigdy nie byłem w *nikim* zakochany!

Jestem kompletnie zdezorientowany.

Chejron zaprowadził nas do salonu, gdzie naprzeciwko kamiennego kominka stały wygodne skórzane kanapy. Nad paleniskiem chrapała z zadowoleniem wypchana głowa lamparta.

On jest żywy? - zapytała Meg.

Dość. - Chejron podreptał do swojego fotela na kółkach. - To Seymour. Jeśli będziemy rozmawiali cicho, powinniśmy uniknąć zbudzenia go.

Meg natychmiast zaczęła myszkować po salonie.

Jak ją znam, zapewne szukała niewielkich przedmiotów, którymi mogłaby rzucać w lamparta, żeby go zbudzić.

Chejron usiadł w fotelu. Włożył swoje tylne nogi do ukrytego schowka w siedzisku, po czym oparł się, magicznie chowając swój koński tyłek, tak że wyglądał jak siedzący człowiek. Dla dopełnienia iluzji przednie panele wózka zamknęły się, dodając mu fałszywe ludzkie nogi. Zazwyczaj te nogi były ubrane w spodnie i buty, żeby podkreślić przebranie nauczyciela, ale dziś Chejron przybrał inny wygląd.

To coś nowego - powiedziałem.

Chejron spojrzał w dół na kształtne nogi kobiecego manekina, ubrane w siatkowe pończochy i czerwone szpilki z cekinami. Westchnął głęboko.

Widzę, że domek Hermesa oglądał znów *Rocky Horror Picture Show*. Muszę odbyć z nimi rozmowę.

*Rocky Horror Picture Show* przywołał miłe wspomnienia. Zdarzało mi się przebierać za Rocky'ego podczas pokazów o północy, ponieważ oczywiście idealny wygląd bohatera jest wzorowany na moim.

- Niech no zgadnę - powiedziałem. - To dzieło Connora i Trawisa Hoodów?

Chejron wyjął wełniany pled z leżącego w pobliżu kosza i rozłożył go na sztucznych nogach, aczkolwiek rubinowe buty nadal wystawały na dole.

-Po prawdzie Travis poszedł tej jesieni do collegeu, co trochę złagodziło charakter Connora.

Meg zerknęła na nas znad starego automatu do gry z **PacManem**.

- Strzeliłam tego Connora w nos.

Chejron wzdrygnął się.

- To bardzo ładnie, kochanie... W każdym razie chwilowo mamy Julię Feingold i Alice Miyazawę. Przejęły obowiązki dowcipniśców. Spotkasz je niedługo.

Przypomniałem sobie rozchichotane dziewczyny w drzwiach

domku Hermesa. Poczułem, że znów się rumienię.

Chejron wskazał na kanapy.

- Siadajcie, proszę.

Meg oderwała się od Pac-Mana (poświęciła grze dwadzieścia sekund) i dosłownie zaczęła wspinać się po ścianie. Część jadalną ozdabiała śpiąca snem zimowym winorośl, niewątpliwie dzieło mojego starego kumpla Dionizosa. Meg wspięła się na jeden z grubszych pędów, usiłując dosięgnąć żyrandola w kształcie włosów gorgony.

-Och, Meg - powiedziałem — może obejrzałybyś film informacyjny, podczas gdy Chejron i ja porozmawiamy.

-Już wszystko wiem — odparła. — Pogadałam z obozowiczami, kiedy byłeś nieprzytomny. „Bezpieczne miejsce dla współczesnych herosów”. Bla, bla, bla.

-Ależ ten film jest znakomity — zachęciłem ją. - Kręciłem go z małym budżetem w latach pięćdziesiątych, ale robota operatorska jest w nim rewolucyjna. Naprawdę powinnaś...

Winorośl oderwała się od ściany i Meg runęła na ziemię. Podniosła się kompletnie bez szwanku, po czym dostrzegła tacę z ciastkami na kredensie.

- One są za darmo?

-Tak, dziecko - odparł Chejron. - Przynieś też herbatę, dobrze?

Utknęliśmy więc z Meg, która wywaliła nogi na oparcie kanapy, chrupała ciastka i rzucała okruszkami w chrapiącą głowę Seymoura, kiedy tylko Chejron odwracał wzrok.

Chejron nalał mi filiżankę darjeeling.

- Przepraszam, że Pan D. nie wyszedł ci na powitanie.

Pan D.? - zapytała Meg.

Dionizos - wyjaśniłem. - Bóg wina. A także dyrektor tego obozu.

Chejron podał mi herbatę.

- Spodziewałem się, że Pan D. wróci do obozu po bitwie z Gają, ale nie zrobił tego do tej pory. Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku.

Stary centaur spoglądał na mnie wyczekująco, ale nie przynosiłem żadnych wieści. Ostatnie pół roku było całkowitą pustką, nie miałem pojęcia, co działo się u innych Olimpijczyków.

Nic nie wiem - przyznałem. Przez ostatnie cztery tysiące lat nieczęsto wypowiadałem te słowa. Smakowały źle. Sączyłem herbatę, ale ona była równie gorzka. - Jestem trochę do tyłu z informacjami. Miałem nadzieję, że ty mi coś powiesz.

Chejron nie potrafił ukryć rozczarowania.

Rozumiem...

Uświadomiłem sobie, że czekał na pomoc i wskazówki - czyli na dokładnie to samo, czego ja spodziewałem się po nim. Jako bóg przywykłem, że pomniejsze istoty polegają na mnie - modlą się o to, błagają o tamto. Ale teraz kiedy byłem człowiekiem, idea, że ktoś na mnie liczy, była trochę przerażająca.

- Na czym zatem polega wasza kryzysowa sytuacja? — zapytałem. - Wyglądasz jak Kasandra w Troi albo Jim Bowie w Alamo - jakbyś był obłączony.

Chejron nie roztrząsał tych porównań. Objął dłońmi filiżankę.

- Wiesz, że podczas wojny z Gają Wyrocznia Delficka przestała otrzymywać przepowiednie. Po prawdzie wszelkie znane metody przewidywania przyszłości nagle padły.

- Ponieważ prawdziwa jaskinia delficka została przejęta - powiedziałem z westchnieniem, starając się odgonić wrażenie, że się mnie czepiają.

Meg strąciła kawałek czekolady z nosa lamparta Seymoura.

- Wyrocznia Delficka. Percy coś o niej wspominał.

- Percy Jackson? - Chejron wyprostował się w fotelu. - Percy był z wami?

- Przez chwilę. - Opowiedziałem o naszej bitwie w sadzie śliwkowym i powrocie Percy'ego do Nowego Jorku. - Powiedział, że wpadnie w ten weekend, jeśli da radę.

Chejron sprawiał wrażenie zniechęconego, jakby moje towarzystwo nie było wystarczające. Wyobrażacie to sobie?

- W każdym razie - kontynuował - mieliśmy nadzieję, że kiedy wojna się skończy, Wyrocznia zacznie znów działać. A kiedy nie zaczęła... Rachel się zaniepokoiła.

- Kto to jest Rachel? - zapytała Meg.

- Rachel Dare - odparłem. - Wyrocznia.

- Myślałam, że Wyrocznia to miejsce.

- Bo tak jest.

- Czyli Rachel to jest miejsce i ono przestało działać?

Gdybym nadal był bogiem, zamieniłbym ją w jaszczurkę i wypuścił do lasu, byle jej nigdy więcej w życiu nie oglądać. Ta myśl stanowiła pewne ukojenie.

- Prawdziwe Delfy to miejsce w Grecji - wyjaśniłem. — Grota wypełniona wulkanicznymi wyziewami, do której ludzie przychodzili, żeby otrzymać wskazówki od mojej kapłanki Pytii.

- Pytia. — Meg zachichotała. - Ale zabawne słowo.

- Tak. Ha, ha, ha. No więc Wyrocznia jest zarazem miejscem i osobą. Kiedy greccy bogowie przenieśli się do Ameryki w roku... kiedy to było, Chejronie? 1860?

Chejron kołysał ręką.

Mniej więcej.

Wtedy przeniosłem Wyrocznię tutaj, żeby nadal głośno przepowiednie w moim imieniu. Przez wiele lat moc przechodziła z kapłanki na kapłankę. Rachel Dare to obecna Wyrocznia.

Meg wyłowiła z tacy z ciasteczkami oreo, na które sam miałem ochotę.

Eee. Nie jest jeszcze za późno na ten film?

Jest — warknąłem. — Dobra, więc było tak, że za pierwszym razem zdobyłem władzę nad Wyrocznią Delficką, zabijając potwora zwanego Pytonem, który mieszkał w głębi groty.

Pyton jak wąż — zauważyła Meg.

I tak, i nie. Gatunek węża nazwano po potworze Pytonie, który w sumie też jest dosyć wężowaty, ale dużo większy i bardziej przerażający, no i pożera małe dziewczynki, które za dużo gadają. W każdym razie w zeszłym sierpniu, kiedy byłem... niedysponowany, mój dawny przeciwnik Pyton został uwolniony z Tartaru. I odzyskał grotę delficką. Dlatego Wyrocznia przestała działać.

Ale skoro Wyrocznia znajduje się teraz w Ameryce, to jakie znaczenie ma jakiś wężowaty potwór zajmujący jej dawną jaskinię?

To było chyba najdłuższe zdanie, jakie dotychczas usłyszałem z jej ust. Zapewne zrobiła mi to na złość.

Za dużo tłumaczenia — odparłem. - Musisz po prostu...

Meg. - Chejron postać jej ten swój heroicznie tolerancyjny uśmiech. - Pierwotne miejsce Wyroczni jest jak najgłębszy korzeń drzewa. Gałęzie i liście przepowiedni mogą rozciągać się na cały świat, a Rachel Dare może być naszą najwyższą gałęzią, ale jeśli korzeń zostanie zdławiony, całe drzewo będzie w niebezpieczeństwie. Kiedy Pyton znalazł się z powrotem



w swoim dawnym legowisku, duch Wyroczni został całkowicie zablokowany.

— Och. — Meg zrobiła minę pod moim adresem. - Dlaczego po prostu mi tego nie powiedziałeś?

Zanim zdołałem ukręcić ją jak irytujący korzeń, którym była, Chejron napełnił na nowo moją filiżankę.

— Większym problemem jest to - powiedział - że nie mamy innego źródła przepowiedni.

— A kogo to obchodzi? - zapytała Meg. - W takim razie nie znacie przyszłości. Nikt nie zna przyszłości.

— Kogo to obchodzi?! - krzyknąłem. - Meg McCaffrey, przepowiednie są katalizatorami wszystkich ważnych zdarzeń... każdej misji i bitwy, katastrofy i cudu, narodzin i śmierci. Wyrocznia nie jest po prostu przepowiadaniem przyszłości. Ona ją kształtuje! Pozwala przyszłości się zdarzyć.

— Nic nie rozumiem.

Chejron odchrząknął.

— Wyobraź sobie, że przepowiednie są jak nasiona kwiatów.

Jeśli masz właściwe nasiona, możesz wyhodować wymarzony ogród. Bez ziarna nie ma żadnego wzrostu.

— Och. — Meg pokiwała głową. — To byłoby straszne.

Wydawało mi się dziwne, że Meg, uliczne dziecko i śmieciowa wojowniczką, tak bardzo dobrze rozumie ogrodowe metafory, ale Chejron jest znakomitym nauczycielem. Musiał dostrzec coś w tej dziewczynie... jakieś wrażenie, które czaiło się również w głębi mojego umysłu. Żywiłem nadzieję, że mylę się, jeśli chodzi o jego znaczenie, ale znając moje szczęście, miałem rację. Zazwyczaj mam rację.

— Gdzie zatem jest Rachel Dare? — zapytałem. — Może gdybym z nią porozmawiał...?

Chejron odstawił filiżankę.

— Rachel zamierzała odwiedzić nas podczas ferii zimowych, ale nie dotarła. To może nie oznaczać niczego szczególnego...

Nachyliłem się ku niemu. Rachel Dare zdarzało się spóźniać. Była duszą artystyczną, nieprzewidywalną, impulsywną i nie-nawidzącą reguł - wszystko to były cechy, które bardzo podziwiałem. Ale nie pojawić się wcale - to nie było w jej stylu.

Albo? - zapytałem.

Albo to może być część większego problemu - odparł Chejron. - Przepowiednie to nie jedyna rzecz, która się zepsuła. W ostatnich miesiącach obserwujemy problemy z podłożami i komunikacją. Od kilku tygodni nie mieliśmy wieści od naszych przyjaciół w Obozie Jupiter. Nie przybywają nowi herosi. Satyrowie nie przysyłają meldunków z pola. Iryfon nie działa.

- Co?

Dwustronna wizja - wyjaśniłem. - Sposób komunikacji nadzorowany przez boginię tęczy. Iris zawsze była trzpiotką...

Tyle że zwykła ludzka łączność też się psuje - kontynuowałem Chejron. - Oczywiście telefony zawsze były niebezpieczne dla herosów...

Aha, bo przyciągają potwory — przytaknęła Meg. - Nigdy w życiu nie używałam telefonu.

I dobrze - powiedział Chejron. - Ostatnio jednak nasze aparaty w ogóle przestały działać. Komórki, stacjonarne, internetowe... najwyraźniej nie ma to znaczenia. Nawet archaiczna forma komunikacji znana jako poczta elektroniczna stała się dziwnie zawodna. Maile po prostu nie przychodzą.

- Sprawdzales w spamie? — zasugerowałem.

- Obawiam się, że to bardziej złożony problem - odrzekł Chejron. - Zostaliśmy odcięci od świata zewnętrznego. Jesteśmy osamotnieni i cierpimy na niedobór ludzi. Jesteście pierwszymi nowymi przybyszami od prawie dwóch miesięcy.

Zmarszczyłem brwi.

- Percy Jackson nic o tym nie wspominał.

-Wątpię, czy Percy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę - powiedział Chejron. - Jest zajęty szkołą. Zima to zazwyczaj najspokojniejszy czas. Początkowo byłem w stanie przekonać samego siebie, że kłopoty z łącznością to nic więcej jak przypadkowa niedogodność. Ale potem zaczęły się zniknięcia.

W kominku szczapa spadła z rusztu. Chyba podskoczyłem na kanapie.

-Zniknięcia, tak. - Starłem krople herbaty ze spodni, starając się ignorować drwiny Meg. — Opowiedz mi o nich.

-Trzy w ciągu ostatniego miesiąca - ciągnął Chejron. - Najpierw był Cecil Markowitz z domku Hermesa. Pewnego dnia jego łóżko okazało się po prostu puste. Nic nie mówił, że chce odejść. Nikt nie zauważył, żeby odchodził. A przez ostatnie tygodnie nikt też go nie widział ani nie miał od niego wieści.

-Dzieci Hermesa często włączą się nie wiadomo gdzie - zauważyłem.

-Z początku też tak myśleliśmy — zgodził się Chejron. — Ale tydzień później z domku Aresa znikł Ellis Wakefield. Ten sam schemat: puste łóżko, żadnych śladów, że odszedł z własnej woli albo został.. no, porwany. Ellis był impulsywnym młodzieńcem. Było do pomyślenia, że pognał na jakąś bezsensowną przygodę, ale poczułem niepokój. A dziś rano okazało się, że znikła trzecia osoba: Miranda Gardiner, grupowa domku Demeter. To była najgorsza wiadomość.

Meg zdjęła nogi z oparcia kanapy.

- Dlaczego najgorsza?

-Miranda jest jedną z naszych grupowych - wyjaśnił Chejron. - W żadnym razie nie opuściłaby obozu z własnej woli, nie zostawiając wiadomości. Jest też zbyt bystra, żeby dać się zwać poza obóz, i zbyt potężna, żeby zostać do tego zmuszona. A jednak coś się z nią stało... coś, czego nie umiem wytłumaczyć. — Stary centaur spojrzał na mnie. — Coś jest bardzo nie

w porządku, Apollinie. Te problemy mogą nie wydawać się tak przerażające jak powstanie Kronosa czy przebudzenie Gai, ale jakoś mam wrażenie, że są jeszcze bardziej niepokojące, ponieważ nigdy wcześniej nie miałem z czymś takim do czynienia.

Przypomniał mi się sen o płonącym autobusie słonecznym. Pomyślałem o głosach, które słyszałem w lesie, ponagających mnie do odejścia i poszukiwania ich źródła.

Ci herosi... - powiedziałem. - Czy zanim zniknęli, zachowywali się jakoś dziwnie? Zgłaszali... że coś słyszą?

Chejron uniósł brew.

Nic mi o tym nie wiadomo. Czemu pytasz?

Nie miałem ochoty więcej mówić. Nie chciałem powodować paniki, nie wiedząc, z czym mamy do czynienia. Kiedy śmiertelnicy panikują, może się to skończyć paskudnie, zwłaszcza jeśli spodziewają się po mnie, że poradzę sobie z problemem.

Muszę również przyznać, że trochę się niecierpliwiłem. Nie zajęliśmy się jeszcze w ogóle najważniejszą sprawą — mną.

Wydaje mi się — powiedziałem — że naszym priorytetem powinno być wykorzystanie wszelkich zasobów obozu, by pomóc mi odzyskać boską kondycję. Następnie mogę wam pomóc z innymi problemami.

Chejron podrapał się po brodzie.

A co jeśli te problemy są połączone, przyjacielu? Co jeśli jedynym sposobem na twój powrót na Olimp jest odzyskanie Wyroczni Delfickiej i uwolnienie w ten sposób mocy przepowiedni? Co jeśli Delfy są kluczem do tego wszystkiego?

Zapomniałem o skłonności Chejrona do wypowiedziania oczywistych i logicznych wniosków, o których ja wolałem nie myśleć. Był to bardzo irytujący zwyczaj.

- W moim obecnym stanie jest to niemożliwe. - Wskazałem na Meg. - W tej chwili moim zadaniem jest służba u tego herosa, być może przez rok. Kiedy już wykonam wszystkie

zadania, które ona mi wyznaczy, Zeus uzna, że mój wyrok mi-  
nął, a ja mogę na powrót zostać bogiem.

Meg pokruszyła ciasteczko figowe.

- Mogłabym ci rozkazać iść do tych Delf.

- Nie! - Głos mi się załamał w połowie krzyku. - Powinnaś  
wyznaczać mi łatwe zadania: założenie zespołu rockowego al-  
bo po prostu dobrą zabawę. Tak, dobra zabawa byłaby niezła.

Meg nie wyglądała na przekonaną.

- Dobra zabawa to żadne zadanie.

- Owszem, jeśli chcesz to robić właściwie. Obóz Herosów  
mnie chroni, podczas gdy ja dobrze się bawię. Po roku moja  
niewola się kończy, zostaję bogiem. *Wtedy* możemy porozma-  
wiać o odzyskaniu Delf.

*Najlepiej - pomyślałem - gdybym mógł zatrudnić paru hero-  
sów do wykonania tego zadania za mnie.*

- Apollinie - powiedział Chejron - jeśli herosi będą nadal  
znikać, możemy nie mieć roku. Może nam braknąć mocy, aby  
cię chronić. Oraz, wybaczone, ale Delfy to twoja odpowiedzialność.

Wyrzuciłem ręce w górę.

- To nie ja otwarłem Wrota Śmierci i wypuściłem Pyto-  
na! Mieście pretensje do Gai! Do Zeusa za złą ocenę sytu-  
acji! Kiedy giganci zaczęli się budzić, naszkicowałem bardzo  
jasne *Dwadzieścia jeden punktów działania mającego ochronić  
Apollina i przy okazji pozostałych bogów*, ale on nawet tego nie  
przeczytał!

Meg rzuciła połowę ciastka w głowę Seymoura.

- Ja jednak uważam, że to twoja wina. Ej, patrzcie! On się  
obudził!

Powiedziała to tak, jakby lampart postanowił się obudzić  
z własnej woli, a nie został trafiony w oko ciastkiem figowym.

- RARR - poskarżył się Seymour.

Chejron odsunął swój fotel od stolika.

Moja droga, w tym słoju na kominku jest kocia karma. Może dasz mu obiad? Ja zaczekam z Apollinem na ganku.

Zostawiliśmy Meg radośnie celującą w paszczę Seymoura smakołykami.

Kiedy razem z Chejronem wyszliśmy na werandę, centaur obrócił swój fotel ku mnie.

Bardzo interesujący przypadek herosa.

Interesujący to takie neutralne określenie.

Naprawdę przyzywała karposa?

No... duch pojawił się, kiedy była w tarapatkach. Nie mam pojęcia, czy wezwała go świadomie. Dała mu na imię Śliwka.

Chejron podrapał się po brodzie.

Od bardzo dawna nie widziałem herosa z umiejętnością przyzywania duchów ziaren. Wiesz, co to oznacza.

Poczułem, że nogi pode mną drżą.

Mam pewne podejrzenia. Ale staram się myśleć pozytywnie.

Ona wyprowadziła cię z lasu - zauważył Chejron. – Bez ulej...

Tak - odparłem. - Nie musisz mi o tym przypominać.

Uświadomiłem sobie, że już kiedyś widziałem to napięcie w oczach Chejrona - kiedy oceniał umiejętności Achillesa w posługiwaniu się mieczem, a Ajaksa w walce włócznią. Był to wzrok doświadczonego trenera, który dostrzegł nowy talent. Nigdy nie sądziłem, że centaur popatrzy tak na mnie, jakbym musiał mu coś udowadniać, jakby siła mego charakteru wymagała sprawdzenia. Czułem się taki... taki uprzedmiotowiony.

Powiedz mi - odezwał się Chejron — co takiego słyszałeś w lesie?

W myślach przekląłem moje gadulstwo. Nie powinienem był pytać, czy zaginieni herosi słyszeli cokolwiek dziwnego.

Uznałem, że bezowocne będzie wycofywać się teraz. Chejron był bardziej spostrzegawczy od przeciętnego koniochłopa.

Opowiedziałem mu o moich doświadczeniach w lesie, a następnie o śnie.

Jego palce zacisnęły się na pledzie, który uniósł się nieco, ukazując czerwone cekiny. Jak na faceta w siatkowych pończochach Chejron wyglądał na tak zmartwionego, jak to tylko możliwe.

-Będziemy musieli ostrzec obozowiczów przed zapuszczeniem się do lasu - oznajmił. - Nie rozumiem tego, co się dzieje, ale nadal uważam, że musi to być jakoś powiązane z Delfami i twoją obecną... sytuacją. Wyrocznia musi zostać uwolniona od potwora Pytona. Musimy znaleźć na to jakiś sposób.

Tłumaczenie narzucało się samo: *ja* muszę znaleźć sposób.

Chejron chyba odczytał poprawnie moje pełne smutku spojrzenie.

-Spokojnie, przyjacielu - powiedział. - Już to robiłeś. Może nie jesteś teraz bogiem, ale kiedy po raz pierwszy zabiłeś Pytona, to nie stanowiło żadnego wyzwania! Setki opowieści są pełne pochwał, jak łatwo ci poszło.

- Aha - wymamrotałem. — Setki opowieści.

Przypomniały mi się niektóre z nich: zabiłem Pytona całkowicie bez wysiłku. Podleciałem do wylotu jaskini, wyzwiałem go, wypuściłem strzałę i *BUM!* - oto martwy ogromny węzowaty potwór. Zostałem Panem Delf i wszyscy żyliśmy długo i szczęśliwie.

Skąd ci autorzy wzięli pomysł, że pokonałem Pytona tak szybko?

Dobra... zapewne stąd, że ja im tak powiedziałem. Niemniej prawda była nieco inna. Przez stulecia po tej bitwie miałem koszmary związane z moim dawnym przeciwnikiem.

W tej chwili niemal błogosławiłem niedoskonałość mojej pamięci. Nie przypominałem sobie wszystkich potwornych szczegółów walki z Pytonem, ale wiedziałem, że to nie była

łatwizna. Potrzebowałem całej swojej boskiej siły, boskich mocy oraz najgroźniejszego łuku świata.

Jak wyglądały moje szanse, kiedy byłem szesnastoletnim człowiekiem z trądzikiem, w pożyczonych ciuchach i o bitewnym przydomku Lester Papadopoulos? Nie zamierzałem wybierać się do Grecji i pozwolić się zabić, dziękuję bardzo, zwłaszcza nie bez słonecznego rydwanu i umiejętności teleportacji. Przepraszam, ale bogowie nie latają liniami rejsowymi.

Usiłowałem wymyślić, jak to przedstawić Chejronowi w spokojny, dyplomatyczny sposób, który nie wymagałby ode mnie tupania nogą ani wrzasków. Od tego wysiłku wybawił mnie dobiegający z oddali głos konchy.

To oznacza kolację. - Centaur zmusił się do uśmiechu. - Porozmawiamy później, co? Na razie świętujmy twoje przybycie.



*Oda do hot doga  
Oranżada i chipsy  
Nic nie mam, chłopie*

## **NIE BYŁEM W NASTROJU DO ŚWIĘTOWANIA.**

A zwłaszcza do siedzenia przy stole piknikowym i jedzenia ludzkich potraw. W towarzystwie ludzi.

Pawilon jadalny był dość przyjemny. Nawet zimą magiczne granice obozu osłaniały nas od najgorszych żywności. Siedząc na wolnym powietrzu w ciepłe pochodni i koksowników, czułem jedynie lekki chłód. Zatoka Long Island połyskiwała w świetle księżyca. (Cześć, Artemido. Nie zawracaj sobie głowy odpowiedziem). Na Wzgórzu Herosów Atena Partenos świeciła jak największa lampka nocna świata. Nawet las nie wydawał się aż tak upiorny, kiedy sosny okrywała kołdra miękkiej srebrzystej mgły.

Moja kolacja była jednak znacznie mniej poetyczna. Składała się z hot dogów, chipsów ziemniaczanych i czerwonego płynu, który według etykiety był nektarem owocowym. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie nazywają zwykły sok „nektarem”, ale niewątpliwie był on najsmaczniejszym elementem posiłku, co było niepokojące.

Siedziałem przy stoliku Apollina z moimi dziećmi: Austinem, Kaylą i Willem, oraz z Nikiem di Angelo. Nie widziałem

różnicy między moim stołem a stołami wszystkich pozostałych bogów. A przecież mój powinien być bardziej błyszczący i elegancki. Powinien na rozkaz grać muzykę lub recytować poezję. A on był po prostu kamienną płytą z ustawionymi po obu stronach ławkami. Uznałem siedzenie za niewygodne, choć moje potomstwo zdawało się tym nie przejmować.

Austin i Kayla zasypywali mnie pytaniami o Olimp, wojnę z Gają i jak to jest być najpierw bogiem, a potem człowiekiem. Wiedziałem, że nie chcieli być niegrzeczni. Jako moje dzieci mają wrodzone wyczucie najwyższego wdzięku. Niemniej ich pytania boleśnie przypominały mi o moim stanie upadku.

Poza tym z upływem godzin pamiętałem coraz mniej z mojego boskiego życia. Przeróżające, jak szybko niszczały moje kosmicznie doskonałe neurony. Kiedyś każde wspomnienie było niczym plik dźwiękowy najwyższej jakości. Teraz te nagrania znalazły się na woskowych walcach. A wierzcie mi, pamiętam woskowe walce. Nie wytrzymały długo w rydwanie słonecznym.

Will i Nico siedzieli ramię w ramię, drocząc się radośnie. Stanowili tak rozkoszną parę, że czułem się opuszczony. Ich widok wywołał wspomnienia tych krótkich złotych miesięcy, które dzieliłem z Hiakintosem przed pojawieniem się zazdrości, przed tym okropnym wypadkiem...

Nico - odezwałem się w końcu — czy ty nie powinienesz siedzieć przy stoliku Hadesa?

Wzruszył ramionami.

Formalnie tak. Ale kiedy siedzę sam przy swoim stoliku, dzieją się dziwne rzeczy. W podłodze pojawiają się szpary. Zombi wypełzają i zaczynają przechadzać się po sali. To powoduje spadek nastroju. A ja nie jestem w stanie tego kontrolować.

Tak powiedziałem Chejronowi.

- A to jest prawda? - zapytałem.

Nico uśmiechnął się blado.

— Mam zaświadczenie lekarskie.

Will podniósł rękę.

— Ja jestem jego lekarzem.

— Chejron uznał, że nie warto się o to wyklócać - powiedział Nico. - Kiedy tylko siedzę przy stole z innymi ludźmi, jak... no, na przykład ci tutaj... zombi trzymają się z daleka. Wszyscy są szczęśliwi.

Will pokiwał pogodnie głową.

— To jest naprawdę dziwne. Nie żeby Nico kiedykolwiek nadużywał swoich mocy, żeby uzyskać coś, czego chce.

— Oczywiście, że nie — poparł go Nico.

Rozejrzałem się po pawilonie. Zgodnie z obozową tradycją Meg umieszczono między dziećmi Hermesa, ponieważ jej boskie pochodzenie nie zostało jeszcze określone. Meg najwyraźniej nie przejmowała się tym. Była zajęta jednoosobowym konkursem jedzenia hot dogów. Dwie pozostałe dziewczyny, Julia i Alice, przyglądały jej się z mieszaniną fascynacji i przerażenia.

Po drugiej stronie stołu siedział chudy starszy chłopak o kręconych brązowych włosach - Connor Hood, jak się domyśliłem, choć nigdy nie byłem w stanie odróżnić go od starszego brata Travisa. Mimo panującego półmroku Connor nosił ciemne okulary, niewątpliwie celem ochrony oczu przed kolejną fangą. Zauważyłem też, że rozsądnie trzymał ręce z dala od ust Meg.

W całym pawilonie naliczyłem dziewiętnastu obozowiczów. Większość siedziała samotnie przy odpowiednich stolikach - Sherman Yang u Aresa, nieznana mi dziewczyna u Afrodyty, inna u Demeter. Przy stole Nike dwie młode ciemnowłose damy, najwyraźniej bliźniaczki, prowadziły rozmowę nad mapą wojenną. Sam Chejron, ponownie w pełnej centaurzej postaci, stał przy głównym stole, popijając „nektar” i konwersując z dwoma satyrami, ale ich nastrój był pośepny. Kozłonogi

zerkały na mnie, po czym zjadały sztucce, co satyrowie często robią w zdenerwowaniu. Pół tuzina cudownie wyglądających driad przechadzało się między stolikami, proponując jedzenie i napoje, ale byłem tak zaabsorbowany, że nie potrafiłem w pełni docenić ich urody. Co jeszcze tragiczniejsze: czułem się byt zażenowany, żeby z nimi flirtować. Co się ze mną działo?

Przyglądałem się obozowiczom, w nadziei że dostrzegę potencjalnych sług... to znaczy nowych przyjaciół. Bogowie zawsze lubią mieć na podorędziu kilku silnych, zaprawionych w bojach herosów, żeby móc ich rzucić do walki, wysłać na niebezpieczną misję albo zatrudnić do zbierania kłaczek z chitonów. Niestety żaden z siedzących przy kolacji nie jawił mi się jako potencjalny pacholek. Marzyłem o większej buzie talentów.

Gdzie są... pozostali? - zapytałem Willa.

Miałem ochotę powiedzieć „najlepsi”, ale uznałem, że może to zostać opacznie zrozumiane.

Will ugryzł kawałek pizzy.

- Szukasz kogoś konkretnego?

Gdzie są ci, którzy byli na tej misji z łodzią?

Will i Nico wymienili spojrzenia, które mogły znaczyć: „Można się było domyślić”. Podejrzewam, że często pytano ich siódmkę legendarnych herosów, którzy walczyli u boku bogów przeciwko gigantom Gai. Bolało mnie, że nie zobaczyłem ich ponownie. Po każdej większej bitwie lubię zrobić sobie grupowe zdjęcie - a także zastrzec prawo wyłączności na układanie epickich poematów o czynach herosów.

Wiesz - zaczął Nico - widziałeś się z Percym. On i Anabeth są teraz w maturalnej klasie w Nowym Jorku. Hael i Frank są w Obozie Jupiter i robią coś tam z Dwunastym Legionem.

- Ach, tak. - Usiłowałem przywołać na myśl wyraźny obraz Obozu Jupiter, rzymskiej enklawy w pobliżu Berkeley

w Kalifornii, ale szczegóły mi umykały. Pamiętałem jedynie moje rozmowy z Oktawianem i to, jak zawrócił mi w głowie komplementami i obietnicami. Ten głupi chłopak... to jego wina, że się tu znalazłem.

W głębi mojego umysłu odezwał się szept. Tym razem uznałem, że mogło to być sumienie: *Kim był ten głupi chłopak? To nie był Oktawian.*

- Zamknij się - mruknąłem.

- Co? - zapytał Nico.

- Nic. Mów dalej.

- Jason i Piper są w szkole w Los Angeles, u taty Piper. Zabrali ze sobą trenera Hedge'a, Mellie i małego Chucka.

- Aha. - Nie znałem ostatnich trzech imion, uznałem więc, że to zapewne nikt ważny. - A siódmy heros... Leo Valdez?

Nico uniósł brwi.

- Pamiętasz, jak się nazywał?

- Oczywiście! To on wynalazł Valdezinator. Jakiż to cudowny instrument! Ledwie zdążyłem opanować jego skale durowe, kiedy Zeus strącił mnie z Partenonu. Jeśli ktokolwiek mógłby mi pomóc, to na pewno Leo Valdez.

Na twarzy Nica malowało się gniewne napięcie.

- Cóż, Leo tu nie ma. Umarł. Po czym wrócił do życia. A jeśli go znów zobaczę, zabiję go.

Will szturchnął go łokciem.

- Nie, nie zrobisz tego. - Odwrócił się do mnie. - Podczas walki z Gają Leo i jego spizowy smok Festus zniknęli w wybuchu ognia w powietrzu.

Wzdrygnąłem się. Po tylu stuleciach powożenia słonecznym rydwanem określenie „wybuch ognia w powietrzu” wywoływało u mnie dreszcze.

Usiłowałem przywołać ostatnie spotkanie z Leo Valdezem na Delos, kiedy wymienił Valdezinator za informację...

On szukał lekarstwa lekarza - przypomniałem sobie - sposobu na przywoływanie ludzi spomiędzy umarłych. Podejrzewam, że od początku planował poświęcić samego siebie.

Aha — potwierdził Will. — Dzięki temu wybuchowi pozbył się Gai, ale zakładaliśmy, że on też zginął.

- Bo zginął - powiedział Nico.

Ale parę dni później — ciągnął Will — wiatr przyniósł do obozu ten zwój...

Mam go nadal. — Nico zaczął grzebać po kieszeniach swojej pilotki. - Patrzę na niego, ilekroć potrzebuję wzbudzić w sobie gniew.

Wyciągnął gruby rulon. Kiedy tylko rozwinął go na stole, nad powierzchnią pergaminu pojawił się migoczący hologram: Leo Valdez ze swoim szelmowskim uśmiechem, rozwichrzonymi włosami i drobną posturą. (Oczywiście hologram miał niecałe dziesięć centymetrów wysokości, ale realny Leo nie był dużo bardziej imponujący). Dzinsy, niebieską roboczą bluzę i pas z narzędziami miał pobrudzone smarem.

- Cześć, chłopaki! - Leo rozłożył ręce do uścisku. - Wybaczcie, że was tak porzuciłem. Zła wiadomość: umarłem. Dobra wiadomość: poprawiło mi się! Musiałem ruszyć na ratunek Kalipso. U nas obojga teraz wszystko w porządku. Zabieramy Festusa do... - Obraz zamrugał jak płomień na silnym wietrze, zakłócając głos Leo. - Wrócimy, gdy tylko... - Biały szum. - Zrobimy tacos, kiedy... — Więcej szumu. - *Vaya con queso!* Buziaki! — Obraz zamigotał i zgasł.

- To wszystko, co posiadamy - poskarżył się Nico. — I to było w sierpniu. Nie mamy pojęcia, co zamierzał, gdzie jest teraz ani czy nadal wszystko w porządku. Jason i Piper spędzili większość września na poszukiwaniach, dopóki Chejron nie zmusił ich w końcu do pójścia do szkoły.

- Dobra — powiedziałem - wszystko wskazuje na to, że Leo zamierzał robić tacos. Może zajęło mu to więcej czasu, niż się

spodziewał. A „*vaya con queso*”... Sądzę, że nawołuje nas, żebyśmy szli z serem, co jest zawsze dobrą radą.

Chyba nie uspokoilem Nica.

- Nie lubię błędzić po omacku - wymamrotał.

Dziwaczne w ustach dziecka Hadesa, ale zrozumiałem, co miał na myśli. Mnie też intrygował los Leo Valdeza. Dawno, dawno temu byłbym w stanie przepowiedzieć miejsce jego przebywania równie łatwo, jak wy sprawdzacie wydarzenia na Facebooku, ale teraz mogłem jedynie gapić się w niebo i zastanawiać, kiedy zjawi się tu nieduży łobuzerski heros ze spiżowym smokiem i tacą tacos.

Ale jeśli w to była wplątana Kalipso... to komplikowało sprawę. Ta czarodziejka i ja mamy za sobą fantastyczną przygodę, ale nawet *ja* muszę przyznać, że ona umie omamić. Jeśli omotała serce Leo, to bardzo prawdopodobne, że zejdzie na manowce. Odyseusz spędził u niej siedem lat, zanim wrócił do domu.

Cokolwiek się stało, wydawało się mało prawdopodobne, że Valdez wróci na czas, żeby mi pomóc. Moja misja opanowania arpeggiów na Valdezinatorze będzie musiała poczekać.

Kayla i Austin siedzieli bardzo cicho, przysłuchując się naszej konwersacji z zachwytem i zdziwieniem. (Moje słowa miały taki wpływ na ludzi).

I nagle Kayla wyjechała do mnie:

-O czym rozmawialiście w Wielkim Domu? Chejron opowiedział ci o zniknięciach...?

-Tak. - Starłem się nie spoglądać w kierunku lasu. - Przedyskutowaliśmy sytuację.

- I co? - Austin rozsunął palce na stole. - Co się dzieje?

Nie miałem ochoty o tym rozmawiać. Nie chciałem, żeby dostrzegli mój strach.

Pragnąłem, żeby serce przestało mi tak walić. Na Olimpie dużo łatwiej leczy się ból głowy. Po prostu Hefajstos rozłupuje

ci czaszkę i wydobywa z niej jakiegoś nowego boga (lub boginię), który, jak się okazuje, rozrabiał w jej środku. W świecie śmiertelników miałem bardziej ograniczone możliwości.

Muszę to przemyśleć - powiedziałem. - Może do rana odzyskam trochę moich boskich mocy.

Austin nachylił się ku mnie. W świetle pochodni jego war-koczyki zdawały się zwijać w nowe wzory DNA.

- To tak działa? Twoja moc wraca po jakimś czasie?

My-myślę, że tak. - Usiłowałem przypomnieć sobie lata służby u Admeta i Laomedonta, ale z trudem przywoływałem w myślach ich imiona i twarze. Kurcząca się pamięć przerażała mnie. Sprawiała, że każda terażniejsza chwila rozrastała się jak balon pod względem wielkości i wagi, przypominając mi, że ludzki czas jest ograniczony.

Muszę stać się silniejszy - uznałem. - Muszę.

Kayla uściśniła moją dłoń. Jej palce łuczniczki były szorstkie i twarde.

Wszystko będzie dobrze, Apollinie... tato. Pomożemy ci.

Austin przytaknął.

Kayla ma rację. Siedzimy w tym razem. Jeśli ktokolwiek będzie ci sprawiał kłopoty, Kayla go ustrzeli. A potem ja przeknę go tak bardzo, że będzie przez wiele tygodni mówił wyłącznie do rymu.

Łzy napłynęły mi do oczu. Nie tak dawno - na przykład tego ranka - myśl, że ci młodzi herosi mieliby mi pomóc, wydałaby mi się śmieszna. A teraz ich dobroć poruszyła mnie bardziej niż setka ofiarnych byków. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio komuś zależało na mnie aż tak, żeby przekląć wrogów mową wiązaną.

- Dziękuję wam - wydusiłem z siebie.

Nie potrafiłem dodać „moje dzieci”. Nie brzmiało to właściwie. Ci herosi byli moimi obrońcami i moją rodziną, ale w tej chwili nie byłem w stanie myśleć o sobie jako ich ojcu. Ojciec



powinien więcej robić - ojciec powinien dawać dzieciom więcej, niż bierze. Muszę przyznać, że ta myśl stanowiła dla mnie nowość. Poczułem się jeszcze gorzej niż przed chwilą.

-Hej... - Will poklepał mnie po ramieniu. - Nie jest tak źle. Przynajmniej z tym całym podwyższonym stanem zagrożenia może unikniemy jutrzejszego biegu z przeszkodami Harleya.

Kayla wymamrotała jakieś przekleństwo po grecku. Gdybym był porządnym boskim rodzicem, kazałbym jej wypłuć te słowa.

-Kompletnie o tym zapomniałam - powiedziała. - Będą musieli go odwołać, prawda?

Zmarszczyłem brwi.

- Jaki bieg z przeszkodami? Chejron nic mi o tym nie wspominał.

Chciałem protestować, że cały mój dzień był jednym wielkim biegiem z przeszkodami. Chyba nie spodziewają się po mnie udziału w ich obozowych zajęciach. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, jeden z satyrów siedzących przy głównym stole zadał w konchę.

Chejron uniósł ręce, prosząc o uwagę.

-Obozowicze! — Jego głos wypełnił pawilon. - Mam kilka ogłoszeń, w tym informację o jutrzejszym biegu śmierci na trzech nogach!

*Trójnożny bieg śmierci  
Sześć okrutnych zgłosek  
Bogowie. Tylko nie Meg*

### **TO WSZYSTKO BYŁA WINA HARLEYA.**

Po ogłoszeniu zniknięcia Mirandy Gardiner - „W ramach podjętych środków ostrożności uprasza się o pozostawanie , dala od lasu, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej” - Chejron wezwał młodego syna Hefajstosa, który wyjaśnił, na czym będzie polegał bieg śmierci na trzech nogach. Szybko okazało się, że Harley wymyślił to wszystko. I naprawdę ten pomysł był tak przerażający, że mógł się narodzić jedynie w umyśle ośmiolatka.

Przyznaję, że pogubiłem się w instrukcji po tym, jak objaśnił wybuchające łańcuchowe frisbee.

I one wtedy *ZIUUM!* - Harley podskakiwał z ekscytacją. - A potem *BUUM!* I *PAF!* - Wymachując rękami, pokazywał cały możliwy chaos. - Musicie być naprawdę szybcy, bo Inaczej zginiecie, i to jest fantastyczne!

Pozostali obozowicze pomrukiwali, kręcąc się na ławkach.

Chejron uniósł rękę, nakazując ciszę.

- Słuchajcie, wiem, że poprzednio były pewne problemy — powiedział — ale na szczęście nasi uzdrowiciele z domku Apollina zdołali przyszyć z powrotem rękę Paola.

Przy tylnym stoliku podniósł się muskularny nastolatek i zaczął nawijać w języku, który wydał mi się portugalskim. Na ciemnej piersi miał biały podkoszulek bez rękawów, dostrzegalem więc jasne blizny u góry bicepsów. Klnąc szybko, chłopak wskazał na Harleya, domek Apollina i w sumie wszystko inne.

-Dziękuję ci, Paolo - powiedział Chejron, ewidentnie zmieszany. - Cieszę się, że już czujesz się lepiej.

Austin nachylił się ku mnie i wyszeptał:

-Paolo rozumie nieźle po angielsku, ale mówi tylko po portugalsku. W każdym razie tak twierdzi. Nikt z nas nie rozumie nic z tego, co mówi.

Ja też nie rozumiem po portugalsku. Atena zanudzała nas przez wiele lat przemowami o tym, że Olimp może się kiedyś przenieść do Brazylii, a my wszyscy powinniśmy być przygotowani na taką okoliczność. Kupiła nam nawet kurs portugalskiego na boskim DVD w prezencie saturnaliowym, ale co ona wie?

- Paolo wygląda na wstrząśniętego - zauważyłem.

Will wzruszył ramionami.

-Ma szczęście, że szybko się goi. Jest synem Hebe, bogini młodości, i tak dalej.

- Gapisz się - zauważył Nico.

-Nieprawda - odparł Will. - Oceniam tylko, jak dobrze ręce Paola funkcjonują po operacji.

- Hmm.

Paolo w końcu usiadł. Chejron wygłosił długą listę innych obrażeń odniesionych przez uczestników pierwszego biegu śmierci na trzech nogach i wyraził nadzieję, że tym razem uda się ich uniknąć: oparzenia drugiego stopnia, pęknięte bębenki uszne, wyrwane stawy i dwa przypadki napadu irlandzkiego stepowania.

Samotny heros przy stoliku Ateny uniósł rękę.

Chejronie, chciałbym tylko o czymś przypomnieć...  
Ostatnio znikło troje herosów. Czy naprawdę rozsądne jest w tej sytuacji organizować niebezpieczny bieg z przeszkodami?

Chejron uśmiechnął się do niego boleściwie.

Doskonałe pytanie, Malcolmie, ale ten bieg nie będzie zachuczał o las, który uważamy za najbardziej ryzykowny obszar. Satyrowie, driady i ja będziemy nadal badać te zniknięcia. Nie spoczniemy, dopóki nie odnajdziemy zaginionych obozowiczów. A tymczasem ten wyścig może pomóc rozwijać ducha zespołowego. A poza tym poszerza naszą wiedzę o Labiryncie.

To słowo uderzyło mnie w twarz jak zapach potu Aresa. Odwróciłem się do Austina.

Labirynt? Jak Labirynt *Dedala*?

Austin przytaknął, przesuwając palcami gliniane obozowe paciorki, które miał na szyi. Nagle przypomniała mi się jego i matka Latricia - jak zawsze bawiła się naszyjnikami z muszelek, kiedy wykładała w konserwatorium w Oberlin. Nawet ja byłem w stanie nauczyć się czegoś na wykładach Latricii Lake z teorii muzyki, aczkolwiek uważałem ją za rozpraszająco piękną.

Podczas wojny z Gają - powiedział Austin - Labirynt otworzył się na nowo. Od tego czasu usiłujemy go zmapować.

To jest niemożliwe - odparłem. - I szalone. Labirynt to złośliwy, rozumny twór! Nie da się go zmapować, nie można mu ufać.

Jak zwykle mogłem polegać jedynie na przypadkowych fragmentach moich wspomnień, ale byłem całkowicie przekonany, że mówię prawdę. Pamiętałem Dedalą. W dawnych czasach król Krety kazał mu wybudować labirynt, w którym będzie można zamknąć potwornego Minotaura. Tyle że zwykła płatanina korytarzy to było za mało dla genialnego wynalazcy, jakim był Dedal. Musiał uczynić Labirynt samoświadomym

i samorozprzestrzeniającym się. Przez wieki rozrósł się pod powierzchnią planety jak agresywny system korzeniowy.

Głupi genialni wynalazcy.

-On jest teraz inny - odpowiedział Austin. - Od kiedy De-dal umarł... nie wiem. Trudno to opisać. Nie czuć w nim tyle złości. I nie jest tak śmiertelnie niebezpieczny.

-Och, to bardzo uspokajające. A zatem oczywiście postanowiliście urządzać w nim biegi na trzech nogach.

Will odchrząknął.

-Jest coś jeszcze, tato... Nikt nie chce zrobić przykrości Harleyowi.

Zerknąłem ku głównemu stołowi. Chejron nadal wychwalał zalety działania zespołowego, podczas gdy Harley podskakiwał. Rozumiałem, dlaczego ten chłopiec mógł zostać nieoficjalną maskotką obozu. Był słodkim dzieciaczkiem, nawet jeśli jak na ośmiolatka był niezłe umięśniony. Miał zaraźliwy uśmiech. Jego entuzjazm jakby podnosił nastrój w całej grupie. Ja jednak rozpoznawałem ten błysk szaleństwa w jego oczach. Był to taki sam wzrok, jaki miał jego ojciec Hefajstos, kiedy wynalazł kolejny automat, który wkrótce miał zwariować i zacząć niszczyć miasta.

-Pamiętajcie też - ciągnął Chejron - że żadne z nieszczęśliwych zniknięć nie zostało powiązane z Labiryntem. Trzymajcie się swojego partnera, a będziecie bezpieczni... w każdym razie na tyle bezpieczni, na ile można być podczas biegu śmierci na trzech nogach.

- Aha - oznajmił Harley. - Nikt jeszcze nawet nie *umarł*.

W jego głosie brzmiało rozczarowanie, jakby chciał, żebyśmy się bardziej postarali.

-W obliczu kryzysu — mówił dalej Chejron — istotne jest, żebyśmy trzymali się zwykłych zajęć. Musimy być czujni i w jak najlepszej kondycji. Tego oczekują od nas zaginieni herosi.

A teraz, jeśli chodzi o zespoły w wyścigu, możecie wybrać sobie partnera...

W tym momencie zaczął się atak piranii: obozowicze skoczyli ku sobie, żeby dobrać wymarzonego partnera. Zanim zdążyłem rozważyć możliwości, Meg McCaffrey wskazała na mnie drugiej strony pawilonu, z miną godną Wuja Sama na piachach poborowych.

*Oczywiście*, pomyślałem. Dlaczego nagle los miałby się do mnie uśmiechnąć?

Chejron stuknął kopytem w posadzkę.

- Doskonale. Wszyscy na miejsca! Wyścig odbędzie się jutro po południu. Dziękuję ci, Harleyu, za ciężką pracę nad różnymi śmiertelnymi niespodziankami, które mamy do dyspozycji.

- BAM! - Harley pobiegł z powrotem do stołu Hefajstosa, gdzie dołączył do swojej starszej siostry Nyssy.

Kolej na dalsze wieści - powiedział Chejron. - Jak może dyszeliście, dołączyło dziś do nas dwoje szczególnych przybyszów. Po pierwsze, powitajmy boga Apollina!

Zazwyczaj traktuję to jak znak, żeby wstać, rozłożyć ręce i uśmiechnąć się, podczas gdy wokół mnie rozpościerają się promienie światła. Pełen uwielbienia tłum bije brawo i rzuca kwiaty oraz czekoladki do moich stóp.

Tym razem nie dostałem braw — tylko nerwowe spojrzenia. Czuję dziwną, nietypową potrzebę zsunęcia się niżej na siedzeniu i naciągnięcia kurtki na głowę. Powstrzymałem się od tego dzięki heroicznym wysiłkom.

Chejron zdołał zachować dobrą minę.

Oczywiście wiem, że to niezwykajne - kontynuował - ale bogom *zdarza się* od czasu do czasu stawać śmiertelnymi. Nie powinniście być zanedo zaniepokojeni. Obecność wśród nas Apollina możemy uznać za dobry omen, szansę dla nas na... - Chyba gubił się we własnej argumentacji. - Ach... robienie czegoś dobrego. Jestem pewny, że w odpowiednim

czasie dostrzeżemy najlepszy sposób działania. Na razie proszę, sprawcie, żeby Apollo poczuł się jak w domu. Traktujcie go tak jak każdego innego obozowicza.

Siedzący przy stole Hermesa Connor Hood uniósł rękę.

- Czy to oznacza, że domek Aresa ma wsadzić głowę Apollina do kibla?

Sherman Yang przy stole Aresa parsknął.

- Nie robimy tego każdemu, Connor. Tylko nowym, którzy sobie zasłużyli.

Sherman zerknął na Meg, która niepomna niczego pałaszowała kolejnego hot doga. Delikatny czarny meszek nad kącikami jej ust był teraz pokryty musztardą.

Connor Hood odpowiedział Shermanowi uśmiechem - konspiracyjnym, na ile się na tym znam. W tej samej chwili zauważyłem otwartą torbę pod nogami Connora. Wystawało z niej coś, co podejrzenie przypominało sieć.

Wniosek był oczywisty: dwóch upokorzonych przez Meg chłopaków przygotowywało odwet. Nie musiałem być Nemezis, żeby rozumieć urok zemsty. A mimo to... poczułem dziwną potrzebę ostrzeżenia Meg.

Usiłowałem złapać jej wzrok, ale ona skupiała się całkowicie na jedzeniu.

-Dziękuję, Shermanie - kontynuował Chejron. - Dobrze wiedzieć, że nie zamierzasz wkładać głowy boga łucznictwa do toalety. Jeśli chodzi o pozostałych, będę was informował na bieżąco o stanie naszego gościa. Wysłałem dwóch z naszych najlepszych satyrów, Miliarda i Herberta - wskazał na satyrów siedzących po jego lewej stronie - żeby osobiście doręczyli wiadomość Rachel Dare w Nowym Jorku. Przy odrobinie szczęścia zdoła do nas wkrótce dołączyć i ocenić, jak mogłaby najlepiej pomóc Apollinowi.

Na te słowa rozległy się szmery. Wyłapałem słowa „Wyrocznia” i „przepowiednie”. Przy pobliskim stole jedna

dziewczyn mruknęła pod nosem po włosku: „Prowadził ślepy kulawego”.

Rzuciłem jej gniewne spojrzenie, ale ta młoda dama była całkiem ładna. Zapewne kilka lat ode mnie starsza (mówiąc po ludzku), miała krótkie ciemne włosy i porażająco groźne spojrzenie migdałowych oczu. Chyba się zarumieniłem.

Zwróciłem się z powrotem do moich towarzyszy przy stole.

- Eee... tak, satyrowie. Dlaczego nie wysłać tego innego sama, przyjaciela Percyego?

Grovera? - zapytał Nico. - On jest w Kalifornii. Cała Rada Starszych Kopytnych tam jest, mają naradę w sprawie suszy.

Och. - Humor mi się popsuł. Pamiętałem, że Grover jest dość zaradny, ale jeśli zajmował się katastrofami naturalnymi w Kalifornii, to mała szansa, że wróci tu w ciągu najbliższej dekady.

Na koniec — powiedział tymczasem Chejron — powitajmy nowego herosa na obozie: Meg McCaffrey!

Meg otarła usta. Siedząca koło niej Alice Miyazawa powiedziała:

Wstań, Meg.

Julia Feingold zaśmiała się.

Przy stoliku Aresa podniósł się Sherman Yang.

No, ona to zasługuje na specjalne powitanie. Co o tym myślisz, Connor?

Connor sięgnął do plecaka.

Myślę, że może w jeziorku.

Otworzyłem usta.

Meg...

W tym samym momencie rozpętało się piekło.

Sherman Yang ruszył w kierunku Meg. Connor Hood wyciągnął złotą sieć i zarzucił jej na głowę. Meg wrzasnęła i usiłowała się wyrwać, podczas gdy sporo obozowiczów skandowało:

Do wody! Do wody!



Chevron robił, co mógł, żeby ich przekrzyczeć.

- Ej, herosi, zaczekajcie!

Gardłowe wycie przerwało całą akcję. Ze szczytu kolumnady runął wir pulchnego ciała, liściastych skrzydeł i tetrowych pieluch i wylądował na plecach Shermana Yanga, przewracając go na kamienną posadzkę.

Karpos imieniem Śliwka stał, zawodząc i bijąc się w pierś. Jego oczy błyszczały gniewnie zielono. Rzucił się na Conнора Hooda, zacisnął tłuste nóżki wokół szyi herosa i zaczął go ciągnąć za włosy pazurami.

- Zabierz to! - wrzasnął Connor, rzucając się po pawilonie. — Zabierz to!

Pozostali herosi powoli otrząsali się z szoku. Kilku dobyło mieczy.

- C'e un *karpos!* — krzyknęła Włoszka.

- Zabić go! - zawołała Alice Miyazawa.

- Nie! - wrzasnąłem.

Zazwyczaj taki rozkaz wydany przeze mnie rozpoczyna sekwencję przypominającą alarm w więzieniu: wszyscy śmiertelnicy padają na twarz, czekając na dalsze rozkazy. Niestety teraz byłem jedynie zwykłym człowiekiem o piskliwym głosie nastolatka.

Patrzyłem z przerażeniem, jak moja własna córka Kayla zakłada strzałę na cięciwę.

- Złaż z niego, Śliwka! - ryknęła Meg. Wyplątała się z sieci, zrzuciła ją z siebie, po czym pognąła do Connora.

Karpos zeskoczył z karku herosa i wylądował u stóp Meg, szczerząc kły i sycząc na innych obozowiczów, którzy utworzyli luźny półokrąg z wyciągniętą bronią.

- Odsuń się, Meg - powiedział Nico di Angelo. - To jest niebezpieczne.

- Nie! - Głos Meg zabrzmiał przenikliwie. - Nie zabijaj go!

Sherman Yang przetoczył się z jękiem. Jego twarz wyglądała pewnie gorzej, niż naprawdę była pokiereszowana - skaleczenie czoła może spowodować zadziwiający krwotok - ale ten widok umocnił postanowienie obozowiczów. Kayla uniosła luk. Julia Feingold wyjęła sztylet.

Stójcie! — błagałem.

Pomniejszy umysł nie ogarnie tego, co się następnie wydarzyło.

Julia zaatakowała. Kayla wystrzeliła.

Meg wyciągnęła przed siebie ręce i między jej palcami roz-  
błysło słabe złote światło. Nagle młodociana McCaffrey trzy-  
mała w dłoniach dwie szable z wygiętymi ostrzami w starym  
trackim stylu — były to *sicae* wykonane z cesarskiego złota. Nie  
widziałem takiej broni od upadku Rzymu. Klingi pojawiły się  
jakby znikąd, ale długie doświadczenie z magicznymi przed-  
miotami podpowiadało mi, że musiały zostać przyzwane przez  
księżycowe pierścienie noszone przez Meg.

Ostrza zawirowały. Meg jednocześnie strąciła strzałę Kayli i  
rozbroiła Julię, której sztylet poszybował na drugi koniec  
pomieszczenia.

Co, na Hadesa?! - zapytał Connor. Miał powyrywane  
mnóstwo włosów, wyglądał więc jak zniszczona lalka. - Kim  
jest to dziecko?

Śliwka kucał u boku Meg, warcząc, ona zaś odpierała dwo-  
ma szablami zaskoczonych i rozzłoszczonych herosów.

Mój wzrok musiał być lepszy niż u przeciętnego śmiertel-  
nika, ponieważ jako pierwszy dostrzegłem błyszczący znak -  
światło połyskujące nad głową Meg.

Kiedy rozpoznałem symbol, moje serce zamieniło się w  
ołów. Nie chciałem tego widzieć, ale uznałem, że powinienem to  
pokazać innym.

Patrzcie.

Pozostali byli w szoku. Potem światło stało się mocniejsze: holograficzny złoty sierp z kilkoma kłosami pszenicy obracał się dokładnie nad głową Meg McCaffrey.

Jakiś chłopak w tłumie jęknął:

- Komunistka!

Dziewczynka siedząca przy stole domku numer cztery parsknęła w jego stronę z niesmakiem.

- Nie, Damien, to symbol mojej mamy. - Jej twarz pobladła w chwili, kiedy dotarła do niej prawda. - Eee, a to oznacza... że to symbol jej mamy.

W głowie mi się kręciło. Bardzo nie chciałem tego wiedzieć. Nie miałem ochoty służyć herosowi o pochodzeniu takim jak Meg. Ale teraz zrozumiałem znaczenie półksiężyców na pierścionkach Meg. To nie były księżyce, lecz ostrza sierpów. Jako jedyny obecny w towarzystwie Olimpijczyk uznałem, że powinienem oficjalnie ogłosić jej tytuł.

- Moja przyjaciółka nie jest już nieokreślona - oznajmiłem.

Pozostali herosi uklękli z szacunkiem, niektórzy dość niechętnie.

- Panie i panowie - powiedziałem, a mój głos był gorzki jak herbata Chejrona - powitajcie Meg McCaffrey, córkę Demeter.

*Chyba żar...  
Cholera, co się właśnie stało?  
Brakuje mi syl...*

**NIKT NIE WIEDZIAŁ**, co począć z Meg.

Nie potrafię ich za to winić.

Ta dziewczyna miała dla mnie jeszcze mniej sensu, odkąd dowiedziałem się, kto jest jej matką.

Powziąłem pewne podejrzenia, oczywiście, ale miałem też nadzieję, że okażą się fałszywe. Posiadanie zazwyczaj racji to straszliwe brzemię.

Dlaczego miałbym lękać się dziecka Demeter?

Dobre pytanie.

Przez ostatni dzień starałem się pozbierać do kupy wszystkie moje wspomnienia o tej bogini. Kiedyś Demeter była moją ulubioną ciotką. Pierwsze pokolenie bogów bywa sztywniackie (lak, o was myślę, Hero, Hadesie, tato), ale Demeter zawsze była łagodna i kochająca - chyba że akurat wybijała ludzkość zarazą i głodem, ale każdy miewa gorsze dni.

Potem jednak popełniłem błąd, umawiając się z jedną z jej córek. Miała chyba na imię Chrysotemis, ale musicie mi wybaczyć, jeśli się pomyliłem. Nawet kiedy byłem bogiem, z trudem zapamiętywałem imiona wszystkich moich byłych. Dziewczyna śpiewała żniwną pieśń na jednym z moich delfickich świąt.

Miała tak piękny głos, że się w niej zakochałem. Prawda, co roku zakochiwałem się w zwycięzcach i innych zawodnikach, ale co mam powiedzieć? Jestem pies na melodyjne głosy.

Demeter się to nie spodobało. Odkąd jej córka Persefona została porwana przez Hadesa, stała się trochę czuła na punkcie swoich dzieci umawiających się na randki z bogami.

W każdym razie mieliśmy nieprzyjemną rozmowę. Zrównaliśmy z ziemią kilka gór. Spustoszyliśmy kilka miast-państw. Wiecie, jak to bywa z rodzinnymi kłótniami. W końcu osiągnęliśmy kruchy rozejm, ale od tamtego czasu starałem się trzymać z dala od dzieci Demeter.

I oto stałem się sługą Meg McCaffrey, największego obdartusa wśród dzieci Demeter, które kiedykolwiek trzymały w ręce sierp.

Zastanawiałem się, kim był ojciec Meg, że przyciągnął uwagę bogini. Demeter rzadko zakochuje się w śmiertelnikach. A poza tym Meg była niezwykle potężna. Większość dzieci Demeter potrafi wspomagać wzrost plonów i powstrzymywać szkodniki. Dwa złote sierpy i przywoływanie karpoi - to cechy z najwyższej półki.

Wszystko to przemykało przez moje myśli, kiedy Chejron rozganiał tłum, nakazując wszystkim odłożyć broń. Ponieważ grupowa Miranda Gardiner zniknęła, Chejron poprosił Billie Ng, jedyną obozowiczkę od Demeter, żeby odeskortowała Meg do domku czwartego. Obie dziewczyny szybko się wycofały, a Śliwka podążał za nimi w radosnych podskokach. Meg rzuciła mi zaniepokojone spojrzenie.

Nie wiedząc, co innego mógłbym zrobić, uniosłem kciuki do góry.

- Do jutra!

Nie wyglądała na zbyt pewną siebie, kiedy znikła w mroku.

Will Solace zajął się obrażeniami głowy Shermana Yanga. Kayla i Austin stali nad Connorem, rozprawiając

o konieczności przeszczepu włosów. Wracalem więc samotnie do mojego domku.

Położyłem się na polowym łóżku stojącym na środku pomieszczenia i wpatrywałem się w belkowanie sufitu. Pomyślałem znów o tym, jak przygnębiająco proste, całkowicie ludzkie było to miejsce. Jak moje dzieci tu wytrzymały? Dlaczego nie mieli płonącego ołtarza, nie ozdabiali ścian złotymi płaskorzeźbami wychwalającymi moją wielkość?

Kiedy usłyszałem, że Will i pozostali wracają, zamknąłem oczy i udawałem, że śpię. Nie byłem w stanie stawić czoła ich pytaniom i życzliwości, ich próbom sprawienia, żebym poczuł się dobrze w miejscu, które wyraźnie nie było moje.

Kiedy weszli do środka, ściszyli głosy.

On się dobrze czuje? - szepnęła Kayla.

A ty byś się dobrze czuła na jego miejscu? - zapytał Austin.

Przez moment panowało milczenie.

Spróbujcie się wyspać - poradził im Will.

To jest nienormalne - oznajmiła Kayla. - On wygląda tak... ludzko.

Będziemy go pilnować - powiedział Austin. - Teraz ma tylko nas.

Stłumiłem szloch. Nie wytrzymałem ich troski. Nie będąc w stanie ich pocieszyć albo przynajmniej się z nimi nie zgodzić, czułem się bardzo malutki.

Ktoś otulił mnie kocem.

Śpij dobrze, Apollinie — powiedział Will.

Zapewne była to kwestia jego przekonującego głosu, a może tego, że od stuleci nie byłem tak wyczerpany. Zapadłem w nieświadomość natychmiast. Dzięki niech będą pozostałym jedenastu Olimpijczykom za to, że nie miałem snów.

Obudziłem się rano zaskakująco wypoczęty. Pierś już mnie nie bolała. Nos nie sprawiał wrażenia balonu napełnionego wodą i przyczepionego do mojej twarzy. Z pomocą moich potomków (współlokatorów - będę ich nazywał współlokatorami) zdołałem opanować tajniki prysznicza, toalety i umywalki. Szczoteczka do zębów była **Szokiem**. Kiedy ostatnim razem byłem śmiertelny, coś takiego jeszcze nie istniało. No i dezodorant - co za obrzydliwy pomysł, że mogę potrzebować czarodziejskiej maści, żeby moje pachy nie śmierdziały!

Kiedy już dokonałem porannych ablucji i ubrałem się w czyste ciuchy z obozowego magazynu - tenisówki, dzinsy, pomarańczowy podkoszulek Obozu Herosów i wygodną flanelową kurtkę — poczułem niemalże przyływ optymizmu. Może jednak zdołam przeżyć to doświadczenie bycia człowiekiem.

Odkrycie bekonu dodatkowo podniosło mnie na duchu.

Och, bogowie - bekon! Przyrzekłem sobie, że kiedy już odzyskam nieśmiertelność, zwołam dziewięć muz i wspólnie stworzymy ode, hymn na cześć potęgi bekonu, który poruszy niebo do łez i wywoła zachwyt w całym wszechświecie.

Bekon jest dobry.

Tak - to nawet może być tytuł tej pieśni: *Bekon jest dobry*.

Śniadanie okazało się mniej formalne niż kolacja. Zapełnialiśmy tace w kolejce do bufetu i mogliśmy siadać, gdzie chcieliśmy. Uznałem to za cudowne. (Och, cóż to za smutny komentarz do stanu mojego nowego ludzkiego umysłu — ja, który niegdyś decydowałem o losach narodów, rozrzewniam się z powodu swobody w wyborze miejsca przy posiłku). Wziąłem tacę i odszukałem Meg, która siedziała samotnie na skraju muru oporowego pawilonu, machając nogami i przyglądając się falam na plaży.

- Jak leci? - zapytałem.

Meg ugryzła gofra.

- Ta. Bosko.

- Jesteś potężnym herosem, córką Demeter.

- Mm-hm.

Jeśli mogę ufać mojej ocenie ludzkich reakcji, to Meg nie sprawiwiła wrażenia zachwyconej.

- Twoja współlokatorka Billie... była miła?

Jasne. Wszystko spox.

A Śliwka?

Rzuciła mi krzywe spojrzenie.

- Znikł w nocy. Myślę, że zjawia się tylko wtedy, kiedy jestem w niebezpieczeństwie.

Cóż, to odpowiedni moment, żeby się pojawiać.

- Od-po-wied-ni. - Meg dotykała kolejnych kwadracików gofra za każdą sylabą. - Sherman Yang ma siedem szwów.

Zerknąłem w kierunku Shermana, siedzącego w bezpiecznej odległości po drugiej stronie pawilonu i zabijającego Meg w rękaw. Przez policzek biegł mu paskudny czerwony zygzak.

Nie przejmowałem się - powiedziałem jej. - Dzieci Are-mi lubią blizny. A poza tym ten wygląd monstrum Frankenstein'a całkiem pasuje do Shermana.

Kącik jej ust zadrżał, ale spojrzenie pozostało nieobecne.

Nasz domek ma trawę na podłodze, wiesz? Zieloną trawę. Na środku rośnie wielki dąb podtrzymujący sufit.

- To źle?

Mam katar sienny.

- Ach... - Usiłowałem wyobrazić sobie to drzewo w jej domku. Dawno temu Demeter miała święty gaj dębowy. Przypomniało mi się, jak rozgniewał ją pewien śmiertelny książę, który usiłował go wyciąć.

Święty gaj...

Nagle bekon w moim żołądku zaczął rosnać i oplatać wszystkie narządy wewnętrzne.

Meg chwyciła mnie za rękę. Jej głos brzmiał jak odległe brzęczenie. Usłyszałem jedynie ostatnie, najważniejsze słowo:



- **Apollinie?**

Zadrzałem.

- Co?

- Odjechałeś. - Skrzywiła się. - Powtarzałam twoje imię sześć razy.

- Naprawdę?

- Aha. Gdzie byłeś?

Nie potrafiłem tego wyjaśnić. Czułem się, jakbym stał na pokładzie okrętu, a pod jego kadłubem przemknął ogromny, ciemny i niebezpieczny kształt - prawie niewidoczny - po czym po prostu zniknął.

- N-nie wiem. Coś w kwestii drzew...

- Drzew - powtórzyła Meg.

- To pewnie nic takiego.

To nie było nic takiego. Nie byłem w stanie wyrzucić z głowy obrazu ze snu: kobiety w koronie ponaglącej mnie, że-bym znalazł bramę. Ta kobieta nie była Demeter - w każdym razie tak mi się wydawało. Ale myśl o świętych drzewach poruszyła pewne wspomnienie... o czymś bardzo starym nawet jak na moje standardy.

Nie miałem ochoty rozmawiać o tym z Meg. Nie dopóki nie znajdę czasu, żeby to przemyśleć. Ona miała dość zmartwień. Poza tym po ostatnim wieczorze moja nowa młoda pani przerażała mnie jeszcze bardziej niż wcześniej.

Zerknąłem na pierścionki na jej środkowych palcach.

- Eee, wczoraj... te szable. A poza tym nie rób tego.

Meg zmarszczyła brwi.

- Czego?

- Nie zamykaj się i nie unikaj rozmowy. Robi ci się betonowa twarz.

Wydęła gniewnie wargi.

- Nieprawda. Mam szable. Walczę nimi. W czym problem?

W tym, że szkoda, że nie wiedzieliśmy tego wcześniej, kiedy walczyliśmy z duchami zarazy.

- Sam powiedziałaś, że tych duchów nie da się zabić.

-Zbaczasz z tematu. - Wiedziałem to, ponieważ tę konkretną taktykę opanowałem mistrzowsko wiele stuleci temu. — Twój styl walki, te dwa wygięte ostrza, to styl dimachaeri, gladiatorów z czasów późnego Cesarstwa Rzymskiego. Nawet wtedy był rzadki, chyba najtrudniejszy do opanowania, no i to jeden z najgroźniejszych.

Meg wzruszyła ramionami. Był to wiele mówiący gest, ale niewiele wyjaśniał.

-Twoje szable są z cesarskiego złota — dodałem. — To by wskazywało na rzymski trening i czyniło z ciebie dobrą kandydatkę do Obozu Jupiter. A jednak twoją matką jest Demeter, bogini w jej greckiej formie, a nie Ceres.

- Skąd to wiesz?

-Jeśli nie liczyć tego, że sam byłem bogiem? Demeter uznała cię tu, w Obozie Herosów. To nie przypadek. Poza tym jej starsza grecka forma jest znacznie potężniejsza. A ty, Meg, jesteś potężna.

Jej spojrzenie stało się tak ostrożne, że spodziewałem się Śliwki spadającego z nieba i wrywającego mi włosy.

-Nigdy nie poznałam mojej mamy - powiedziała. - Nie miałam pojęcia, kim jest.

- To skąd masz te szable? Od ojca?

Meg poszarpała gofra na drobne kawałeczki.

-Nie... Wychowywał mnie ojczym. To on dał mi te pierścionki.

-Ojczym. Twój ojczym dał ci pierścienie, które zamieniają się w klingi z cesarskiego złota. Jakim człowiekiem...

- Dobrym człowiekiem — odwarknęła.

Wyczułem stal w jej głosie, porzuciłem więc temat. Podejrzewałem w jej przeszłości jakąś wielką tragedię. Bałem się

poza tym, że jeśli będę naciskał, te złote ostrza mogą znaleźć się przy mojej szyi.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Mm-hm. Meg rzuciła kawałek gofra w powietrze. Jedna z obozowych harpii sprzątających pojawiła się znikąd, zanurkowała jak stukilogramowy kurczak kamikadze, porwała jedzenie i odleciała.

Meg siedziała niewzruszona.

- Przebrnijmy jakoś przez ten dzień. Po obiedzie jest wyścig.

Poczułem dreszcz. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było zostać przypiętym do Meg McCaffrey w Labiryncie, ale udało mi się powstrzymać wrzask.

- Nie przejmuj się wyścigiem - powiedziałem. - Mam pomysły, jak go wygrać.

Uniosła jedną brew.

- Tak?

- A raczej będę miał plan po południu. Potrzebuję tylko trochę czasu...

Za nami rozległ się dźwięk konchy.

- Siema, rekruci! - ryknął Sherman Yang. - Ruszać się, ósme cuda świata! Przed obiadem oczekuję potu, łez i krwi!

*Praktyka c*  
*Ha, ha, ha, wcale że nie*  
*Zignorujcie mój szloch*

**MARZYŁEM O ZWOLNIENIU LEKARSKIM.** Chciałem wymigać się z wuefu.

Naprawdę, nigdy nie zrozumieję was, ludzi. Usiłujecie utrzymywać dobrą kondycję fizyczną za pomocą pompek, przysiadów, biegów na siedem kilometrów, torów przeszkód i innych czynności wywołujących pocenie się. A przecież wiecie, że to przegrana bitwa. W końcu wasze słabe ciała o ograniczonej przydatności do użytku zniszczą się i popsują, nabawiając was zmarszczek, obwisłej skóry i starczego oddechu.

To przerażające! Jeśli ja chcę zmienić figurę, wiek, płęć lub gatunek, po prostu sobie tego życzę i - *bam!* - jestem młodą, potężnie zbudowaną samicą leniwca trójpalczastego. Tego nie da się osiągnąć żadnymi pompkami. Po prostu nie widzę logiki w waszej nieustannej walce. Ćwiczenia to tylko dołujące przypomnienie, że nie jest się bogiem.

Na koniec ćwiczeń rekrutów zarządzonych przez Shermana Yanga dyszałem ciężko i byłem zlany potem. Mięśnie sprawiały wrażenie trzęsących się słupów galarety.

Nie czułem się jak ósmy cud świata (choć moja matka Latona zawsze zapewniała mnie, że nim jestem) i kusiło mnie oskarżyć Shermana o niewłaściwe traktowanie.

Poskarżyłem się Willowi. Zapytałem, gdzie podziła się dawna grupowa domku Aresa. Clarisse La Rue mogłem przynajmniej oczarować swoim olśniewającym uśmiechem. Niestety Will poinformował mnie, że studiuje na Uniwersytecie Arizony. Och, dlaczego studia muszą dopadać najlepszych ludzi?

Po tych torturach powlokłem się z powrotem do domku i wziąłem kolejny prysznic.

Prysznice są dobre. Może nie aż tak jak bekon, ale dobre.

Drugie poranne zajęcia były bolesne w inny sposób. Zostałem przypisany do lekcji muzyki w teatrze, prowadzonych przez satyra imieniem Woodrow.

Woodrow był zdenerwowany moim pojawieniem się w jego małej grupie. Zapewne doszła do jego uszu opowieść o tym, jak żywcem obdarłem ze skóry satyra Marsjasza, który wyzwiał mnie na pojedynek muzyczny. (Jak już mówiłem, ten kawałek o obdarciu ze skóry jest kompletną nieprawdą, ale plotki potrafią się długo utrzymywać, zwłaszcza kiedy to ja mogłem być ich źródłem).

Woodrow przypomniał skale molowe na fletni Pana.

Austin nie miał z nimi problemu, mimo że podjął wyzwanie zagrania na skrzypcach, które nie są jego instrumentem. Valentina Diaz, córka Afrodyty, dała z siebie wszystko, żeby zdławić klarnet, wydobywając z niego dźwięki przypominające baseta wyjącego w czasie burzy. Damien White, syn Nemezis, okazał się godny swych przodków, wydając mściwe dźwięki na gitarze akustycznej. Grał z taką mocą, że zerwał strunę d.

- Musiałeś! - zawołała Chiara Benvenuti. To była ta ładna Włoszka, którą zauważyłem poprzedniego wieczoru, córka Tyche, bogini dobrej fortuny. - Potrzebowałam tej gitary!

- Zamknij się, Fuksiario - mruknął Damien. - W realnym świecie wypadki się zdarzają. Struny czasem pękają.

Chiara odpowiedziała włoską salwą z karabinu maszynowego, której nie zamierzam tłumaczyć.

- Mogę? - Sięgnąłem po gitarę.

Damien niechętnie mi ją podał. Nachyliłam się ku leżącemu u stóp Woodrowa pudłu na gitarę. Satyr skoczył na pół metra w górę.

Austin roześmiał się.

- Wyluzuj, Woodrow. On tylko sięga po nową strunę.

Przyznam, że reakcja satyra sprawiła mi satysfakcję. Skoro mogłem nadal przerażać satyrów, może mogłem mieć nadzieję na odzyskanie części dawnej chwały. Z tego poziomu mogę startować do przerażania zwierząt domowych, potem herosów, potworów i pomniejszych bóstw.

Wymieniłem strunę w kilka sekund. Przyjemnie było robić coś tak dobrze znanego i prostego. Zacząłem ją stroić, ale przewałem, kiedy zorientowałem się, że Valentina płacze.

- To było takie piękne! - Otarła łzę z policzka. - Co to za piosenka?

Zamrugąłem.

- To się nazywa strojenie.

- Aha, Valentina, opanuj się - upomniał ją Damien, choć sam miał zaczerwienione oczy. - To nie było *aż tak* piękne.

- Nie - prychnęła Chiara. - Nie było.

Tylko Austin nie reagował. Jego oczy płonęły czymś, co przypominało dumę, choć nie rozumiałem, dlaczego miałby ją odczuwać.

Zagrałem gamę c-moll. Struna b brzmiała o pół tonu za nisko. Jak zawsze struna b. Trzy tysiące lat, od kiedy wynalazłem gitarę (podczas dzikiej imprezy z Hetytami - długa opowieść), a nadal nie byłem w stanie wymyślić, jak zrobić strunę b, która będzie brzmiała czysto.

Przebiegłem przez inne gamy, szczęśliwy, że je pamiętam.

-A to jest progresja skali lidyjskiej - oznajmiłem. - Zaczyna się od czwartego dźwięku skali durowej. Podobno nazwano ją tak od starożytnego królestwa Lidii, ale prawdę mówiąc, to ja nazwałem ją tak na cześć mojej dawnej dziewczyny imieniem Lidia. Była czwartą kobietą, z którą się umawiałem tamtego roku, więc...

Podniosłem wzrok w połowie arpeggio. Damien i Chiara płakali, obejmując się, okładając słabo pięściami i przeklinając:

- Nienawidzę cię. Nienawidzę cię.

Valentina leżała na teatralnej ławce, dygocząc. Woodrow rozmontowywał swoją piszczałkę.

- Jestem do niczego! - łkał. - Do niczego!

Nawet Austin miał łzy w oczach. Uniósł kciuk.

Byłem zachwycony, że część moich dawnych talentów pozostała nienaruszona, ale wyobrażałem sobie, że Chejron rozgniewa się, ponieważ doprowadziłem całą grupę muzyczną do stanu poważnej depresji.

Szarpnąłem strunę d nieco wyżej - sztuczka, którą posługiwałem się często, by wielbiciele nie eksplodowali z zachwytem na moich koncertach. (Mam na myśli dosłowną eksplozję. Niektóre występy w Fillmore w latach sześćdziesiątych... no, może oszczędzę wam makabrycznych szczegółów).

Brzdąknąłem akord, który był celowo nieczysty.

Dla mnie zabrzmiał okropnie, ale herosi wybili się ze swojego nieszczęścia. Usiedli, otarli łzy i patrzyli jak zaczarowani, jak gram zwykłą progresję 1/4/5.

-Ta, stary. - Austin uniósł skrzypce do brody i zaczął improwizować. Jego nasmarowany kalafonią smyczek tańczył na strunach.

Nasze spojrzenia się spotkały i przez moment byliśmy czymś więcej niż rodziną. Staliśmy się częścią muzyki,

porozumiewaliśmy się na poziomie, który jedynie bogowie i muzycy są w stanie zrozumieć.

Woodrow przerwał czar.

-To niewiarygodne — załkał satyr. — To wy dwaj powinniście prowadzić ten kurs. Co ja sobie wyobrażałem? Proszę, nie obdzierajcie mnie ze skóry!

-Mój drogi satyrze - powiedziałem - przecież nigdy bym nie...

Moje palce złapał nagły spazm. Upuściłem w zdumieniu gitarę. Instrument spadł po kamiennych schodach teatru, brzęcząc i podskakując.

Austin opuścił smyczek.

- Dobrze się czujesz?

- Ta... tak, oczywiście.

Ale nie czułem się dobrze. Przez kilka chwil doświadczałem rozkoszy mojego uprzednio łatwo przychodzącego talentu. Niemniej najwyraźniej moje śmiertelne palce nie były do tego przystosowane. Mięśnie dłoni bolały. W opuszkach palców miałem czerwone zagłębienia w miejscach, którymi dociskałem struny do gryfu. Wysiłem się zanadto również na inne sposoby. Płuca sprawiały wrażenie skurczonych, pozbawionych tlenu, mimo że nie śpiewałem.

- Jestem... zmęczony — wyznałem z przerażeniem.

- No, tak. - Valentina pokiwała głową. - Grałeś nieziemsko!

-Wszystko w porządku, Apollinie - powiedział Austin. - Nabierzesz sił. Kiedy herosi używają swoich mocy, szybko się męczą, zwłaszcza na początku.

- Ale ja nie jestem...

Nie byłem w stanie dokończyć zdania. Nie byłem herosem. Nie byłem bogiem. Nie byłem nawet sobą. Jak mogłem w ogóle znów grać muzykę, wiedząc, że jestem niedoskonałym instrumentem? Każda nuta będzie mi przynosić jedynie ból i zmęczenie. Moja struna b nigdy nie będzie dobrze nastrojona.



Nieszczęście musiało malować się na mojej twarzy.

Damien White zacisnął pięści.

-Nie martw się, Apollinie. To nie twoja wina. Ta głupia gitara zapłaci za to!

Nie usiłowałem go powstrzymywać, kiedy schodził w dół schodów. Jakaś cząstka mnie odczuwała przewrotną satysfakcję, gdy deptał gitarę, aż zamieniła się w kupkę drewna i drutów.

Chiara fuknęła.

- *Cretino!* Teraz nie będę mogła zagrać!

Woodrow skrzywił się.

- Eee, no... dziękuję wszystkim! To była dobra lekcja!

Łucznictwo okazało się jeszcze większą porażką.

Jeśli kiedyś znów stanę się bogiem (nie, nie *jeśli* — *kiedy, kiedy*), moim pierwszym czynem będzie wymazanie pamięci wszystkim, którzy widzieli, jak kompromituję się podczas tej lekcji. Trafiłem w sam środek. *Raz*. Wyniki moich pozostałych prób były fatalne. Dwie strzały trafiły poza czarne koło z raptem stu metrów. Upuściłem łuk i zapłakałem ze wstydu.

Naszym instruktorem była Kayla, ale jej cierpliwość i łagodność tylko pogarszały sprawę. Podniosła łuk i podała mi go z powrotem.

-Apollinie - powiedziała - te strzały były znakomite. Nieco więcej treningu i...

-Jestem bogiem łucznictwa! — jęknąłem. — Nie muszę trenować!

Stojące obok mnie córki Nike zachichotały.

Nazywały się w nieznośnie oczywisty sposób: Holly i Laurel Victor. Przypominały mi te fantastyczne, dziko atletyczne afrykańskie nimfy, z którymi Atena zabawiała się nad jeziorem Tritonis.

-Hej, eksboże — powiedziała Holly, naciągając cięciwę — trening to jedyny sposób, żeby poprawić wyniki. — Trafiała w siódmkę na czerwonym kole, ale najwyraźniej jej to nie zniechęciło.

- Może dla ciebie - odrzekłem. — Jesteś śmiertelniczką!

Jej siostra Laurel prychnęła.

-Ty teraz też. Pogódź się z tym. Zwycięzcy nie narzekają. - Wypuściła strzałę, która wylądowała obok strzały jej siostry, ale tuż za krawędzią czerwonego koła. - Dlatego ja jestem lepsza od Holly. Ona zawsze narzeka.

-Ta, jasne — warknęła Holly. — Narzekam jedynie na to, jak bardzo *ty* jesteś beznadziejna.

-Doprawdy? — odparowała Laurel. — To się zmierzmy. Teraz. Dwa najlepsze z trzech strzałów. Przegrywająca czyści toalety przez miesiąc.

- Wchodzę!

I po prostu zapomniały o mnie. Zdecydowanie nadawałyby się idealnie na nimfy znad Tritonis.

Kayla wzięła mnie pod ramię i poprowadziła w dół strzelnicy.

-Te dwie, niech je. Zrobiliśmy je współgrupowymi u Nike, żeby ze sobą rywalizowały. Gdybyśmy tego nie zrobili, już zdążyłyby przejąć obóz i ogłosić dyktaturę.

Chyba chciała mnie rozweselić, ale nie czułem się pocieszony.

Wpatrywałem się w moje palce, teraz pokryte pęcherzami od łuku i pokaleczone przez gitarę. Niemożliwe. Wykańczające.

-Nie daję rady, Kayla - wymamrotałem. - Jestem za stary, żeby mieć znów szesnaście lat.

Kayla zacisnęła palce na mojej dłoni. Pod zieloną grzywą włosów miała cerę rudzielca - jak śmietanka na miedzi, rudawy połysk przebijający w piegach na twarzy i ramionach. Bardzo przypominała mi swojego ojca, kanadyjskiego trenera łucznictwa Darrena Knowlesa.

Mam na myśli jej *drugiego* ojca. I tak, oczywiście, że heros może narodzić się z takiego związku. Dlaczego nie? Zeus zrodził Dionizosa z własnego uda. Atena miała dziecko, które zostało stworzone z chusteczki do nosa. Dlaczego coś takiego was dziwi? My, bogowie, jesteśmy zdolni do niewyobrażalnych cudów.

Kayla wzięła głęboki oddech, jakby przygotowywała się do ważnego strzału.

-Dasz radę, tato. Już jesteś dobry. Bardzo dobry. Musisz tylko dostosować swoje oczekiwania. Bądź cierpliwy, bądź dzielny. Będzie lepiej.

Miałem ochotę się roześmiać. Jak miałem się przyzwyczaić do bycia po prostu dobrym? Dlaczego miałbym się wysilać, żeby stać się lepszym, skoro wcześniej byłem boski?

-Nie - odparłem gorzko. - Nie, to zbyt bolesne. Przysięgam na Styks: dopóki nie zostanę na powrót bogiem, nie posłużę się łukiem ani instrumentem muzycznym!

Proszę bardzo, drwicie ze mnie. Wiem, że to była głupia przysięga, wypowiedziana w chwili kiedy byłem nieszczęśliwy i użalałem się nad sobą. Ale była wiążąca. Złamanie przysięgi złożonej na Styks może mieć straszliwe konsekwencje.

Nie obchodziło mnie to. Zeus przeklął mnie śmiertelnością. Nie zamierzałem udawać, że wszystko jest w porządku. Nie będę Apollinem, dopóki nie stanę się naprawdę Apollinem. Póki co byłem głupim młodzieńcem zwanym Lesterem Papadopoulos. Może zacznę marnować czas na rzeczy, które mnie nie obchodzą - jak szermierka lub badminton - ale nie będę kłaść pamięci mojej niegdyś doskonałej muzyki i strzelania z łuku.

Kayla spoglądała na mnie z przerażeniem.

- Tato, nie powiedziałeś tego na serio.

- Na serio!

- Odwołaj to! Nie możesz... - Zerknęła nad moim ramieniem. -

Co on robi?

Podążyłem spojrzeniem za jej wzrokiem. Sherman Yang powoli, jak w transie, maszerował do lasu. Głupotą byłoby biec za nim, prosto w najbardziej niebezpieczną część obozu.

Dłatego Kayla i ja właśnie to zrobiliśmy.

Prawie nam się nie udało. Kiedy tylko dotarliśmy do linii drzew, las pociemniał. Temperatura spadła. Horyzont rozciągnął się, jakby zakrzywiony przez szkło powiększające.

W moim uchu odezwał się kobiecy głos. Tym razem znałem go dobrze. Nigdy nie przestał mnie prześladować. *Ty mi to zrobiłeś. Chodź Goń mnie znowu.*

Żołądek skręcił mi się ze strachu.

Wyobraziłem sobie gałęzie zamieniające się w ramiona, liście falujące jak zielone dłonie.

*Dafne*, pomyślałem.

Nawet po tylu stuleciach poczucie winy było przytłaczające. Nie byłem w stanie patrzeć na drzewo, nie myśląc o niej. Las napawał mnie niepokojem. Siła życiowa każdego drzewa wydawała się przygniatać mnie słuszną nienawiścią, oskarżając o tak wiele zbrodni... Miałem ochotę upaść na kolana. Chciałem błagać ją o przebaczenie. Ale to nie był odpowiedni moment.

Nie mogłem pozwolić lasowi, żeby znów namieszał mi w głowie. Nie pozwolę, by ktokolwiek inny wpadł w tę pułapkę.

Na Kaylę najwyraźniej to nie działało. Chwyciłem ją za rękę, żeby mieć pewność, że nie zostaniemy rozdzieleni. Mieliśmy do przejścia tylko parę kroków, aby zrównać się z Shermanem Yangiem, ale były one jak obóz dla rekrutów.

- Sherman. - Złapałem go za rękę.

Usiłował się wyrwać. Na szczęście był niezdarny i oszołomiony, bo inaczej skończyłbym z własnymi bliznami.

Kayla pomogła mi go obrócić.

Jego powieki trzepotały, jakby znajdował się w jakiejś półświadomej fazie REM snu.

- Nie. Ellis. Muszę go znaleźć. Miranda. Moja dziewczyna.

Spojrzałem na Kaylę w nadziei na odpowiedź.

- Ellis jest z domku Aresa - wyjaśniła. — To jeden z tych, którzy znikli.

- Tak, ale Miranda, jego dziewczyna?

- Sherman i Miranda zaczęli chodzić ze sobą jakiś tydzień temu.

- Ach.

Sherman usiłował się uwolnić.

- Znaleźć ją.

- Miranda jest tutaj, przyjacielu - skłamałem. - Zabierzemy cię do niej.

Przestał walczyć. Przewracał oczami, aż widać było tylko białka.

- Tu... tutaj?

- Tak.

- Ellis?

- Tak, to ja - odpowiedziałem. - Jestem Ellis.

- Kocham cię, chłopie. - Sherman zaszlochał.

Potrzebowaliśmy jednak całej naszej siły, żeby wyprowadzić go za linię drzew. Przypomniało mi się, jak Hefajstos i ja usiłowaliśmy wepchnąć z powrotem do łóżka boga Hypnosa, kiedy zalunatykował do prywatnych apartamentów Artemidy na Olimpie. Zadziwiające, że którykolwiek z nas zdołał uciec bez srebrnych strzał wbitych w pośladki.

Zaprowadziliśmy Shermana na strzelnicę. Idąc, zamrugał parę razy i wrócił do normy. Zorientował się, że trzymamy dłonie na jego ramionach, i strząsnął je.

- O co chodzi? - zapytał gniewnie.

- Szedłeś do lasu - odparłem.

Spojrzał na nas wzrokiem sierżanta od musztry.

- Nie, nie szedłem.

Kayla wyciągnęła rękę, ale się rozmyśliła. Źle się strzela z luku z połamanymi palcami.

- Byłeś w jakimś transie, Sherman. Mamrotałeś coś o Elisie i Mirandzie.

Zygzakowata blizna na policzku Shermana pociemniała.

- Nie przypominam sobie.

- Ale nie wspomniałeś trzeciego zaginionego herosa - powiedziałem. - Cecila?

- Dlaczego miałbym wspominać Cecila? - warknął Sherman. - Nie znoszę go. I dlaczego miałbym wam wierzyć?

- Las cię schwytał - tłumaczyłem. - Drzewa wciągały cię w głąb.

Sherman przyglądał się lasowi, ale drzewa wyglądały znów zwyczajnie. Wydłużające się cienie i kołyszące się zielone ręce znikły.

- Słyszałem - powiedział Sherman - oberwałem po głowie, dziękuję twojej wkurzającej przyjaciółce Meg. Jeśli zachowywałem się dziwnie, to pewnie dlatego.

Kayla zmarszczyła brwi.

- Ale...

- Dość tego! - prychnął Sherman. - Jeśli którekolwiek z was o tym wspomni, zmuszę was do zjedzenia kołczanów. Nikt nie będzie podważał mojej samokontroli. A poza tym muszę przemyśleć wyścig.

Przepchnął się między nami.

- Sherman! - zawołałem.

Odwrócił się z zaciśniętymi pięściami.

- Ostatnie, co pamiętasz - zapytałem - zanim znalazłeś się tu z nami... o czym myślałeś?

W ułamku sekundy przez jego twarz przemknął znów ten wyraz oszołomienia.

- O Mirandzie i Ellisie... jak powiedziałeś. Myślałem... chciałem dowiedzieć się, gdzie są.

- A zatem zadawałeś pytanie. - Poczułem otulającą mnie mgłę przerażenia. - Chciałeś informacji.

- Ja...

Od strony pawilonu jadalnego rozległ się dźwięk konchy.

Mina Shermana zubożyła.

- Nieistotne. Zostawcie to. Teraz jest obiad. A potem zamierzam zniszczyć was wszystkich w biegu na trzech nogach.

Zdarzało mi się słyszeć gorsze groźby, ale Sherman nadał temu dość przerażający wyraz. Pomaszerował w kierunku pawilonu.

Kayla odwróciła się do mnie.

- Co się właściwie stało?

- Chyba już rozumiem - odrzekłem. - Wiem, dlaczego ci herosi zniknęli.

*Związany z McCaffrey  
Czy lądujemy w Limie?  
Harley to ZUO*

UWAGA NA PRZYSZŁOŚĆ: próba ujawnienia ważnych informacji tuż przed rozpoczęciem biegu śmierci na trzech nogach to nie jest dobry pomysł.

Nikt nie chciał mnie słuchać.

Pomimo całego narzekania i pomrukiwania wczoraj wieczorem obozowicze byli teraz niezwykle podekscytowani. Nawet podczas obiadu szaleńczo czyścili broń, zawiązywali rzemienie zbroi i szeptem omawiali tajne sojusze. Wielu usiłowało przekonać Harleya, twórcę toru przeszkód, żeby podpowiedział coś w kwestii wyboru strategii.

Harley płał się w tej popularności. Pod koniec posiłku na jego stole piętrzyły się ofiary (czytaj: łapówki): samochodziki, batoniki czekoladowe, masło orzechowe i żelkowe misie. Harley doskonale nadawał się na boga. Przyjmował dary, mamrotał jakieś miłe słówka, ale nie powiedział swoim wyznawcom nic, co mogło im pomóc.

Potrzebowałem porozmawiać z Chejronem o zagrożeniu czającym się w lesie, ale on był tak zajęty ostatnimi przygotowaniami, że samo znalezienie się w jego pobliżu omal nie naraziło mnie na stratowanie. Truchtał nerwowo po pawilonie



z grupą sędziów - satyrów i driad - porównując mapy i wydając rozkazy.

- Drużyny będą praktycznie nie do wyśledzenia - mamrotał z twarzą ukrytą w planach Labiryntu. - A w sektorze D nie mamy sygnału.

- Ej, Chejronie - próbowałem się wtrącić - czy mógłbym tylko...

- Grupa testowa dziś rano wylądowała w Peru - powiedział do satyrów. - Nie możemy pozwolić, żeby to się powtórzyło.

- W kwestii lasów — ciągnąłem.

- Tak, przepraszam, Apollinie. Rozumiem, że jesteś zatroskany...

- Las naprawdę mówi — oznajmiłem. — Pamiętasz te stare...

Do Chejrona podbiegła driada w dymiącej sukience.

- Race wybuchają!

- Na bogów! - krzyknął Chejron. — One miały być stosowane w razie wypadku!

Przegalopował mi po stopie, a za nim pobiegł tłum jego asystentów.

I tak cały czas. Kiedy jest się bogiem, losy świata zależą od twojego jednego słowa. Kiedy jest się szesnastolatkiem... to już nie za bardzo.

Usiłowałem rozmawiać z Harleyem, w nadziei że może przełoży bieg, ale chłopak zbył mnie jednym krótkim: „Nie.”

Jak to często bywa w wypadku dzieci Hefajstosa, Harley majstrował przy jakimś mechanicznym urządzeniu, poruszając sprężyny i przekładnie. Nie obchodziło mnie, co to było, ale zapytałem o to Harleya, licząc, że w ten sposób pozyskam jego przychyłność.

- To jest światło naprowadzające — odparł, kręcąc jakąś gałką. - Dla zaginionych.

- Masz na myśli drużyny w Labiryncie?

- Nie. Wy będziecie zdani na siebie. To jest dla Leo.

- Leo Valdeza.

Harley spojrział krzywo na urządzenie.

-Czasami kiedy nie jesteś w stanie znaleźć drogi powrotnej, takie światło może pomóc. Muszę tylko dobrać odpowiednią częstotliwość.

- A... jak długo nad tym pracujesz?

-Od jego zaginięcia. Teraz muszę się skupić. Nie mogę odwołać wyścigu. - Odwrócił się do mnie plecami i odszedł.

Wpatrywałem się w niego ze zdumieniem. Ten chłopak od sześciu miesięcy pracował nad światłem naprowadzającym, które pomogłoby odnaleźć jego zaginionego brata Leo. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek tak by się poświęcił, żeby sprowadzić mnie z powrotem na Olimp. Szczerze w to wątpiłem.

Stałem samotny w kącie pawilonu, pogryzając kanapkę. Przyglądałem się słońcu blednącemu na zimowym niebie i pomyślałem o swoim rydwanie, o swoich biednych koniach tkwiących w stajni, kiedy nikt nie zabiera ich na przejażdżki.

Oczywiście nawet bez mojej pomocy inne siły utrzymują wszechświat w ruchu. Najrozmaitsza wiara napędza ruch planet i gwiazd. Wilki nadal gonią słońce, Ra kontynuuje codzienną podróż słoneczną barką, Tonatiuh wciąż funkcjonuje dzięki dodatkowej krwi pochodzącej z ofiar ludzkich w czasach Azteków. A ta druga rzecz — nauka - nie przestaje wytwarzać grawitacji, fizyki kwantowej i czego tam jeszcze.

Niemniej czułem się tak, jakbym nie wypełniał swojej funkcji, stojąc i czekając na rozpoczęcie wyścigu śmierci na trzech nogach.

Nawet Kayla i Austin byli zbyt rozkojarzeni, żeby ze mną porozmawiać. Kayla opowiedziała Austinowi o tym, jak ocaliliśmy Shermana Yanga w lesie, ale Austin był pochłonięty pucowaniem saksofonu.

-Powiemy Chejronowi przy kolacji — mruknął, trzymając w ustach stroik. - Nikt nas nie wysłucha przed końcem

wyścigu, a i tak będziemy się trzymać z dala od lasu. Poza tym jeśli uda mi się zagrać odpowiednią melodię w Labiryncie... - Oczy mu rozbłysły. - Oooh. Chodź tu, Kayla. Mam pomysł.

Odprowadził ją na bok, pozostawiając mnie znów samego.

Rozumiałem oczywiście entuzjazm Austina. Jego talent do gry na saksofonie był niesamowity i byłem przekonany, że zostanie najwybitniejszym jazzmanem swojego pokolenia, a jeśli uważacie, że łatwo jest zdobyć pół miliona odsłon na YouTube, grając jazz na saksofonie, to przemyślcie to dokładniej. Niemniej jego kariera nie miała szans się rozwinąć, jeśli to coś z lasu zniszczy nas wszystkich.

W ostatecznej (naprawdę ostatecznej) rozpaczcy poszukałem Meg McCaffrey.

Dostrzegłem ją siedzącą na jednym z koksoowników, rozmawiającą z Julią Feingold i Alice Miyazawą. A raczej dziewczyny od Hermesa gadały, podczas gdy Meg pałaszowała cheeseburgera. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że Demeter - pani ziarna, owoców i jarzyn - może mieć córkę, która jest tak nie-reformowalnym mięsożercą.

Ale z drugiej strony Persefona też taka była. Wszyscy znają opowieści o bogini wiosny będącej samą słodyczą, zbierającej żonkile i pogryzającej ziarnka granatu, ale mówię wam, ta dziewczyna potrafiła wyglądać przerażająco, kiedy atakowała talerz pełen żeberek wieprzowych.

Podszedłem do Meg. Dziewczyny od Hermesa odsunęły się, jakbym był zaklinaczem węży. Spodobała mi się ta reakcja.

— Cześć — powiedziałem. — O czym rozmawiacie?

Meg otarła usta wierzchem dłoni.

— One chciałyby znać nasze plany na ten wyścig.

-Pewnie, że by chciały. - Wyjąłem niewielkie urządzenie podsłuchowe z rękawa kurtki Meg i rzuciłem je Alice, która uśmiechnęła się głupkowato.

- Nie możesz mieć do nas pretensji o to, że próbowałyśmy.

-Oczywiście, że nie — odparłem. — A pozostając w tym samym duchu, mam nadzieję, że nie będziecie miały mi za złe tego, co zrobiłem z waszymi butami. Udanego biegu!

Dziewczyny poruszyły się nerwowo, sprawdzając podeszwy butów.

Meg spojrzała na mnie z czymś w oczach, co graniczyło z szacunkiem.

- Co im zrobiłeś?

-Nic - odparłem. - Połowa sztuki bycia bogiem polega na umiejętności blefowania.

Prychnęła.

-Jaki zatem jest ten nasz supertajny plan? Czekał. Niech no zgadnę. Nie masz żadnego.

-Szybko się uczysz. Prawdę mówiąc, zamierzałem jakiś wymyślić, ale coś mnie oderwało. Mamy problem.

-No pewnie. — Z kieszeni kurtki wyjęła dwie spizowe pętle, przypominające taśmę do ćwiczeń z plecionego metalu. — Widziałeś to? To się owija wokół naszych nóg. Raz założone zostaje na miejscu do końca wyścigu. Nie da się tego zdjąć. Nienawidzę więzów.

-Zgadza się z tobą. - Miałem ochotę dodać, że w szczególności kiedy mam być przywiązany do dziecka imieniem Meg, ale wrodzony zmysł dyplomacji zwyciężył. - Miałem jednak na myśli inny problem.

Opowiedziałem jej o wypadku podczas treningu łuczniczego, o tym jak Sherman omal nie został zwabiony do lasu.

Meg zdjęła swoje kocie okulary. Bez szkieł jej ciemne tęczaówki wyglądały łagodniej i cieplej, jak maleńkie działki uprawnej ziemi.

- Myślisz, że coś w lesie wzywa ludzi?

-Myślę, że coś w lesie odpowiada ludziom. W dawnych czasach istniała Wyrocznia...

- Tak, mówiłeś mi. W Delfach.

-Nie. Inna Wyrocznia, starsza jeszcze niż delficka. Tworzyły ją drzewa. To był cały gaj mówiących drzew.

-Mówiące drzewa. - Usta Meg zadrżały. - Jak się nazywała ta Wyrocznia?

-N-nie pamiętam. - Zazgrzytałem zębami. - Powinienem to wiedzieć. Powinienem być w stanie udzielić ci natychmiastowej odpowiedzi! Ale informacja... to jest prawie tak, jakby celowo mi umykała.

-To się czasem zdarza - stwierdziła Meg. - Przypomni ci się.

-To się *nigdy* nie zdarza mnie! Głupi ludzki mózg! W każdym razie uważam, że ten zagajnik jest gdzieś w tym lesie. Nie wiem, jakim cudem ani dlaczego. Ale te szepczące głosy... one pochodzą z tej ukrytej Wyroczni. Święte drzewa usiłują głosić przepowiednie, trafiając do tych, którzy mają niecierpiące zwłoki pytania, i wabiąc ich do siebie.

Meg założyła z powrotem okulary.

- Wiesz, że to brzmi jak gadanie wariata, prawda?

Uspokoilem oddech. Musiałem przypominać sobie, że nie jestem już bogiem. Musiałem pogodzić się z obelgami śmiertelników, nie mogąc spalić ich na popiół.

- Bądź uważna - powiedziałem.

- Ale wyścig nawet nie prowadzi przez las.

-Mimo to... nie jesteśmy bezpieczni. Jeśli potrafiłabyś przyzwać swojego kumpla Śliwkę, to z przyjemnością go powitam.

-Mówiłam ci, że on tak jakby pojawia się, kiedy chce. Nie mogę...

Chejron zadał w róg myśliwski tak głośno, że wizja mi się rozdziwiła. Kolejna rzecz do zapamiętania: kiedy już z powrotem stanę się bogiem, zstąpię do tego obozu i zabiorę im wszystkie rogi.

-Herosi! - zawołał centaur. - Zwiążcie swoje nogi i udajcie się za mną na start!

Zebraliśmy się na łące jakieś sto metrów za Wielkim Domem. Już samo dotarcie tam bez zagrażających życiu wypadków okazało się pomniejszym cudem. Mając lewą nogę przywiązaną do prawej nogi Meg, czułem się trochę jak w łonie Latony, tuż przed tym jak urodziliśmy się z moją siostrą. I tak, pamiętam to całkiem dobrze. Artemida zawsze spychała mnie na bok, dając mi kuksańce pod żebro i ogólnie będąc płodowym rozrabiaką.

W myślach wypowiedziałem modlitwę, że jeśli przeżyję ten bieg, to poświęcę sobie samemu byka, a może nawet wybuduję sobie nową świątynię. Jestem pies na byki i świątynie.

Satyrowie kazali nam rozproszyć się po łące.

-Gdzie jest linia startowa? - zapytała Holly Victor, wysuwając ramię przed siostrę. - Chcę być jak najbliżej.

-Ja chcę być najbliżej - poprawiła ją Laurek - Ty możesz być drugą najbliższą.

-Nie ma się czym przejmować! - Satyr imieniem Wo-odrow sprawiał wrażenie bardzo przejętego. - Wszystko wam zaraz wytłumaczymy. Kiedy tylko ja, eee, dowiem się, co mam wytłumaczyć.

Will Solące westchnął. Był, oczywiście, związany z Nikiem. Opierał się na ramieniu syna Hadesa, jakby ten był wygodną półką.

-Tęsknię za Groverem. On umiał wszystko tak znakomicie organizować.

-Ja się zadowolę trenerem Hedge'em. - Nico strącił ramię Willa. - A poza tym nie mów zbyt głośno o Groverze. Kalina tam stoi.

Wskazał na jedną z driad, śliczną dziewczynę ubraną w jasną zieleń.

-Dziewczyna Grovera - wytłumaczył mi Will. — Tęskni za nim. Bardzo.

— Okej, słuchajcie! — zawołał Woodrow. — Rozsuńcie się troszkę bardziej, proszę! Powinniście mieć dużo miejsca, no wiecie, żebyście w razie śmierci nie pociągnęli za sobą innych drużyn!

Will westchnął.

- Nie mogę się doczekać.

Razem z Nikiem odskoczyli na bok. Julia i Alice z domku Hermesa sprawdziły jeszcze raz swoje buty, po czym rzuciły mi gniewne spojrzenia. Parą Connora Hooda był Paolo Montes, brazylijski syn Hebe, i żaden z nich nie wyglądał na zadowolonego z tego układu.

Być może Connor był ponury, ponieważ jego zmasakrowana głowa była pokryta taką ilością maści leczniczych, że wyglądała, jakby wykaszła ją kot. A może po prostu tęsknił za swoim bratem Travisem.

Kiedy tylko urodziliśmy się ja i Artemida, nie mogliśmy doczekać się chwili, gdy znajdziemy się w pewnej odległości od siebie. Oznaczyliśmy nasze terytoria, i to by było tyle. Ale w tamtej chwili dałbym wszystko, żeby ją zobaczyć. Byłem przekonany, że Zeus zagroził jej jakąś straszną karą, gdyby postanowiła mi pomóc w czasie mojego bycia śmiertelnikiem, ale mogła przynajmniej wysłać mi z Olimpu jakąś paczkę dla potrzebujących - porządny chiton, magiczny krem na trądzik, a może i trochę żurawinowych ciasteczek z ambrozji z Cafe Skylla. Robią tam znakomite ciasteczka.

Przyjrzałem się pozostałym parom. Kayla i Austin byli związani ze sobą i wyglądali jak groźna para ulicznych performerów z jej lukiem i jego saksofonem. Chiara, śliczna córka Tyche, wylądowała ze swoją nemezis, Damienem White'em, synem... no, Nemezis. Billie Ng od Demeter została sparowana z Valentiną Diaz, która szybko poprawiała makijaż, spoglądając w zwierciadlaną powierzchnię srebrnej kurtki Billie. Yalentina

chyba nie zauważała, że z jej włosów sterczą dwie gałązki niczym maleńkie jelenie rogi.

Uznałem, że największym zagrożeniem będzie Malcolm Pace. Z dziećmi Ateny nigdy dość ostrożności. Był on jednak, ku mojemu zaskoczeniu, w parze z Shermanem Yangiem. Nie wyglądało to na naturalny dobór, chyba że Malcolm miał jakiś plan. Te dzieci Ateny zawsze mają plan. I rzadko zakłada on, że ja wygrywam.

Jedynymi herosami, którzy nie brali udziału w wyścigu, byli Harley i Nyssa, którzy go zaprojektowali.

Kiedy satyrowie w końcu uznali, że jesteśmy wystarczająco rozproszeni, i sprawdzili nasze więzy, Harley zaklaskał.

- Dobra! - Podskakiwał z ekscytacji, przypominając mi rzymskie dzieci, które cieszyły się podczas igrzysk w Kolo-seum. - Oto zasady. Każdy zespół musi znaleźć trzy złote jabłka, a następnie przynieść je na łąkę. I przeżyć.

Wśród herosów rozległy się pomruki.

- Złote jabłka - powtórzyłem. - *Nienawidzę złotych jabłek. Przynoszą same kłopoty.*

Meg wzruszyła ramionami.

- Ja lubię jabłka.

Przypomniało mi się to zgniłe, którym rozwaliła nos Cade'a w tamtym zaułku. Zastanawiałem się, czy byłaby w stanie użyć złotych jabłek równie morderczo. Może jednak mieliśmy jakieś szanse.

Laurel Victor podniosła rękę.

- To znaczy, że pierwszy zespół, który tu wróci, wygrywa?

- Każdy zespół, który wróci żywy, wygrywa! - odparł Harley.

- To nie ma sensu! — zaprotestowała Holly. - Zwycięzca może być tylko jeden. Pierwszy zespół wygrywa!

Harley wzruszył ramionami.

- Jak tam chcecie. Jedyne zasady z mojej strony: przeżyjcie i nie pozabijajcie się wzajemnie.



- O que? — Paolo zaczął się skarżyć po portugalsku tak głośno, że Connor musiał sobie zasłonić lewe ucho.

- Spokojnie! - zawołał Chejron. Jego juki były pełne zapasowych apteczek i rac. — Nie potrzebujemy pomocy w wykonaniu tego niebezpiecznego zadania. Niech to będzie porządny, uczciwy wyścig śmierci na trzech nogach. I jeszcze jedno, herosi: zważywszy na problemy, jakie napotkała grupa testowa dziś rano, powtórzcie, proszę, za mną: „Nie lądujemy w Peru”.

- Nie lądujemy w Peru! - zakrzyknęliśmy.

Sherman Yang strzelił palcami.

- No więc gdzie jest start?

- Nie ma linii startowej - odparł radośnie Harley. - Zaczynacie dokładnie z miejsca, w którym się znajdujecie.

Herosi spoglądali po sobie zmieszani. Nagle łąka zatrzęsa się. W trawie pojawiły się ciemne linie, tworząc wielką zieloną szachownicę.

- Dobrej zabawy! - pisnął Harley.

Ziemia rozwarła się pod naszymi stopami i wpadliśmy do Labiryntu.

*Bile śmierci  
Toczą się ku mym wrogom  
Zamieńmy się na kłopoty*

### **PRZYNAJMNIEJ NIE WYLĄDOWALIŚMY W PERU.**

Uderzyłem stopami w kamień, wykręcając sobie kostki. Zatonczyliśmy się pod ścianę, ale Meg zapewniła mi wygodną poduszkę.

Znaleźliśmy się w ciemnym tunelu o stropie wspartym na dębowym belkowaniu. Dziura, przez którą tu wlecieliśmy, znikła, zastąpiona sklepieniem z ziemi. Nie widziałem innych drużyn, ale skądś nad nami słyszałem Harleya skandującego: „Dalej! Dalej!”.

- Kiedy odzyskam moje boskie moce - oznajmiłem - zamienię Harleya w gwiazdozbiór o nazwie Bachor. Konstelacje przynajmniej siedzą cicho.

Meg wskazała w dół korytarza.

- Patrz.

Kiedy wzrok mi się przyzwyczaił, uświadomiłem sobie, że słabe światło w tunelu pochodzi od błyszczącego owocu leżącego jakieś trzydzieści metrów od nas.

- Złote jabłko - powiedziałem.

Meg rzuciła się do przodu, ciągnąc mnie za sobą.

- Czekaj! - zawołałem. - Tam mogą być pułapki!

Jakby dla zilustrowania mojej tezy Connor i Paolo wynurzyli się z mroku po drugiej stronie korytarza. Paolo chwycił złote jabłko z okrzykiem:

- BRASIL!

Connor uśmiechnął się do nas.

- Za wolno, ofermy!

Sklepienie otwarło się nad nimi, zasypując ich żelaznymi kulami wielkości melonów.

- Biegiem! - wrzasnął Connor.

Razem z Paolem wykonali niezgrabne „w tył zwrot” i odkuśtykali, gonieni przez toczące się stado kul armatnich z iskrzącymi lontami.

Dźwięki szybko ucichły. Bez jaśniejącego jabłka pozostaliśmy w całkowitej ciemności.

- Super. - Głos Meg poniósł się echem. - I co teraz?

- Sugeruję, żebyśmy poszli w drugą stronę.

Łatwiej było to powiedzieć, niż zrobić. Ślepotą bardziej przeszkadzała Meg niż mnie. Dzięki śmiertelnemu ciału już wcześniej czułem się kaleką pozbawionym zmysłów.

A poza tym często polegałem na czymś więcej niż wzrok. Muzyka wymaga dobrego słuchu. Łucznictwo - czułego zmysłu dotyku i umiejętności wyczuwania kierunku wiatru. (Dobra, wzrok też pomaga, ale wiecie, o co mi chodzi).

Brnęliśmy do przodu z rękami wyciągniętymi przed siebie. Nasłuchiwałem podejrzanych brzęków, trzasków i skrzypnięć, które mogłyby oznaczać zbliżające się stado eksplozji, ale podejrzewałem, że kiedy usłyszę ostrzegawczy dźwięk, będzie już za późno.

W końcu nauczyliśmy się poruszać nogami mniej więcej synchronicznie. Nie było to łatwe. Ja miałem idealne wyczucie rytmu. Meg zawsze była o ćwierć kroku za wolna lub za szybka, co sprawiało, że zbaczaliśmy w lewo lub w prawo i wpadaliśmy na ściany.

Wlekliśmy się tak przez minuty, a może przez dni. W Labiryncie poczucie czasu jest złudne.

Przypomniało mi się, co Austin mówił o tym, że Labirynt zmienił się po śmierci swojego twórcy. Zaczynałem rozumieć, co miał na myśli. Powietrze było świeższe, jakby płatanina korytarzy nie przeżuwała ostatnio tylu ciał. Mury nie emanowały tym samym złośliwym żarem. O ile byłem w stanie ocenić, nie ociekały też krwią ani śluzem, co było zdecydowaną poprawą. W dawnych czasach nie dało się zrobić kroku w Labiryncie Dedala, nie czując jego wszechpochłaniającej żądy: „Zniszczę twój umysł i ciało”. Teraz atmosfera była tu bardziej senna, a nastrój nieco mniej jadowity: „Hej, jeśli tu umrzesz, to super”.

- Nigdy nie lubiłem Dedala - mruknąłem. - Ten stary drań nie potrafił powiedzieć sobie: „Dość”. Zawsze musiał mieć najnowsze technologie, ostatnie dodatki. *Mówiłem* mu, żeby nie dawał swojemu Labiryntowi świadomości. „Sztuczna inteligencja nas zniszczy, chłopie”, mówiłem. Ale nieeee. Musiał dać Labiryntowi złośliwą naturę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - oznajmiła Meg. - Ale może powinieneś mniej obrażać ten Labirynt, póki w nim jesteśmy.

W pewnym momencie zatrzymałem się na dźwięk saksofonu Austina. Był słaby; niósł się echem przez tak wiele korytarzy, że nie byłem w stanie ustalić jego źródła. Potem umilkł. Miałem nadzieję, że on i Kayla znaleźli swoje trzy jabłka i uciekli bezpiecznie.

W końcu razem z Meg dotarliśmy do rozwidlenia korytarza. Podpowiedziały mi to powiew powietrza na twarzy i różnica temperatur.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytała Meg.

- Ciii. - Nasłuchiwałem w napięciu.

Z korytarza po prawej dochodził słaby świst przypominający piłę tarczową. Korytarz po lewej był cichy, ale czuć go było jakimś nieprzyjemnie znajomym smrodem... Nie była to dokładnie siarka, ale jakiś wyziew stanowiący mieszaninę minerałów z głębi ziemi.

- Nic nie słyszę - poskarżyła się Meg.

- Dźwięk piły po prawej - powiedziałem jej. - Po lewej brzydki zapach.

- Wybieram brzydki zapach.

- Oczywiście.

Meg pokazała mi język, po czym pokuśtykała na lewo, ciągnąc mnie za sobą.

Spizowa obręcz na nodze ocierała. Czuję puls w tętnicy udowej Meg, co zaburzało mój rytm. Ilekroć staję się nerwowym (co nie zdarza się często), lubię sobie coś zanucić - zazwyczaj jest to *Bolero* Ravela albo stare greckie *Epitafium Seikilos*. Ale kiedy puls Meg mnie rozpraszał, jedyną melodią, jaką byłem w stanie przywołać, okazały się *Kaczuszki*. Nie było to rozluźniające.

Brnęliśmy przed siebie. Smród wulkanicznych wyziewów stawał się coraz mocniejszy. Moje tętno straciło idealny rytm. Serce waliło mi w piersi z każdym: „kwa, kwa, kwa, kwa”. Obawiałem się, że znam to miejsce. Powtarzałem sobie, że to niemożliwe. Nie mogliśmy obejść połowy globu. Ale to był Labirynt. Tu, na dole, odległości nie miały znaczenia. Ta płatanina korytarzy wiedziała, jak wykorzystać słabość swoich ofiar. Gorzej: miała złośliwe poczucie humoru.

- Widzę światło! - krzyknęła Meg.

Miała rację. Całkowita ciemność zmieniała się w mroczną szarość. Daleko przed nami tunel się kończył, otwierając się do wąskiej, podłużnej groty przypominającej komin wulkanu. Wyglądało to, jakby gigantyczny pazur przeciął korytarz i zrobił ranę w ziemi. Widziałem stworzenia z tak wielkimi

pazurami na dnie Tartaru. Nie miałem ochoty ponownie ich oglądać.

- Powinniśmy zawrócić - powiedziałem.

- To by było głupie - oznajmiła Meg. - Nie widzisz złotej poświaty? Tam jest jabłko.

Widziałem jedynie wirujące słupy popiołu i gazów.

- Ta poświata to może być lawa - odparłem. - Albo promieniowanie. Albo oczy. Świeące oczy to nigdy nic dobrego.

- To jest jabłko - upierała się Meg. - Wyczuwam jabłko.

- Och, nagle rozwinęłaś zmysły?

Meg pognęła naprzód, co pozostawiło mi niewielki wybór - ruszyłem z nią. Jak na małą dziewczynkę niezłe radziła sobie z rządzeniem się. Na końcu tunelu znaleźliśmy się na wąskiej półce. Klifowa ściana naprzeciwko znajdowała się raptem trzy metry od nas, ale szczelina zdawała się ciągnąć w dół w nieskończoność. Może jakieś trzydzieści metrów nad nami poszarpany komin otwierał się na *większą* grootę.

Miałem wrażenie, że przez gardło brnie mi boleśnie wielka kostka lodu. Nie widziałem nigdy tego miejsca od dołu, ale wiedziałem dokładnie, gdzie się znaleźliśmy. Staliśmy przy omfalosie - pępku starożytnego świata.

- Ty się trzęsiesz - powiedziała Meg.

Usiłowałem zakryć jej usta dłonią, ale ona natychmiast mnie ugryzła.

- Nie dotykaj mnie - warknęła.

- *Proszę*, bądź cicho.

- Dlaczego?

- Bo dokładnie nad nami... — Głos mi się załamał. — Delfy. Grota Wyroczeni.

Nozdrza Meg drżały jak u królika.

- To niemożliwe.

- Nie, nie niemożliwe - odszepnąłem. — A jeśli to są Delfy, to oznacza...

W górze rozległ się syk tak głośny, jakby cały ocean wlał się na patelnię i wyparował w kolosalnej chmurze. Półka się zatrzęsa. W dół posypały się kamyki. Nad nami potworne cielsko przesunęło się nad szczeliną, całkowicie zasłaniając wylot. Zapach zrzuconej węzowej skóry rozdarł mi nozdrza.

- Pyton. - Mój głos zabrzmiał o oktawę wyżej niż Meg. -  
On tu jest.

*Wołanie Bestii*  
*Powiedzcie mu, że mnie nie ma*  
*Gdzie? W śmieciach. Taa*

**CZY KIEDYKOLWIEK W ŻYCIU** byłem tak przerażony?

Może kiedy Tyfon pustoszył świat, rozgramiając bogów. Może kiedy Gaja wypuściła gigantów, żeby zrównali z ziemią Olimp. A może kiedy przypadkiem zobaczyłem Aresa nagiego w gimnazjone. To wystarczyło, żebym osiwiiał na całe stulecie.

Ale zawsze wtedy byłem bogiem. A teraz byłem słabym, małym śmiertelnikiem kulącym się w ciemności. Mogłem jedynie modlić się, żeby mój dawny wróg nie wyczuł mojej obecności. Raz w moim długim wspaniałym życiu pragnąłem być niewidzialny.

Och, dlaczego Labirynt przyprowadził mnie tutaj?

Kiedy tylko to pomyślałem, zbeształem sam siebie: *oczywiście*, że przyprowadził mnie w miejsce, w którym najmniej chciałem być. Austin mylił się w kwestii tej budowli. Labirynt nadal był zły i zaprojektowany do zabijania. Był teraz co najwyżej nieco bardziej wyrafinowany w swoich zabójstwach.

Meg jakby nie dostrzegąła zagrożenia. Nawet mając trzydzieści metrów nad sobą nieśmiertelnego potwora, potrafiła skupić się na zadaniu. Szturchnęła mnie i wskazała na wążiutką półkę na przeciwległej ścianie, gdzie radośnie świeciło złote jabłko.



Czy to Harley je tam *umieścić*? Nie wyobrażałem sobie tego. Podejrzywałem, że chłopak raczej po prostu wrzucił złote jabłka do różnych korytarzy, zakładając, że same znajdą najbardziej niebezpieczne miejsca, żeby się zatrzymać. Naprawdę zaczynałem go nie lubić.

- Prosty skok - szepnęła Meg.

Rzuciłem jej spojrzenie, które w innych okolicznościach spaliłoby ją na popiół.

- To zbyt niebezpieczne.

- Jabłko - syknęła.

- Potwór! - odsyknąłem.

- Raz.

- Nie!

- Dwa.

- Nie!

- Trzy. — Skoczyła.

Co oznaczało, że ja też skoczyłem. Wylądowaliśmy na półce, aczkolwiek nasze stopy strąciły deszcz kamieni w otchłań. Tylko moja wrodzona koordynacja i wdzięk ocaliły nas od śmiertelnego upadku. Meg chwyciła jabłko.

Nad nami rozległ się grzmiący głos potwora:

- Kto się zbliża?!

Jego głos... Bogowie w niebie, pamiętałem ten głos - głęboki i szorstki, jakby oddychał ksenonem, a nie powietrzem. O ile wiedziałem, tak właśnie było. Pyton z pewnością produkował niezłą dawkę niezdrowych gazów.

Potwór poruszył się. W szczelinę wpadły kolejne kamienie.

Stałem absolutnie bez ruchu, wciśnięty w zimną skałę. Bębenki uszne tętniły mi z każdym uderzeniem serca. Żałowałem, że nie jestem w stanie powstrzymać Meg od oddychania. Ze nie mogę zgasić błysków cyrkonii na jej okularach.

Pyton nas usłyszał. Modliłem się do wszystkich bogów, żeby potwór uznał hałas za nic ważnego. Zęby nas zabić,

wystarczyłoby, gdyby zionął w tę szczelinę. Przed jego zatrutym oddechem nie było ucieczki - nie z tej odległości, nie dla śmiertelników.

W tej samej chwili w jaskini nad nami rozległ się inny głos, cichszy i znacznie bardziej przypominający ludzki.

- Witaj, gadzi przyjacielu.

Omam nie rozplakałem się z ulgi. Nie miałem pojęcia, kim jest ten przybysz ani dlaczego był tak głupi, żeby anonsować się Pytonowi, ale zawsze doceniałem ludzi poświęcających dla mnie życie. Zwykła uprzejmość jeszcze nie umarła!

Chrapliwy głos Pytona przeszył mnie na wskroś dreszczem.

- No, zastanawiałem się, czy uda ci się tu dotrzeć, Monsieur Bestio.

-Nie nazywaj mnie tak — warknął ten człowiek. - A droga była dość prosta, odkąd Labirynt zaczął znowu działać.

- Jakże się cieszę. — Głos Pytona był suchy jak bazalt.

Nie mogłem powiedzieć wiele o głosie tamtego człowieka, ponieważ był stłumiony przez ileś tam ton gadziego ciała, brzmiał jednak spokojniej i z większym opanowaniem, niż brzmiałby mój, gdybym to ja rozmawiał z Pytonem. Określenie „Bestia” słyszałem w odniesieniu do kogoś już wcześniej, ale jak zwykle moje ludzkie możliwości mózgowie zawiodły.

Gdybym przynajmniej był w stanie zachować po prostu istotne informacje! Zamiast tego potrafiłem powiedzieć, co jadłem na deser, kiedy pierwszy raz zostałem zaproszony przez króla Minosa. (Pierniczki). Pamiętałem kolor chitonów, które mieli na sobie synowie Niobe, kiedy ich zabijałem. (Bardzo nietwarzowy odcień pomarańczowego). Nie byłem jednak zdolny przypomnieć sobie czegoś tak podstawowego jak to, czy ten Bestia był zapaśnikiem, gwiazdą filmową czy politykiem. Może wszystkim tym naraz?

Tuż obok mnie Meg sprawiała wrażenie zamienionej w spiż w poświęcie jabłka. Oczywiście miała wielkie ze strachu. Trochę na

to za późno, ale przynajmniej była cicho. Gdyby nie to, że swoje wiem, mógłbym pomyśleć, że głos tego człowieka przeraził ją bardziej niż głos potwora.

-A zatem, Pytonie - ciągnął człowiek - masz mi do przekazania jakieś wieszczę słowa?

- Wszystko w swoim czasie... mój panie.

Ostatnie słowa wymówił z rozbawieniem, ale nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek inny był w stanie to rozpoznać. Poza mną niewielu miało okazję być przedmiotem kpin Pytona i przeżyć, żeby móc o tym opowiadać.

-Potrzebuję czegoś więcej niż twoich zapewnień - powiedział mężczyzna. - Zanim będziemy kontynuować, muszę mieć wszystkie Wyrocznie pod naszą kontrolą.

*Wszystkie Wyrocznie.* Na te słowa omal nie spadłem z urwiska, ale jakoś udało mi się utrzymać równowagę.

-Wszystko w swoim czasie - odparł Pyton - tak jak było umówione. Doszliśmy do tego momentu, siedząc cicho, prawda? Nie pokazałeś się, kiedy tytani zaatakowali Nowy Jork. Ja nie ruszyłem na wojnę z gigantami Gai. Obaj wiedzieliśmy, że czas zwycięstwa jeszcze nie nadszedł. Musisz wykazać jeszcze trochę cierpliwości.

-Nie pouczaj mnie, wężu. Kiedy ty spałeś, ja budowałem imperium. Przez stulecia...

-Tak, tak. - Potwór westchnął, wywołując drżenie na całej długości klifu. - A jeśli chcesz, żeby to twoje imperium wyszło kiedykolwiek z cienia, musisz najpierw dotrzymać swojej części umowy. Kiedy zniszczysz Apollina?

Słumiłem krzyk. Nie powinienem być zaskoczony, że rozmawiali o mnie. Przez tysiąclecia zakładałem, że wszyscy zawsze o mnie gadają. Jestem tak interesujący, że po prostu nie potrafią się powstrzymać. Ale ten plan zniszczenia mnie - to mi się nie podobało.

Meg wyglądała na bardziej przerażoną, niż kiedykolwiek ją widziałem. Chciałem myśleć, że tak bardzo przejmuję się mną, ale czułem, że w równym stopniu martwiła się o siebie. Znów te pomieszane priorytety herosów.

Mężczyzna zbliżył się do szczeliny. Jego głos stał się wyraźniejszy i głośniejszy.

- Nie przejmuj się Apollinem. Jest dokładnie tam, gdzie chciałem go mieć. Jeszcze przyda się do naszych celów, a gdy już przestanie być użyteczny...

Nie zawracał sobie głowy dokończeniem tego zdania. Obawiałem się, że nie kończyło się czymś w rodzaju: „to damy mu ładny prezent i odeślemy do domu”. Z dreszczem przerażenia rozpoznałem głos z mojego snu. To był nosowy kpiący ton mężczyzny w purpurowym garniturze. Miałem też przeczucie, że słyszałem, jak on śpiewa wiele lat temu, ale to nie miało sensu... Dlaczego miałbym męczyć się na koncercie jakiegoś brzydkiego faceta w fioletach, który nazywał sam siebie Bestią? Nawet nie jestem fanem folk metalu!

Pyton poruszył się, zasypując nas kamieniami.

- A jak konkretnie zamierzasz go przekonać, żeby służył naszej sprawie?

Bestia zaśmiał się.

- Mam w obozie doskonale umieszczonego pomocnika, który posteruje Apollinem ku nam. A poza tym podbiłem stawkę. Apollo nie będzie miał wyboru. Razem z dziewczyną otworzą bramę.

Do moich nozdrzy dotarła woń wyziewów Pytona — wystarczyło, żebym poczuł zawroty głowy, ale miałem nadzieję, że mnie nie zabije.

- Ufam, że masz rację - powiedział potwór. - Twój osąd w przeszłości bywał... dyskusyjny. Zastanawiam się, czy wybrałeś właściwe narzędzia do tego zadania. Nauczyłeś się czegoś na wcześniejszych błędach?

Mężczyzna warknął tak głęboko, że mógłbym nieomal uwierzyć, że zmieniał się w bestię. Widziałem coś takiego niejedyn raz. Stojąca obok mnie Meg zachlipała.

- Słuchaj, przerośnięta gadzino - odparł mężczyzna - moim jedynym błędem było to, że nie paliłem wrogów dość szybko i dość często. Zapewniam cię, że jestem silniejszy niż kiedykolwiek. Moja organizacja sięga wszędzie. Moi towarzysze stoją w gotowości. Kiedy zdobędziemy kontrolę nad wszystkimi czterema Wyroczniami, będziemy mieli władzę nad samym przeznaczeniem!

- Cóż to będzie za chwalebny dzień. - Głos Pytona ociekał pogardą. - Ale wcześniej musisz zniszczyć piątą Wyrocznię, tak? To ta jedyna, której nie jestem w stanie opanować. Musisz podpalić gaj...

- W Dodonie - dokończyłem.

Te słowa wyskoczyły nieproszone z moich ust i poniosły się echem po otchłani. Ze wszystkich najgorszych momentów na odzyskanie strzępów informacji, ze wszystkich najgorszych momentów, żeby powiedzieć coś na głos... Och, ciało Lestera Papadopouloza było fatalnym miejscem do życia.

Rozmowa nad nami urwała się.

- Idiota - syknęła do mnie Meg.

- Co to był za dźwięk? - zapytał Bestia.

Zamiast odpowiedzieć: „Och, to tylko my”, zrobiliśmy coś jeszcze głupszego. Jedno z nas, Meg albo ja - osobiście winię ją - musiało poślizgnąć się na kamyku. Spadliśmy z półki prosto w siarkową chmurę pod nami.

*CHLUP.*

Labirynt niewątpliwie miał poczucie humoru.

Zamiast pozwolić nam roztrzaskać się na skalnym podłożu i zginąć, zrzucił nas na stertę mokrych, wypchanych śmieciami worków.

Jeśli liczycie, to był to drugi raz, odkąd zostałem człowiekiem, kiedy wylądowałem awaryjnie w śmieciach, czyli o dwa razy za dużo, niż powinno się przydarzyć jakiemukolwiek bogu.

Stoczyliśmy się z tej sterty szalonym trzynogim upadkiem. Wylądowaliśmy u jej stóp pokryci szlamem, ale jakimś cudem nadal żywi.

Meg usiadła, oblepiona warstwą fusów kawowych.

Ja zdjąłem z głowy skórkę z banana i rzuciłem ją na ziemię.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego ciągle wrzucasz nas na sterty śmieci?

- Ja? To ty straciłeś równowagę! - Meg ocierała sobie twarz bez większych sukcesów. W drugiej ręce ścisnęła drżącymi palcami złote jabłko.

- Wszystko w porządku? — zapytałem.

- Spox — odwarknęła.

Zdecydowanie nie była to prawda. Wyglądała, jakby właśnie przeszła przez nawiedzony dom Hadesa. (Podpowiedź eksperta: NIE RÓBCIE TEGO). Jej twarz była kredowo biała. Poza tym ugryzła się w wargę tak mocno, że zęby miała różowe od krwi. Wyczułem też słaby zapach moczu, co oznaczało, że któreś z nas przeraziło się tak, że straciło panowanie nad pęcherzem, a byłem na siedemdziesiąt pięć procent przekonany, że to nie ja.

- Ten człowiek na górze - powiedziałem. - Rozpoznałaś jego głos?

- Zamknij się. To rozkaz!

Usiłowałem odpowiedzieć, ale ku mojemu zdziwieniu okazało się, że nie jestem w stanie. Mój głos wykonał rozkaz Meg z własnej woli, co nie wróżyło dobrze. Postanowiłem odłożyć pytania o Bestię na później.

Rozejrzałem się dookoła. We wszystkich ścianach niewielkiej piwnicy widniały wyloty zsypów. Wkrótce ten po mojej prawej otwarł się i kolejny worek śmieci wylądował na stercie. Smród był tak mocny, że mógłby wypalić farbę na ścianach, gdyby ktokolwiek pomalował te pustaki. Mimo to było to lepsze od wdychania wyziewów Pytona. Jedyнным widocznym

wyjściem były metalowe drzwi oznaczone symbolem zagrożenia biologicznego.

- Gdzie my jesteśmy? — zapytała Meg.

Rzuciłem jej wściekle spojrzenie i czekałem.

- Możesz teraz mówić - dodała.

- Pewnie cię zaszokuję - odparłem - ale wygląda na to, że wylądowaliśmy w śmieciach.

- Ale gdzie?

- Może być gdziekolwiek. Labirynt krzyżuje się z podziemnymi miejscami na całym świecie.

- Jak Delfy. - Meg patrzyła na mnie tak, jakby nasza mała grecka wycieczka była moją winą, a nie... no, tylko pośrednio moją winą.

- To było niespodziewane — przyznałem. - Musimy porozmawiać z Chejronem.

- Co to jest Dodona?

- Wy-wyjaśnię wszystko później. — Nie chciałem, żeby Meg znów kazała mi się zamknąć. Nie chciałem również rozmawiać o Dodonie, póki byliśmy uwięzieni w Labiryncie. Skóra mnie swędziała, a nie sądziłem, żeby winę za to ponosił jedynie pokrywający ją lepki syrop. - Najpierw musimy się stąd wydostać.

Meg zerknęła za moje plecy.

- Ha, to nie było całkiem bez sensu.

Sięgnęła między śmieci i wyciągnęła stamtąd kolejne złote jabłko.

- Mamy kolejne jabłko.

- Fantastycznie. - Ostatnią rzeczą, jaką zamierzałem się przejmować, było ukończenie kretyńskiego biegu Harleya, ale to przynajmniej miało szanse ruszyć Meg z miejsca. - Dobra, może sprawdzimy, jakie to wspaniałe zagrożenia biologiczne czekają na nas za tymi drzwiami?

***Oni zaginęli?***

*Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie*

*Nie, i tak dalej*

**JEDYNYM ZAGROŻENIEM BIOLOGICZNYM, na** jakie natknęliśmy się po drugiej stronie, były wegańskie babeczki.

Po przejściu kilku oświetlonych pochodniami korytarzy wpadliśmy do zatłoczonej nowoczesnej piekarni, która wedle tablicy z cennikiem nosiła podejrzaną nazwę SUPER VEGAN. Nasz śmieciowo-wulkaniczny smród szybko wypłoszył klientów - większość z nich pognąła ku wyjściu, przy okazji depcząc mnóstwo bezlaktozowych i bezglutenowych wypieków. Zanurkowaliśmy za ladę, przebiegliśmy przez drzwi na zaplecze i znaleźliśmy się w podziemnym amfiteatrze wyglądającym na liczący wiele stuleci.

Rzędy kamiennych siedzeń otaczały wysypaną piaskiem arenę o rozmiarach nadających się w sam raz na walki gladiatorów. Z sufitu zwieszały się dziesiątki grubych żelaznych łańcuchów. Zastanawiałem się, jakie upiorne spektakle się tu odbywały, ale nie zatrzymaliśmy się na dłużej.

Wykuściliśmy z drugiej strony, prosto w pokręcone korytarze Labiryntu.



Do tego czasu opanowaliśmy sztukę trójnożnego biegania do perfekcji. Ilekroć zaczynałem czuć zmęczenie, wyobrażałem sobie Pytona pędzącego za nami i zionącego trującym gazem.

W końcu wypadliśmy za róg i Meg krzyknęła:

- Tam!

Na środku korytarza leżało trzecie złote jabłko.

Tym razem byłem zbyt wyczerpany, żeby przejmować się pułapkami. Sadziliśmy susami przed siebie, dopóki Meg nie dosięgła owocu.

Przed nami strop obniżał się, tworząc coś w rodzaju rampy. Świeże powietrze wypełniło mi płuca. Wspięliśmy się na sam szczyt, ale zamiast upojenia moje wnętrze zalało uczucie równie lodowate jak sok z wysypiska śmieci na skórze. Znaleźliśmy się na powrót w lesie.

- Nie tu - wymamrotałem. - Bogowie, nie.

Meg podskokami obróciła nas dookoła osi.

- Może to inny las.

To nie był inny las. Czułem zagniewany wzrok drzew; las rozciągał się po horyzont. Głosy zaczęły szeptać, jakby nasza obecność je obudziła.

- Szybko - powiedziałem.

Jak na zawołanie więzy wokół naszych nóg puściły. Pognaliśmy.

Nawet z rękami pełnymi jabłek Meg okazała się szybsza. Przemykała między drzewami, skręcała w prawo i lewo, jakby podążała jakimś szlakiem, który widziała tylko ona. Nogi mnie bolały, a pierś paliła, ale nie odważyłem się zwolnić.

Migoczące przed nami punkty światła okazały się pochodniami. W końcu wypadliśmy z lasu prosto w tłum herosów i satyrów.

Chejron przygalopował do nas.

- Bogom niech będą dzięki!

- Nie ma za co — wydyszałem, zasadniczo z przyzwyczajenia. - Chejronie... musimy porozmawiać.

W świetle pochodni twarz centaury wydawała się wyrzeźbiona z mroku.

- Owszem, przyjacielu. Ale na razie obawiam się, że brakuje jeszcze jednego zespołu... twoich dzieci Kayli i Austina. Chejron zmusił nas do wzięcia prysznic i zmiany ubrań. Inaczej pognałbym z powrotem prosto do lasu.

Kiedy się wykąpałem i przebrałem, Kayli i Austina nadal nie było.

Chejron wysłał patrole zwiadowcze driad do lasu, zakładając, że one będą bezpieczne na własnym terytorium, ale twarde zakazał herosom dołączyć do poszukiwań.

- Nie możemy ryzykować nikogo więcej - powiedział. - Kayla, Austin i... i pozostali zaginieni... Oni by tego nie chcieli.

Teraz brakowało już piątki herosów. Nie łudziłem się, że Kayla i Austin wrócą o własnych siłach.

Słowa Bestii wciąż dzwoniły mi w uszach: „Podbiłem stawkę. Apollo nie będzie miał wyboru”.

Wziął na celownik moje dzieci. Zapraszał mnie do poszukiwania ich i znalezienia bram ukrytej Wyroczni. Nadal tak wielu rzeczy nie rozumiałem: jak starożytny gaj z Dodony zdołał przenieść się tutaj, jaką „bramę” mógł posiadać, dlaczego Bestia uważał, że jestem w stanie tę bramę otworzyć, no i jak zwabił Austina i Kaylę. Było jednak coś, co wiedziałem: Bestia miał rację. Nie miałem wyboru. Musiałem odnaleźć moje dzieci... moich przyjaciół.

Byłbym zignorował ostrzeżenie Chejrona i pobiegł do lasu, gdyby nie rozpaczliwy krzyk Willa:

- Apollinie, jesteś mi potrzebny!

Po drugiej stronie łąki Will utworzył prowizoryczny szpital, gdzie na noszach leżało kilku rannych herosów. Chłopak rozpaczliwie usiłował opatrzeć Paola Montesa, podczas gdy Nico przytrzymywał wydzierającego się pacjenta.

Podbiegłem do Willa i skrzywiłem się na widok, który tam zastałem.

Paolo miał odciętą nogę.

- Przyszyłem ją. - Głos Willa drżał z wyczerpania. Jego fartuch był poplamiony krwią. — Potrzebuję kogoś, kto będzie monitorował jego stan.

Wskazałem na las.

- Ale...

- Wiem! — rzucił Will. — Nie wydaje ci się, że też chciałbym tam być i ich szukać? Brakuje nam uzdrowicieli. W tamtej torbie są maści i nektar. Ruszaj!

Zdumiał mnie jego ton. Uświadomiłem sobie, że przejmuję się losem Kayli i Austina tak samo jak ja. Jedyna różnica: Will znał swoje obowiązki. Musiał najpierw opatrzeć rannych. I potrzebował mojej pomocy.

- T-tak - odpowiedziałem. - Tak, oczywiście.

Chwyciłem torbę i zająłem się Paolem, który dogodnie zemdlał z bólu.

Will zmienił rękawiczki chirurgiczne i spojrzał gniewnie w kierunku lasu.

- Znajdziemy ich. Musimy ich znaleźć.

Nico di Angelo podał mu manierkę.

- Napij się. Teraz jesteś potrzebny tutaj.

Widziałem, że syn Hadesa też się gniewa. Trawa wokół jego stóp dymiła i wiała.

Will westchnął.

- Masz rację. Ale nie czuję się przez to lepiej. Muszę teraz nastawić złamaną rękę Valentyny. Pomożesz mi?

- Brzmi dość okropnie - odparł Nico. — Chodźmy.

Niańczyłem Paola Montesa, dopóki nie uzyskałem pewności, że nic mu nie będzie, po czym poprosiłem dwóch satyrów, żeby zanieśli jego nosze do domku Hebe.

Zrobiłem, co było w mojej mocy, żeby pomóc innym. Chiara miała lekkie wstrząśnienie mózgu, Billie Ng dostała ataku drgawek. Z pleców Holly i Laurel trzeba było wyciągnąć kawałki szrapnela, pozostałości po wybuchającym łańcuchowym frisbee.

Zgodnie z przewidywaniem bliźniaczki Victor zameldowały się na mecie jako pierwsze, ale zażądały dodatkowo informacji, która miała w ciele więcej odłamków, żeby móc się przechwalać. Powiedziałem im, że mają być cicho albo nigdy więcej nie pozwolę im nosić wieńców laurowych. (Jako posiadacz patentu na wieńce laurowe uważam to za moją prerogatywę).

Uznałem moje ludzkie umiejętności medyczne za znośne. Will Solące zdecydowanie mnie przewyższał, ale nie przejmowałem się tym aż tak jak porażkami w łucznictwie i muzyce. Podejrzewam, że przywykłem do bycia zaledwie drugim w lecznictwie. Mój syn Asklepios w wieku piętnastu lat został bogiem medycyny, a ja bardzo się z tego cieszyłem. Dzięki temu miałem więcej czasu na inne zainteresowania. A poza tym każdy bóg marzy, żeby mieć dziecko, które zostanie lekarzem.

Kiedy myłem się po wyciągnięciu odłamków, podszedł do mnie, powłócząc nogami, Harley obracający w rękach swoje światło naprowadzające. Oczy miał zapuchnięte od płaczu.

- To moja wina - wymamrotał. - To przeze mnie zaginęli. Przeprzepraszam.

Cały się trząsał. Uzmysłowiłem sobie, że ten chłopiec był śmiertelnie przerażony tym, co mógłbym mu zrobić.

Przez ostatnie dwa dni marzyłem, żeby znów budzić grozę w śmiertelnikach. W żołądku mi się gotowało ze złości i goryczy. Potrzebowałem kogoś, na kogo mógłbym zrzucić winę za

swoje kłopoty, za zniknięcia herosów, za moją niezdolność do naprawienia czegokolwiek.

Kiedy patrzyłem na Harleya, mój gniew wyparował. Tak, ja, Apollo, czułem... wstyd. Naprawdę, jest to zdarzenie tak bezprecedensowe, że powinno było rozedrzeć materię wszechświata.

- Wszystko w porządku - powiedziałem.

Pociągnął nosem.

- Trasa biegu zbczyła do lasu. Nie powinna była tego zrobić. Oni się zgubili i... i...

- Harley - położyłem rękę na jego dłoni - mogę obejrzeć tę twoją latarnię?

Zamrugał, żeby odgonić łzy. Podejrzewam, że bał się, iż mogę rozbić jego gadżet, ale podał mi go.

- Nie jestem wynalazcą - powiedziałem, obracając kółka zębate najostrożniej, jak umiałem. — Nie mam talentów twojego ojca. Ale znam się na muzyce. Wydaje mi się, że automatony preferują częstotliwość 329,6 herców dla e. To najlepiej współbrzmi z niebiańskim spizem. Jeśli dostroisz sygnał...

- To Festus może go usłyszeć? - Oczy Harleya zrobiły się okrągłe. - Naprawdę?

- Nie wiem - przyznałem. - Podobnie jak ty nie mogłeś wiedzieć, co dziś zrobi Labirynt. Ale to nie znaczy, że mamy zaprzestać prób. Nigdy nie porzucaj tworzenia wynalazków, synu Hefajstosa.

Oddałem mu latarnię. Przez krótką chwilę Harley wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Następnie przytulił się do mnie tak mocno, że omal nie połamał mi żeber, po czym odbiegł pędem.

Zająłem się pozostałymi rannymi, podczas gdy harpie oczyściły teren, zbierając bandażę, podarte ubrania i uszkodzoną broń. Powkładają złote jabłka do koszyka i obiecały nam upiec pyszną świecącą szarlotkę na śniadanie.

Na polecenie Chejrona pozostali herosi rozeszli się do swoich domków. Centaur obiecał im, że ogłosi dalszy plan działania rano, ale ja nie zamierzałem czekać.

Kiedy tylko znaleźliśmy się sami, zwróciłem się do Chejrona i Meg.

- Wyruszam na poszukiwanie Kayli i Austina - oznajmiłem. - Możecie się do mnie przyłączyć lub nie.

Mina Chejrona spoważniała.

- Mój przyjacielu, jesteś wyczerpany i nieprzygotowany. Wracaj do swojego domku. Nie ma sensu...

- Nie. - Zbyłem go machnięciem ręki jak niegdyś, kiedy byłem bogiem. Gest ten pewnie wyglądał żałośnie w wykonaniu szesnastoletniego nikogo, ale nie obchodziło mnie to. - Muszę to zrobić.

Centaur pochylił głowę.

- Powinienem być cię wysłuchać przed tym wyścigiem. Usiłowałem mnie ostrzec. Co... co takiego odkryłeś?

To pytanie zatrzymało mnie w miejscu jak pas bezpieczeństwa.

Po uratowaniu Shermana Yanga i wysłuchaniu Pytona w Labiryncie byłem pewny, że znam odpowiedzi. Przypomniała mi się nazwa Dodona i opowieści o mówiących drzewach...

Teraz jednak mój umysł stał się na powrót miską mętnej ludzkiej zupy. Nie mogłem sobie przypomnieć, czym się tak nakręcałem ani też co zamierzałem w tej kwestii zrobić.

Być może zmęczenie i stres zbierały żniwo. A może Zeus majstrował coś przy moim umyśle, pozwalając na kuszące przebłyski prawdy, a następnie odbierając mi je, zamieniając moje triumfalne „aha!” w niepewne „hę?”.

Zawyłem z frustracji.

- Nie pamiętam!

Meg i Chejron wymienili nerwowe spojrzenia.

- Nigdzie nie idziesz - powiedziała z mocą Meg.

- Że *co*? Nie możesz...

- To rozkaz - oznajmiła. - Żadnych wypraw do lasu, dopóki ja na to nie pozwolę.

Rozkaz wywołał dreszcz biegnący od podstawy mojej czaszki aż po pięty.

Wbiłem paznokcie w dłonie.

- Meg McCaffrey, jeśli moje dzieci zginą, ponieważ ty nie pozwoliłaś mi...

- Jak powiedział Chejron, tylko byś siebie zabił. Zaczekamy do rana.

Wyobraziłem sobie, jaką satysfakcję dałoby mi zrzucenie Meg z rydwanu słońca w samo południe. Mimo to jakaś nieduża racjonalna częśćka mnie zdawała sobie sprawę, że ona może mieć rację. Nie byłem w najlepszej kondycji do podejmowania jednoosobowych akcji ratowniczych. Ta świadomość tylko mnie bardziej rozgniewała.

Ogon Cbejrona kołysał się na boki.

- No cóż... Zobaczymy się rano. Z *najdziemy* jakieś wyjście. Obiecuję wam to.

Rzucił mi jeszcze jedno spojrzenie, jakby martwił się, że mogę zacząć biegać w kółko i wyć do księżycy. Następnie odtruchtał w kierunku Wielkiego Domu.

Spojrzałem krzywo na Meg.

- Zostaję tu na noc, na wypadek gdyby Kayla i Austin wrócili. Chyba że zamierzasz mi również *tego* zakazać.

Wzruszyła jedynie ramionami. Nawet jej wzruszanie ramionami było irytujące.

Wpadłem do mojego domku i porwałem trochę zapasów: lartarkę, dwa koce, manierkę z wodą. W ostatniej chwili dorzuciłem do tego kilka książek z półki Willa Solace'a. Nie zdziwiłem się, że miał mnóstwo dzieł o mnie, żeby dzielić się wiedzą z nowymi herosami. Pomyślałem, że może te książki pomogą

mi odzyskać wspomnienia. A jeśli nie, doskonale nadadzą się do podtrzymania ognia.

Kiedy wróciłem na skraj lasu, Meg nadal tam siedziała.

Nie spodziewałem się, że będzie ze mną czuwać. Ale będąc sobą, Meg zapewne uznała, że w ten sposób najbardziej mnie wkurzy.

Usiadła obok mnie na kocu i zaczęła pogryzać złote jabłko, które ukryła pod kurtką. Zimowa mgiełka unosiła się wśród drzew. Wieczorna bryza kołysała trawą, układając ją w falujące wzory.

W innych okolicznościach napisałbym o tym wiersz. W obecnym stanie umysłu mógłbym co najwyżej ułożyć lament żałobny, a nie miałem ochoty myśleć o śmierci.

Usiłowałem gniewać się na Meg, ale nie udawało mi się. Podejrzewałem, że troszczyła się o moje dobro... a przynajmniej nie zamierzała patrzeć, jak jej nowy boski służący pozwala się zabić.

Nie próbowała mnie pocieszać. Nie zadawała pytań. Bawiła się podnoszeniem kamyków i rzucaniem ich między drzewa. To mi nie przeszkadzało. Z radością sprezentowałbym jej katapultę, gdybym tylko jakąś posiadał.

Noc upływała, a ja czytałem o sobie w książkach Willa.

Zazwyczaj byłoby to miłe zadanie. Jestem, jakkolwiek patrzeć, fascynującym tematem. Tym razem jednak lektura o moich wspaniałych wyczynach nie sprawiła mi satysfakcji. Wszystkie wydawały się przesadą, kłamstwem i... no, mitami. Niestety znalazłem rozdział o Wyroczniach. Tych kilka stron poruszyło moją wyobraźnię, potwierdzając najgorsze podejrzenia.

Byłem zbyt zły, żeby być przerażony. Wpatrywałem się w las i niechby te szepczące głosy śmiały mi się sprzeciwić. *Chodźcie - myślałem. - Zabierzcie też mnie.* Drzewa milczały. Kayla i Austin nie wrócili.



Nad ranem zaczął padać śnieg. Dopiero wtedy Meg się odezwała.

- Powinniśmy się schować.

- I zostawić ich?

- Nie bądź głupi. - Śnieg pokrywał białymi płatkami kaptur jej zimowej kurtki. Nie widziałem jej twarzy, jeśli nie liczyć czubka nosa i błysku cyrkonii w oprawkach okularów. - Zamarzniesz tutaj.

Zauważyłem, że ona sama nie narzekała na zimno. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek było jej źle, czy też moc Demeter zapewniała jej bezpieczeństwo w zimie jak pozbawionemu liści drzewu albo ziarnu ukrytemu w ziemi.

- To były moje dzieci. - Użycie czasu przeszłego zabolowało, ale Kayla i Austin wydawali się zaginioni na dobre. - Powiniennem być zrobić więcej, żeby je chronić. Powiniennem być przewidzieć, że moi nieprzyjaciele uderzą w nie, żeby mnie zabolowało.

Meg rzuciła kolejny kamyk w drzewa.

- Masz mnóstwo dzieci. Czujesz się winny, ilekroć którekolwiek z nich ma kłopoty?

Odpowiedź brzmiała: „Nie”. Przez tysiąclecia ledwie byłem w stanie spamiętać imiona moich dzieci. Jeśli zdarzyło mi się wysłać im na urodziny kartkę albo czarodziejski flet, to byłem całkiem zadowolony z siebie. Czasem nie orientowałem się, że któreś z nich nie żyje od dziesięcioleci. W czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej zaniepokoiłem się o mojego syna Ludwika XIV, Króla Słońce, po czym sprawdziłem i okazało się, że zmarł siedemdziesiąt pięć lat wcześniej.

Teraz jednak miałem sumienie śmiertelnika. Moje poczucie winy najwyraźniej rozwinęło się odwrotnie proporcjonalnie do długości życia. Nie byłem w stanie wytłumaczyć tego Meg. Ona nigdy nie zrozumie. Zapewne po prostu rzuci we mnie kamieniem.

To moja wina, że Pyton przejął na powrót Delfy - powiedziałem. - Gdybym go zabił w chwili, kiedy się ponownie pojawił, póki byłem jeszcze bogiem, nigdy nie uzyskałby takiej mocy. Nigdy nie zawiązałby sojuszu z tym... tym *Bestią*.

Meg spuściła głowę.

- Ty go znasz — domyśliłem się. — W Labiryncie przeraziłaś się, kiedy usłyszałaś głos Bestii.

Bałem się, że może mi znów kazać się zamknąć. Ona jednak w milczeniu gładziła półksiężycy swoich złotych pierścieni.

- Meg, on chce mnie *zniszczyć* - powiedziałem. - On w jakiś sposób stoi za tymi zniknięciami. Im lepiej zrozumiemy tego człowieka...

- On mieszka w Nowym Jorku.

Czekałem. Nie było łatwo uzyskać wiele informacji od czubka kaptura Meg.

- Dobra - odparłem. — To zawęży poszukiwania do ośmiu i pół miliona ludzi. Co poza tym?

Meg skubała odciski na palcach.

- Jeśli jesteś herosem z ulicy, to usłyszysz o Bestii. On porywa podobnych do mnie.

Na moim karku stopił się płatek śniegu.

- Porywa... dlaczego?

- Żeby ich uczyć — powiedziała Meg. - żeby ich używać jako... służących, żołnierzy. Nie wiem.

- Ale spotkałaś go.

- Proszę, nie pytaj mnie...

- Meg.

- On zabił mojego tatę.

Jej głos był cichy, ale słowa uderzyły mnie mocniej niż kamień w twarz.

- Meg, ja... bardzo mi przykro. Jak...?

- Odmówiłam pracy dla niego - odparła. - Tato usiłował...

Zacisnęła pięści.

- Byłam naprawdę mała. Ledwie to pamiętam. Uciekłam. Inaczej Bestia zabiłby też mnie. Wziął mnie do siebie ojczym. Był dla mnie dobry. Pytałeś, dlaczego uczył mnie walki. Dlaczego dał mi te pierścienie. Chciał, żebym była bezpieczna, żebym była w stanie się bronić.

- Przed Bestią.

Kaptur opadł jeszcze niżej.

- Bądź dobrym herosem, ćwicz ciężko... to jedyny sposób, żeby trzymać Bestię z daleka. Teraz już wiesz.

Prawdę mówiąc, miałem teraz więcej pytań niż wcześniej, ale czułem, że Meg nie ma ochoty na dalsze zwierzenia. Przypomniała mi się jej mina, kiedy staliśmy na tej półce pod grotą delficką - jej spojrzenie pełne absolutnego przerażenia, kiedy rozpoznała głos Bestii. Nie wszystkie potwory są trzytonowymi gadami o trującym oddechu. Wiele z nich ma ludzkie twarze.

Spojrzałem w głąb lasu. Gdzieś tam piątka herosów służyła za przynętę. Wśród nich było dwoje moich dzieci. Bestia chciał, żebym ich szukał, a ja zamierzałem to zrobić. Ale nie mogłem pozwolić, żeby mnie wykorzystał.

„Mam w obozie doskonale umieszczonego pomocnika”, powiedział Bestia.

To mnie niepokoiło.

Z doświadczenia wiedziałem, że każdego herosa da się zwrócić przeciwko Olimpowi. Leżałem przy stole biesiadnym, kiedy Tantal usiłował otruć bogów, karmiąc nas potrawką ze swojego poćwiartowanego syna. Widziałem, jak król Mitrydates sprzymierzył się z Persami i wybił wszystkich Rzymian w Anadolii. Byłem świadkiem tego, jak królowa Klitajmestra w morderczym transie zamordowała swojego męża Agamemnona tylko dlatego, że złożył mi małą ludzką ofiarę. Herosi to nieprzewidywalna banda.

Zerknąłem na Meg. Zastanawiałem się, czy potrafiłaby mnie okłamać - czy była jakimś szpiegiem. Wydawało mi się to mało

prawdopodobne. Była zbyt buntownicza, impulsywna i irytująca, żeby stanowić dobrego kreta. A poza tym technicznie byli moją panią. Mogłaby rozkazać mi wykonać niemal dowolne zadanie, a ja musiałbym jej posłuchać. Gdyby to ona miała mnie zniszczyć, to już byłbym martwy.

Może Damien White... syn Nemezis był naturalnym kandydatem do zadania ciosu w plecy. Albo Connor Hood, Alice lub Julia... Syn Hermesa niedawno zdradził bogów, pracując dla Kronosa. Mogłyby zrobić to samo. A może śliczna Chianta, córka Tyche, sprzymierzyła się z Bestią. Dzieci szczęścia to urodzeni hazardziści. Prawda była taka, że nie miałem pojęcia.

Niebo zmieniało się z czarnego w szare. Usłyszałem dalekie *bum, bum, bum* — szybki, niesłabnący puls, który stawał się coraz głośniejszy. Z początku obawiałem się, że to może być krew w mojej głowie. Czy ludzkim mózgom zdarza się wybuchać od nadmiaru zmartwień? Potem uzmysłowiłem sobie, że ten hałas jest mechaniczny i nadchodzi z zachodu. Był to zdecydowanie nowoczesny dźwięk łopatek wirnika przecinających powietrze.

Meg uniosła głowę.

- Czy to helikopter?

Wstałem.

Maszyna była teraz widoczna - ciemnoczerwony Bell 412 leciał na północ wzdłuż wybrzeża. (Podróżując po niebie tak często jak ja, zdobywa się wiedzę o latających maszynach). Na boku helikoptera wymalowane było jasnozielone logo z literami D.B.

Mimo że czułem się bardzo nieszczęśliwy, dostrzegłem iskierkę nadziei. Satyrowie Miliard i Herbert najwyraźniej zdołali przekazać informację.

- To - odpowiedziałem Meg - jest Rachel Elizabeth Dare. Chodźmy przekonać się, co ma do powiedzenia Wyrocznia Delftcka.

*Nie zamalowuj bogów  
Remont to jeszcze nie powód  
To zdrowy rozsądek, jakby*

**RACHEL ELIZABETH DARE** była jedną z moich ulubionych śmiertelniczek. Od kiedy została Wyrocznią dwa lata temu, nadała tej profesji nowe życie i energię.

Oczywiście poprzednia Wyrocznia była zeschniętą mumią, więc poprzeczka chyba nie była zawieszona wysoko. Niezależnie od tego poczułem się uskrzydłony, kiedy helikopter Dare Enterprises zniżył lot tuż za wschodnimi wzgórzami, za granicą obozu. Zastanawiałem się, co Rachel powiedziała ojcu - babcinnie bogatemu deweloperowi - żeby przekonać go do pożyczania helikoptera. Wiedziałem, że Rachel potrafi być bardzo przekonująca.

Pobiegłem przez łąkę, a Meg pospieszyła za mną. Wyobrażałem sobie już, jak Rachel będzie wyglądała, kiedy pojawi się na wzgórzu: kręcone rude włosy, radosny uśmiech, bluzka poplamiona farbą i dżinsy pokryte bazgrołami. Potrzebowałem jej poczucia humoru, mądrości i odporności. Wyrocznia wszystkich nas rozweseli. A najważniejsze: rozweseli mnie.

Nie byłem przygotowany na rzeczywistość. (Co znowu było zdumiewającą niespodzianką. Zazwyczaj to rzeczywistość przygotowuje się *na mnie*).

Rachel spotkała się z nami na wzgórzu, w pobliżu wejścia do swojej jaskini.

Dopiero później zorientowałem się, że nie było z nią dwóch satyrów - posłańców Chejrona - i zacząłem się zastanawiać, co się z nimi stało.

Panna Dare wyglądała na chudsza i starsza - mniej jak licealistka, bardziej jak młoda żona chłopca z dawnych czasów, spracowana i wymizerowana z powodu braku jedzenia. Jej rude włosy straciły blask. Otaczały jej twarz jak zasłona z ciemnej miedzi. Piegi zbladły i wyglądały jak znaki wodne. Zielone oczy nie błyszczały. No i miała na sobie sukienkę - białą, bawełnianą — oraz biały szal i kurtkę w kolorze zielonej patyny. Rachel nigdy nie nosiła sukienek.

- Rachel? — Nie odważyłem się powiedzieć nic więcej. Ona nie była sobą.

Po czym przypomniałem sobie, że ja również.

Przyglądała się moim nowym ludzkim kształtom. Opuściła ramiona.

- A więc to prawda.

Poniżej rozległy się głosy innych obozowiczów. Niewątpliwie obudził ich dźwięk helikoptera i teraz wyskakiwali z domków i zbierali się pod wzgórzem. Nikt jednak nie próbował się ku nam wspinać. Może wyczuwali, że wszystko jest nie w porządku.

Helikopter uniósł się nad Wzgórzem Herosów. Skręcił ku zatoce Long Island, przelatując tak blisko Ateny Partenos, że obawiałem się, by jego płozy nie zawadziły o skrzydlaty hełm bogini.

Odwrociłem się do Meg.

-Powiesz innym, że Rachel potrzebuje prywatności? Przeprowadź Chejrona. On powinien tu przyjść. Reszta niech poczeka.

Meg nie przywykła do spełniania moich poleceń. Po części spodziewałem się, że mnie kopnie. Ona jednak zerknęła nerwowo na Rachel, obróciła się i poczłapała w dół wzgórza.

- Twoja przyjaciółka? - zapytała Rachel.

- To długa historia.

- Aha - powiedziała. - Ja też mam taką historię.

- Porozmawiamy w twojej grocie?

Rachel zacisnęła wargi.

-Nie spodoba ci się tam. Ale tak, to prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsce.

Jaskinia nie była tak przytulna, jak zapamiętałem.

Kanapy były powywracane. Stolik miał złamaną nogę. Podłogę zaśmiecały sztalugi i płótna. Nawet trójnóg Rachel, tron samej prorokini, leżał przewrócony na stercie poplamionych farbą płacht.

Najbardziej niepokojący był stan ścian. Odkąd Rachel się tu rozgościła, malowała na nich, podobnie jak jej dawni przodkowie jaskiniowcy. Spędzała długie godziny nad skomplikowanymi muralami przedstawiającymi wydarzenia z przeszłości, obrazy z przyszłości, które widziała w przepowiedniach, ulubione cytaty z książek i muzyki oraz abstrakcyjne wzory tak dobre, że M.C. Escher dostałby od nich zawrotów głowy. Dzięki tej sztuce grotę sprawiała wrażenie mieszanki pracowni artysty, psychodelicznej nory i pokrytego graffiti przejścia podziemnego. Uwielbiałem ją.

Teraz jednak większość malunków była zamazana byle jak położoną warstwą białej farby. Na leżącej obok tacy w skorupie farby tkwił wałek malarski. Ewidentnie Rachel zamalowała własne prace wiele miesięcy temu i od tego czasu tu nie wracała.

Machnęła niemrawo ręką.

- Dopadła mnie frustracja.

- Twoja sztuka... - Gapiłem się na białe pole. - Był tu mój piękny portret... o, tutaj.

Wszelkie niszczenie sztuki obraża mnie, zwłaszcza jeśli ta sztuka przedstawia mnie.

Rachel zrobiła zawstydzoną minę.

- Ja... myślałam, że biała ściana pomoże mi myśleć. - Z jej tonu wywnioskowałem, że pobielenie ściany nic nie dało. Mogłem ją uprzedzić, że tak będzie.

We dwójkę posprzątaaliśmy nieco. Zaciągnęliśmy kanapy na miejsce, tworząc rodzaj salonu. Rachel pozostawiła trójnóg tam, gdzie leżał.

Kilka minut później wróciła Meg. Za nią przybył Chejron w pełnym kształcie centaury, schylając głowę, żeby zmieścić się w wejściu. Zastali nas siedzących przy chwiejnym stoliku jak cywilizowani jaskiniowcy, popijających mrożoną herbatę i pogryzających stęchłe krakersy z wyroczniowej spiżarni.

- Rachel. - Chejron westchnął z ulgą. - Gdzie są Miliard i Herbert?

Skłoniła głowę.

- Przybyli do mojego domu ciężko ranni. I... nie przeżyli. Może to była gra porannego światła za nim, ale wydawało mi się, że widzę nowe siwe włosy pojawiające się w brodzie Chejrona. Centaur przytruchtał do nas i położył się na ziemi, na podkulonych nogach. Meg usiadła obok mnie na kanapie.

Rachel pochyliła się i splotła palce, jak wtedy kiedy wypowiedziała przepowiednię. Miałem trochę nadzieję, że duch Delf ją opanuje, ale nie było dymu, nie było syczenia, nie było chrapliwego głosu znamionującego boskie opętanie. Było to trochę rozczarowujące.

- Wy najpierw - zwróciła się do nas. - Opowiedzcie, co się tutaj dzieje.



Poinformowaliśmy ją o zniknięciach i tarapatach, w jakich znaleźliśmy się z Meg. Opowiedziałem o wyścigu na trzech nogach i naszej niezaplanowanej wycieczce do Delf.

Chejron pobladł.

- Nic o tym nie wiedziałem. Udaliście się do Delf?

Rachel wpatrywała się we mnie z niedowierzaniem.

- Delfy. Zobaczyłeś Pytona i...

Miałem wrażenie, że chciała powiedzieć: „i nie zabiłeś go?”. Ale powstrzymała się.

Czułem się, jakbym stał twarzą do ściany. Może Rachel mogłaby wymazać mnie białą farbą. Zniknięcie byłoby mniej bolesne niż spoglądanie sobie w twarz.

- Na razie - powiedziałem - nie jestem w stanie pokonać Pytona. Jestem zdecydowanie za słaby. No i... jest jeszcze paragraf 88.

Chejron sączył swoją herbatę.

- Apollo ma na myśli to, że nie można nikogo wysłać na misję bez przepowiedni, a nie jesteśmy w stanie uzyskać przepowiedni bez Wyroczeni.

Rachel wpatrywała się w przewrócony trójnóg.

- A ten człowiek... Bestia. Co o nim wiecie?

- Niewiele. - Opowiedziałem o tym, co widziałem w śnie, i o tym, co razem z Meg podsłuchaliśmy w Labiryncie. - Bestia słynie ponoć z porwania młodych herosów w Nowym Jorku. Meg mówi... — Urwałem na widok jej miny, wyraźnie ostrzegającej mnie przed zapuszczeniem się w jej osobistą historię. — Eee, ona ma pewne doświadczenia z Bestią.

Chejron uniósł brwi.

- Możesz powiedzieć nam cokolwiek, co mogłoby pomóc, kochanie?

Meg zapadła się w poduszki sofy.

- Nasze ścieżki się skrzyżowały. On jest... przerażający. Moje wspomnienia są niewyraźne.

- Niewyraźne - powtórzył Chejron.

Meg nagle zaczęła okazywać wielkie zainteresowanie okruszkom na swojej sukience.

Rachel posłała mi pytające spojrzenie. Pokręciłem głowę, usiłując z całych sił włożyć w ten gest ostrzeżenie: „Trauma. Nie pytaj. Możesz zostać zaatakowana p’rzez śliwkowe niemowlę”.

Rachel chyba zrozumiała.

- Nie ma problemu, Meg - powiedziała. - Mam pewne informacje, które mogą okazać się pomocne.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki telefon.

- Nie dotykajcie tego. Zapewne już na to wpadliście, ale telefony wariują teraz jeszcze bardziej niż normalnie w obecności herosów. Zasadniczo nie jestem jedną z was, a nawet ja nie jestem w stanie dzwonić. Udało mi się za to zrobić parę zdjęć. - Odwróciła ku nam ekran. - Rozpoznajesz to miejsce, Chejronie?

Nocne zdjęcie ukazywało górne piętra w szklanym wieżowcu mieszkalnym. Sądząc z tła, znajdował się on gdzieś na dolnym Manhattanie.

- To jest budynek, który opisywałaś ostatniego lata - powiedział Chejron - kiedy negocjowałaś z Rzymianami.

- Aha - przytaknęła Rachel. - Coś mi się nie zgadzało z tym miejscem. Zaczęłam o tym myśleć... jak Rzymianom udało się załatwić taką drogą siedzibę na Manhattanie w tak krótkim czasie? Kto jest właścicielem? Usiłowałam skontaktować się z Reyną, sprawdzić, czy może mi cokolwiek powiedzieć, ale...

- Problemy z łącznością? - domyślił się Chejron.

- Tak właśnie. Wysłałam nawet zwykły list na skrytkę pocztową Obozu Jupiter w Berkeley. Nie dostałam odpowiedzi. Poprosiłam więc prawników taty, żeby trochę poszperali.

Meg zerknęła na nią znad okularów.

- Twój tato ma prawników? I helikopter?

- Kilka helikopterów. - Rachel westchnęła. - Jest okropny. W każdym razie ten budynek jest własnością firmy krzaka, która jest własnością kolejnej podstawionej firmy, bla, bla, bla. Firma matka to coś, co się nazywa Holding Triumwirat.

Poczułem strumyczek czegoś, co przypominało białą farbę, spływający mi po plecach.

- Triumwirat...

Meg zrobiła kwaśną minę.

- Co to znaczy?

- Triumwirat to rządząca rada trzech - powiedziałem. - A w każdym razie tym był w starożytnym Rzymie.

- Co jest interesujące - dodała Rachel - ze względu na następne zdjęcie.

Dotknęła ekranu. Kolejna fotografia ukazywała zbliżenie tarasu na najwyższym piętrze budynku, gdzie stały, rozmawiając, trzy niewyraźne postacie - mężczyźni w biznesowych garniturach, oświetleni jedynie światłem padającym ze środka apartamentu. Nie widziałem ich twarzy.

- To właściciele Holdingu Triumwirat - wyjaśniła Rachel. - Zrobienie tego zdjęcia nie było łatwe. - Zdmuchnęła lok włosów z twarzy. - Poświęciłam ostatnie dwa miesiące na śledzenie ich, a nawet nie znam ich nazwisk. Nie wiem, gdzie mieszkają ani skąd pochodzą. Ale mogę wam za to powiedzieć, że posiadają tyle nieruchomości i pieniędzy, że przy nich firma mojego taty wygląda jak kiosk z lemoniadą.

Wpatrywałem się w zdjęcie trzech niewyraźnych postaci. Prawie wyobrażałem sobie, że ten po lewej to Bestia. Jego nie dbała poza i przerośnięta głowa przypominały mi faceta w purpurze z mojego snu.

- Bestia powiedział, że jego organizacja jest wszędzie - przypomniałem sobie. - Wspominał, że ma kolegów.

Chejron machnął ogonem, posyłając pędzel na drugi koniec pomieszczenia.

- Dorośli herosi? Nie wyobrażam sobie, żeby byli Grekami, ale może to Rzymianie? Jeśli pomagali Oktawianowi w jego wojnie...

- Och, pomagali - odparła Rachel. - Udało mi się znaleźć dokumenty... nie jest tego dużo, ale pamiętacie maszyny oblężnicze, które Oktawian budował, żeby zniszczyć Obóz Herosów?

- Nie - oznajmiła Meg.

Byłbym ją zignorował, ale Rachel była bardziej wyrozumiała.

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Wybacz, Meg. Wydajesz się tu tak na miejscu, że zapomniałam, że jesteś nowa. Chodzi zasadniczo o to, że rzymscy herosi zaatakowali ten obóz ogromnymi katapultami zwanyymi onagerami. Wszystko to było jednym wielkim nieporozumieniem. W każdym razie Holding Triumwirat zapłacił za te maszyny.

Chejron zmarszczył brwi.

- To zła wiadomość.

- Znalazłam coś jeszcze bardziej niepokojącego — ciągnęła Rachel. - Pamiętacie, jak jeszcze wcześniej, podczas wojny z tytanami, Luke Castellan wspomniał, że ma sponsorów wśród śmiertelników? Posiadali dość pieniędzy, żeby kupić mu statek wycieczkowy, helikoptery, broń. Wynajmowali nawet ludzkich najemników.

- Tego też nie pamiętam - oznajmiła Meg.

Przewróciłem oczami.

- Meg, nie możemy zatrzymywać się i opowiadać ci o każdej większej wojnie! Luke Castellan był synem Hermesa. Zdradził ten obóz i sprzymierzył się z tytanami. Zaatakowali Nowy Jork. Była wielka bitwa. Wygrana dzięki mnie. I tak dalej.

Chejron odchrząknął.

- Ja z pewnością pamiętam, jak Luke przechwalał się, że ma mnóstwo zwolenników. Nigdy nie dowiedzieliśmy się dokładnie, kim byli.

- Teraz wiemy - powiedziała Rachel. — Ten statek wycieczkowy, Księżniczka Andromeda, był własnością Triumwiratu.

Ogarnęło mnie uczucie lodowatego niepokoju. Czułem, że powinienem coś na ten temat wiedzieć, ale mój ludzki umysł znów mnie zdradzał. Byłem więcej niż pewny, że Zeus igrał sobie ze mną, ograniczając moje wizje i pamięć. Przypomniały mi się jednak zapewnienia, które składał mi Oktawian - jak łatwo będzie wygrać tę jego małą wojnę, wznieść dla mnie nowe świątynie, ile miał wsparcia.

Ekran telefonu Rachel pociemniał - zupełnie jak mój umysł - ale ziarniste zdjęcie było wypalone na moich siatkówkach.

- Ci ludzie... - Podniosłem pustą tubkę po sienie palonej. - Obawiam się, że oni nie są współczesnymi herosami.

Rachel zmarszczyła czoło.

- Myślisz, że są starożytnymi herosami, którzy przybyli przez Wrota Śmierci, jak Medea czy Midas? Problem w tym, że Holding Triumwirat istniał już, zanim Gaja zaczęła się budzić. Co najmniej od dziesięcioleci.

- Od stuleci - poprawiłem. - Bestia powiedział, że buduje swoje imperium od stuleci.

W jaskini zapanowała taka cisza, że wyobraziłem sobie syk Pytona, ciche wydychanie oparów przez głębię ziemi. Żałowałem, że nie mamy muzyki, która byłaby to w stanie zagłuszyć... jazzu albo klasyki. Pogodziłbym się nawet z folk metalem.

Rachel pokręciła głową.

- W takim razie kto...?

- Nie wiem - przyznałem. - Ale Bestia... w moim śnie nazwał mnie swoim przodkiem. Zakładał, że go rozpoznam. I gdyby moja boska pamięć była nienaruszona, pewnie bym rozpoznał. Jego sposób bycia, jego akcent, rysy twarzy... ja go wcześniej spotkałem, ale nie w czasach współczesnych.

Meg siedziała bardzo cicho. Miałem wyraźne wrażenie, że usiłowała zniknąć między poduszkami kanapy. W normalnych okolicznościach nie przejmowałbym się tym, ale po naszych doświadczeniach w Labiryncie czułem się winny, ilekroć wspominałem Bestię. Moje upierdliwe ludzkie sumienie znów dawało o sobie znać.

-Ta nazwa... Triumwirat... - Uderzyłem się w czoło, usiłując wytrząsnąć z głowy informacje, których w niej nie było. - Ostatni triumwirat, z którym miałem do czynienia, składał się z Lepidusa, Marka Antoniusza i mojego syna, oryginalnego Oktawiana. Triumwirat to bardzo rzymski koncept... podobnie jak patriotyzm, machlojki i zabójstwa.

Chejron gładził się po brodzie.

-Sądysz, że ci ludzie są starożytnymi Rzymianami? Ale jak to możliwe? Hades nieźle sobie radzi z odszukiwaniem duchów zbiegłych z Podziemia. Nie pozwoliłby trzem facetom ze starożytności szaleć po nowożytnym świecie przez stulecia.

-Tego znowu nie wiem. - Powtarzanie tej frazy tak często raniło moje boskie uczucia. Uznałem, że kiedy wrócę na Olimp, wypłuczę ten wstrętny smak z ust za pomocą nektaru o smaku tabasco. - Ale wydaje się, że ci ludzie spiskowali przeciwko nam od bardzo dawna. Sfinansowali wojnę Luke'a Castellana. Wsparli Obóz Jupiter, kiedy Rzymianie zaatakowali Obóz Herosów. I pomimo tych dwóch wojen Triumwirat nadal trwa, nadal knuje. Co jeśli ta firma jest główną przyczyną.. no, wszystkiego?

Chejron spojrzał na mnie, jakbym kopał jego grób.

-To bardzo niepokojąca myśl. Czy trójka ludzi może być tak potężna?

Rozłożyłem ręce.

-Żyjesz dość długo, żeby to wiedzieć, przyjacielu. Bogowie, potwory, tytani... oni zawsze są niebezpieczni. Ale największym zagrożeniem dla herosów byli zawsze inni herosi.

Kimkolwiek są ci, którzy tworzą ten Triumwirat, musimy ich powstrzymać, zanim obejmą władzę nad Wyroczniami.

Rachel wyprostowała się.

- Przepraszam? Wyroczniami w liczbie mnogiej?

- Ach... nie mówiłem ci o nich, kiedy byłem bogiem?

Jej oczy odzyskały część swojej ciemnozielonej energii. Obawiałem się, że obmyślała sposoby sprawienia mi cierpień za pomocą swoich narzędzi malarskich.

- Nie - powiedziała sucho - nie powiedziałeś mi o nich nic.

- Och... no dobra, moja ludzka pamięć jest zawodna, wiesz. Musiałem przeczytać parę książek, żeby...

- Wyrocznie - powtórzyła. - Liczba mnoga.

Wzięłem głęboki oddech. Chciałem ją zapewnić, że te pozostałe Wyrocznie nic dla mnie nie znaczą! Rachel jest specjalna! Niestety wątpiłem, czy w obecnym stanie ona to doceni. Uznałem, że lepiej będzie wyłożyć kawę na ławę.

- W starożytności - zacząłem - było wiele Wyroczni. Oczywiście Delfy były najsłynniejsze, ale istniały jeszcze cztery o porównywalnej potędze.

- Ale one zostały zniszczone wiele stuleci temu. - Chejron pokręcił głową.

- Też tak myślałem. Ale teraz nie jestem już pewny. Obawiam się, że Triumwirat chce opanować wszystkie starożytne Wyrocznie. I obawiam się, że najstarsza z nich wszystkich, gaj Dodony, znajduje się tu, w Obozie Herosów.



*Spalmy*

*jakąś*

*W swoim żywi  
Wyrocznie  
Rzymianie znienawidzą*

### **BYŁEM BOGIEM LUBIĄCYM DRAMATYZM.**

Myślałem, że moje ostatnie oświadczenie to znakomita kwestia. Spodziewałem się krzyków, może jakiejś muzyki organowej w tle. Może światła zgasną, zanim zdołam powiedzieć coś jeszcze. I chwilę później zostanę znaleziony z nożem w plecach. To byłoby ekscytujące!

Zaraz. Jestem śmiertelnikiem. Zabójstwo mnie zabije. Zapomnijcie o tym.

Tak czy owak, nic takiego nie nastąpiło. Trójka moich towarzyszy jedynie gapiła się na mnie.

-Cztery inne Wyrocznie - powiedziała w końcu Rachel. - Czyli masz jeszcze cztery inne Pytie...

-Nie, moja droga. Pytia jest tylko jedna - i ty nią jesteś. Delfy są absolutnie wyjątkowe.

Rachel nadal wyglądała, jakby chciała wbić mi w nos pędzel numer dziesięć.

- A zatem te pozostałe cztery niewyjątkowe Wyrocznie...

-Cóż, jedna to była Sybilla Kumańska. - Otarłem pot z dłoni. (Dlaczego ludzkie dłonie się pocią?) - Wiesz, napisała Księgi



Sybillińskie te przepowiednie, które zna na pamięć harpia Ella.

Meg spoglądała to na jedno, to na drugie z nas.

- Harpia... masz na myśli te ptasie kobiety, które sprząta-  
ją po posiłkach?

Chejron uśmiechnął się.

- Ella to szczególna harpia, Meg. Wiele lat temu jakimś cu-  
dem natrafiła na egzemplarz książek z przepowiedniami, które  
uważaliśmy za spalone jeszcze przed upadkiem Rzymu. Te-  
raz nasi przyjaciele w Obozie Jupiter usiłują zrekonstruować  
je w oparciu o wspomnienia Elli.

Rachel skrzyżowała ramiona na piersi.

- A trzy pozostałe Wyrocznie? Jestem przekonana, że żadna  
z nich nie była piękną młodą kapłanką, którą chwaliłeś za...  
jak to szło? „błyskotliwą konwersację”?

- Ach... - Nie byłem pewny dlaczego, ale czułem się tak,  
jakby mój trądzik zamieniał się w żywe owady pełzające mi po  
twarzy. - No wiesz, wedle moich szeroko zakrojonych badań...

- Kilku książek, które wczoraj w nocy przekartkowałeś -  
doprecyzowała Meg.

- Ehem! Była Wyrocznia w Erythraj oraz druga w jaskini  
Trofoniosa.

- Bogowie - powiedział Chejron. - Zapomniałem o tych  
dwóch.

Wzruszyłem ramionami. Ja też nie pamiętałem o nich pra-  
wie nic. Były to mniej udane z moich profetycznych franczyz.

- A ostatnią — powiedziałem — był gaj w Dodonie.

- Gaj — powtórzyła Meg. — Znaczą drzewa.

- Tak, Meg, znaczą drzewa. Gaje zazwyczaj składają się  
z drzew, a nie na przykład batoników czekoladowych. Dodo-  
na była zagajnikiem świętych dębów zasadzonych przez Bogi-  
nię Matkę w pierwszych dniach świata. Były one starożytne  
nawet w czasach, kiedy rodzili się Olimpijczycy.

- Bogini Matka? - Rachel zadygotała w swojej kurtce w kolorze patyny. - Proszę, powiedz mi, że nie mówisz o Gai.

- Nie, na szczęście nie. Mam na myśli Reę, królową tytánów, matkę pierwszego pokolenia bogów olimpijskich. Jej święte drzewa naprawdę umieją mówić. I czasami wygłaszały proroctwa.

- Głosy w lesie - domyśliła się Meg.

- Właśnie. Sądzę, że gaj Dodony wyrósł na nowo w obozowym lesie. W moim śnie widziałem kobietę w koronie błagającą mnie, żebym znalazł jej Wyrocznię. Uważam, że to była Rea, aczkolwiek nadal nie rozumiem, dlaczego nosiła pacyfę i używała słowa „chwytasz”.

- Pacyfę? - zapytał Chejron.

- Dużą, mosiężną - potwierdziłem.

Rachel bębniła palcami w oparcie kanapy.

- Skoro Rea jest tytanką, to jest zła?

- Nie wszyscy tytani byli źli - odparłem. - Rea była łagodna. W pierwszej wielkiej wojnie stanęła po stronie bogów. Sądzę, że ona chce, żebyśmy zwyciężyli. Nie chce, żeby jej gaj dostał się w ręce nieprzyjaciół.

Chejron zamachał ogonem.

-Mój przyjacielu, nikt nie widział Rei od tysiącleci. Jej gaj został spalony jeszcze w starożytności. Cesarz Teodozjusz rozkazał ściąć ostatni dąb w...

-Wiem. - Poczułem palący ból między oczami, jak zawsze kiedy ktoś wspominał Teodozjusza. Przypomniałem sobie teraz despotę, który zamknął wszystkie starożytne świątynie w całym imperium, zasadniczo eksmitując nas, bogów olimpijskich. Miałem kiedyś tarczę strzelniczą z jego portretem. - W każdym razie wiele rzeczy z dawnych czasów przetrwało albo się odrodziło. Labirynt się odbudował. Dlaczego gaj świętych drzew nie miały wyrosnąć znów w tej dolinie?

Meg wcisnęła się jeszcze głębiej w poduszki.

-To wszystko jest strasznie dziwne. - Mogłem mieć pewność, że młoda McCaffrey tak trafnie podsumuje naszą konwersację. - Skoro zatem te głosy drzew są takie święte i w ogóle, dlaczego ludzie się przez nie gubią?

-Raz udało ci się zadać dobre pytanie. - Miałem nadzieję, że ta pochwała nie uderzy Meg do głowy. - W dawnych czasach drzewami opiekowali się kapłani z Dodony: przycinali je, podlewali i zbierali ich głosy w dzwoneczkach zawieszonych na gałęziach.

- Jak to miało pomagać? - zapytała Meg.

-Nie wiem. Nie jestem kapłanem drzew. Ale otoczone właściwą opieką drzewa potrafiły przepowiadać przyszłość.

Rachel wygładziła spódnicę.

- A bez odpowiedniej opieki?

-Głosy były rozproszone - odparłem. - Dziki, pozbawiony harmonii chór. - Zamilkłem, bardzo zadowolony z tej frazy. Miałem nadzieję, że ktoś ją zapisze dla potomności, ale nikt tego nie zrobił. - Pozbawiony opieki gaj mógł niewątpliwie uprawić śmiertelników w obłąd.

Chejron zmarszczył brwi.

-A zatem nasi zagubieni herosi wędrują wśród drzew, być może już obłąkani przez te głosy.

- Albo nie żyją — dodała Meg.

- Nie. - Nie mogłem pogodzić się z tą myślą. - Nie, oni żyją. Bestia posługuje się nimi, usiłuje mnie zwabić.

- Skąd ta pewność? — zapytała Rachel. — No i dlaczego? Skoro Pyton już włada w Delfach, to czemu pozostałe Wyrocznie są takie ważne?

Gapilem się w ścianę, którą ozdabiała niegdyś moje oblicze. Niestety na pomalowanej na biało powierzchni nie pojawiły się magiczne odpowiedzi.

-Nie jestem pewny. Sądzę, że nasi wrogowie starają się odciąć nas od wszelkich możliwych źródeł przepowiedni. Bez

możliwości spojrzenia na nasze losy i pokierowania nimi zwiędniemy i umrzemy - bogowie i ludzie zarówno, każdy, kto sprzeciwi się Triumwiratowi.

Meg obróciła się głową do dołu na sofie i zrzuciła czerwone tenisówki.

-Duszą nasze najgłębsze korzenie. - Dla zobrazowania swojej myśli zaczęła kręcić palcami stóp.

Spojrzałem na Rachel w nadziei, że wybaczy złe manieri mojej urwisowatej pani.

-A jeśli chodzi o to, dlaczego gaj Dodony jest tak ważny, Pyton wspomniał, że to jedyna Wyrocznia, której nie jest w stanie opanować. Nie rozumiem dokładnie dlaczego. Może dlatego, że Dodona to jedyna Wyrocznia, która nie jest związana ze mną. Jej moc pochodzi od Rei. Jeśli zatem gaj działa i jest wolny od wpływu Pytona, i jest tu, w Obozie Herosów...

-Mógłby dostarczać nam prorocत्व. — Oczy Chejrona rozbłysły. - Mógłby zapewnić nam przewagę nad przeciwnikiem.

Uśmiechnąłem się do Rachel przepraszająco.

-Oczywiście wolelibyśmy mieć ponownie czynną naszą ulubioną Wyrocznię Delficką. I odzyskamy ją w końcu. Ale na razie gaj Dodony może być naszą jedyną nadzieją.

Włosy Meg zamiatały podłogę. Jej twarz przybrała kolor moich świętych krów.

-Czy nie jest tak, że prorocत्व są zawsze pokręcone, tajemnicze i niejasne, a ludzie giną, usiłując przed nimi uciec?

-Meg - powiedziałem - nie możesz ufać recenzjom na mojawyrocznia.com. W wypadku Sybilli Kumańskiej atrakcyjność jest na przykład na poziomie zero. Pamiętam to bardzo dobrze.

Rachel oparła podbródek na pięści.

- Naprawdę? Opowiedz nam.

-Yy, chciałem tylko powiedzieć, że gaj w Dodonie jest do brotliwą siłą. Pomagał w przeszłości herosom. Na przykład

maszt oryginalnego Argo był wyrzeźbiony z konaru świętego drzewa. Odzywał się do Argonautów i dawał im wskazówki.

-Yhm. - Chejron przytaknął. - I dlatego nasz tajemniczy Bestia chce spalić ten zagajnik.

-Najwyraźniej — odparłem. — I dlatego my musimy go ocalić.

Meg zsunęła się tyłem z kanapy. Stopami przewróciła trójnożny stolik, rozlewając naszą herbatę i rozsypując krakersy.

- Oj.

Zgrzytnąłem śmiertelnymi zębami, które nie wytrzymają roku, jeśli będę nadal miał w pobliżu Meg. Rachel i Chejron rozsądnie zignorowali pokaz bycia Meg w wykonaniu mojej młodej znajomej.

-Apollinie... - Stary centaur wpatrywał się w herbaciany wodospad spływający z krawędzi stołu. - Jeśli masz rację w kwestii Dodony, to co możemy zrobić? Już posiadamy za mało ludzi. Nie mamy pewności, że wysłane do lasu drużyny poszukiwawcze wrócą.

Meg odgarnęła włosy z oczu.

- My pójdziemy. Tylko Apollo i ja.

Mój język usiłował się schować w głębi gardła.

- My... my pójdziemy?

-Powiedziałeś, że musisz wykonać ileś tam zadań czy czego tam, żeby wykazać, że jesteś godny, tak? To będzie pierwsze z nich.

Jakaś częśćka mnie wiedziała, że ona ma rację, ale resztki mojej boskiej osobowości buntowały się przeciwko temu pomysłowi. Nigdy nie wykonywałem własnej brudnej roboty. Wolałbym raczej zebrać odpowiednią grupę herosów i wysłać ich na śmierć... albo, no wiecie, po chwalebne zwycięstwo.

A jednak Rea jasno dała do zrozumienia w moim śnie - odnalezienie Wyroczeni to moje zadanie. A dzięki okrucieństwu Zeusa Meg pójdzie tam, dokąd ja pójdę. Byłem przekonany, że

Zeus był świadomy istnienia Bestii i jego planów i przysłał mnie tu celowo, żebym uporał się z tą sytuacją... ta myśl nie prowokowała mnie do kupienia mu ładnego krawata na Dzień Ojca.

Pamiętałem też inną część mojego snu: Bestia w purpurowym garniturze, zachęcający mnie, żebym znalazł Wyrocznie, bo to pozwoli mu ją spalić. Tylu rzeczy jeszcze nie rozumiałem, a musiałem działać. Ode mnie zależał los Austina i Kayli.

Rachel położyła dłoń na moim kolanie, aż się wzdrygnąłem. Dziwne, ale nie spowodowało to żadnego bólu. Jej spojrzenie było raczej szczere niż zagniewane.

-Musisz spróbować, Apollinie. Jeśli będziemy w stanie zajrzeć w przyszłość... no, to może być jedyny sposób, żeby wszystko wróciło do normy. - Rozejrzała się z tęsknotą po pustych ścianach groty. - Chciałabym znów mieć przyszłość.

Chejron poruszył przednimi nogami.

- Czego potrzebujesz, przyjacielu? Jak możemy ci pomóc?

Zerknąłem na Meg. Niestety musiałem się z nią zgodzić.

Byliśmy zdani na samych sobie. Nikt inny nie mógł podejmować ryzyka.

-Meg ma rację - powiedziałem. - Sami się tym zajmiemy. Powinniśmy ruszać natychmiast, ale...

-Nie zmrużyliśmy oka całą noc - oznajmiła Meg. - Musimy się wyspać.

*Rewelacja, pomyślałem. Teraz Meg kończy za mnie zdania.*

Tym razem nie kłóciłem się. Mimo że pragnąłem pobiec do lasu i ratować moje dzieci, musiałem działać ostrożnie. Nie mogę schrzanić tej misji ratunkowej. A byłem coraz bardziej przekonany, że Bestia na razie pozostawia swoich jeńców przy życiu. Potrzebuje ich, żeby zwabić mnie w pułapkę.

Chejron uniósł się na przednich kopytach.

-A zatem dziś wieczorem. Odpocznijcie i przygotujcie się, herosi. Obawiam się, że do tego, co was czeka, będziecie potrzebowali całej waszej siły i inteligencji.

*Uzbrojeni po czubki głów:  
Bitewne ukulele  
Magiczny szalik Brazylii*

BOGOWIE SŁOŃCA nie śpią dobrze w dzień, ale jakoś udało mi się odżyć niespokojną drzemką.

Kiedy obudziłem się późnym popołudniem, w obozie panowało poruszenie.

Zniknięcie Kayli i Austina okazało się punktem krytycznym. Wszyscy obozowicze byli teraz tak zszokowani, że nie potrafili trzymać się zwykłego rozkładu dnia. Podejrzewam, że pojedyncze zniknięcia herosów co kilka tygodni to norma strat. Ale para herosów rozpływająca się podczas oficjalnych obozowych zajęć — to oznaczało, że nikt nie jest bezpieczny.

Musiły się też roznieść wieści o naszej naradzie w jaskini. Siostry Victor chodziły z watą w uszach, żeby uchronić się przed głosami Wyroczni. Julia i Alice wspięły się na szczyt ścianki lawowej i przez lornetkę obserwowały las, niewątpliwie w nadziei że wypatrzą gaj z Dodony, miałem jednak wrażenie, że drzewa trochę im to utrudniają.

Gdziekolwiek się pojawiłem, ludzie sprawiali wrażenie niezadowolonych z mojego widoku. Damien i Chiara siedzieli razem na przystani kajakowej, rzucając w moją stronę gniewne spojrzenia. Sherman Yang odegnał mnie machnięciem

ręki, kiedy usiłowałem z nim pogadać. Był zajęty dekorowaniem domku Aresa zużyтыми granatami i ozdobnymi szkoczkami mieczami. Jeśli to miało być na Saturnalia, to niewątpliwie miał szanse na nagrodę za najbardziej przemocową dekorację świąteczną.

Nawet Atena Partenos spoglądała na mnie ze szczytu wzgórze oskarżycielsko, jakby mówiła: „To wszystko twoja wina”.

Miała rację. Gdybym nie pozwolił Pytonowi przejąć Delf, gdybym zwracał większą uwagę na pozostałe starożytne Wyrocznie, gdybym nie stracił boskiego statusu...

*Przestań, Apollinie* - upomniałem sam siebie. - *Jesteś piękny i wszyscy cię kochają.*

Było mi jednak coraz trudniej w to wierzyć. Mój ojciec Zeus mnie nie kochał. Herosi w Obozie Herosów mnie nie kochali. Pyton, Bestia i jego kumple z Holdingu Triumwirat nie kochali mnie.

Byłem na granicy podania w wątpliwość mojej samooceny.

Nie, nie. To szaleństwo.

Nigdzie nie mogłem znaleźć Chejrona ani Rachel. Nyssa Barrera poinformowała mnie, że usiłowali wbrew wszelkim nadziejom uruchomić jedyne łącze internetowe obozu, znajdujące się w biurze Chejrona, żeby uzyskać więcej informacji na temat Triumwiratu.

Harley był z nimi jako wsparcie techniczne. Chwilowo usiłowali się skontaktować z biurem obsługi klienta i mogli nie wychynąć z domu przez wiele godzin, jeśli w ogóle przeżyją to wyzwanie.

Znalazłem Meg w zbrojowni, myszkującą w zasobach bitewnych. Na zieloną sukienkę włożyła skórzaną zbroję, a na legginsy nagolenniki, wyglądała więc jak przedszkolak, którego rodzice niechętnie ubrali w strój wojenny.

- Może tarcza? - podsunąłem.



- N-nie. - Pokazała mi swoje pierścionki. - Zawsze używam dwóch kling. A poza tym muszę mieć wolną rękę, żeby cię prać po pysku, kiedy zrobisz coś głupiego.

Miałem nieprzyjemne poczucie, że mówiła poważnie.

Zdjęła ze stojaka długi łuk i podała go mnie.

Cofnąłem się.

- Nie.

- To twoja najlepsza broń. Jesteś Apollinem.

Przełknąłem smak śmiertelnej żółci.

- Złożyłem przysięgę. Nie jestem już bogiem łucznictwa ani muzyki. Nie posłużę się łukiem ani instrumentem muzycznym, dopóki nie będę w stanie użyć ich jak należy.

- Głupia przysięga. - Nie zdzieliła mnie po pysku, ale wyglądała, jakby miała na to ochotę. - To co będziesz robić, stać z boku i klaskać, gdy ja będę walczyć?

Taki właśnie był mój plan, ale głupio było się do tego przyznać. Przyjrzałem się panoplium i wybrałem miecz. Nawet nie biorąc go do ręki, wiedziałem, że będzie dla mnie za ciężki i niewygodny, ale przypiąłem go do boku.

- Mam - powiedziałem. - Zadowolona?

Meg nie sprawiała wrażenia zadowolonej. Odłożyła jednak łuk na miejsce.

- Dobra - stwierdziła. - Ale lepiej pilnuj moich tyłów.

Nigdy nie rozumiałem tego wyrażenia. Kojarzy mi się z kartkami: „DAJ MI KOPA”, które Artemida przypinała do mojego chitonu podczas świąt. Niemniej przytaknąłem.

- Twój tyłek będzie pilnowany.

Dotarliśmy na skraj lasu, gdzie natknęliśmy się na mały komitet pożegnalny, który tworzyli Will i Nico, Paolo Montes, Malcolm Pace i Billie Ng, wszyscy z posępными minami.

- Uważaj na siebie - powiedział do mnie Will. — I masz.

Zanim zdążyłem zaprotestować, włożył mi do rąk ukulele.

Usiłowałem mu je oddać.

- Nie mogę. Złożyłem przysięgę...

- Ta, wiem. To było głupie. Ale to bitewne ukulele. Możesz nim walczyć w razie potrzeby.

Przyjrzałem się bliżej instrumentowi. Był wykonany z niebiańskiego spżu - cienkich blaszek metalu wytrawionych tak, by przypominały jasne dębowe drewno. Instrument prawie nic nie ważył, ale wyobrażałem sobie, że jest niezniszczalny.

- Robota Hefajstosa? - zapytałem.

Will pokręcił przecząco głową.

- Robota Harleya. Chciał ci to podarować. Wystarczy, że zawieszysz to na ramieniu. Dla mnie i dla Harleya. Obaj pocujemy się lepiej.

Uznałem, że muszę spełnić tę prośbę, aczkolwiek ukulele w moim posiadaniu rzadko czyniło kogokolwiek szczęśliwszym.

Nie pytajcie dlaczego. Kiedy byłem bogiem, grałem absolutnie piekielną wersję *Satisfaction* na ukulele.

Nico dal mi trochę ambrozji owiniętej w serwetkę.

- Nie mogę tego jeść - przypomniałem mu.

- To nie dla ciebie. - Spojrzał z łobuzerskim błyskiem w oku na Meg. Przypomniało mi się, że syn Hadesa miał własne sposoby wyczuwania przyszłości - tej, która obejmowała możliwość śmierci. Wzdrygnąłem się i wsunąłem ambrozję do kieszeni kurtki. Jakkolwiek Meg była bardzo nieznośna, niepokoiła mnie perspektywa, że mogłoby jej się coś stać.

Uznałem, że nie mogę do tego dopuścić.

Malcolm pokazywał Meg pergaminową mapę, wskazując na niej rozmaite miejsca w lesie, których powinniśmy unikać. Paolo - wyglądający na całkowicie wyleczonego po operacji nogi — stał obok niego, starannie i gorliwie dodając komentarze po portugalsku, mimo że nikt go nie rozumiał.

Kiedy skończyli z mapą, do Meg podeszła Billie Ng.

Billie była drobniutką dziewczyną. Nadrabiała to wycuciem mody godnym top modelki. Jej zimowa kurtka była w kolorze

folii aluminiowej, obcięte na boba włosy w kolorze akwamaryny, a makijaż złoty. Bardzo mi się to podobało. Po prawdzie sam chętnie bym tak wyglądał, gdybym tylko zdołał jakoś opanować mój trądzik.

Billie dała Meg latarkę i małą paczuszkę nasion.

- Na wszelki wypadek - powiedziała.

Meg była autentycznie wzruszona. Uściskała mocno Billie.

Nie wiedziałem, po co te nasiona, ale czułem się od razu lepiej, wiedząc, że w razie poważnej potrzeby ja mogę kogoś pobić ukulele, podczas gdy Meg będzie siać pelargonie.

Malcolm Pace wręczył mi pergaminową mapę.

- Kiedy będziecie mieli wątpliwości, to skręćcie w prawo. To zazwyczaj działa w lesie, aczkolwiek nie bardzo wiem czemu.

Paolo podarował mi zielono-żółty szalik - piłkarską wersję brazylijskiej flagi. Powiedział przy tym coś, czego oczywiście nie rozumiałem.

Nico prychnął.

- To szczęśliwy szalik Paola. Chyba chce, żebyś go nosił. Wierzy, że dzięki niemu będziesz niezwyciężony.

Uznałem to za wątpliwe, ponieważ Paolo miał skłonność do poważnych obrażeń, ale jako bóg nauczyłem się, że nie należy odrzucać ofiar.

- Dziękuję.

Paolo chwycił mnie w ramiona i ucałował w policzki. Być może się zarumieniłem. Był całkiem przystojny, kiedy nie krwawił z powodu rozczłonkowania.

Położyłem Willowi dłoń na ramieniu.

- Nie martw się. Wrócimy przed świtem.

Usta lekko mu zadrżały.

- Skąd ta pewność?

- Jestem bogiem słońca - odparłem, usiłując przywołać więcej pewności siebie, niż w rzeczywistości czułem. - Zawsze powracam o świcie.



Oczywiście padało. Dlaczego miałyby nie padać?

Na szczycie Olimpu Zeus musiał mieć niezły ubaw moim kosztem. Obóz Herosów był w założeniu chroniony przed złą pogodą, ale niewątpliwie mój ojciec kazał Eolowi wyciągnąć zatyczki ze wszystkich worków z duchami wiatrów. Moje porzucone były dziewczyny spośród powietrznych nimf zapewne napawały się tymi chwilami odwetu.

Deszcz oscylował na granicy deszczu ze śniegiem - był dość płynny, żeby przemoczyć mi ubranie, i dość lodowaty, żeby ciąć moją nieosłoniętą twarz jak okruchy szkła.

Brnęliśmy przed siebie, skacząc od drzewa do drzewa w poszukiwaniu jakiegokolwiek schronienia. Płaty zmrożonego śniegu pękały pod moimi nogami. Ukulele stawało się coraz cięższe, ponieważ jego pudło wypełniało się wodą. Światło latarki Meg przecinało burzę niczym wiązka żółtego szumu.

Ja prowadziłem. Nie dlatego że miałem w głowie jakiś cel, ale dlatego że byłem zły. Miałem dość bycia zmarzniętym i przemoczonym. Miałem dość tego, że wszyscy mieli do mnie pretensje. Ludzie często mówią, że cały świat sprzysiągł się przeciwko nim, ale to jest śmieszne. Ludzie nie są aż tak ważni. W moim wypadku cały świat rzeczywiście sprzysiągł się przeciwko mnie. Odmawiałem poddania się takiemu traktowaniu. Powinienem coś z tym zrobić! Nie byłem tylko pewny, co konkretnie.

Od czasu do czasu w oddali słyszeliśmy potwory - ryk drakona, harmonijne wycie dwugłowego wilka - ale żaden z nich nam się nie pokazał. W taką noc jak ta każdy szanujący się potwór zostawał w swojej ciepłej i przytulnej jaskini.

Po dłużących się w nieskończoność godzinach Meg nagle wydała stłumiony krzyk.

Bohatersko skoczyłem ku niej, trzymając rękę na rękojeści miecza. (Byłbym go nawet dobył, ale on był naprawdę ciężki

i zaklinował się w pochwie). U jej stóp, wbita w błoto, leżała połyskująca, czarna skorupa wielkości głazu. Była pęknięta przez środek, a jej brzegi pokrywała obrzydliwa maziowata substancja.

- Omal na to nie nadepnęłam. - Meg zasłoniła usta, jakby zamierzała wymiotować.

Podszedłem ostrożnie bliżej. Skorupa okazała się rozbitym pancerzem gigantycznego owada. W pobliżu, ukryte wśród korzeni drzew, leżało jedno z urwanych odnóży potwora.

- To jest *myrmeka* - oznajmiłem. - A raczej była.

Nie byłem w stanie odczytać spojrzenia Meg spoza zachlapanych przez deszcz okularów.

- Myr-me-co?

- Wielka mrówka. Muszą gdzieś w tym lesie mieć mrowisko.

Meg zakrztusiła się.

- Nienawidzę robali.

Miało to sens w wypadku córki bogini rolnictwa, ale mnie ta martwa mrówka nie wydawała się ani trochę bardziej obrzydliwa od stert śmieci, w których zdarzało nam się nurzać.

- Nie przejmuj się - powiedziałem. - Ta jest martwa. Cokolwiek ją zabiło, musiało mieć potężne szczęki, żeby strząsać ten pancerz.

- To średnio pocieszające. Czy... czy one są niebezpieczne?

Roześmiałem się.

- Och, tak. Mają rozmiary od małych jak psy po większe niż niedźwiedzie grizli. Kiedyś widziałem, jak mrowisko myrmek zaatakowało grecką armię w Indiach. Było to przezabawne. Pluły kwasem, który był w stanie przeżreć brązowe zbroje...

- Apollinie.

Mój uśmiech przygasł. Przypomniałem sobie, że nie jestem już widzem. Te mrówki mogły nas zabić. Bez trudu. A Meg była przerażona.

- Dobra - powiedziałem. — W sumie deszcz powinien zatrzymać myrmeki w ich tunelach. Postaraj się nie być dla nich atrakcyjnym celem. One lubią jasne, błyszczące przedmioty.

- Jak latarki?

- Eee...

Meg podała mi latarkę.

- Prowadzisz, Apollinie.

Uznałem, że to nieuczciwe, ale pomaszerowałem przed siebie.

Po jakiejś godzinie (ten las nie może być aż tak duży) deszcz ustal, pozostawiając parującą ziemię. Powietrze ociepliło się. Wilgotność sięgała poziomu sauny. Gęsta biała mgła osuwała się z gałęzi drzew.

- Co się dzieje? - Meg otarła twarz. - Czuję się, jakbym zawędrowała do tropikalnej dżungli.

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Nagle skądś dalej, przed nami, usłyszałem potężny bulgot - jakby ktoś przepychał wodę przez rury... albo szczeliny.

Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu.

- To gejzer.

- Gejzer - powtórzyła Meg. — Jak na Islandii?

- To doskonała wiadomość. Może uda nam się znaleźć wskazówki. Nasi zaginioni herosi mogli się tam nawet schronić!

- W gejzerach - powiedziała Meg.

- Nie, głuptasku - odrzekłem. - U bóstw gejzerów. Jeśli tylko są w dobrym humorze, to może być super.

- A jeśli są w złym humorze?

- Wtedy ich rozweselimy, zanim zdążą nas ugotować. Chodź za mną!

*W skali od jednego do dziesięciu  
Jak oceniasz swój zgon?  
Dziękujemy za udział w badaniu*

**CZY TO BYŁO LEKKOMYŚLNE** z mojej strony, żeby pędzić ku tak kapryśnym bóstwom natury?

Proszę. Przewidywanie tego, co ja sam zrobię, nie leży w mojej naturze. Nigdy nie była to cecha, która byłaby mi przydatna.

Prawda, moje wspomnienia o *palikoi* były trochę mgliste. O ile pamiętałem, bogowie gejzerów na starożytnej Sycylii udzielali azylu zbiegłym niewolnikom, musieli zatem być dobrotliwymi duchami. Może udzieliliby więc azylu również zagubionym herosom, a przynajmniej zauważyli, że piątka z nich pojawiła się na ich terenie, mamrocząc coś bez ładu. A poza tym ja byłem Apollinem! *Palikoi* powinni czuć się zaszczyconym spotkaniem z tak ważnym Olimpijczykiem jak ja! To, że gejzery często wybuchają, plując kolumnami wrzącej wody na wiele metrów w górę, nie powstrzyma mnie przecież przed zyskaniem nowych fanów... to znaczy *kumpli*.

Polana otwarła się przed nami jak drzwiczki pieca. Spomiędzy drzew buchnął żar, omywając mi twarz. Czułem, jak pory skóry otwierają się, by chłonać wilgoć - miałem nadzieję, że pomoże to mojej cerze na trądzik.

To, co ujrzeliśmy przed sobą, nie miało prawa bytu na Long Island w zimie. Z konarów drzew zwieszały się zielone pnącza. Tropikalne kwiaty porastały leśne podłoże. Na bananowcu obciążonym zielonymi kiśćmi siedziała czerwona papuga.

Na samym środku polany znajdowały się dwa gejzery - bliźniacze dziury w ziemi otoczone tworzącymi szarą ósemkę błotnistymi bajorkami. Kratery bulgotały i syczały, ale chwilowo niczym nie pluty. Postanowiłem wziąć to za dobry znak.

Buty Meg chlupotały w błocie.

- Czy to bezpieczne?

- Na pewno nie - odparłem. - Będziemy potrzebowali jakiejś ofiary. Może twojego woreczka z nasionami?

Meg szturchnęła mnie w bok.

- One są magiczne. Na naprawdę poważne wypadki. Co wiesz o twoim ukulele? I tak nie będziesz na nim grał.

- Człowiek honoru nigdy nie oddaje swojego ukulele. - Nadszedłem się. - Ale czekaj. Podsunęłaś mi pewien pomysł. Ofiaruję bogom gejzerów wiersz! To nadal jestem w stanie robić. To się nie liczy jako muzyka.

Meg zmarszczyła brwi.

- Eee, nie wiem, czy...

- Nie bądź zazdrosna, Meg. Dla ciebie napiszę wiersz później. To na pewno zadowoli bogów gejzerów!

Zrobiłem parę kroków do przodu, rozłożyłem ręce i zacząłem improwizację:

*Och, gejzerze, mój gejzerze, Plujmy więc, ty i ja, W tej północnej, głuchej dobie, rozmyślając przy tym sobie, Czy ogary poszły w las.*



*Nie weszliśmy łagodnie do tej dobrej nocy, Lecz błędzimy samotni jak obłoki, Pytając wiecznie, komu bije dzwon, I nie żegnamy się z nadzieją, wchodząc, Bo nadszedł czas pogrążyć się w rozmowie!\**

Nie chcę się chlępić, ale uznałem, że było to nawet niezłe, aczkolwiek użyłem tu kilku kawałków z mojej wcześniejszej twórczości. W przeciwieństwie do muzyki i łucznictwa mój boski talent do poezji wyglądał na nienaruszony.

Zerknąłem na Meg, w nadziei że ujrzę na jej twarzy rozmarzone uwielbienie. Najwyższy czas, żeby ta dziewczyna zaczęła mnie doceniać. Ona jednak stała z otwartymi ustami, osłupiała.

- Co jest? - zapytałem z irytacją. - Oblałaś test ze znajomości poezji w szkole? To było pierwszorzędne!

Meg wskazała na gejzery. Uzmysłowiłem sobie, że w ogóle na mnie nie patrzyła.

- Dobra - odezwał się zgrzytliwy głos - zwróciłeś moją uwagę.

Jeden z palikoi unosił się nad swoim gejzerem. Dolna część jego ciała była samą parą wodną. Od pasa w górę był mniej więcej dwa razy większy od człowieka, miał muskularne ramiona w kolorze błota kaldery, kredowo białe oczy i włosy jak pianka cappuccino, jakby je energicznie natarł szampodem i nie spłukał.

- O wielki palikosie! — zawołałem. — Zaklinamy cię...

- Co to było? - przerwał mi duch. - To, co gadałeś?

- Poezja! - odparłem. — Dla ciebie!

Podrapał się po błotniście szarym podbródku.

- Nie. To nie była poezja.

\* Zob. s. 353 [przyp. red.].

Nie wierzyłem w to, co słyszę. Czyżby nikt nie był już w stanie docenić urody języka?

- Mój dobry duchu - powiedziałem. - Wiesz doskonale, że poezja nie musi mieć rymów.

- Nie mówię o rymach. Mówię o tym, co chciałeś przekazać. Robimy poważne badania rynkowe i to nie pasuje do naszej kampanii. Wiesz, piosenka o parówkach Oscara Mayera - to jest poezja. Reklama ma pięćdziesiąt lat, a ludzie dalej ją nucą. Byłbyś w stanie podrzucić nam coś podobnego?

Zerknąłem na Meg, żeby mieć pewność, że ta rozmowa mi się nie przyśniła.

- Słuchaj - powiedziałem do boga gejzeru - przez cztery tysiące lat byłem bogiem poezji. Chyba znam się na poezji...

Palikos zamachał rękami.

- Zacznijmy od początku. Puszczę naszą gadkę i może będziesz w stanie coś mi poradzić. Cześć, jestem Pete. Witaj w lesie Obozu Herosów! Czy zechcesz wziąć udział w krótkiej ankiecie satysfakcji konsumenckiej po naszym spotkaniu? Twoje zdanie się liczy.

- Yy...

- Super. Dziękuję.

Pete zaczął grzebać w tym obszarze swojej parowej osoby, gdzie powinien mieć kieszenie. Wyciągnął błyszczącą broszurkę i zaczął czytać.

- „Las jest obowiązkową destynacją dla...” Hmm, piszą tu, że dla „chcących się zabawić”. Wydawało mi się, że zmieniliśmy to na „poszukujących rozrywki”. Wiesz, trzeba starannie dobierać słowa. Gdy Paulie tu był... - Pete westchnął. - Wiesz, on ma lepszy kontakt z publicznością. A w każdym razie witaj w lesie Obozu Herosów!

- Już to mówiłeś - zauważyłem.

- Ach, no tak. - Pete wyciągnął czerwony długopis i zaczął wprowadzać poprawki.

- Ej. - Meg przepchnęła się obok mnie. Na jakieś dwanaście sekund groza odebrała jej mowę, co trzeba zanotować jako nowy rekord. - Panie Parujące Błoto, czy widziałeś jakichś zagubionych herosów?

- Panie Parujące Błoto! — Pete poklepał broszurę. — To się nazywa budowanie marki! I duży plus za zagubionych herosów. Nie możemy pozwolić, żeby nasi goście błąkali się bez celu. Powinniśmy zaopatrywać ich w mapy przy wejściu do lasu. Jest tu tyle wspaniałych rzeczy do zobaczenia, a nikt nawet o nich nie wie. Pogadam z Pauliem, kiedy wróci.

Meg zdjęła swoje zaparowane okulary.

- Kto to jest Paulie?

Pete wskazał drugi gejzer.

- Mój partner. Może będziemy w stanie dodać mapę do tej broszury, jeśli...

- No więc widziałeś jakichś zagubionych herosów? — zapytałem.

- Co? - Pete usiłował zaznaczyć coś w broszurze, ale para zawilgociła ją tak, że czerwony długopis przebił papier. - Och, nie. Nie ostatnio. Ale musimy wprowadzić lepsze oznakowania. Na przykład czy wiedziałeś, że te gejzery w ogóle tu są?

- Nie - przyznałem.

- No widzisz! Podwójny gejzer, jedyny na Long Island, i nikt nawet o nas nie wie. Zero zasięgu. Żadnego szeptanego marketingu. Dlatego właśnie przekonałiśmy radę nadzorczą, żeby nas wynajęła!

Popatrzyliśmy po sobie z Meg. Po raz pierwszy nadawaliśmy na tej samej fali - totalnego mętliku.

- Wybacz — odezwałem się — czy chcesz mi powiedzieć, że las ma radę nadzorczą?

- Ależ oczywiście - powiedział Pete. - Driady, inne duchy natury, rozumne potwory... No wiesz, ktoś musi myśleć o wartości działki, usługach i PR-ze. Niełatwo było jednak przekonać

radę, żeby wynajęła nas do marketingu. Jeśli zawalimy to zadanie... chłopie.

Meg zachlupotała butami w błocie.

- Możemy sobie iść? Nie mam pojęcia, o czym ten facet gada.

- I właśnie w tym problem! - jęknął Pete. - Jak stworzyć reklamę, która ukaże prawdziwy obraz lasu? Na przykład palikoi jak Paulie i ja byliśmy kiedyś sławni! Stanowiliśmy ważną destynację turystyczną! Ludzie przyjeżdżali do nas, żeby składać wiążące przysięgi. Zbiegli niewolnicy szukali u nas schronienia. Składano nam ofiary, dary, zanoszono modlitwy... to było super. A teraz nic.

Westchnąłem ciężko.

- Znam to uczucie.

- Słuchajcie - wtrąciła się Meg - szukamy zaginionych herosów.

- Prawda - przytaknąłem. - O wielki... Pete, masz może pojęcie, dokąd mogli udać się nasi zaginieni przyjaciele? Może znasz jakieś sekretne miejsca w lesie?

Kredowo białe oczy Pete'a rozbłyły.

- Wiedziałaś, że dzieci Hefajstosa mają na północy tajny warsztat zwany Dziewiątym Bunkrem?

- Owszem - odparłem.

- Och. - Z lewego nozdrza Petea wypłynął obłoczek pary. - Dobra, wiedziałaś, że Labirynt się odbudował? Jest do niego wejście tu, w lesie...

- Wiemy — oznajmiła Meg.

Pete był załamany.

- Ale może - powiedziałem - to dlatego że wasza kampania reklamowa działa.

- Tak myślisz? - Spienione włosy Pete'a zaczęły wirować. - Tak. To może być prawda! Widziałaś może także nasze reflektory? To był mój pomysł.

- Reflektory? - zapytała Meg.

Z gejerów wystrzeliły promienie czerwonego światła, przecinając niebo. Oświetlony od dołu Pete wyglądał jak najbardziej przerażający narrator opowieści o duchach.

- Niestety przyciągały niepożądaną uwagę. - Pete westchnął. - Paulie nie pozwala mi ich zbyt często używać. Sugerował zamiast tego ogłoszenia na balonach albo wielkiego dmuchanego King Konga...

- To super - przerwała mu Meg. - Ale może jesteś w stanie nam coś powiedzieć o ukrytym gaju pełnym szepczących drzew?

Musiałem przyznać, że Meg była niezła w sprowadzaniu rozmowy na właściwy temat. Jako poeta nie kultywuję bezpośredniości. Ale jako łucznik doceniam wartość celnego strzału.

- Och. - Pete opadł nieco niżej na swojej chmurze pary, a reflektor nadał mu kolor wiśniowej wody mineralnej. - Nie wolno mi mówić o gaju.

Zastrzygłem moimi niegdyś boskimi uszami. Powstrzymałem się od okrzyku: „AHA!”.

- Dlaczego nie wolno ci mówić o gaju, Pete?

Duch obracał w palcach wilgotną broszurę.

- Paulie powiedział, że to odstrasza turystów. „Mów o smokach - powiedział. - Mów o wilkach, węzach i starożytnych maszynach do zabijania. Ale nie wspominaj o gaju”.

- Starożytnych maszynach do zabijania? — zapytała Meg.

- Aha — odparł Pete bez entuzjazmu. — Reklamujemy je jako atrakcję rodzinną. Ale gaj... Paulie powiedział, że to nasz największy problem. Ta okolica nie ma licencji na Wyrocznie. Paulie wybrał się tam, żeby zobaczyć, czy nie moglibyśmy jej przenieść, ale...

- Nie wrócił - domyśliłem się.

Pete przytaknął smutno.

- Jak mam sam prowadzić kampanię reklamową? Jasne, mogę posłużyć się automatycznym telemarketingiem do ankiet konsumenckich, ale większość kontaktów powinno się nawiązywać osobiście, a Paulie zawsze był w tym lepszy. - Głos Petera załamał się w smutny syk. - Tęsknię za nim.

- Może uda nam się go znaleźć - powiedziała Meg - i przeprowadzić z powrotem.

Pete pokręcił głową.

- Paulie kazał mi obiecać, że nie pójdę za nim i nie powiem nikomu, gdzie znajduje się gaj. On jest niezły w opieraniu się tym dziwnym głosom, ale wy nie macie szans.

Kusiło mnie, żeby się z nim zgodzić. Szukanie starożytnych maszyn do zabijania brzmiało znacznie rozsądniej. Wyobraziłem sobie jednak Kaylę i Austina wędrujących po prastarym gaju i powoli popadających w obłąd. Oni mnie potrzebowali, a to znaczyło, że ja musiałem się dowiedzieć, gdzie oni są.

- Wybacz, Pete. — Rzuciłem mu moje najbardziej krytyczne spojrzenie, to, którym miażdżyłem początkujących wokalistów podczas przesłuchań na Broadwayu. - Nie kupuję tego.

Błoto wokół kaldery Pete'a zabulgotało.

- C-co masz na myśli?

- Sądzę, że ten gaj nie istnieje - oznajmiłem. - A jeśli istnieje, to ty nie znasz jego lokalizacji.

Gejzer Pete'a zagrzmiał. Para zawirowała w świetle reflektora.

- Znam! Znam! Oczywiście, że istnieje!

- Doprawdy? Dlaczego zatem nie ma wszędzie billboardów? I własnej strony internetowej? Dlaczego w mediach społecznościowych nie widziałem hashtagu #gajwdodonie?

Pete spojrzał na mnie spode łba.

- Wszystko to sugerowałem! Paulie mnie wyśmiał!

- Wyjdź do klienta! - zażądałem. - Sprzedaj nam swój produkt! Pokaż nam, gdzie jest gaj!

- Nie mogę. Jedyne wejście... - Zerknął nad moim ramieniem i mina mu zrzędała. - O, niech to. - Reflektory zgasły.

Odwróciłem się. Meg wydała chlupoczący dźwięk głośniejszy niż jej buty w błocie.

Potrzebowałem chwili, żeby wzrok mi się przyzwyczaił, ale na skraju polany stały trzy czarne mrówki wielkości czołgów.

- Pete - powiedziałem, starając się zachować spokój - kiedy wspomniałeś, że twoje reflektory przyciągają niepożądaną uwagę...

- Miałem na myśli myrmeki - odparł. - Mam nadzieję, że nie wpłynie to na waszą opinię o lesie Obozu Herosów.

*Łamię przyrzeczenia  
Spektakularna porażka  
Wszystko wina Abby*

MYRMEKI powinny znaleźć się wysoko na waszej liście potworów, z którymi nie należy walczyć.

Atakują grupami. Plują kwasem. Ich żuwaczki są w stanie przeciąć niebiański spiż.

A poza tym są paskudne.

Trzej mrówczy żołnierze zbliżali się, a ich trzymetrowe czułki kołysały się i huśtały hipnotyzująco, usiłując odwrócić moją uwagę od prawdziwego zagrożenia, jakim są ich żuwaczki. Dziobate łby myrmek przywoływały mi na myśl kury - kury o wielkich ciemnych oczach i czarnych hełmach. Każda z sześciu nóg przypominała żurawia budowlanego. Przerośnięte brzuchy pulsowały i dygotały jak nosy wężące za jedzeniem.

Przekląłem w myślach Zeusa za wynalazek mrówek. Wedle mojej wiedzy rozgniewał się na pewnego chciwego człowieka, który zawsze podkradał zbiory sąsiadów, zamienił więc go w pierwszą mrówkę - zwierzę, które wyłącznie zbiera odpadki, kradnie i rozmnaża się. Ares zwykł żartować, że skoro Zeus chciał mieć taki gatunek, to mógł po prostu dać ludziom być



sobą. Zawsze się z tego śmiałem. Teraz kiedy zostałem jednym z was, nie uważam już tego za zabawne.

Mrówki zbliżały się ku nam z drgającymi czułkami. Wyobrażałem sobie, że ich myśli biegną w następującym kierunku: *Błyszczący? Smaczne? Bezbronne?*

- Nie rób gwałtownych ruchów - pouczyłem Meg, która nie sprawiała wrażenia, że w ogóle może się poruszyć. Po prawdzie wyglądała na zamurowaną.

- Och, Pete!?! - zawołałem. - Jak sobie radzicie, kiedy myrmeki najeżdżają wasze terytorium?

- Chowamy się - odparł i znikł w gejzerze.

- Bardzo mi pomogłeś - mruknąłem.

- Możemy też zanurkować? - zapytała Meg.

- Jeśli masz ochotę ugotować się na śmierć w dziurze z wrzątkiem.

Owadzie czołgi zakłapały żuwaczkami i przybliżyły się.

- Mam pomysł. - Zdjąłem z pleców ukulele.

- Podobno przyrzekłeś, że nie będziesz grał — zauważyła Meg.

- Owszem. Ale jeśli rzucę tym błyszczącym przedmiotem gdzieś w bok, to może mrówki...

Miałem właśnie powiedzieć, że „może mrówki pobiegą za nim i zostawią nas w spokoju”.

Nie pomyślałem o tym, że trzymane w rękach ukulele sprawi, że to ja będę wyglądał bardziej błyszcząco i smacznie. Zanim zdążyłem odrzucić instrument, mrówki rzuciły się na nas. Cofnąłem się, przypominając sobie o znajdującym się za moimi plecami gejzerze, dopiero kiedy poczułem tworzące się na moich plecach pęcherze, napełniające powietrze parą o zapachu Apollina.

- Ej, robale! - Szable Meg rozbłysły w jej rękach, robiąc z niej najbardziej błyszczący element polany.

Możemy zatrzymać się na moment, żeby docenić, że Meg zrobiła to *celowo!* Ponieważ bała się owadów, mogła uciec i zostawić mnie na pożarcie. Ona jednak postanowiła zaryzykować własne życie i odciągnąć trzy mrówki wielkości czołgów. Rzucanie śmieciami w ulicznych zbirów to jedno. Ale to... to był całkowicie nowy poziom głupoty. Jeśli przeżyję, mogę nawet nominować Meg McCaffrey do nagrody Najlepsza Ofiara podczas najbliższej gali Złotych Herosów.

Dwie mrówki rzuciły się na Meg. Trzecia została przy mnie, aczkolwiek odwróciła głowę na tyle, że zdołałem uciec w bok.

Meg biegła między swoimi przeciwniczkami, odcinając złotymi ostrzami po jednej nodze każdej z nich. Zuwaczki klapały, ale chwyciły jedynie powietrze. Robale zachwiały się na pozostałych pięciu odnóżach, usiłowały się odwrócić i zderzyły się głowami.

Trzecia tymczasem ruszyła na mnie. W panice rzuciłem bitewnym ukulele, które odbiło się od czoła mrówki z nieczystym brzękiem.

Wyciągnąłem miecz z pochwy. Nigdy nie lubiłem mieczy. To taka nieelegancka broń, no i wymaga bliskiego kontaktu. Co za głupota, skoro można strzelać do nieprzyjaciół z łuku z drugiego końca świata!

Mrówka plunęła kwasem, a ja usiłowałem odbić tę maź. To chyba nie był najlepszy pomysł. Zawsze myli mi się szermierka z tenisem. Ale przynajmniej trochę kwasu ochlapało oczy mrówki, co dało mi kilka sekund. Bohatersko wycofałem się, unosząc miecz po to tylko, żeby przekonać się, że jego głównia została przeżarta, a mi pozostała jedynie dymiąca rękojeść.

- Och, Meg!?! - zawołałem bezradnie.

Meg miała mnóstwo innej roboty. Jej szable wirowały jak złote sierpy zniszczenia, siekąc na kawałki nogi mrówek,

odcinając ich czułki. Nigdy nie widziałem tak sprawnie walczącego dimachaerusa, a widziałem w walce wszystkich najwybitniejszych gladiatorów. Niestety jej ostrza jedynie odbijały się od głównych pancerzy mrówek, syjąc deszcz iskier. Uderzenia i rozczłonkowanie nic im nie robiły. Mimo że Meg była dobra, mrówki miały więcej nóg, były cięższe i groźniejsze, no i lepiej pluły jadem.

Moja przeciwniczka kłapnęła żuwaczkami. Udało mi się przed nimi uskoczyć, ale uzbrojony łeb walnął mnie w bok głowy. Potknąłem się i upadłem. Miałem wrażenie, że kanał uszny wypełnia mi się stopionym żelazem.

Mój wzrok zmętniał. Po drugiej stronie polany pozostałe mrówki oskrzydliły Meg, posługując się kwasem, żeby spychać ją w stronę lasu. Meg zanurkowała za drzewo i wyskoczyła z tylko jedną szablą. Usiłowała dźgnąć znajdującą się bliżej mrówkę, ale została odepchnięta przez kwasowy ostrzał. Jej podziurawione legginsy dymiły. Twarz miała ściągniętą z bólu.

— Śliwka — wymamrotałem pod nosem. — Gdzie podziewa się ten durny demon w pieluchach, kiedy naprawdę go potrzebujemy?!

Karpos się nie pojawił. Może odpychała go obecność bogów gejzerów albo jakaś inna siła czająca się w lesie. A może rada nadzorcza nie pozwala na trzymanie tu zwierzątek.

Trzecia mrówka pochyliła się nade mną z żuwaczkami ociekającymi śliną. Jej oddech cuchnął gorzej niż roboczy kombi-nezon Hefajstosa.

Moją następną decyzję można by zwalić na obrażenia głowy. Mógłbym wam powiedzieć, że nie myślałem jasno, ale to nieprawda. Byłem zdesperowany. Byłem przerażony. Chciałem pomóc Meg. A przede wszystkim chciałem ocalić siebie. Nie widząc innego wyjścia, skoczyłem po ukulele.

Wiem. Przysięgłem na Styks, że nie będę grał muzyki, dopóki nie stanę się na powrót bogiem. Ale nawet tak straszliwa przysięga może wydać się mało ważna, kiedy ogromna mrówka chce ci wypalić twarz.

Chwyciłem instrument, przewróciłem się na plecy i zaśpiewałem na całe gardło *Mamma mia*.

Nawet bez przysięgi coś takiego zrobiłbym, jedynie będąc w naprawdę solidnych opałach. Kiedy śpiewam tę piosenkę, szanse wzajemnie zagwarantowanego zniszczenia wzrastają. Nie widziałem jednak innego wyjścia. Włożyłem w śpiew ogromny wysiłek, by pomieścić cały lukier, jaki byłem sobie w stanie przypomnieć z lat siedemdziesiątych.

Wielka mrówka potrząsnęła głową. Jej czułki zadrżały. Podniosłem się na nogi, kiedy potwór chwiejnym krokiem podszedł do mnie. Odwróciłem się plecami do gejzeru i zaśpiewałem refren.

Refren spełnił swoją funkcję. Oślepią obrzydzeniem i złością mrówka zaatakowała. Odtoczyłem się w bok, a siła rozępudu potwora poniosła go przed siebie, prosto w błotnisty kocioł.

Wierzcie mi, jedyne, co śmierdzi bardziej niż kombinizon roboczy Hefajstosa, to myrmeka gotująca się we własnej skorupie.

Gdzieś za moimi plecami rozległ się wrzask Meg. Odwróciłem się w chwili, kiedy druga szabla wypadła jej z ręki. Meg przewróciła się, a jedna z myrmek chwyciła ją w żuwaczki.

- NIE! - krzyknąłem.

Mrówka nie przecięła jej na pół. Po prostu trzymała ją w paszczy wiotką i zemdloną.

- Meg! - krzyknąłem jeszcze raz i brzdąknąłem desperacko w struny ukulele. - *Mamma mia!*

Zabrakło mi jednak głosu. Pokonanie jednej mrówki pochłonęło całą moją energię. (Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek napisał smutniejsze zdanie). Usiłowałem pobiec na

pomoc Meg, ale potknąłem się i upadłem. Świat zmienił barwę na bladożółtą. Opadłem na czworaki i zwymiotowałem.

*Mam wstrząs mózgu*, pomyślałem, ale nie miałem pojęcia, co z tym zrobić. Czułem się, jakby minęły wieki, od kiedy byłem bogiem uzdrawiania.

Leżałem w błocie przez minuty lub godziny, a mój mózg obracał się powoli w czaszce. Kiedy zdołałem stanąć na nogi, dwie mrówki znikły.

Po Meg McCaffrey nie został ślad.

*Moja dobra passa  
Spalam się, płonę i rzygam  
Lwy? A czemu nie?*

**POWŁOKŁEM SIĘ PRZEZ POLANĘ**, wołając Meg. Wiedziałem, że to nic nie da, ale krzycząc, czułem się lepiej. Wypatrywałem połamanych gałęzi i podeptanej ziemi. Przecież dwie mrówki wielkości czołgów powinny zostawić ślad, za którym będę w stanie iść. Nie jestem jednak Artemidą - nie posiadam traperskich talentów mojej siostry. Nie miałem pojęcia, w którą stronę myrmeki zabrały moją przyjaciółkę.

Podniosłem z błota szablę Meg. Zmieniły się natychmiast w złote pierścionki - tak małe i tak łatwe do postradania jak ludzkie życie. Może się nawet rozpłakałem. Usiłowałem rozbić moje idiotyczne bitewne ukulele, ale instrument z niebiańskiego spiżu oparł się próbom zniszczenia. W końcu urwałem strunę A, przewlekłem ją przez pierścionki Meg i zawiesiłem je sobie na szyi.

- Znajdę cię, Meg - wymamrotałem.

Jej porwanie było moją winą. Byłem tego pewny. Grając muzykę, żeby się uratować, złamałem przysięgę złożoną na Styks. Zamiast ukarać mnie bezpośrednio, Zeus albo Mojry, albo wszyscy bogowie razem wzięci doświadczyli swoim gniewem Meg McCaffrey.

Jak mogłem być taki głupi? Ilekroć zdarzało mi się rozgniewać innych bogów, cierpiał ktoś mi bliski. Dafne utraciłem z powodu jednej nieopatrznej uwagi wygłoszonej do Erosa. Pięknego Hiakintosa - z powodu sporu z Zefirem. A teraz złamana przysięga będzie kosztować Meg życie.

Nie - powiedziałem sobie. - Nie *pozwolę na to*.

Czułem się tak fatalnie, że ledwie szedłem. Jakby ktoś nadmuchał mi balon w głowie. Mimo to zdołałem dowlec się na skraj gejzeru Pete'a.

- Pete! — zawałałem. — Pokaż się, ty tchórzliwy telemarketerze!

Woda wystrzeliła ku niebu z odgłosem godnym największej piszczałki organów. W wirującej parze ukazał się palikos, którego błotniście szara twarz pałała gniewem.

- Nazwałeś mnie TELEMARKETEREM? - zapytał z oburzeniem. — Mamy tu pełny serwis PR-owy!

Zgiąłem się w pół i zwymiotowałem do jego krateru, co uważam za właściwą odpowiedź.

- Przestań! - poskarżył się Pete.

- Muszę znaleźć Meg. - Drżącą ręką otarłem twarz. - Co myrmeki z nią zrobią?

- Nie mam pojęcia!

- Powiesz mi albo nie wypełnię ci ankiety satysfakcji konsumenckiej.

Pete jęknął.

- To potworne! Twoja opinia się liczy! - Podfrunął do mnie. - Ojej... twoja głowa wygląda okropnie. Masz wielką ranę w czaszce i krwawisz. Zapewne dlatego nie jesteś w stanie myśleć jasno.

- Nie obchodzi mnie to! - wrzasnąłem, powodując jedynie jeszcze gorszy ból głowy. - Gdzie jest mrowisko myrmek?

Pete załamał parowe ręce.

-Ależ o tym właśnie rozmawialiśmy wcześniej. Tam udał się Paulie. Mrowisko jest jedynym wejściem.

- Dokąd?

- Do gaju Dodony.

Mój żołądek zamienił się w bryłę lodu, co było nieuczciwe, ponieważ przydałaby mi się taka na głowę.

- Mrowisko... jest drogą do gaju?

-Słuchaj, potrzebujesz pomocy lekarskiej. Mówiłem Pauliemu, że powinniśmy mieć tu punkt pierwszej pomocy dla zwiedzających. - Zaczął grzebać w nieistniejących kieszeniach. - Pozwól, że pokażę ci, gdzie jest domek Apollina...

-Jeśli wyjmiesz broszurkę — ostrzegłem go — każę ci ją zjeść.

Wyłumacz mi raczej, jak mrowisko prowadzi do gaju.

Twarz Pete'a pożółkła, ale może to mój wzrok się pogarszał.

-Paulie nie powiedział mi wszystkiego. Tam są te zarośla, które są tak gęste, że nikt nie jest w stanie się przedrzeć. Znaczą nawet z góry, bo gałęzie są jak... - Splótł błotniste palce, które następnie rozpląnęły się i stopiły w jedno, co niezłe zobrazowało to, co chciał powiedzieć.

-W każdym razie - rozplątał palce - gaj jest właśnie tam. Może spał tam przez stulecia. Nikt z rady nadzorczej nawet o nim nie wiedział. A potem, całkiem nagle, drzewa zaczęły szeptać. Paulie uznał, że te przeklęte mrówki musiały przekopać się dołem do gaju i to go obudziło.

Usiłowałem poskładać to wszystko w jakąś sensowną całość. Nie było to łatwe dla obrzmiałego mózgu.

- W którą stronę do tego mrowiska?

-Na północ stąd - powiedział Pete. - Pół mili. Ale, chłopie, ty nie jesteś w stanie...

- Muszę! Meg mnie potrzebuje!

Pete złapał mnie za ramię. Jego chwyt był jak uścisk ciepłej, mokrej uszczelki.



- Ona ma czas. Jeśli zabrały ją w całości, to znaczy, że jeszcze żyje.

- Nie pożyje długo!

- To nie tak. Zanim Paulie... zanim on zniknął, chodził kilka razy do tego mrowiska, szukając tunelu prowadzącego do gaju. Mówił mi, że te myrmeki lubią zapeklować swoje ofiary i pozwolić im, eee, dojrzeć, aż będą dość miękkie dla ich młodych.

Wydałem z siebie bardzo nieboski pisk. Gdybym miał jeszcze cokolwiek w żołądku, tobym to stracił.

- Jak dużo ma czasu?

- Mniej więcej dobę. Potem zacznie... yy, mięknąć.

Miałem problem z wyobrażeniem sobie Meg McCaffrey mięknącej w dowolnych okolicznościach, ale widziałem ją samotną i przerażoną, zawiniętą w jakieś owadzie paskudztwo, wpakowaną do pełnej trucheł spizarni w mrowisku. Jak dla dziewczyny, która nienawidzi robali... Och, Demeter miała rację, że mnie nienawidziła i chowała przede mną swoje dzieci. Co za okropny bóg ze mnie!

- Znajdź jakąś pomoc - poradził Pete. - Domek Apolina zapewne da radę wyleczyć tę ranę głowy. Nie pomożesz swojej przyjaciółce, jeśli pognasz za nią i dasz się zabić.

- Dlaczego obchodzi cię, co się z nami stanie?

Bóg gejzeru zrobił urażoną minę.

- Zadowolenie gości jest naszym najwyższym priorytetem! A poza tym jeśli znajdziesz Pauliego, kiedy już tam dotrzesz...

Usiłowałem gniewać się na palikosa, ale samotność i troska na jego twarzy korespondowały z moimi uczuciami.

- Czy Paulie powiedział ci coś o poruszaniu się w tym mrowisku?

Pete pokręcił przecząco głową.

- Jak już mówiłem, nie chciał, żebym za nim poszedł. Myrmeki są wystarczająco niebezpieczne. A jeśli ci inni kolesie nadal się tu włączą...

- Jacy inni kolesie?

Pete zmarszczył brwi.

- Nie wspominałem o nich? Ano tak. Paulie widział trójkę ciężko uzbrojonych ludzi. Oni też szukali gaju.

Moja lewa noga zaczęła nerwowo przytupywać, jakby tęskniła za partnerką z biegu na trzy nogi.

- Skąd Paulie wiedział, czego oni szukali?

- Słyszał, jak rozmawiali po łacinie.

- Po łacinie? To byli obozowicze?

Pete rozłożył bezradnie ręce.

- N-nie sądzę. Paulie opisał ich tak, jakby byli dorośli. Mówił, że jeden z nich to przywódca. Pozostali zwracali się do niego per *imperatorze*.

Miałem wrażenie, że cała planeta przewraca się.

- Imperatorze.

- Aha, no wiesz, jak w Rzymie...

- Tak, wiem. - Nagłe tak wiele rzeczy nabrało sensu. Fragmenty układanki poskładały się, tworząc jeden wielki obraz, który uderzył mnie w twarz. Bestia... Holding Triumwirat... dorośli herosi kompletnie poza radarem.

To mnie powstrzymało przed rzuceniem się do gejzeru. Meg potrzebowała mnie bardziej niż kiedykolwiek. Ale muszę wykonać to zadanie porządnie. Muszę być ostrożny - nawet bardziej niż kiedy wykonuję doroczne szczepienia ognistych koni słońca.

- Pete - powiedziałem - czy ty nadal patronujesz świętym przysięgom?

- No tak, ale...

- W takim razie wysłuchaj mojej uroczystej przysięgi!

- Eee, chodzi o to, że masz wokół siebie aurę, jakbyś właśnie złamał świętą przysięgę, może taką złożoną na Styks? A jeśli złamiesz kolejną przysięgę złożoną mnie...

-Przysięgam, że ocalę Meg McCaffrey. Użyję wszystkich dostępnych mi środków, żeby wynieść ją bezpiecznie z mrowiska, a ta przysięga przewyższa wszelkie wcześniejsze złożone przeze mnie przysięgi. To właśnie przysięgam na twoje święte i wyjątkowo gorące wody!

Pete skrzywił się.

-No dobra. Dokonało się. Ale pamiętaj, że jeśli nie dotrzymasz tej przysięgi, jeśli Meg umrze, nawet nie z twojej winy... to czekają cię konsekwencje.

-Już jestem przeklęty za złamanie poprzedniej przysięgi! Co za różnica?

-Ta, ale wiesz, że te przysięgi na Styks mogą niszczyć cię przez lata. Są jak rak. Przysięga na mnie... - Pete wzdrygnął się. - Jeśli ją złamiesz, nie będę w stanie zrobić nic, żeby powstrzymać twoją karę. Gdziekolwiek się znajdziesz, pod twoimi nogami natychmiast wybuchnie gejzer i ugotuje cię żywcem.

-Ach... - Usiłowałem powstrzymać moje kolana przed uderzaniem o siebie. - Tak, oczywiście, że o tym wiedziałem. Podtrzymuję przysięgę.

- Teraz nie masz już wyjścia.

- Jasne. Chyba pójdę... pójdę się wyleczyć.

Ruszyłem chwiejnie przed siebie.

- Do obozu w przeciwną stronę - powiedział Pete.

Zmieniłem kierunek.

-Nie zapomnij wypełnić naszej ankiety Online! - zawołał za mną Pete. - A tak z ciekawości, w skali od jednego do dziesięciu jak oceniłbyś swoje ogólne zadowolenie z lasu Obozu Herosów?

Nie odpowiedziałem. Potykając się w ciemności, zbyt byłem zajęty rozważaniem, jakich cierpień w skali od jednego do dziesięciu przyjdzie mi doświadczyć w najbliższej przyszłości.



Nie miałem wystarczająco dużo siły, żeby dostać się z powrotem do obozu. Im dłużej szedłem, tym stawało się to dla mnie bardziej oczywiste. Moje stawy przypominały budyń. Czułem się jak marionetka i o ile kiedyś lubiłem mieć władzę nad śmiertelnikami, o tyle nie podobało mi się wylądowanie na drugim końcu sznurków.

Moje zabezpieczenia były na poziomie zero. Najmniejszy ogar piekielny albo drakon bez trudu zrobiłby sobie posiłek z wielkiego Apollina. Gdyby jakiś rozzłoszczony borsuk wziął się na mnie, byłbym zgubiony.

Oparłem się o pień, żeby złapać oddech. Drzewo zdawało się mnie odpychać, szepcząc głosem, który tak dobrze pamiętałem: *Idź dalej, Apollinie. Nie możesz tu odpoczywać.*

- Kochałem cię - wymamrotałem.

Po części wiedziałem, że mam omamy — że wyobrażam sobie różne rzeczy z powodu wstrząsu mózgu — ale przysięgam, że widziałem twarz mojej ukochanej Dafne na każdym mijanym pniu. Jej rysy unosiły się pod korą jak drewniany miraż: lekko garbaty nos, głęboko osadzone zielone oczy, usta, których nigdy nie pocałowałem, ale o których nie przestawałem marzyć.

*Kochałeś każdą ładną dziewczynę* - upomniała mnie. - *I każdego ładnego chłopaka, skoro już o tym mowa.*

-Ale nie tak jak ciebie! - Załkałem. - Ty byłaś moją pierwszą prawdziwą miłością. Och, Dafne!

*Załóż moją koronę* — powiedziała. — *I żałuj swoich win.*

Przypomniało mi się, jak ją goniłem - zapach bzu na wietrze, jej zwinna postać przemykająca wśród plam światła w lesie. Uganiałem się za nią chyba przez wiele lat. Może istotnie.

A przez następne stulecia winiłem Erosa.

W chwili lekkomyślności wyśmiewałem się z łuczniczych umiejętności Erosa. A on na złość przeszył mnie złotą strzałą. Skierował całą moją miłość ku pięknej Dafne, ale nie to było najgorsze. Wystrzelił również w serce Dafne strzałą ołowianą,

pozbawiając ją wszelkich uczuć, jakie mogłaby wobec mnie żywić.

Ludzie nie rozumieją jednego: strzały Erosa nie są w stanie stworzyć uczuć z niczego. Mogą jedynie podsycać potencjał, który drzemie w człowieku. Dafne i ja mogliśmy stanowić doskonałą parę. Ona była moją prawdziwą miłością. Mogła mnie wzajemnie pokochać. Ale za sprawą Erosa mój miłościomierz skoczył w górę do stu procent, a uczucia Dafne zmieniły się w czystą nienawiść (która jest, oczywiście, jedynie odwrotnością miłości). Nie ma nic bardziej tragicznego, niż kochać kogoś z całej duszy i wiedzieć, że ten ktoś nigdy nie odwzajemni tego uczucia.

Opowieści mówią, jakobym biegał za nią z kaprysu, że była tylko kolejną ładną spódniczką. Opowieści się mylą. Kiedy błagała Gaję o zamienienie w drzewo laurowe, by przede mną uciec, część mojego serca również stwardniała jak kora. Wynałazłem wieniec laurowy, by upamiętnić moją porażkę - ukarać samego siebie za los, jaki spotkał moją największą miłość. Ilekroć jakiś heros zdobywa laury, ja przypominam sobie o dziewczynie, której nigdy nie zdobędę.

Po przygodzie z Dafne przysiągłem, że się nie ożenię. Czasami jednak twierdziłem, że uczyniłem tak, ponieważ nie mogłem wybrać żadnej spośród dziewięciu muz. To wygodna historyjka. Dziewięć muz to moje stałe towarzyszkki, wszystkie na swój sposób piękne. Nigdy jednak nie posiadały mojego serca tak jak Dafne. Jediną osobą, która kiedykolwiek napełniła mnie podobnym uczuciem, był doskonały Hiakintos — on także został mi odebrany.

Wszystkie te myśli tłukły się po moim stłuczonym mózgu. Wlokłem się od drzewa do drzewa, opierając się o nie, chwytając najniższych gałęzi jak barierek.

Nie mofesz tu *umrzeć* - szeptała Dafne. - *Masz zadanie do wykonania. Złożyłeś przysięgę.*

*Tak, przysięga. Meg mnie potrzebuje. Muszę...*

Upadłem na twarz prosto w lodowatą ściółkę.

Nie jestem pewny, jak długo tam leżałem.

Poczułem ciepły oddech w uchu. Szorstki język lizał mi skroń. Pomyślałem, że umarłem i Cerber znalazł mnie u bram Podziemia.

Potem jednak zwierzę przewróciło mnie na plecy. Ciemne konary drzew przesłaniały niebo. Znajdowałem się nadal w lesie. Nade mną pojawiło się złote oblicze lwa o pięknych i groźnych bursztynowych oczach. Lew lizał mnie po twarzy, zapewne usiłując dociec, czy nadam się na kolację.

- Pffu. - Wyplułem z ust grzywę.

-Obudź się - odezwał się kobiecy głos gdzieś po mojej prawej stronie. To nie była Dafne, ale głos był jakby znajomy.

Zdołałem podnieść głowę. Tuż obok drugi lew siedział u stóp kobiety w okularach z barwionymi szklami i w srebrno-złotej tiarze na zaplecionych włosach. Batikową suknię ozdabiały poskręcane motywy pędów paproci. Ramiona i dłonie kobiety były pokryte hennowymi malunkami. Wyglądała inaczej niż w moim śnie, ale rozpoznałem ją.

- Rea — wycharczałem.

Przekrzywiła głowę.

-Pokój z tobą, Apollinie. Nie chcę cię zdołować, ale musimy porozmawiać.

*Cesarzowie tutaj?  
Zaknebluj mnie pacyją  
Niefajnie, Mamo*

**RANA NA MOJEJ GŁOWIE** musiała smakować jak najwyższej jakości wołowina wagi.

Lew nie przestawał lizać mojej czaszki, od czego włosy robiły mi się coraz sztywniejsze i wilgotniejsze. O dziwo, zdawało się to rozjaśniać moje myśli. Może lwia ślina ma lecznicze właściwości. Pewnie powinienem to wiedzieć, skoro jestem bogiem uzdrawiania, ale wybaczcie mi, że nie przeprowadziłem praktycznych doświadczeń z wydzielinami każdego zwierzęcia.

Usiadłem nie bez wysiłku i spojrzałem na królową tytanów.

Rea opierała się o bok terenówki pomalowanej w wirujące czarne liście podobne do tych na sukience. Wydawało mi się, że czarna paproć jest jednym z symboli Rei, ale nie mogłem sobie przypomnieć dlaczego. Dla bogów Rea stanowiła zawsze pewną tajemnicę. Nawet Zeus, który znał ją najlepiej, rzadko o niej mówił.

Korona w kształcie murów miejskich otaczała jej czoło jak połyskujące tory kolejowe. Kiedy Rea spojrzała na mnie, jej okulary zmieniły kolor z pomarańczowego na fioletowy. Nosiała pleciony pasek, a na łańcuszku na szyi wisiła mosiężna pacyfa.

Rea uśmiechnęła się.

- Dobrze, że się obudziłeś. Już się martwiłam, chłopcze.

Naprawdę miałem nadzieję, że ludzie przestaną zwracać się do mnie jak do człowieka.

- Dlaczego... Gdzie się podziewałaś przez te wszystkie stulecia?

- Na prowincji. - Podrapała lwa za uszami. - Po Woodstocku zatrzymałam się w okolicy, założyłam warsztat garncarski.

- Ty... co?

Przekrzywiła głowę.

- To było tydzień temu czy milenium temu? Straciłam rachubę czasu.

- Eee... mam wrażenie, że mówisz o latach sześćdziesiątych. To zeszły wiek.

- A niech to. - Rea westchnęła. - Trochę mi się wszystko kręci po tylu latach.

- Rozumiem to.

- Odkąd porzuciłam Kronosa... och, on był tak sztywny, że można było się o niego potłuc, wiesz, co mam na myśli? Był idealnym tatusiem z lat pięćdziesiątych - chciał, żebyśmy byli jak Ozzie i Harriet albo Barney i Betty, albo coś w tym rodzaju.

- On... on połykał żywcem swoje dzieci.

- Aha. - Rea odgarnęła włosy z twarzy. - To była zła karma. W każdym razie rzuciłam go. Wtedy rozwody nie były normą. Po prostu się tego nie robiło. Ale ja spaliłam mój *apodesmos* i wyzwoliłam się. Wychowałam Zeusa w komunie z grupą najad i kuretów. Mnóstwo kiełków pszenicy i nektaru. Dzieciak wyrastał pod mocnym wpływem Wodnika.

Byłem całkiem przekonany, że Rei mieszają się stulecia, ale uznałem, że nie będzie uprzejmie jej to wypominać.

- Przypominasz mi Iris - powiedziałem. - Została organiczną weganką kilka dekad temu.



Rea skrzywiła się przez jej twarz przeniknął lekki cień dezaprobaty, ale szybko odzyskała równowagę karmiczną.

- Iris to dobra dusza. Ubóstwiam ją. Ale wiesz, te młodsze boginie, ich nie było na świecie, kiedy my wznieśliśmy rewolucję. One nie rozumieją, jak to jest, kiedy twój facet zjada ci dzieci, ty nie możesz dostać pracy, a tytańscy szowiniści chcą, żebyś siedziała w domu, gotowała i sprzątała, i rodziła kolejne olimpijskie dzieci. A skoro mowa o Iris... - Rea poklepała się po czole. - Zaraz, czy my *rozmawialiśmy* o Iris? Czy ja miałam tylko jakiś przebłysk?

- Naprawdę nie mam pojęcia.

- Och, teraz pamiętam. Ona jest wysłanniczką bogów, prawda? Razem z Hermesem i tą ekstra wyzwoloną laską... Joanną d Arc?

- Eee, co do tej ostatniej to nie jestem pewny.

- No dobra, w każdym razie łącza nie działają, chłopcze. Nic nie działa. Iryfon, latające zwoje, Hermes Express... wszystko zwariowało.

- Wiemy o tym. Ale nie wiemy dlaczego.

- To *oni*. Oni to robią.

- Kto?

Rozejrzała się podejrzliwie.

- Człowiek, chłopcze. Wielki Brat. Garniturowcy. Imperatorowie.

Miałem nadzieję, że usłyszę coś innego: giganci, tytani, starożytne maszyny do zabijania, kosmici. Wolałbym mieć do czynienia z Tartarem albo Uranosem, albo nawet z samym Pierwotnym Chaosem. Miałem nadzieję, że gejzer Pete źle zrozumiał to, co mówił jego brat o imperatorze w mrowisku.

Teraz kiedy dostałem potwierdzenie, miałem ochotę ukraść terenówkę Rei i pojechać do jakiejś komuny daleko, daleko na prowincji.

- Holding Triumwirat - powiedziałem.

-Aha - przytaknęła Rea. - To ich nowy wojskowo-przemysłowy kompleks. Doprowadzają mnie do załamania nerwowego.

Lew przestał lizać mi twarz, może dlatego że moja krew zrobiła się gorzka.

- Jak to możliwe? Jak oni wrócili?

-Oni nigdy nie odeszli - odparła Rea. - Rozumiesz, oni sami to sobie zrobili. Chcieli uczynić się bogami. To nigdy dobrze nie działa. Od dawnych czasów ukrywali się, wpływając na bieg historii zza kulis. Utknęli w rodzaju strefy mroku. Nie mogą umrzeć, ale nie mogą też naprawdę żyć.

-Ale jak to możliwe, że *my nie wiedzieliśmy o tym?* - zapytałem. - Jesteśmy bogami!

Śmiech Rei kojarzył mi się z astmatycznym prosiakiem.

-Apollinie, mój wnuku, mój piękny chłopcze... Czy bycie bogiem uchroniło kogokolwiek przed głupotą?

Miała rację. Nie co do mnie, oczywiście, ale historie, które mógłbym wam opowiedzieć o *innych* Olimpijczykach...

-Cesarzowie Rzymu. — Usiłowałem pogodzić się z tą perspektywą. — Nie mogą wszyscy być nieśmiertelni.

-Nie - powiedziała Rea. - Tylko najgorsi z nich, najbardziej znani. Oni żyją w ludzkiej pamięci, chłopcze. To ich trzyma przy życiu. Podobnie jak nas, tak po prawdzie. Są związani z dziejami zachodniej cywilizacji, aczkolwiek cały ten koncept to imperialistyczna eurocentryczna propaganda, chłopcze. Jak powiedziałby mój guru...

-Reo - dotknąłem dłońmi pulsujących skroni - czy możemy się zająć jednym problemem naraz?

-Ach, oczywiście. Nie zamierzałam przegrzać ci zwojów.

-W jaki sposób oni są w stanie zakłócać naszą łączność? Dlaczego są tacy potężni?

-Mieli na to stulecia, Apollinie. Stulecia. Przez cały ten czas intrygowania i wojny, budowania kapitalistycznego imperium

na tę chwilę, kiedy będziesz śmiertelny, kiedy Wyrocznie będą niezabezpieczone i gotowe do przejęcia przez wroga.

To czyste zło. Oni w ogóle nie czują bluesa.

- Mam wrażenie, że to trochę nowszy termin.

- Zło?

- Nie. *Blues*. Nieważne. Bestia... jest przywódcą?

- Tego się obawiam. Jest równie pokręcony jak pozostali, ale jest też najinteligentniejszy i najbardziej zrównoważony... na swój socjopatycznie morderczy sposób. Wiesz, kim on jest... kim był, prawda?

Niestety wiedziałem. Pamiętałem, gdzie widziałem jego paskudną uśmiechniętą gębę. Słyszałem jego nosowy głos niosący się echem po arenie, nakazujący egzekucje setek ludzi ku uciesze tłumów. Chciałem zapytać Reę, kim byli jego dwaj ziomkowie z Triumwiratu, ale uznałem, że mogę na razie nie znieść tej wiedzy. Żadna z opcji nie była dobra, a znajomość ich imion mogła przyprawić mnie o większą desperację, niż byłem w stanie udźwignąć.

- A zatem to prawda — powiedziałem. - Pozostałe Wyrocznie nadal istnieją. Cesarzowie mają je w swoich łapach?

- Pracują nad tym. Pyton zdobył Delfy - to największy problem. Ale ty nie będziesz miał dość siły, żeby się z nim zmierzyć osobiście. Musisz wyrwać im z rąk najpierw pomniejsze Wyrocznie, osłabić ich moc. Aby to zrobić, będziesz potrzebował nowego źródła przepowiedni dla tego obozu - Wyroczni, która jest starsza i niezależna.

- Dodona - odrzekłem. - Twój szepczący gaj.

- O właśnie - przytaknęła Rea. - Myślałam, że gaj zginął na zawsze. Ale potem... nie wiem jak... dęby odrosły w samym środku tego lasu. Musisz odnaleźć gaj i ochronić go.

- Pracuję nad tym. - Dotknąłem lekko rany na mojej głowie. - Ale moja przyjaciółka Meg...

- Aha. Są pewne komplikacje, Apollinie. Ale komplikacje zdarzają się zawsze. Kiedy razem z Lizzy Stanton prowadziłyśmy pierwszą Konwencję Praw Kobiet w Woodstock...

- Masz chyba na myśli Zjazd Kobiet w Seneca Falls?

Rea zmarszczyła brwi.

- Czy to nie było w latach sześćdziesiątych?

- W czterdziestych - odrzekłem. - Co więcej, czterdziestych XIX wieku, o ile mnie pamięć nie myli.

- A zatem... nie było tam Jimiego Hendrixa?

- Wątpię.

Rea obracała w palcach swoją pacyfę.

- W takim razie kto podpalił gitarę? Ach, nieważne. Rzecz w tym, że musisz być wytrwały. Czasami przeprowadzenie zmian trwa stulecia.

- Problem w tym, że chwilowo jestem śmiertelnikiem - zauważyłem. — Nie mam do dyspozycji stuleci.

- Ale masz siłę woli - oznajmiła Rea. - Masz energię śmiertelnika i jego poczucie, że sprawa jest pilna. Bogom często tego brakuje.

Siedzący u jej boku lew ryknął.

- Muszę lecieć - powiedziała Rea. - Jeśli imperatorowie mnie wytropią, jesteśmy w opalach, chłopcze. Na zbyt długo wypadłam z obiegu. Nie zamierzam dać się wciągnąć ponownie w tę patriarchalno-instytucjonalną opresję. Po prostu znajdź Dodonę. To twoje pierwsze zadanie.

- A jeśli Bestia znajdzie ją jako pierwszy?

- Och, on już znalazł bramę, ale nie da rady przez nią przejść

bez ciebie i tej dziewczyny.

- N-nie rozumiem.

- Spoko. Tylko oddychaj. Znajdź swoje centrum. Oświecenie musi przyjść z centrum.

Brzmiało to zupełnie jak rada, której mógłbym udzielić moim wyznawcom. Kusiło mnie, żeby udusić Reę jej plecionym

paskiem, ale wątpiłem, czy wystarczyłoby mi siły. A poza tym ona miała dwa lwy.

- Ale co ja mam robić? Jak ocalić Meg?

- Przede wszystkim ulecz samego siebie. Odpocznij. A potem... cóż, to, jak ocalisz Meg, zależy od ciebie. Podróż jest ważniejsza od celu, wiesz o tym?

Wyciągnęła przed siebie rękę. Wokół dłoni miała owinięte dzwoneczki wietrzne - mosiężne rurki i medaliony ozdobione greckimi i minojskimi symbolami.

- Powieś to na największym starym dębie. Pozwolą ci skupić głosy Wyroczeni. Jeśli otrzymasz przepowiednię, to cudownie. To będzie dopiero początek, ale bez Dodony nic innego nie będzie możliwe. Imperatorowie zduszą naszą przyszłość i podzielą świat. Dopiero kiedy pokonasz Pytona, możesz odzyskać swoje prawowite miejsce na Olimpie. Mój syn, Zeus... on jest zwolennikiem dyscypliny i „zimnego chowu”, chwytasz? Odzyskanie Delf jest jedynym sposobem, żeby zaskarbić sobie jego łaskę.

- Eee... obawiałem się, że to powiesz.

- Jest coś jeszcze - ostrzegła mnie. - Bestia planuje jakiś atak na wasz obóz. Nie wiem, co dokładnie, ale to będzie coś poważnego. Wiesz, może nawet gorszego od napalmu. Musisz ostrzec swoich przyjaciół.

Siedzący bliżej lew trącił mnie pyskiem. Objąłem jego kark rękami i pozwoliłem, żeby pomógł mi wstać. Udało mi się nie przewrócić, ale tylko dlatego że moje nogi sparaliżował strach. Po raz pierwszy zrozumiałem próby, jakie mnie czekały. Wiedziałem, kim są wrogowie, którym muszę stawić czoła. Będę potrzebował czegoś więcej niż dzwoneczki i oświecenie. Będę potrzebował cudu. A jako bóg mogę wam powiedzieć, że te nigdy nie są rozdzielane hojną ręką.

- Powodzenia, Apollinie. - Królowa tytanów włożyła mi dzwoneczki do ręki. - Muszę sprawdzić mój piec garncarski,

żeby mi naczynia nie popękały. Szerokiej drogi i ocal te drzewa!

Las rozplynął się w powietrzu. Stałem na środku wielkiej łąki w Obozie Herosów, naprzeciwko Chiary Benvenuti, która podskoczyła przestraszona.

- Apollo?

Uśmiechnąłem się.

- Cześć, dziewczynko. — Po czym moje oczy wywróciły się i po raz drugi w tym tygodniu z pełnym wdziękiem zemdlałem przed nią.

*Przepraszam  
Za właściwie wszystko  
Rany, jestem super*

- OBUDŹ SIĘ - powiedział jakiś głos.

Otwarłem oczy i zobaczyłem ducha - którego twarz była równie ukochana jak Dafne. Znałem jego miedzianą skórę, jego łagodny uśmiech, ciemne pukle włosów i te fiołkowe oczy...

- Hiakintosie. — Załkałem. — Tak bardzo mi przykro...

Odwrocił twarz ku słońcu, ukazując paskudne wgniecenie nad lewym uchem, gdzie uderzył go dysk. Moja własna poroniona twarz zapulsowała ze współczuciem.

- Przeszukaj jaskinie - powiedział. - W pobliżu źródeł błękitu. Och, Apollinie... stracisz rozum, ale nie...

Jego obraz zbladł i zaczął znikać. Wstałem z łóżka. Pobiegłem za nim i chwyciłem go za ramiona.

- Nie co? Proszę, nie porzucaj mnie znowu!

Mój wzrok się wyostriżył. Stałem przed oknem domku numer siedem, trzymając w ramionach glinianą doniczkę z fioletowymi i czerwonymi hiacyntami. Tuż obok Will i Nico z bardzo zatroskanymi minami czekali gotowi mnie łapać.

- On gada z kwiatami - zauważył Nico. - Czy to normalne?

- Apollinie - powiedział Will - masz wstrząs mózgu. Wyleczyłem cię, ale...

- Te hiacynty — zapytałem — one zawsze tu były?

Will zmarszczył czoło.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, skąd się wzięły, ale... - Wyjął mi doniczkę z rąk i odstawił ją na parapet. - Zajmijmy się może tobą, okej?

W normalnych okolicznościach byłaby to wspaniała rada, ale teraz byłem w stanie jedynie gapić się na hiacynty, zastanawiając się, czy stanowią one jakąś wiadomość. Jakże okrutny był ich widok — widok kwiatów, które stworzyłem na cześć mojej zabitej miłości, o kwiatostanach zabarwionych na czerwono jak jego krew lub w odcieniu fioleto jak jego oczy. Kwitły tak wesoło na oknie, przypominając mi o utraczonej radości.

Nico położył dłoń na ramieniu Willa.

- Apollinie, martwiliśmy się. Zwłaszcza Will.

Ich widok razem, wspierających się wzajemnie, sprawił, że serce zaciężyło mi w piersi jeszcze bardziej. W majakach odwiedziły mnie moje dwie największe miłości. A teraz znowu byłem rozpaczliwie samotny.

Miałem jednak zadanie do wykonania. Przyjaciółka potrzebowała mojej pomocy.

- Meg jest w tarapatach - powiedziałem. - Jak długo byłem nieprzytomny?

Will i Nico spojrzeli po sobie.

- Jest mniej więcej południe - stwierdził Will. - Ty pojawiłeś się na łące mniej więcej o szóstej rano. Kiedy Meg nie wróciła z tobą, chcieliśmy szukać jej w lesie, ale Chejron nam nie pozwolił.

- Chejron miał bezwzględnie rację - oznajmiłem. - Ja też nie pozwolę, żeby ktokolwiek ryzykował. Ale ja muszę się pośpieszyć. Meg wytrwa najwyżej do północy.

- A potem co się wydarzy? - zapytał Nico.

Nie byłem w stanie tego powiedzieć. Nie byłem w stanie nawet o tym *myśleć* bez gniewu. Spuściłem wzrok. Jeśli nie liczyć



brazylijskiego szalika od Paola i naszyjnika ze struny ukulele, miałem na sobie jedynie bokserki. Odrażający tłuszczył był na widoku publicznym, ale ja już się tym nie przejmowałem. (No, nie za bardzo w każdym razie).

- Muszę się ubrać.

Pokuśtykałem z powrotem do łóżka polowego. Zacząłem przebierać w moich marnych zasobach i znalazłem podkoszulek Led Zeppelin należący do Percy'ego Jacksona.

Wciągnąłem go na siebie. Wydawał się bardziej pasować niż kiedykolwiek wcześniej.

Will pojawił się przy mnie.

- Słuchaj, Apollinie, nie jesteś stuprocentowo zdrowy.

- Nic mi nie będzie. - Ubrałem dżinsy. - Muszę uratować Meg.

- Pozwól nam sobie pomóc - powiedział Nico. - Wyjaśnij nam, gdzie ona jest, a możemy się tam dostać cieniem...

- Nie! - warknąłem. - Nie, wy musicie tu zostać, żeby bronić obozu.

Mina Willa przypominała mi bardzo jego matkę Naomi - ta sama trema, którą miała zawsze tuż przed wyjściem na scenę.

- Bronić obozu przed czym?

- N-nie jestem pewny. Musicie powiedzieć Chejronowi, że cesarzowie wrócili. A raczej nigdy nie odeszli. Intrygowali i budowali swoje zaplecze przez stulecia.

Oczy Nica rozbłysły nieufnie.

- Kiedy mówisz cesarzowie...

- Mam na myśli tych rzymskich.

Will cofnął się o krok.

- Mówisz, że cesarzowie starożytnego Rzymu żyją? Ale jak? Wrócili przez Wrota Śmierci?

- Nie. - Smak żółci ledwie pozwalał mi mówić. - Cesarzowie uczynili samych siebie bogami. Mieli własne świątynie i ołtarze. Przekonywali ludzi, żeby im oddawali cześć.

- Ale to była tylko propaganda - powiedział Nico. — Nie byli naprawdę boscy.

Zaśmiałem się ponuro.

- Życie bogów podtrzymuje oddawana im cześć, synu Hadesa. Istnieją nadal dzięki zbiorowej pamięci ludów. Tak jest z Olimpijczykami, tak jest też z cesarzami. Jakimś cudem najpotężniejszym z nich udało się przeżyć. Przez całe stulecia trzymali się półżycia, ukrywając się, czekając, by odzyskać władzę.

Will pokręcił głową.

- To niemożliwe. Jak...?

- Nie mam pojęcia! — Usiłowałem uspokoić oddech. - Powiedz Rachel, że za Holdingiem Triumwirat stoją dawni cesarzowie rzymscy, którzy intrygowali przeciwko nam od wieków, a my, bogowie, byliśmy ślepi. Ślepi.

Założyłem kurtkę. Ambrozja, którą poprzedniego dnia dał mi Nico, znajdowała się nadal w lewej kieszeni. W prawej pobrzękiwały dzwoneczki Rei, aczkolwiek nie miałem pojęcia, jak się tam dostały.

- Bestia planuje jakiś atak na obóz - rzuciłem. - Nie wiem, co to będzie, nie wiem kiedy, ale powiedzcie Chejronowi, że musicie być gotowi. Muszę już lecieć.

- Czekaj! - zawołał Will, kiedy byłem już przy drzwiach. - Kim jest Bestia? Z którym z cesarzy mamy do czynienia?

- Z najgorszym z moich potomków. - Wbiłem palce w futrynę. — Chrześcijanie nazwali go Bestią, ponieważ palił ich żywcem. Naszym wrogiem jest cesarz Neron.

Chyba zbyt ich zamurowało, żeby mogli za mną pobiec.

Udałem się do zbrojowni. Kilku herosów obrzuciło mnie dziwnymi spojrzeniami. Niektórzy coś za mną wołali, proponując pomoc, ale zignorowałem ich. Byłem w stanie myśleć jedynie o Meg samotnej w norze myrmek i o wizjach Dafne,

Rei i Hiakintosa - wszystkich ponaglających mnie, każących mi robić rzeczy niemożliwe w tej niewłaściwej ludzkiej formie.

Kiedy dotarłem do zbrojowni, przebiegłem wzrokiem stojak z łukami. Drżącą ręką ująłem luk, który usiłowała wczoraj dać mi Meg. Był wykonany z drewna górskiego wawrzynu. Gorzka ironia spodobała mi się.

Przysiągłem, że nie użyję luku, dopóki nie zostanę na powrót bogiem. Przysiągłem jednak również nie grać muzyki, a tę część przysięgi zdążyłem już złamać w najbardziej wierutnym stylu Abby.

Klątwa Styksu może mnie zabić w powolny, rakowaty sposób

albo też Zeus może porazić mnie piorunem. Niemniej przysięga, że uratuję Meg McCaffrey, miała pierwszeństwo.

Uniosłem twarz ku niebu.

- Jeśli pragniesz mnie ukarać, ojcze, to proszę bardzo, ale miej odwagę zranić mnie bezpośrednio, a nie przez moją ludzką towarzyszkę. BĄDŹ MEŹCZYŹNĄ!

Ku mojemu zaskoczeniu niebo pozostało milczące. Piorun mnie nie roztrzaskał na kawałki. Być może Zeus był zbyt zaskoczony, żeby zareagować, ale wiedziałem, że nigdy nie przymknąłby oka na taką obrazę.

Niech go Tartar pochłonie. Ja miałem zadanie do wykonania.

Chwyciłem kołczan i napchałem do niego tyle dodatkowych strzał, ile byłem w stanie znaleźć. Następnie pobiegłem do lasu, a dwa pierścionki Meg pobrzękiwały mi na szyi na prowizorycznym naszyjniku. Zbyt późno uświadomiłem sobie, że zapomniałem bitewnego ukulele, ale nie miałem czasu wracać. Mój głos musi w razie czego wystarczyć.

Nie jestem pewny, jak znalazłem mrowisko.

Być może las po prostu pozwolił mi tam dojść, wiedząc, że zmierzam na śmierć. Odkryłem wtedy, że kiedy szuka się niebezpieczeństwa, nie jest trudno je znaleźć.

Wkrótce kuciałem za zwalonym drzewem, przyglądając się siedzibie myrmek na rozciągającej się przede mną polanie. Nazywanie tego czegoś mrowiskiem było jak określanie Wersalu mianem domku jednorodzinne. Ziemne wały wznosiły się niemal do wierzchołków otaczających je drzew - czyli na wysokość co najmniej trzydziestu metrów. Obwód mrowiska pomieściłby spokojnie rzymski hipodrom. Niekończące się strumienie żołnierzy i robotnic mrowiły się na wzgórzu. Niektóre myrmeki wlekły przewrócone drzewa. Jedna z niewiadomych powodów przyciągnęła chevroleta impalę z 1967 roku.

Ile mrówek mogłem mieć przed sobą? Nie miałem pojęcia. Gdy dojdziecie do liczby *niemożliwej*, nie ma sensu liczyć dalej. Założyłem strzałę na cięciwę i wyszedłem na polanę.

Kiedy spostrzegła mnie znajdująca się najbliżej myrmeka, upuściła samochód. Potrząsając czułkami, przyglądała się, kiedy podchodziłem. Zignorowałem ją i minąłem, kierując się prosto ku najbliższemu wejściu do tuneli. To zmyliło ją jeszcze bardziej.

Kilka innych mrówek zebrało się, żeby patrzeć.

Nauczyłem się dawno, że wystarczy zachowywać się, jakby się było na miejscu, żeby większość ludzi (albo mrówek) nie protestowała. Zazwyczaj pewność siebie nie stanowi dla mnie problemu. Bogom wolno być wszędzie. Trochę trudniej było zdobyć się na to Lesterowi Papadopoulosowi, nastoletniemu przygłupowi *extraordinaire*, ale zdołałem dojść aż do mrowiska, nie będąc zaczepianym.

Wskoczyłem do środka i zacząłem śpiewać.

Tym razem nie potrzebowałem ukulele. Nie potrzebowałem muzy, by dała mi natchnienie. Przypomniałem sobie twarz Dafne wśród drzew. Przypomniałem sobie Hiakintosa odwracającego się ode mnie ze śmiertelną raną widniejącą w czaszce. Mój głos wypełniła udręka. Śpiewałem z głębi złamanego

serca. Zamiast upaść pod ciężarem własnej rozpacz, roztoczyłem ją wokół siebie.

Tunele wzmacniały mój głos, niosąc go przez całe mrowisko i czyniąc z całego wzgórze mój instrument muzyczny.

Ilekroć mijalem jakąś mrówkę, podkulała nogi i dotykała czołem ziemi, a jej czułki chwiały się w rytm mojego głosu.

Gdybym był bogiem, moja pieśń byłaby mocniejsza, ale i ta wystarczyła. Byłem pod wrażeniem, jak wiele smutku jest w stanie zawrzeć w sobie ludzki głos.

Wędrowałem w głąb wzgórze. Nie miałem pojęcia, dokąd idę, dopóki nie dostrzegłem pelargonii kwitnącej na dnie tunelu.

Urwałem na chwilę pieśń.

Meg. Musiała odzyskać świadomość. Upuściła jedno z alarmowych nasion, żeby pozostawić mi ślad. Fioletowe kwiaty pelargonii były skierowane ku mniejszemu tunelowi odchodzącemu w lewo.

— Sprytna dziewczynka — powiedziałem, wchodząc w ten tunel.

Klekot ostrzegł mnie przed zbliżającą się myrmeką.

Odwróciłem się i uniosłem łuk. Uwolniony od czaru mojego głosu owad zaatakował z pyskiem pokrytym pianą kwasu. Naciągnąłem cięciwę i wystrzeliłem. Strzała wbiła się aż po lotki w czoło mrówki.

Potwór padł, tylko tylnymi nogami szarpały mu śmiertelne drgawki. Usiłowałem odzyskać strzałę, ale drzewce złamało mi się w ręce - odłamany koniec pokrywała żrąca i dymiąca maź. To by było tyle w kwestii strzał wielokrotnego użytku.

— MEG! — zawołałem.

Odpowiedział mi jedynie klekot kolejnych wielkich mrówek zbliżających się w moim kierunku. Zacząłem znów śpiewać. Teraz jednak miałem większą nadzieję na odnalezienie Meg, co utrudniało osiągnięcie odpowiedniego poziomu melancholii.

Mrówki, które napotykałem na swojej drodze, nie były już katatoniczne. Poruszały się powoli i niepewnie, ale mimo to atakowały. Byłem zmuszony powystrzelać je po kolei.

Minąłem grotę wypełnioną błyszczącymi skarbami, ale chwilowo nie interesowały mnie błyskotki. Szedłem dalej.

Na następnym skrzyżowaniu z ziemi wyrastała kolejna pelargonie o kwiatach skierowanych w prawo. Skręciłem w tę stronę, znów wołając Meg po imieniu, po czym wróciłem do pieśni.

W miarę jak mój nastrój się poprawiał, pieśń stawała się coraz mniej skuteczna, a poziom agresji mrówek wzrastał. Po wystrzeleniu około tuzina strzał kołczan stał się niebezpiecznie lekki.

Musiałem sięgnąć głębiej do moich pokładów rozpacz. Musiałem poczuć bluesa, dosłownie i właściwie.

Po raz pierwszy od czterech tysięcy lat śpiewałem o własnych przewinieniach.

Wylałem z siebie poczucie winy z powodu śmierci Dafne. Moje samochwalstwo, zazdrość i pożądanie zniszczyły ją. Kiedy uciekała ode mnie, powinienem był dać jej odejść. Zamiast tego ja ścigałem ją bez wytchnienia. Pragnąłem jej i zamierzałem ją dopaść. Z tego powodu nie pozostawiłem Dafne wyboru. Aby uciec przede mną, poświęciła swoje życie i zamieniła się w drzewo, pozostawiając w moim sercu wieczną ranę... Ale to była moja wina. Przeprosiłem ją w mojej pieśni. Błagałem Dafne o przebaczenie.

Śpiewałem o Hiakintosie, najpiękniejszym z ludzi. Kochał się w nim również wiatr zachodni Zefir, ale ja odmówiłem mu podzielenia się choćby jedną chwilą z życia Hiakintosa. Wiedziona zazdrością groziłem Zefirowi. Wyzwałem go, wyzwalałem go, żeby się wtrącił.

Śpiewałem o tym dniu, kiedy razem z Hiakintosem rzucaliśmy dyskiem, a wiatr zachodni zdmuchnął mój dysk z trasy... prosto w bok głowy Hiakintosa.

Aby Hiakintos mógł pozostać w słońcu, do którego należał, stworzyłem z jego krwi hiacyny. Uważałem Zefira za odpowiedzialnego, ale to moja małostkowa chciwość spowodowała śmierć Hiakintosa. Wylałem cały mój żal. Przyjąłem nu siebie całą winę.

Śpiewałem o moich porażkach, o moim na wieki złamanym sercu, o samotności. Byłem najgorszym z bogów, najbardziej prześladowanym przez poczucie winy i najbardziej rozkojarzonym. Nie byłem w stanie związać się z jednym kochankiem. Nie mogłem nawet zdecydować się, czego chcę być bogiem. Przeskakiwałem wciąż z jednego talentu do drugiego - roztargniony i wiecznie niezadowolony.

Moje złote życie było ścierną. Mój luz udawaniem. Moje serce było kłodą skamieniałego drewna.

Wokół mnie myrmeki padały na ziemię. Całe mrowisko drżało ze smutku.

Znalazłem trzecią pelargonię, a potem czwartą.

W końcu w przerwie między strofami usłyszałem przed sobą cichy głosik - płaczącej dziewczynki.

- Meg! - Przerwałem pieśń i pobiegłem.

Leżała pośrodku ogromnej spizarni, zupełnie jak to sobie wyobraziłem. Wokół niej porozrzucane były sterty zwierzęcych trucheł - krów, jeleni, koni - wszystkie pokryte stwardniałą mazią i powoli się rozkładające. Smród zaatakował moje nozdrza z siłą lawiny.

Meg również była w to zapakowana, ale walczyła za pomocą pelargonii. Z najcieńszych fragmentów jej kokonu wyrastały listki. Kwiatowa kryza chroniła jej twarz przed breją. Udało się jej nawet uwolnić jedną rękę dzięki eksplozji pelargonii pod lewym ramieniem.

Oczy miała zapuchnięte od płaczu. Zakładałem, że była przerażona, zapewne obolała, ale kiedy przy niej przykląknę, pierwsze słowo, jakie powiedziała, brzmiało:

- Przepraszam.

Otarłem łzę z czubka jej nosa.

- Za co, droga Meg? Ty nie zrobiłaś nic złego. To ja cię zawiodłem.

Zaniosła się szlochem.

- Nic nie rozumiesz. Ta pieśń, którą śpiewałeś. Och, bogowie... Apollinie, gdybym wiedziała...

- Ciii, już. - Miałem tak obolałe gardło, że ledwie byłem w stanie mówić. Pieśń omal nie zniszczyła mojego głosu. - To tylko reakcja na smutek zawarty w muzyce. Uwolnijmy cię.

Zastanawiałem się, jak to zrobić, kiedy Meg otwarła szeroko oczy i wydała żałosny pisk.

Włoski na moim karku stanęły na baczność.

- Za mną są mrówki, prawda? - zapytałem.

Meg przytaknęła.

Obróciłem się, kiedy cztery myrmeki wmaszerowały do jaskini. Sięgnąłem po kołczan. Została w nim jedna strzała.





*Rada dla rodziców:  
Mamcie, nie pozwólcie larwom  
Wyrosnąć na mrówki*

MEG RZUCAŁA SIĘ w swoim brejowatym kokonie.

- Wyjmij mnie z tego!

- Nie mam miecza! — Sięgnąłem do struny z ukulele na szyi. - To znaczy mam twoje szable, a raczej twoje pierścionki...

- Nie musisz mnie wycinać. Kiedy mrówka mnie tu wrzuciła, upuściłam torebkę z nasionami. Powinna być gdzieś blisko.

Miała rację. Dostrzegłem podeptany woreczek tuż obok jej stóp.

Podpełzłem ku niemu, nie spuszczać oka z mrówek. Stały rzędem przy wejściu, jakby wahały się, czy iść dalej. Może szlak martwych mrówek prowadzący do tego pomieszczenia powstrzymywał je.

- Dobre mrówki - powiedziałem. - Wspaniałe, spokojne mrówki.

Przykucnąłem i podniosłem woreczek. Szybki rzut oka do środka powiedział mi, że mieliśmy jeszcze około połowy nasion.

- Co teraz, Meg?

- Wysyp je na tę maź - odparła Meg.

Wskazałem na pelargonie wyrastające wokół jej szyi i ramienia.

- Ile nasion było potrzeba na to?

- Jednego.

- W takim razie ta ilość cię udusi. Zbyt wielu ludzi, na których mi zależało, zamieniłem w kwiaty, Meg. Nie pozwolę...

- ZRÓB TO!

Mrówkom nie spodobał się jej ton. Podeszły bliżej, kłapiąc żuwaczkami. Wytrząsnąłem nasiona pelargonii na kokon Meg, po czym umieściłem strzałę na cięciwie. Zabicie jednej mrówki nic by nam nie dało, jeśli trzy pozostałe miałyby rozszarpać nas na strzępy, wybrałem więc inny cel. Wystrzeliłem w strop grotu, tuż nad głowami mrówek.

Był to rozpaczliwy pomysł, ale miałem już doświadczenie w burzeniu budynków za pomocą strzał. W roku 464 p.n.e. wywołałem trzęsienie ziemi, które zmioło z powierzchni globu większość Sparty, ponieważ zdołałem trafić w linię usko-ku pod odpowiednim kątem. (Nigdy szczególnie nie przepadałem za Spartanami).

Tym razem miałem mniej szczęścia. Strzała ugrzęzła w zbitej ziemi z głuchym stuknięciem. Mrówki postąpiły kolejny krok do przodu z pyskami ociekającymi kwasem. Za moimi plecami Meg usiłowała uwolnić się ze swojego kokonu, który porastał obecnie puchaty kobierzec fioletowych kwiatów.

Potrzebowała więcej czasu.

Nie mając więcej pomysłów, ściągnąłem z szyi brazylijski szalik i zacząłem nim wymachiwać, usiłując skanalizować wewnętrzne Paola.

- STAĆ, WSTRĘTNE MRÓWY! - wrzasnąłem. - *BRASU!*

Mrówki zatrzymały się - zapewne z powodu jaskrawych kolorów, mojego głosu albo mojego nagłego przypiływu szalonej pewności siebie. Kiedy się wahały, w stropie, w miejscu gdzie przebiła go strzała, pojawiły się pęknięcia, a następnie tysiące ton ziemi runęły na głowy myrmek.

Kiedy pył opadł, połowa pomieszczenia znikła — wraz z mrówkami.

Spojrzałem na szalik.

- A niech mnie Styks. To naprawdę ma magiczną moc. Nigdy nie powiem o tym Paolowi, bo stanie się nie do zniesienia.

- Tutaj! - krzyknęła Meg.

Odwrociłem się. Kolejna mrówka wspinała się na stos truchel — ewidentnie przybyła z drugiego wejścia, którego nie za-uważałem za obrzydliwymi stertami pożywienia.

Zanim zdążyłem pomyśleć, co robić, Meg ryknęła i wyskoczyła z klatki, rozrzucając na wszystkie strony pelargonie.

- Pierścionki! - krzyknęła.

Zerwałem je z szyi i cisnąłem ku niej. Kiedy tylko Meg je złapała, w jej rękach rozbłysły dwie szable.

Myrmeka ledwie zdążyła pomyśleć: *Ojoj*, zanim Meg zaszarżowała i ścięła jej uzbrojoną głowę. Ciało mrówki runęło, zmieniając się w dymiącą masę.

Meg odwróciła się do mnie. Na jej twarzy mieszały się wi-na, nieszczęście i gorycz. Obawiałem się, że może użyć tych szabli przeciwko mnie.

- Apollinie, ja... — Głos jej się załamał.

Podejrzywałem, że nadal cierpiała z powodu skutków, jakie wywołała moja pieśń. Była wstrząśnięta do głębi. Postanowiłem zapamiętać, że nie powinienem tak gorliwie śpiewać, kiedy mogą mnie słuchać ludzie.

- Wszystko w porządku, Meg — powiedziałem. — To ja powinienem cię przeproszać. To ja wciągnąłem cię w to bagno.

Meg pokręciła głową.

- Ty nic nie rozumiesz. Ja...

Rozwścieczony wrzask poniósł się echem po pomieszczeniu, wstrząsając osłabionym stropem i strącając na nasze głowy deszcz ziemi. Ton tego wrzasku przypominał mi Herę

maszerującą po korytarzach Olimpu i wydzierającą się na mnie za niespuszczenie deski w boskiej toalecie.

- To królowa mrówek — domyśliłem się. — Lepiej uciekajmy.

Meg skierowała szablę ku jednemu pozostałemu wyjściu.

-Ale ten dźwięk dobiegał stamtąd. Będziemy zmierzali w jej kierunku.

-Niewątpliwie. Może zatem powinniśmy wstrzymać się z wzajemnym przepaszaniem się, co? Mamy jeszcze szanse się pozabijać.

Znaleźliśmy królową mrówek.

Hurra.

Wszystkie korytarze najwyraźniej prowadziły do królowej. Rozchodziły się z jej komnaty jak promienie gwiazdy. Jej Królewska Mość była trzy razy większa od swoich największych żołnierzy - kolosalna masa czarnej chityny i dodatków z drutu kolczastego, o prześwitujących owalnych skrzydłach zwiniętych na grzbiecie. Jej oczy przypominały szkliste jeziora onyksu. Jej brzuch był tętniącym przezrzystym workiem pełnym połyskujących jaj. Na ten widok zacząłem żałować, że wynalazłem żelowe kapsułki z lekami.

Ten nabrzmiaty brzuch mógł spowolnić ją w walce, ale była tak ogromna, że zdoła nas złapać, zanim dotrzemy do najbliższego wyjścia. A jej żuwaczki przetną nas na pół jak suche gałązki.

-Meg - powiedziałem - jak ci się widzi walka dwiema szablami przeciwko tej damie?

Meg była przerażona.

- To ciężarna matka.

-Tak... ale to robał, a ty ich nienawidzisz. A jej dzieci właśnie marynowały cię na obiad.

Meg zmarszczyła brwi.

- Mimo to... mam wrażenie, że to nie w porządku.

Królowa syknęła; był to suchy odgłos przypominający strzyknięcie. Zakładałem, że dawno już spryskałaby nas kwasem, gdyby nie bała się odległych skutków oddziaływania substancji żrących u swoich larw. Królowe mrówek bywają ostatnio przeczulone.

-Masz jakiś inny pomysł? - zapytałem Meg. - Najlepiej taki, który nie zakłada umierania?

Wskazała na tunel znajdujący się dokładnie za stertą złożonych już przez królową jaj.

- Musimy iść w tamtym kierunku. Ten tunel prowadzi do gaju.

- Skąd masz pewność?

Meg przechyliła głowę.

- Drzewa. To jakbym... jakbym słyszała, jak rosną.

Jej słowa przypomniały mi o czymś, co kiedyś powiedziały mi muzy - że słyszą atrament zasychający na nowych kartkach z poezją. Uznałem za logiczne, że córka Demeter będzie słyszeć wzrost roślin. A poza tym nie zaskoczyło mnie, że tunel, w który powinniśmy wejść, był położony tak, żeby najtrudniej było się do niego dostać.

- Śpiewaj - powiedziała Meg. - Śpiewaj tak jak wcześniej.

- N-nie mogę. Praktycznie straciłem głos.

*A poza tym - pomyślałem — nie mam ochoty ryzykować, że cię ponownie stracę.*

Uwolniłem Meg, a zatem zapewne wypełniłem wymagania przysięgi złożonej Peteowi, bogu gejzeru. Niemniej śpiewając i strzelając z łuku, złamałem przysięgę na Styks nie raz, ale dwa razy. Więcej śpiewania zrobi ze mnie jeszcze *większego* krzywoprzysięcę.

Jakiegokolwiek kosmiczne kary mnie czekały, nie chciałem, żeby dotknęły Meg.

Jej Królewska Mość kłapnęła na nas - było to kłknięcie ostrzegawcze, nakazujące nam odwrót. Gdybym stał o kilka metrów bliżej, moja głowa potoczyłaby się po ziemi.

Zaintonowałem pieśń - a raczej zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, tym chrapliwym głosem, który mi pozostał. Zacząłem rapować. Wyszedłem od rytmu *bum czika czika*. Wykorzystałem pewne pomysły, nad którymi pracowaliśmy z dziewięcioma muzami tuż przed wojną z Gają.

Królowa wygięła grzbiet. Nie sądzę, żeby aż do dziś spodziewała się potraktowania rapem.

Posłałem Meg spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Pomóż **mi!**”

Pokręciła głową. Daj dziewczynie dwie szable i dostaje bitewnego szału. Poproś ją, żeby wybijała prosty rytm, a nagle dopadnie ją trema.

*Dobra - pomyślałem. - Zrobię to sam.*

Zacząłem *Dance Nasa* - muszę przyznać, że jest to jedna z najbardziej poruszających ód do matek, do których napisania kiedykolwiek natchnąłem jakiegokolwiek artystę. (Nie ma za co, Nas). Pozwoliłem sobie na trochę improwizacji w słowach. Chyba zmieniłem anioła na królową mrówek, a kobietę na owada. Ale nastrój pozostał. Śpiewałem serenadę ciężarnej królowej, wykorzystując miłość do mojej własnej ukochanej matki Latony. Kiedy śpiewałem, że moim jedynym marzeniem jest poślubić kiedyś kobietę (albo insekta) równie wspaniałą jak ona, moje łamiące serce uczucia były prawdziwe. Nigdy nie będę miał takiej partnerki. Nie było to moim przeznaczeniem.

Czułki królowej zadygotały. Jej głowa kiwała się w przód i w tył. Jajka wytaczały się z jej brzucha, co trochę utrudniało mi koncentrację, ale wytrzymałem.

Kiedy skończyłem, padłem na jedno kolano i wyciągnąłem przed siebie poddańczo ręce w oczekiwaniu na werdykt królowej. Albo mnie zabije, albo nie. Ja byłem wyczerpany. Wlałem w tę pieśń wszystko i nie byłem w stanie wyrapować ani wersu więcej.

Meg stała obok mnie niemal nieruchomo, zaciskając ręce na szablach.

Jej Królewska Mość wzdrygnęła się. Odrzuciła głowę do tyłu i zawyła - ale było to raczej zawodzenie złamanego serca niż gniewu.

Pochyliła się i delikatnie dotknęła mojej piersi, popychając mnie w kierunku tunelu, do którego potrzebowaliśmy wejść.

-Dziękuję - wycharczałem. — I... przepraszam za zabite mrówki.

Królowa mruczała i mlaskała, wydając z siebie kolejne jaja, jakby mówiła: „Nie przejmuj się, zawsze mogę wyprodukować następne”.

Pogłaskałem królową mrówek po czole.

- Mogę ci mówić mamó?

Jej żuwaczki pokryły się pianą, ale w sposób znamionujący zadowolenie.

-Apollinie - ponagliła mnie Meg - chodźmy, zanim ona zmieni zdanie.

Nie sądziłem, żeby mama *miała* zmienić zdanie. Odniosłem wrażenie, że przyjęła mój hołd lenny i zaakceptowała nas w swoim mrowisku. Ale Meg miała rację: musieliśmy się spieszyć. Mama przyglądała się nam, kiedy okrążaliśmy stertę jaj.

Wskoczyliśmy do tunelu i ujrzeliśmy nad sobą światło dnia.

*Koszmar pochodni  
Człowiek w purpurowym garniturze  
Ale nie to jest najgorsze*

NIGDY TAK SIĘ NIE UCIESZYŁEM na widok pola śmierci.

Wydostaliśmy się na polanę usianą kośćmi. Większość należała do leśnych zwierząt. Niektóre wyglądały na ludzkie. Domyślałem się, że znaleźliśmy wysypisko myrmek i że mrówki najwyraźniej nie miały usługi regularnego wywozu śmieci.

Polanę otaczały drzewa rosnące tak gęsto i tak splątane, że przejście między nimi wydawało się niemożliwe. Nad naszymi głowami gałęzie splatały się w liściastą kopułę, która wpuszczała światło słoneczne, ale niewiele więcej. Ktoś, kto leciałby nad tym lasem, nie domyśliłby się, że pod baldachimem znajduje się otwarta przestrzeń.

Na drugim końcu polany stał szereg obiektów wyglądających jak kukły ćwiczebne — sześć białych kokonów umieszczonych na wysokich drewnianych słupach po obu stronach pary kolosalnych dębów. Każde z drzew miało co najmniej trzydzieści metrów wysokości. Rosły tak blisko siebie, że ich potężne pnie sprawiały wrażenie połączonych. Miałem zdecydowane podejrzenie, że patrzyłem na żyjące drzwi.

— To brama — powiedziałem. — Do gaju Dodony.



Szable Meg zwinęły się, stając się na powrót złotymi pierścionkami na jej środkowych palcach.

- Nie jesteśmy w gaju?

-Nie... - Wpatrywałem się przez całą polanę w białe lizaki. Były zbyt daleko, żeby przyjrzeć im się dokładnie, ale coś w nich wydawało mi się znajome w nieprzyjemny, zły sposób. Chciałem podejść bliżej. A jednocześnie chciałem trzymać się na odległość.

-Myślę, że to raczej przedsiónek - odparłem. - Sam gaj znajduje się za tymi drzewami.

Meg rozejrzała się niepewnie po łące.

- Nie słyszę żadnych głosów.

Była to prawda. Las był całkowicie milczący. Drzewa jakby wstrzymywały oddech.

-Gaj wie, że tu jesteśmy — domyśliłem się. - Czeka na decyzję, co zrobimy.

-W takim razie może lepiej coś zrobimy. - Meg nie sprawiała wrażenia ani trochę bardziej podekscytowanej niż ja, ale ruszyła do przodu, miażdżąc kości pod nogami.

Żałowałem, że nie mam przy sobie nic, czym mógłbym się bronić, poza łukiem, pustym kołczanem i chrapliwym głosem, ale poszedłem za nią, starając się nie potykać na żebrach i porożach. Mniej więcej w połowie drogi przez polanę Meg wciągnęła gwałtownie powietrze.

Wzrok miała utkwiony w słupy flankujące bramę z drzew.

Z początku nie byłem w stanie zrozumieć, co widziałem. Pa-  
le miały mniej więcej wysokość krzyża - takiego, jakie Rzymianie zwykli ustawiać wzdłuż dróg, żeby reklamować los czekający przestępców. (Osobiście uważam współczesne billboardy za znacznie bardziej gustowne). Górna część każdego z nich była owinięta w grube, nierówne kłęby białego płótna, a z każdego takiego kokonu wystawało coś, co wyglądało jak ludzka głowa.

Żołądek podskoczył mi do gardła. To *były* ludzkie głowy. Przed sobą mieliśmy zaginionych herosów, wszystkich ciasno powiązanych. Wpatrywałem się w nich jak zamurowany, aż udało mi się dostrzec nieznaczne poruszenia zwojów płótna na ich piersiach. Oddychali. Byli nieprzytomni, ale żywi. Dzięki niech będą bogom.

Po lewej wisieli nastolatki, których nie znałem, ale domyśliłem się, że muszą to być Cecil, Ellis i Miranda. Po prawej zobaczyłem wychudzoną postać o szarej skórze i białych włosach - niewątpliwie boga gejeru imieniem Paulie. Obok niego wisieli moje dzieci... Austin i Kayla.

Zadygotałem tak gwałtownie, że kości wokół moich stóp za-grzechotały. Rozpoznałem zapach dobiegający ze spowijającego jeńców płótna - siarka, oliwa, sproszkowany wapień i płynny grecki ogień, najniebezpieczniejsza substancja, jaką kiedykolwiek stworzono. Gniew i niesmak podeszły mi do gardła, rywalizując o to, które z nich sprawi, że zwymiotuje.

- Co za potworność — powiedziałem. — Musimy ich natychmiast uwolnić.

- Co... co im jest? — wybełkotała Meg.

Nie śmiałem ubrać tego w słowa. Widziałem już kiedyś tę formę egzekucji w wykonaniu Bestii i nie miałem ochoty nigdy więcej tego oglądać.

Podbiegłem do słupa Austina. Z całej siły próbowałem go przewrócić, ale nawet nie drgnął. Pal był wbity zbyt głęboko w ziemię. Zacząłem drzeć płócienne więzy, ale udało mi się jedynie pokryć sobie dłonie siarkową mazią. Płótno było bardziej lepkie i twardsze od brei myrmek.

-Meg, twoje szable! - Nie byłem pewny, czy one cokolwiek zdziałają, ale nie miałem innego pomysłu.

Nagle nad nami rozległ się znajomy warkot.

Gałęzie zaszeleściły. Karpos imieniem Śliwka zeskoczył z baldachimu i wylądował saltem u stóp Meg. Wyglądał, jakby miał

ciężkie przejścia, żeby się tu dostać. Jego ramiona były pocięte i ociekały śliwkowym sokiem. Nogi miał całe posiniaczone. Pielucha zwisała niebezpiecznie.

-Dzięki bogom! - powiedziałem. To nie była moja zwykła reakcja na widok ducha ziaren, ale jego zęby i pazury mogły być tym, czego potrzebowaliśmy, żeby uwolnić herosów. - Meg, szybko! Rozkaż swojemu przyjacielowi...

-Apollinie. - Jej głos brzmiał ponuro. Wskazywała ręką na tunel, z którego przybyliśmy.

Z mrowiska gramolili się dwaj najogromniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek widziałem na oczy. Każdy miał ponad dwa metry wzrostu i jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów mięśni wtłoczonych w zbroje z końskiej skóry. Ich jasne włosy błyszcząły jak srebrne nici. W brodach połyskiwały pierścienie wysadzone klejnotami. Każdy z nich był uzbrojony w owalną tarczę i włócznię, aczkolwiek wątpię, czy potrzebowali jakiegokolwiek broni, żeby zabijać. Wyglądali tak, jakby byli zdolni rozdzierać kule armatnie gołymi rękami.

Rozpoznałem ich dzięki tatuażom i kolistym wzorom na tarczach. Takich wojowników łatwo się nie zapomina.

-Germanowie. - Instynktownie wysunąłem się przed Meg. Elitarni cesarscy gwardziści byli w starożytnym Rzymie bezwzględni zabójcami. Wątpię, czy złagodnieli przez stulecia.

Mężczyźni gapili się na mnie. Na szyjach mieli węzowe tatuaże, zupełnie jak tamte zbiry, które wyskoczyły na mnie w Nowym Jorku. Germanowie rozstąpili się i z tunelu wyszedł ich pan.

Neron nie zmienił się wiele przez tych tysiąc dziewięćset i coś tam lat. Wyglądał na około trzydziestki, ale był to zniszczony trzydziestolatek: wymizerowana twarz, brzuch obwisły od ciągłego imprezowania. Jego usta wykrzywiał wieczny szyderczy grymas. Kręcone włosy przechodziły w zarost

od spodu podbródek. Ten ostatni był tak niki, że miałem ochotę ogłosić dla niego zbiórkę na lepszą zuchwę.

Brzydotę usiłował kompensować drogim włoskim gamburem z purpurowej wełny; rozpięty kołnierzyk szarej koszuli ukazywał złote łańcuchy. Skórzane buty były ręcznie szyte, niezupełnie w stylu pasującym do łożenia po mrowiskach. Ale Neron zawsze słynął z drogiego i niepraktycznego gustu. To było chyba jedyne, co w nim podziwiałem.

- Cesarz Neron - powiedziałem. - Bestia.

Wydął usta.

- Neron jest okej. Miło cię widzieć, szacowny przodku. Wybacz, że przez ostatnie tysiąclecia zaniedbywałem ofiary, ale... - Wzruszył ramionami. - Nie potrzebowałem cię. Radziłem sobie sam całkiem nieźle.

Zacisnąłem pięści. Miałem ochotę porazić tego brzuchatego cesarza grotami rozgrzanej do białości energii, ale nie posiadałem grotów rozgrzanej do białości energii. Nie miałem też strzał. Ani głosu, żeby śpiewać. Moją bronią przeciwko Neronowi i jego ponaddwumetrowym gwardzistom był brazylijski szalik, paczka ambrozji i mosiężne dzwoneczki.

- Chcesz mnie - powiedziałem. - Uwolnij tych herosów. Daj im odejść z Meg. Oni nic ci nie zrobili.

Neron zachichotał.

- Chętnie pozwolę im odejść, kiedy już dojdziemy do porozumienia. A jeśli chodzi o Meg... - Uśmiechnął się do niej. - Jak się masz, moja droga?

Meg nie odpowiedziała. Jej twarz była równie surowa i szara jak boga gejzeru. Przykucnięty u jej stóp Śliwka warczał i szeleścił liściastymi skrzydłami.

Jeden z gwardzistów szepnął coś cesarzowi do ucha.

Neron kiwnął głową.

— Wkrótce.

Zwrócił się znów do mnie.

- Gdzie podziały się moje maniery? Pozwól, że przedstawię ci moją prawą rękę, Vinciusa, i moją lewą rękę, Gariususa.

Gwardziści wskazali na siebie wzajemnie.

-Och, przepraszam - poprawił się Neron. - Moja prawa ręka, Garius, i moja lewa ręka, Vincius. To zromanizowane wersje ich batawskich imion, których nie jestem w stanie wymówić. Zazwyczaj nazywam ich po prostu Vince'em i Garym. Przywitajcie się, chłopcy.

-Oni mają węzowe tatuaże — zauważyłem - jak te zbiry, których nasłałeś na mnie w zaułku.

Neron wzruszył ramionami.

-Mam wiele sług. Cade i Mikey są dość nisko na liście płac. Ich jedynym zadaniem było sponiewierać cię trochę, powitać w moim mieście.

-*Twoim* mieście. - Uznałem, że to bardzo w stylu Nerona przywłaszczać sobie duże miasta, które zdecydowanie należą do mnie. - A ci dwaj dżentelmeni... oni są naprawdę Germanami z dawnych czasów? Jak to możliwe?

Neron wydał drwiące gardłowe szczeknięcie. Zapomniałem, jak bardzo nienawidziłem jego śmiechu.

-Panie Apollinie, daj spokój... - powiedział. - Nawet zanim Gaja zawładnęła Wrotami Śmierci, dusze zawsze uciekały z Erebu. Dla boskiego cesarza takiego jak ja przywołanie wyznawców z powrotem nie było trudne.

-Boskiego cesarza? - warknąłem. - Masz na myśli obłąkanego byłego cesarza.

Neron uniósł brwi.

-Co czyniło cię bogiem, Apollinie... w czasach kiedy nim byłeś? Czyż nie potęga twojego imienia, twoja władza nad tymi, którzy w ciebie wierzyli? Ja niczym się od ciebie nie różnię. — Zerknął w lewo. — Vince, rzuć się na włócznię, proszę.

Vince bez wahania wbił włócznię w ziemię i umieścił grot pod swoim żebrem.

- Stój - powiedział Neron. - Zmieniłem zdanie.

Na twarzy Vince'a nie malowała się ulga. Po prawdzie jego oczy zmrużyły się nieco z rozczarowania. Ujął z powrotem włócznie w dłoni.

Neron uśmiechnął się do mnie promiennie.

- Widzisz? Posiadam władzę życia i śmierci nad moimi wyznawcami, jak każdy porządny bóg.

Czułem się, jakbym połknął kilka larw w żelowych kapsułkach.

- Germanowie zawsze byli szaleni, zupełnie jak ty.

Neron położył dłoń na piersi.

-Ranisz mnie! Moi barbarzyńscy przyjaciele są lojalnymi poddanymi dynastii julijskiej! No i oczywiście wszyscy pochodzimy od ciebie, panie Apollinie.

Nie musiał mi o tym przypominać. Byłem taki dumny z mojego syna, oryginalnego Oktawiana, później Cezara Augusta. Po jego śmierci następcy stawali się coraz bardziej arogancy i niezrównoważeni (co zrzucąłem na ich ludzkie DNA, na pewno nie odziedziczyli tych cech po mnie). Neron był ostatni z linii julijskiej. Nie płakałem, kiedy umarł. A teraz stał przede mną, równie groteskowy i pozbawiony podbródka jak zawsze.

Meg stanęła przy mnie.

- Co... czego chcesz, Neronie?

Zważywszy, że stała przed człowiekiem, który zabił jej ojca, mówiła z godnym podziwu spokojem. Byłem jej wdzięczny za tę siłę. Dawała mi nadzieję na to, że po swojej stronie będę miał utalentowanego dimachaerusa i krwiożercze śliwkowe niemowlę. Ale i tak nie podobała mi się nasza liczebność w obliczu dwóch Germanów.

Oczy Nerona rozbliły.

-Od razu do rzeczy. Zawsze to w tobie podziwiałem, Meg. To naprawdę proste. Ty i Apollo otworzycie dla mnie bramę

Dodony. A wtedy ta szóstka — wskazał jeńców na palach — zostanie uwolniona.

Pokręciłem głową.

- Zniszczysz gaj. A następnie nas zabijesz.

Cesarz znów wydał z siebie to okropne szczeknięcie.

- Jeśli mnie do tego nie zmusicie, to nie. Jestem rozsądnym boskim cesarzem, Apollinie! Zdecydowanie wolałbym mieć gaj Dodony pod swoją kontrolą, gdyby dało się to zrobić, ale z pewnością nie mogę pozwolić, żebyś ty się nim posłużył. Miałeś swoją szansę jako strażnik Wyroczeni. Poniosłeś spektakularną klęskę. Teraz ja jestem za nie odpowiedzialny. Ja... i moi partnerzy.

- Dwaj pozostali cesarze - powiedziałem. - Kim są?

Neron wzruszył ramionami.

- Dobrymi Rzymianami... ludźmi, którzy podobnie jak ja mają siłę woli potrzebną do wykonania koniecznego zadania.

- Triumwiraty nigdy się nie udawały. Zawsze prowadziły do wojny domowej.

Uśmiechnął się, jakby ta perspektywa go nie martwiła.

- Nasza trójka osiągnęła porozumienie. Podzieliliśmy już nowe imperium... Amerykę Północną. Kiedy zdobędziemy Wyroczenie, rozszerzymy działalność i zrobimy to, w czym Rzymianie zawsze celowali: podbijemy świat.

Mogłem się na niego jedynie gapić.

- Naprawdę niczego się nie nauczyłeś z poprzedniego panowania.

- Ależ wręcz przeciwnie! Miałem całe stulecia na myślenie, planowanie i przygotowania. Czy wiesz, jak okropnie irytujące jest być boskim cesarzem, który nie może umrzeć, ale nie może też naprawdę żyć? Na jakieś trzysta lat w średniowieczu moje imię zostało prawie zapomniane. Byłem zaledwie mirażem! Dzięki niech będą renesansowi, kiedy nasza klasyczna wielkość została przypomniana. A potem

przyszedł Internet. Och, bogowie, jak ja kocham Internet! Teraz nie da się mnie wymazać całkowicie. Jestem nieśmiertelny w Wikipedii!

Skrzywiłem się. Nie miałem już wątpliwości, że Neron jest szalony. Wikipedia zawsze okropnie bredzi pa mój temat.

Neron machnął rękami.

- Tak, tak. Myślisz, że oszalałem. Mógłbym ci opowiedzieć o moich planach i udowodnić, że jest inaczej, ale mam dziś mnóstwo do zrobienia. Ty i Meg musicie otworzyć tę bramę. Opierała się moim wysiłkom, ale wy dwoje będziecie w stanie to zrobić. Ty, Apollinie, masz bliskie związki z Wyroczniami. Meg ma swoje sposoby na drzewa. Zabierzcie się za to. Proszę i dziękuję.

- Prędzej umrzemy - odparłem. - Nieprawdaż, Meg?

Nie odpowiedziała.

Spojrzałem na nią. Na policzku Meg połyskiwała srebrzysta strużka. Z początku myślałem, że jej cyrkonie się stopiły. Po czym uświadomiłem sobie, że ona płacze.

- Meg?

Neron złożył ręce jak do modlitwy.

- Ojej. Wygląda na to, że się trochę nie zrozumieliśmy. Wiesz, Apollinie, Meg przyprowadziła cię tutaj, jak jej rozkazałem. Świetna robota, kwiatuszku.

Meg otarła twarz.

- Ja... nie chciałam...

Moje serce skurczyło się do rozmiarów fasoli.

- Nie, Meg. Nie wierzę...

Wyciągnąłem ku niej rękę. Śliwka warknął i wepchnął się między nas. Doszło do mnie, że karpos nie pojawił się tu, by bronić nas przed Neronem. Bronił Meg przede mną.

- Meg?! - zawołałem. - Ten człowiek zabił twojego ojca! To morderca!



Stała z wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy się odezwała, jej głos był jeszcze bardziej udręczony od mojego, kiedy śpiewałem w mrowisku.

-Bestia zabił mojego ojca. To jest Neron. On... on jest moim ojczymem.

Nie byłem w stanie tego ogarnąć, dopóki Neron nie rozłożył ramion.

-Zgadza się, kochana - powiedział. - A ty się świetnie spisałaś. Chodź do tatusia.

*Pouczam McCaffrey  
Hej, dziecko, twój tato jest świrem  
Czemu ona nie słucha?*

### **ZDARZAŁO MI SIĘ JUŻ BYĆ ZDRADZANYM.**

Wspomnienia powróciły bolesną falą. Kiedyś moja dziewczyna Kyrene zaczęła się zadawać z Aresem tylko po to, żeby się na mnie odegrać. Innym razem Artemida postrzeliła mnie w tyłek za flirtowanie z jedną z jej Łowczyń. W 1928 roku Aleksander Fleming nie uznał mojej zasługi w inspiracji do odkrycia penicyliny. Wiecie, au! To zabolowało.

Nie pamiętałem jednak, że bym kiedykolwiek aż tak się co do kogoś pomylił jak w przypadku Meg. No... przynajmniej od czasów Irvinga Berlina. „*Alexander's Ragtime Band?* - Pamiętam, jak mu to mówiłem. - Z tak beznadziejną piosenką daleko nie zajdziesz!”

- Jesteśmy przyjaciółmi, Meg. - Nawet ja słyszałem, że mój głos brzmiał jak nadąsany. - Jak mogłaś mi to zrobić?

Meg wbiła wzrok w swoje czerwone tenisówki — buty zdracy-  
cy w przedszkolnym kolorze.

- Usiłowałam ci to powiedzieć, ostrzec cię.

- Ona ma dobre serce. - Neron uśmiechnął się. - Ale, Apollinie, ty i Meg byliście przyjaciółmi przez raptem kilka dni... i tylko dlatego że poprosiłem ją, żeby się z tobą zaprzyjaźniła.

Byłem jej ojczymem, opiekunem i obrońcą przez wiele lat. On i należą do domu cesarskiego.

Wpatrywałem się w moją najmilszą śmietnikową chudzinę. Owszem, przez ostatni tydzień w jakiś sposób stała się dla mnie najmilsza. Nie wyobrażałem jej sobie jako cesarskiego *czegokolwiek* - a z pewnością nie jako członka świty Nerona.

-Ryzykowałem dla ciebie życie - powiedziałem zdumiony. A to naprawdę coś znaczy, ponieważ mogę umrzeć!

Neron zaklaskał uprzejmie.

-Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem, Apollinie. A teraz bądź tak miły i otwórz bramę. Opierała mi się zbyt długo.

Usiłowałem rzucić Meg gniewne spojrzenie, ale nie potrafiłem tego zrobić szczerze. Byłem zbyt zraniony, zbyt bezradny. A my, bogowie, nie lubimy bezradności. A poza tym Meg nawet na mnie nie patrzyła.

Jak w transie odwróciłem się ku bramie z dębów. Dostrzegłem teraz, że jej połączone pnie nosiły oznaki wcześniejszych prób Nerona - blizny po piłach łańcuchowych, wypalone dziury, szramy od toporów, a nawet ślady po kulach. Wszystko to ledwie drasnęło korę. Największe szkody widać było w głębokim na dwa centymetry odcisku dłoni, gdzie drewno było pokryte bąblami i łuszczące się. Spojrzałem na nieprzytomną twarz Pauliego, boga gejzeru, związanego i powieszonoego razem z piątką herosów.

- Co ty zrobiłeś, Neronie?

-Och, mnóstwo rzeczy! Znalazłem drogę do tego przedsiönka kilka tygodni temu. Labirynt ma dogodne wyjście w mrowisku myrmek. Ale przejście przez bramę...

-Zmusiłeś palikosa, żeby ci pomógł? - Musiałem się powstrzymywać, żeby nie rzucić w cesarza dzwoneczkami. - Posłużyłeś się duchem natury, żeby niszczyć naturę? Meg, jak ty możesz to tolerować?

Śliwka warknęła. Po raz pierwszy miałem wrażenie, że duch ziarna być może zgadza się ze mną. Twarz Meg była tak

pozbawiona emocji jak ta brama. Dziewczyna wpatrywała się z całej siły w kości zaścielające łąkę.

- Daj spokój — powiedział Neron. — Meg zna zarówno dobre, jak i złe duchy natury. Ten bóg gejzeru był irytujący. Ciągłe prosił nas o wypełnianie ankiet. A poza tym nie powinien zapuszczać się tak daleko od swojego źródła mocy. Okazał się całkiem łatwy do złapania. Niemniej jego para, jak widzicie, nie zdała nam się na wiele.

- A piątka herosów? - zapytałem. - Ich też „użyłeś”?

- Oczywiście. Nie planowałem wabić ich tutaj, ale ilekroć atakowaliśmy bramę, gaj zaczynał lamentować. Sądzę, że wołał o pomoc, a herosi nie byli w stanie się temu oprzeć. Jako pierwszy przywędrował tu ten. — Neron wskazał na Cecila Markowitza. - Ostatnia dwójka to twoje dzieci... Austin i Kayla, tak? Pojawili się po tym, jak zmusiliśmy Pauliego do ugotowania drzew na parze. Myślę, że ta próba bardzo zaniepokoiła gaj. Dostaliśmy dwóch herosów w cenie jednego!

Nie wytrzymałem. Wydałem z siebie gardłowe wycie i rzuciłem się na cesarza z zamiarem skrzywienia jego włochatej imitacji karku.

Germanowie byliby mnie zabili, zanim zdążyłbym doskończyć, ale zostałem ocalony przed tym poniżeniem. Potknąłem się na ludzkiej miednicy i wywinąłem orła po kościach.

- Apollinie! - Meg podbiegła do mnie.

Odwróciłem się i rzuciłem jej pełne złości spojrzenie.

- Nie potrzebuję twojej pomocy! Nie rozumiesz, kim jest twój opiekun? To potwór! To cesarz, który...

-Nie mów tego - ostrzegł mnie Neron. - Jeśli powiesz: „który grał na skrzypcach, kiedy Rzym płonął”, każę moim chłopcom obedrzeć cię ze skóry i zrobić z niej kirys. Wiesz równie dobrze jak ja, Apollinie, że wtedy nie mieliśmy skrzypiec. A ja nie wywołałem wielkiego pożaru Rzymu.

Podniosłem się na nogi.

- Ale nu nim skorzystałeś.

Patrząc na Nerona, przypomiąłem sobie wszystkie tandetne aspekty jego rządów - ekstrawagancję i okrucieństwo, które przynosiły taki wstyd mnie, jego przodkowi. Neron był jednym z krewnych, których nigdy nie miałem ochoty zapraszać na kolację w Luperkalia.

Meg - powiedziałem - twój ojczym przyglądał się, jak siedemdziesiąt procent Rzymu zostało zniszczone. Zginęły dziesiątki tysięcy ludzi.

- Byłem wtedy sześćdziesiąt kilometrów stamtąd, w Ancjum!

- warknął Neron. - Natychmiast wyruszyłem do miasta i osobiście dowodziłem strażą pożarną!

- Dopiero kiedy ogień zagroził twojemu pałacowi.

Neron przewrócił oczami.

- Nic na to nie poradzę, że przybyłem na miejsce w sam raz, żeby uratować najważniejszy budynek!

Meg zatkała sobie uszy dłońmi.

- Przestańcie się kłócić. Proszę.

Nie przestałem. Rozmowa wydawała mi się lepsza od pozostałych opcji, jak pomoc Neronowi albo śmierć.

- Po wielkim pożarze - powiedziałem do Meg - zamiast podnieść z ruin zabudowę Pałatynu Neron zniwelował pobliski teren i wznosił sobie nowy pałac, Domus Aurea.

Neron przybrał rozmarzony wyraz twarzy.

- Ach, tak... Złoty Dom. Był piękny, Meg! Miałem własne jezioro, trzysta komnat, złote freski, mozaiki z pereł i drogich kamieni... wreszcie mogłem zacząć żyć jak człowiek!

- Miałeś czelność wystawić sobie na trawniku przed domem trzydziestometrowy posąg! - krzyknąłem. - Posąg przedstawiający ciebie jako Apollina-Sola, boga słońca. Innymi słowy, rościłeś sobie pretensje do bycia mną.

- Zaiste - przytaknął Neron. - Nawet kiedy zmarłem, posąg żył nadal. O ile wiem, stał się sławny jako Kolos Nerona!

Przeniesiono go przed amfiteatr gladiatorski i wszyscy zaczęli nazywać tę budowlę od posągu Koloseum. - Neron wypiął dumnie pierś. - Tak... ten posąg to była znakomita decyzja.

Jego głos brzmiał jeszcze bardziej złowrogo niż zazwyczaj.

- O czym ty mówisz? - zapytałem podejrzliwie.

- Hmm? Och, o niczym. - Zerknął na zegarek... fiołkowo-złoty rolex. - Ważne, że miałem styl! Ludzie mnie kochali!

Pokręciłem głową.

- Zwrócili się przeciwko tobie. Ludzie w Rzymie byli przekonani, że wywołałeś wielki pożar, więc znalazłeś kozła ofiarnego w postaci chrześcijan.

Miałem świadomość, że ta kłótnia do niczego nie prowadzi. Jeśli Meg była w stanie przez cały czas ukrywać swoją prawdziwą tożsamość, to wątpiłem, czy dam radę teraz ją przekonać. Ale być może zdołam przynajmniej zwlekać tak długo, żeby kawaleria zdążyła przybyć. Gdybym tylko *miał* kawalerię.

Neron machnął lekceważąco ręką.

- Wiesz, chrześcijanie byli terrorystami. Zapewne nie wznieśli pożaru, ale byli źródłem mnóstwa innych kłopotów. Dostrzegłem to jako pierwszy!

- Karmił nimi lwy - powiedziałem do Meg. - Robił z nich ludzkie pochodnie, tak jak zamierza spalić tę szóstkę.

Meg pozieleniała na twarzy. Zerknęła na nieprzytomnych jeńców na palach.

- Neronie, nie zamierzasz...

- Zostaną uwolnieni - zapewnił ją Neron - o ile tylko Apollo zechce współpracować.

- Nie możesz mu ufać, Meg - rzekłem. - Kiedy ostatnio to zrobił, porozpinał chrześcijan po całym ogrodzie i podpalił ich, żeby oświetlić przyjęcie. Byłem tam. Pamiętam krzyki.

Meg chwyciła się za brzuch.

- Moja droga, nie wierz jego opowieściom! - odparł Neron. - To tylko propaganda rozsiewana przez moich wrogów.

Meg wpatrywała się w oblicze Pauliego, boga gejzeru.

- Neronie... nie mówiłeś nic o zrobieniu z nich pochodni.

- Oni nie spłoną - odparł, starając się, żeby jego głos brzmiał łagodnie. - Nie dojdzie do tego. Bestia nie będzie musiał włączyć się do działania.

- Wiesz co, Meg? - Pokiwałem palcem w kierunku cesarza. - To nigdy nie jest dobry znak, kiedy ktoś zaczyna mówić o sobie w trzeciej osobie. Zeus zawsze mnie za to karci!

Vince i Gary zrobili krok do przodu, zaciskając palce na włóczniach.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny - ostrzegł mnie Neron. - Moi Germanowie są wyczuleni na obrazę osoby cesarskiej. A teraz, mimo że chętnie rozmawiałbym dalej o mnie, mamy harmonogram.

Zerknął znów na zegarek.

- Otworzysz bramę. Następnie Meg sprawdzi, czy jest w stanie posłużyć się drzewami, żeby odczytać przyszłość. Jeśli tak, to wspaniale! Jeśli nie... no cóż, spalimy ten most, kiedy już do niego dojdziemy.

- Meg - powiedziałem - to szalenięć.

Siedzący u jej stóp Śliwka syknął opiekuńczo.

Podbródek Meg zadrżał.

- Neron zajął się mną, Apollinie. Dał mi dom. Nauczył mnie walczyć.

- Powiedziałaś, że zabił twojego ojca!

- Nie! - Potrząsnęła gwałtownie głową, a w jej oczach malowała się panika. - Nie powiedziałam tego. To Bestia go zabił.

- Ale...

Neron parsknął.

- Och, Apollinie... jak ty niewiele rozumiesz. Ojciec Meg był słaby. Ona go nawet nie pamięta. Nie był w stanie jej chronić. Ja ją wychowałem. Ja ją utrzymałem przy życiu.

Podupadłem jeszcze bardziej na duchu. Nie pojmowałem, przez co naprawdę przeszła Meg ani jak się teraz czuła, ale znałem Nerona. Wiedziałem, jak łatwo mógł wykrzywić postrzeganie świata przez przerażone dziecko - samotną małą dziewczynkę marzącą o bezpieczeństwie i akceptacji po utracie ojca, nawet jeśli ta akceptacja miała nadejść ze strony zabójcy jej taty.

- Meg... tak mi przykro.

Po jej policzku spłynęła kolejna łza.

- Ona NIE POTRZEBUJE współczucia. — Głos Nerona stał się twardy jak spiż. - A teraz, moja droga, bądź tak dobra i otwórz bramę. A jeśli Apollo będzie protestował, przypomnij mu, że ma obowiązek wykonywać twoje rozkazy.

Meg przełknęła ślinę.

- Apollinie, nie utrudniaj mi tego. Proszę... pomóż mi otworzyć bramę.

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie z własnej woli.

- W takim razie... rozkazuję ci. Pomóż mi. Już.



*Wysłuchaj się w drzewa  
Drzewa wiedzą, co jest grane  
One wiedzą wszystko*

**PEWNOŚĆ SIEBIE MEG** może i topniała, ale Śliwki nie.

Kiedy zawahałem się, czy wykonać rozkaz Meg, duch ziaren obnażył kły i syknął: „Śliwka”, jakby to była nowa technika tortur.

- Dobra — odezwałem się do Meg gorzko. Prawda była taka, że nie miałem wyboru. Czułem, jak jej rozkaz przenika moje mięśnie, zmuszając mnie do posłuszeństwa.

Zwróciłem się ku połączonym dębom i położyłem dłonie na ich pniach. Nie czułem w nich mocy proroczej. Nie słyszałem głosów - tylko ciężkie, uparte milczenie. Jedyna informacja, jaką wysyłały mi drzewa, brzmiała: **IDŹ SOBIE**.

- Jeśli to zrobimy - powiedziałem Meg - Neron zniszczy gaj.

- Nie zrobi tego.

- Musi. Nie jest w stanie zawładnąć Dodoną. Jej moc jest zbyt stara. A nie może też nikomu innemu pozwolić jej użyć.

Meg położyła dłonie na pniach, tuż poniżej moich.

- Skup się. Otwórz ją. Proszę. Nie chcesz rozgniewać Bestii.

Mówiła to cicho - znów tak jakby Bestia był kimś, kogo jeszcze nie spotkałem... jakimś potworem czającym się pod

łóżkiem, a nie facetem w purpurowym garniturze, stojącym kilka metrów od nas.

Nie byłem w stanie sprzeciwić się rozkazom Meg, ale może powinienem był choć trochę ostrzej protestować. Meg mogłaby się wycofać, jeśli bym przyparł ją do muru. Wtedy jednak Neron albo Śliwka, albo Germanowie po prostu by mnie zabili. A przyznam się wam: bałem się śmierci. Bałem się brawurowo, szlachetnie i pięknie, to prawda. Ale się bałem.

Zamknąłem oczy. Wyczuwałem nieustępliwy opór drzew, ich nieufność wobec obcych. Wiedziałem, że jeśli zdołam zmusić tę bramę do otwarcia się, gaj zostanie zniszczony. A mimo to wysłałem całą swoją siłę woli i szukałem głosu proroctwa, przyciągając go do siebie.

Pomyślałem o Rei, królowej tytanów, która zasadziła ten gaj. Mimo że była dzieckiem Gai i Uranosa, mimo że była żoną króla kanibala Kronosa, Rea zdołała rozwinąć w sobie mądrość i łagodność. Zrodziła nową, lepszą nację nieśmiertelnych. (Nie żebym się przechwalał). Reprezentowała wszystko, co w starożytnych czasach było najlepsze.

Prawda, wycofała się ze świata i założyła warsztat garncarski w Woodstock, ale nadal zależało jej na Dodonie. Wysłała mnie tu, żebym otworzył gaj, zaczerpnął z jego mocy. Nie była z tych bogiń, które wierzą w zamknięte drzwi albo znaki: „WSTĘP WZBRONIONY”. Zacząłem nucić cicho: „This Land Is Your Land...”

Kora zrobiła się ciepła pod moimi palcami. Korzenie drzew zadrżały.

Spojrzałem na Meg. Była mocno skoncentrowana, opierała się o pnie, jakby usiłowała je popchnąć. Wszystko w jej wyglądzie było bliskie: jej niesforne krótkie włosy, połyskujące kocie oprawki okularów, ciekący nos, obgryzione paznokcie i lekki zapach szarlotki.

Okazała się jednak kimś, kogo w ogóle nic znałem: przybraną córką nieśmiertelnego szaleńca Nerona. Członkiem do mu cesarskiego. Co to w ogóle znaczyło? Wyobraziłem sobie bohaterów *Niani Frani* w purpurowych togach, ustawionych na schodach rodzinnej rezydencji, z Neronem na samym dole, w fartuszkach kamerdynera Konrada. Posiadanie żywej wyobraźni to okropna klątwa.

Na nieszczęście dla gaju Meg była również córką Demeter. Drzewa odpowiedziały na jej moc. Bliźniacze dęby zagrzmiały. Ich pnie zaczęły się poruszać.

Chciałem przestać, ale zdążyłem się rozpędzić. Gaj najwyraźniej czerpał teraz moją moc.

Moje dłonie przykleiły się do pni. Brama otworzyła się szerzej, rozciągając mi ramiona. Przez przeraźliwy moment myślałem, że dęby będą się dalej przesuwać i rozerwą mnie na kawałki. One jednak zatrzymały się. Korzenie osiadły. Kora ostygła i puściła moje ręce.

Cofnąłem się wyczerpany. Meg stała jak zaczarowana w nowo otwartej bramie.

Po drugiej stronie było... no cóż, więcej drzew. Pomimo zimy młode dęby rosły wysokie i zielone, ustawione w koncentryczne koła wokół nieco większego okazu w samym środku. Ziemię zaścielały żółędzie połyskujące słabym bursztynowym światłem. Wokół gaju rosła ochronna ściana drzew jeszcze potężniejszych niż te w przedsionku. Od góry kolejna spleciona kopuła gałęzi chroniła to miejsce przed widokiem z lotu ptaka.

Zanim zdążyłem ją ostrzec, Meg przeszła przez próg. Gaj eksplodował głosami. Wyobraźcie sobie czterdzieści gwoździarek strzelających w wasz mózg z wszystkich kierunków naraz. Słowa były bełkotem, ale bombardowały moje zdrowie psychiczne, domagając się uwagi. Zakryłem uszy. Hałas zrobił się tylko głośniejszy i bardziej natarczywy.

Śliwka drapał szaleńczo ziemię, usiłując zakopać głowę. Vince i Gary wili się na ziemi. Nawet nieprzytomni herosi rzucali się i jęczeli na słupach.

Neron zatoczył się z uniesioną ręką, jakby zastaniał bardzo jaskrawe światło.

- Meg, opanuj te głosy! Szybko!

Hałas najwyraźniej nie szkodził Meg, ale wyglądała na oszołomioną.

- One coś mówią... — Poruszała rękami w powietrzu, jakby pociągała za niewidzialne nitki, żeby rozplątać to pandemonium. - Są zdenerwowane. Nie mogę... Zaczekaj...

Nagle głosy umilkły, jakby osiągnęły zamierzony cel.

Meg odwróciła się do Nerona z szeroko otwartymi oczami.

- To prawda. Drzewa powiedziały mi, że zamierzasz je spalić.

Germanowie jęczeli, leżąc półprzytomni na ziemi.

Neron odzyskał zmysły szybciej. Uniósł palec w geście namownienia i rady.

- Posłuchaj mnie, Meg. Miałem nadzieję, że ten gaj może być dla nas przydatny, ale on najwyraźniej jest złamany i zdezorientowany. Nie możesz wierzyć w jego słowa. On mówi w imieniu królowej tytanów. Ten gaj musi zostać starty z powierzchni ziemi. To jedyny sposób, Meg. Rozumiesz to, prawda?

Neron kopniakiem przewrócił Gary'ego na plecy i zaczął grzebać w sakiewkach swojego ochroniarza. Następnie wstał, dzierżąc triumfalnie w dłoni pudełko zapalek.

- Po pożarze odbudujemy - oznajmił. - To będzie wspaniałe!

Meg gapiła się na niego, jakby dopiero teraz zauważyła jego okropny zarost na podbródku.

- O... o czym ty mówisz?

- On zamierza spalić i zaorać Long Island - odparłem. - A następnie uczyni z niej swoją prywatną domenę, jak z Rzymu.

Neron zaśmiał się z irytacją.

-Long Island to okropny bałagan! Nikt za nią nie będzie tęsknił. Mój nowy imperialny kompleks będzie się rozciągał od Manhattanu do Montauk... Będzie największym pałacem, jaki wybudowano w dziejach! Będziemy mieli prywatne rzeki i jeziora, sto mil domów nad morzem, ogrody tak ogromne, że będą miały osobne kody pocztowe. Każdej osobie należącej do mojego dworu wybuduję osobny wieżowiec. Och, Meg, wyobraź sobie te imprezy w naszej nowej Dornus Aureal

Prawda to wielkie brzemię. Kolana Meg ugięły się pod jej ciężarem.

-Nie możesz. — Głos jej się załamał. — Lasy... jestem córką Demeter.

-Jesteś *moją* córką — poprawił ją Neron. — A mnie bardzo na tobie zależy. Dlatego odsuń się. Szybko.

Przyłożył zapalnik do paska siarki na pudełku.

-Kiedy tylko podpalę te słupy, nasze ludzkie pochodnie wyślą falę ognia prosto w tę bramę. Nic nie zdoła jej powstrzymać. Cały las spłonie.

- Proszę! - krzyknęła Meg.

-Chodź ze mną, najmilsza. - Neron zmarszczył mocno czoło. - Apollo nie jest już nam potrzebny. Nie chcesz obudzić Bestii, prawda?

Zapalił zapalnik i podszedł do najbliższego słupa, do którego był przywiązany mój syn Austin.

*Village People*  
*Na straży zdrowia psychicznego*  
*Y.M.C.A. Aha*

### **OCH, TO JEST KAWAŁEK TRUDNY DO OPOWIEDZENIA.**

Jestem urodzonym opowiadaczem. Mam niezawodne wyczucie dramatyizmu. Chciałbym móc opowiedzieć o tym, co *powinno* było się zdarzyć: jak skoczyłem do przodu, krzyżąc „Nieeeee!”, po czym wykonałem obrót godny akrobaty, wytrącając Neronowi z ręki zapaloną zapałkę, a następnie kilkoma błyskawicznymi kopniakami w stylu Shaolin roztrząsałem czaszkę cesarza i pokonałem jego ochroniarzy, zanim zdążyli się zorientować.

Och, tak. To byłoby doskonałe.

Niestety, prawda mnie ogranicza.

Przeklęta prawda!

W rzeczywistości wydukałem coś w rodzaju: „No-nie-nerb-tego!”, machnąłem być może brazylijskim szalikiem, w nadziei że jego magia zniszczy moich nieprzyjaciół.

Prawdziwym bohaterem okazał się Śliwka. Karpos najwyraźniej wyczuł prawdziwe emocje Meg, a może po prostu nie podobała mu się perspektywa płonącego lasu. Wyskoczył w powietrze ze swoim bojowym okrzykiem (tak, zgadliście):

„Śliwka!”, przysiadł na ramieniu Nerona, kłapnął zapaloną zapałkę w jego rękę, po czym wylądował kilka metrów dalej, oblizując się i krzycząc: „Żal! Żal!”. (Co, jak założyłem, miało znaczyć w owocowym narzeczu „żar”).

Cała ta scena mogłaby nawet być komiczna, gdyby nie to, że Germanowie zdążyli już wstać, piątka herosów i duch gejeru nadal byli przywiązani do łatwopalnych słupów, a Neron wciąż trzymał w ręce pudełko zapalek.

Cesarz wpatrywał się w swoją pustą dłoń.

- Meg...? - Jego głos był lodowaty jak sopel. - Co to ma znaczyć?

- S-śliwka, chodź tu! - Głos Meg brzmiał chrapliwie ze strachu.

Karpus przyskoczył do jej boku, posykując na mnie, Nerona i Germanów.

Meg wzięła drżący oddech, najwyraźniej zbierając się na odwagę.

- Neronie... Śliwka ma rację. Nie... nie możesz spalić tych ludzi żywcem.

Neron westchnął. Spojrzał na ochroniarzy w poszukiwaniu wsparcia moralnego, ale Germanowie nadal sprawiali wrażenie lekko zamroczonych. Uderzali się w skronie, jakby usiłowali wytrząsnąć wodę z uszu.

- Meg - zaczął cesarz - bardzo staram się utrzymać Bestię na smyczy. Dlaczego mi nie pomożesz? Wiem, że jesteś dobrą dziewczynką. Nie pozwoliłbym ci tyle włączyć się samej po Manhattanie i bawić się w bezdomnego dzieciaka, gdybym nie wiedział, że potrafisz się o siebie zatroszczyć. Ale pobłażliwość wobec wrogów to nie zaleta. Jesteś moją przybraną córką. Każdy z tych herosów zabiłby cię bez chwili zastanowienia, gdyby tylko miał okazję.

- To nieprawda, Meg! - zawołałem. - Sama widziałaś, jak jest w Obozie Herosów!

Przyglądała mi się niespokojnie.

- Nawet... nawet gdyby to była prawda... - Odwróciła się do Nerona. - Mówiłeś mi, że nie powinnam nigdy zniżać się do poziomu wrogów.

- W rzeczy samej. - Głos Nerona brzmiał jak papier ścierny na szkle. - Jesteśmy lepsi. Jesteśmy silniejsi. Zbudujemy nowy, wspaniały świat. Ale te plujące bredniami drzewa stoją nam na drodze, Meg. Należy je spalić jak wszelkie rozprzestrzeniające się chwasty. A da się to zrobić jedynie za pomocą prawdziwej pożogi - ognia podsycanego krwią. Zróbmy to razem, nie mieszając w to Bestii, dobrze?

W moim umyśle nareszcie coś zaskoczyło. Przypomniało mi się, jak ojciec zwykł mnie karać wiele stuleci temu, kiedy byłem młodym bogiem uczącym się dopiero olimpijskich zwyczajów. Zeus mawiał wtedy: „Nie stawaj po niewłaściwej stronie moich piorunów, chłopcze”.

Jakby pioruny miały własną wolę. Jakby Zeus nie miał nic wspólnego z karami, które mi wymierzał.

„Nie miej do mnie pretensji - sugerował jego ton. - To piorun rozdarł wszystkie atomy twojego ciała”. Wiele lat później, kiedy zabiłem cyklopów, którzy wykonali piorun Zeusa, nie była to nagła decyzja. Zawsze nienawidziłem tych gromów. Było to łatwiejsze niż nienawidzić ojca.

Neron przybierał ten sam ton, kiedy mówił o sobie jako o Bestii. Mówił o swoim gniewie i okrucieństwie, jakby były siłami pozostającymi poza jego kontrolą. Jeśli on się rozzłości... no cóż, odpowiedzialność spadnie na Meg.

Uświadomienie sobie tego przyprawiło mnie o mdłości. Meg została wytresowana tak, żeby widzieć swojego miłego ojczy- ma Nerona i przerażającego Bestię jako dwie odrębne osoby. Zrozumiałem teraz, dlaczego wołała włączyć się po zaułkach Nowego Jorku. Zrozumiałem, dlaczego tak szybko zmieniał jej się nastrój od fikania koziołków do całkowitego zamknięcia



się w sobie w parę sekund. Nigdy nie wiedziała, co może wyzwoić Bestię.

Utkwiła we mnie wzrok. Wargi jej drżały. Widziałem, że chciała uwolnić się z tej matni - znaleźć jakiś przekonujący argument, który ułagodzi jej ojczyrna i pozwoli jej działać zgodnie z sumieniem. Ale ja nie byłem już złotoustym bogiem. Nie potrafiłem przegadać takiego mówcy jak Neron. I nie zamierzałem grać w zaproponowaną przez Bestię zabawę w zrzucanie winy na innych.

Zamiast tego postanowiłem zagrać w stylu Meg, czyli krótko i bezpardonowo.

- On jest zły — powiedziałem. — Ty jesteś dobra. Musisz sama dokonać wyboru.

Wiedziałem, że nie było to coś, co Meg chciała usłyszeć. Zaciśnęła usta. Ściągnęła łopatki, jakby przygotowywała się na zastrzyk - coś bolesnego, ale koniecznego. Położyła dłoń na kędzierzawej głowie karposa,

- śliwka, zabierz mu zapałki - poleciała cicho, ale z mocą.

Karpós rzucił się do działania. Neron nie bardzo zdążył zamrugać powiekami, kiedy Śliwka wyrwał mu pudełko z ręki i skoczył z powrotem do stóp Meg.

Germanowie pochylili włócznie. Neron powstrzymał ich ruchem ręki. Rzucił dziewczynie spojrzenie, które mogłoby znamionować złamane serce - gdyby tylko miał serce.

- Widzę, że nie byłaś gotowa na to zadanie, moja droga - powiedział. - To moja wina. Vince, Gary, zatrzymajcie Meg, ale nie róbcie jej krzywdy. Kiedy wrócimy do domu... - Wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawił się wyraz żalu. - Jeśli chodzi o Apollina i tego małego owocowego demona, będą musieli spłonać.

- Nie - jęknęła Meg. A następnie wrzasnęła na cały głos: - NIE!

A gaj Dodony krzyknął wraz z nią.

Fala dźwiękowa była tak potężna, że przewróciła Nerona i jego gwardzistów. Śliwka wrzasnął i zaczął walić głową w ziemię.

Tym razem jednak byłem lepiej przygotowany. Kiedy rozrywający bębenki uszne chór drzew osiągnął szczyt swojego crescendo, zakotwiczylem myśli na najbardziej chwytliwej melodii, jaką byłem w stanie sobie wyobrazić. Zacząłem nucić Y.M.C.A., które zdarzało mi się wykonywać razem z Village People w przebraniu robotnika budowlanego, do czasu kiedy pokłóciłem się z wodzem Indian o... Nieważne. To nic istotnego.

- Meg! — Wyciągnąłem z kieszeni dzwoneczki i rzuciłem je do niej. - Zawieś to na środkowym drzewie! „Y.M.C.A.” Skup energię drzewa! „Y.M.C.A.”

Nie byłem pewny, czy mnie słyszała. Uniosła dzwonki i przyglądała się ich kołysaniu, wsłuchiwała się w brzęk, który zamieniał szum drzew we fragmenty spójnych wypowiedzi: *Szczęście nadchodzi. Zachód słońca; ostatni wers. Chcecie posłuchać naszych promocji na dziś?*

Meg z zaskoczenia opadła szczęka. Odwróciła się ku gajowi i puściła pędem przez bramę. Śliwka powlókł się za nią, kręcąc głową.

Też chciałem tam pobiec, ale nie mogłem zostawić Nerona i jego gwardzistów samych z sześciorgiem zakładników. Nucać nadal „Y.M.C.A.”, pomaszerowałem ku nim.

Drzewa krzyczały jeszcze głośniejsze, ale Neron podniósł się na kolana. Wyciągnął coś z kieszeni - buteleczkę z jakimś płynem - i rozlał zawartość po ziemi przed sobą. Wątpiłem, że by miało to być coś pozytywnego, ale miałem bardziej palące zmartwienia. Vince i Gary wstawali z ziemi. Vince wycelował we mnie włócznię.

Byłem na tyle rozszluszczony, że stałem się lekkomyślny. Złapałem jego broń za grot i szybkim ruchem pchnąłem w górę,

uderzając Vince'a w podbródek. Upadł zdumiony, a ja chwyciłem go za skórzany kirys.

Był, lekko licząc, dwa razy większy ode mnie. Nie obchodziło mnie to. Uniosłem go nad ziemię. W ramionach czuliem moc. Byłem silny i niepokonany - tak właśnie *powinien czuć* się bóg. Nie mam pojęcia, dlaczego wróciła mi moc, ale uznałem, że to nie jest dobry moment, żeby wątpić w swoje szczęście. Obróciłem Vince'a jak dysk i cisnąłem w niebo z taką siłą, że wybił dziurę w kształcie Germanina w baldachimie drzew i poszybował poza zasięg mojego wzroku.

Szacun dla Gwardii Cesarskiej za to, że ma głupie pokłady odwagi. Pomimo mojego pokazu mocy Gary rzucił się na mnie.

Wyrwałem mu włócznię jedną ręką. Drugą rąbnąłem pięścią prosto w tarczę i uderzyłem w pierś dostatecznie mocno, żeby powalić nosorożca.

Upadł w beładną stertę.

Stałem twarzą w twarz z Neronem. Czuliem już, że siły mnie opuszczają. Mięśnie robiły się na powrót żałośnie sflaczałe. Miałem jedynie nadzieję, że wystarczy mi czasu, żeby urwać Neronowi głowę i wcisnąć ją w jego purpurowy garnitur.

Cesarz warknął:

- Jesteś głupcem, Apollinie. *Zawsze skupiasz się na niewłaściwych rzeczach.* - Zerknął na swojego rolexa. - *Moja ekipa burząca będzie tu za kilka minut. Kiedy Obóz Herosów zostanie zniszczony, uczynię sobie z niego mój nowy trawnik! A ty tymczasem będziesz tu... gasił pożar.*

Neron wyciągnął z kieszonki kamizelki srebrną zapalniczkę. Typowe dla niego - mieć pod ręką kilka narzędzi do wzniecenia ognia. Patrzyłem na połyskujące smugi oleju, który rozlał po ziemi... Grecki ogień, oczywiście.

- Nie rób tego - powiedziałem.

Neron uśmiechnął się.

— Zegnaj, Apollinie. Pozostanie mi już tylko jedenastu Olimpijczyków.

Rzucił zapalniczkę.

Nie była mi pisana przyjemność urwania Neronowi głowy.

Czy mogłem zapobiec jego ucieczce? Być może. Ale między nami szalały płomienie, paląc trawę i kości, korzenie drzew i samą ziemię. Ogień był zbyt wielki, żeby go zdeptać, jeśli grecki ogień w ogóle da się zdeptać, no i pełzł szybko w kierunku sześciorga spętanych więźniów.

Pozwoliłem Neronowi odejść. Jakoś zdołał podnieść Gary'ego na nogi i powlec zamroczonego od uderzenia Germanina ku mrowisku.

Ja tymczasem pobiegłem ku słupom.

Najbliżej był Austin. Objąłem nasadę pala ramionami i pociągnąłem, kompletnie lekceważąc zasady poprawnego podnoszenia ciężarów. Ponaciągałem mięśnie. W oczach miałem łzy wysiłku. Udało mi się unieść słup na tyle, żeby go przewrócić. Austin poruszył się i jęknął.

Przeciągnąłem go wraz z kokonem i wszystkim na drugą stronę polany, najdalej od ognia, jak to było możliwe. Byłbym go zaniósł do gaju Dodony, gdyby nie to, iż czułem, że nie wyświadczę mu przysługi, wciągając go na zamkniętą polanę pełną obłąkanych głosów, znajdującą się na drodze płomieni.

Pobiegłem z powrotem ku słupom i powtórzyłem poprzednie czynności z Kaylą, bogiem gejzeru Pauliem, a potem z wszystkimi pozostałymi. Kiedy odciągałem w bezpieczne miejsce Mirandę Gardiner, płomień był już czerwoną falą oddaloną o raptem kilkanaście centymetrów od bramy gaju.

Boska moc mnie opuściła. Nigdzie nie widziałem Meg ani Śliwki. Kupiłem więźniom kilka minut, ale płomienie w końcu ogarną nas wszystkich. Upadłem na kolana i zaszlochałem.

— Pomocy! — Spoglądałem ku mrocznym drzewom, poplątanym i złowrogim. Nie spodziewałem się żadnej pomocy, nie przywykłem nawet do proszenia o nią. Byłem Apollinem. Śmiertelnicy zwracali się o pomoc do mnie! (Tak, zdarzało mi się raz na jakiś czas rozkazywać herosom, żeby wykonali dla mnie jakieś banalne zadanie w rodzaju rozpętania wojny albo odzyskania magicznych przedmiotów od potworów, ale takie prośby się nie liczą). - Nie poradzę sobie z tym sam. - Wyobraziłem sobie twarz Dafne unoszącą się pod korą pnia jednego z drzew, potem drugiego. Ten las wkrótce spłonie. Sam nie zdołałem go uratować, podobnie jak ocalić Meg, zagnionych herosów ani siebie. - Tak mi przykro. Proszę... wybacz mi.

W głowie musiało mi się mącić z powodu nawdychania się dymu, ponieważ zacząłem mieć zwidy. Z drzew wysunęły się migoczące kształty driad - cały legion Dafne w zielonych, kokonkowych sukienkach. Miały melancholijne twarze, jakby wiedziały, że idą na śmierć, a jednak otoczyły ogień. Uniosły ręce i grunt wybuchł pod ich stopami. Fala ziemi uniosła się ku płomieniom. Driady przyciągnęły żar ognia do siebie. Ich skóra poczerniała. Twarze zaskorupiły się i popękały.

Kiedy tylko zgasły ostatnie płomienie, driady rozsypały się w proch. Żałowałem, że nie mogę do nich dołączyć. Chciałem płakać, ale ogień wypalił całą wilgoć w moich kanalikach łzowych. Nie prosiłem o takie poświęcenie. Nie spodziewałem się go! Czułem się pusty, winny i zawstydzony.

A potem przypomniało mi się, ile razy żądałem ofiar, jak wielu herosów posłałem na śmierć. Czy oni byli mniej szlachetni i odważni od tych driad? A jednak nie czułem wyrzutów sumienia, kiedy wysyłałem ich na śmiertelnie niebezpieczne misje. Posługiwałem się nimi, a potem się ich pozbywałem, marnowałem ich życie, by budować własną chwałę. Nie byłem mniejszym potworem od Nerona.

Wiatr przemknął przez polanę - bezsensownie ciepły powiew, który poderwał popiół i poniósł go przez baldachim drzew ku niebu. Dopiero kiedy ucichł, uświadomiłem sobie, że musiał to być wiatr zachodni, mój stary rywal, który przyniósł mi pocieszenie. Pozbierał szczątki i zaniósł je ku ich kolejnemu pięknemu wcieleniu. Po wszystkich tych stuleciach Zefir przyjął moje przeprosiny.

Przekonałem się, że pozostało mi jednak trochę łez.

Za mną rozległ się jęk.

- Gdzie jestem?

Austin się obudził.

Podczołgałem się ku niemu, płacząc teraz z ulgi, i pocałowałem go w czoło.

- Mój piękny synu!

Zamrugał, patrząc na mnie z zakłopotaniem. Jego warkoczyki pokrywał popiół wyglądający jak szron. Podejrzewam, że Austin potrzebował chwili, żeby zrozumieć, dlaczego nadszka kiwał mu niechlujny, na wpół oszalały chłopak z trądzikiem.

— W porządku... Apollinie. - Usiłował się poruszyć. — Co się...? Dlaczego jestem w śmierdzących bandażach? Może mógłbyś mnie uwolnić?

Śmiałem się histerycznie, co zapewne nie pomogło Austinowi odzyskać spokoju umysłu. Rzuciłem się z pazurami na jego więzy, ale nie zdołałem ich rozerwać. Przypomniałem sobie jednak o włóczni Gary'ego. Odłamałem jej grot i przez kilka minut wydobywałem Austina na wolność.

Kiedy zdjąłem go ze słupa, przez chwilę dreptał wokół, usiłując przywrócić krążenie w kończynach. Rozglądał się dookoła - po dymiącym lesie, pozostałych więźniach. Gaj Dodony nie wrzeszczał już dzikim chórem. (Dlaczego to się stało?) Z bramy dobiegało teraz jaskrawe bursztynowe światło.

- Co się dzieje? - zapytał Austin. - I gdzie jest mój saksofon?

Rozsądne pytania. Niestety nie miałem na nie rozsądnych odpowiedzi. Wiedziałem tylko, że Meg McCaffrey nadal wędruje po gaju, i nie podobało mi się to, że drzewa ucichły.

Wpatrywałem się w swoje słabe, śmiertelne ręce. Zastana wiałem się, skąd wziął się nagły przyływ boskiej mocy w konfrontacji z Germanami. Czy uruchomiły go emocje? Czyżby to był pierwszy znak mojego powracającego boskiego wigoru? A może Zeus znów igrał ze mną — dając mi posmak dawnej mocy, zanim ponownie mi ją odebrał. „Zapamiętaj to, chłopcze. NO, NIE MOŻESZ TEGO ODZYSKAĆ!”

Żałowałem, że nie potrafię przyzwać jeszcze raz tej mocy, ale wiedziałem, że będę musiał poradzić sobie z tym, co miałem.

Podąłem Austinowi złamaną włócznię.

- Uwolnij pozostałych. Zaraz wracam.

Austin wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

- Wchodzisz tam? To bezpieczne?

- Wątpię - odparłem.

Po czym pobiegłem do Wyroczni.

*Rozstania to smutek  
Nie ma w nich żadnej słodyczy  
Nie rozdepcz mi twarzy*

## DRZEWA POSŁUGIWAŁY SIĘ WEWNĘTRZNYMI GŁOSAMI.

Kiedy przeszedłem przez bramę, uświadomiłem sobie, że nadal gadają gawędziarskim tonem, paplając bez sensu jak lunaicy na przyjęciu.

Rozejrzałem się po gaju. Nigdzie nie widziałem Meg. Zawołałem ją. Drzewa zareagowały głośniejszą rozmową, co przypawiło mnie o zawroty głowy.

Oparłem się o najbliższy pień.

- Uważaj, chłopie - powiedział dąb.

Odskokczyłem, a drzewa zaczęły układać wierszyki, jakby bawiły się w rymowanki:

*Błękitu jaskinie.*

*Odcień cię nie minie.*

*Na zachód spalony.*

*Przewracane strony.*

*Indiana.*

*W dojrzałych bananach.*



*Radość nie mitręży.*

*Pełno karaluchów i węży.*

Nie miało to najmniejszego sensu, ale w każdym wersie czuło się ciężar proroctwa. Miałem wrażenie, że tuzin ważnych wypowiedzi, kluczowych dla mojego przetrwania, został ze sobą zmieszany, załadowany do wiatrówki i wystrzelony mi prosto w twarz.

(Och, to całkiem dobry obraz. Muszę go użyć w haiku).

— Meg! - zawołałem znowu.

Nadal zero reakcji. Gaj nie wydawał się bardzo duży. Jak ona mogła mnie nie słyszeć? Jak ja mogłem jej nie widzieć?

Powlokłem się przed siebie, nucąc idealnie czysty dźwięk a, o częstotliwości 440 herców, żeby na czymś się skupiać. Kiedy dotarłem do drugiego kręgu drzew, dęby okazały się bardziej rozmowne.

— Ej, koleś, masz drobne? - zapytał jeden z nich.

Inny usiłował opowiedzieć mi kawał o pingwinie i zakonnicy wchodzących do baru.

Trzeci dąb przekazywał sąsiadowi dane handlowe dotyczące zakupu robota kuchennego.

— Nie uwierzysz, jaki on robi makaron!

— Rany! — wykrzyknęło drugie drzewo. — On robi również makaron?

— Świeże spaghetti w kilka minut! - entuzjasmował się dąb sprzedawca.

Nie bardzo rozumiałem, po co drzewu makaron, ale ruszyłem dalej. Bałem się, że jeśli będę tego słuchał dłużej, to zamówię robota kuchennego do kupienia w trzech prostych ratach po 39,99 dolarów i stracę rozum na wieki.

W końcu dotarłem do samego środka gaju. Przy największym dębie stała Meg odwrócona plecami do pnia, z mocno zaciśniętymi powiekami. W ręce nadal trzymała dzwoneczki,

które zwisały jednak zapomniane u jej boku. Mosiężne rurki pobrzękiwały, ale jej sukienka tłumiała dźwięk.

U stóp Meg kołysał się rozchichotany Śliwka.

- Jabłka? Śliwka! Mango? Śliwka!

- Meg. — Dotknąłem jej ramienia.

Cofnęła się. Spojrzała na mnie taki ni wzrokiem, jakbym był sprytnym złudzeniem optycznym. W jej oczach czał się strach.

- Za dużo - powiedziała. - Za dużo tego.

Głosy złapały ją w potrzask. Nawet dla mnie było ich za wiele - jakby ktoś włączył naraz sto stacji radiowych, zmuszając mój umysł do słuchania różnych kanałów. Ale ja byłem przyzwyczajony do przepowiedni. Meg zaś była córką Demeter. Drzewa ją lubiły. Wszystkie usiłowały się z nią porozumieć, zwrócić na siebie jej uwagę — wszystkie jednocześnie. Wkrótce całkowicie poszatkują jej umysł.

- Dzwoneczki - powiedziałem. - Powieś je na drzewie!

Wskazałem najniższy konar, dość wysoko nad naszymi głowami. Samodzielnie żadne z nas nie miało szans go osiągnąć, ale jeśli podsadziłbym Meg...

Dziewczyna cofnęła się, kręcąc głową. Głosy Dodony były tak chaotyczne, że nie miałem pewności, czy mnie słyszała. A jeśli tak, to albo nic nie rozumiała, albo mi nie ufała.

Musiałem zapomnieć o własnym poczuciu bycia zdradzonym. Meg była przybraną córką Nerona. Została wysłana, żeby mnie tu zwabić, i cała nasza przyjaźń była kłamstwem. Ona nie miała prawa mi nie ufać.

Nie mogłem jednak oddać pola goryczy. Gdybym winił Meg za to, jak Neron powykrzywił jej uczucia, okazałbym się nie lepszy od Bestii. A poza tym nawet jeśli ona kłamała w kwestii naszej przyjaźni, to ja nie. Meg była w niebezpieczeństwie. Nie zamierzałem pozostawiać jej na pastwę drzew opowiadających kawały o pingwinach.

Przykucnąłem i splotłem palce, tworząc stopień.

- Proszę.

Na lewo ode mnie Śliwka przewrócił się na plecy i zawył:

- Makaron? Śliwka!

Meg skrzywiła się. Widziałem w jej oczach, że chciała ze mną współpracować - ale nie dlatego że mi ufała, lecz z powodu cierpień Śliwki.

A już byłem przekonany, że nie da się bardziej zranić moich uczuć. Bycie zdradzonym to jedno. Poczucie, że jest się uważanym za mniej ważnego od owocowego ducha w pieluszce, to drugie. Niemniej trwałem w bezruchu, kiedy Meg postawiła lewą stopę na moich dłoniach. Z całą pozostałą mi siłą uniosłem ją w górę. Stanęła na moich ramionach, a następnie oparła jedną czerwoną tenisówkę na czubku mojej głowy. Postanowiłem, że na przyszłość będę miał na czole tabliczkę ostrzegawczą: „UWAGA, NIE STAWAĆ NA NAJWYŻSZYM STOPNIU”.

Zwrócony tyłem do dębu czułem głosy gaju przebiegające przez pień i bębniące w korę. Centralne drzewo było jak ogromna antena tego bełkotu.

Czułem, że uginają się pode mną kolana. Podeszwa buta Meg wbijała mi się w czoło. Idealnie czyste a (częstotliwość 440 herców), które nuciłem, opadło ekspresowo w gis.

W końcu Meg zdołała zawiesić dzwoneczki na gałęzi. Zeskoczyła w chwili, kiedy moje kolana ostatecznie nie wytrzymały, toteż oboje wylądowaliśmy rozplaszczeni na ziemi.

Mosiężne rurki kołysały się, pobrzękując, zbierając dźwięki z wiatru i tworząc z tego dysonansu akordy.

Gaj ucichł, jakby drzewa nasłuchiwały, myśląc: *Ooooch, ładne.*

Nagle ziemia zadrżała. Środkowy dąb zatrzęsł się tak mocno, że spadł z niego deszcz żołądzi.

Meg podniosła się na nogi. Podeszła do drzewa i dotknęła jego pnia.

— Mów! — rozkazała.

Spomiędzy dzwoneczków rozgrzmiał pojedynczy głos, niczym cheerleaderka krzycząca przez megafon:

*Apollo (bóg tego imienia) Do jaskini błękitnej wpadł cienia Na ognisto-spiżowym I trzyosobowym Śmierć i obłąd dostał do zjedzenia*

Dzwoneczki znieruchomiały. Gaj uspokoił się, jakby usatysfakcjonowany wydanym na mnie wyrokiem śmierci.

Och, co za horror!

Mógłbym jakoś dać sobie radę z sonetem. Epigramat byłby powodem do świętowania. Ale jedynie najgroźniejsze przepowiednie układane są w formie limeryku.

Wpatrywałem się w dzwoneczki, w nadziei że przemówią znowu i poprawią swój błąd. „Ojej, pomyliłyśmy się! To proroctwo dotyczyło innego Apollina!”

Ale nie miałem aż takiego szczęścia. Otrzymałem wyrok gorszy od tysiąca ogłoszeń o maszynkach do robienia makaronu.

Śliwka wstał. Pokręcił głową i syknął w kierunku dębu, co doskonale oddawało moje własne uczucia. Przytulił się następnie do łydki Meg, jakby tylko ona ratowała go przed wypadnięciem ze świata. Scena ta byłaby nawet słodka, gdyby nie kły i świecące oczy karposa.

Meg przyglądała mi się uważnie. Szkła jej okularów były pokryte pajęczyną pęknięć.

- To proroctwo - powiedziała. - Zrozumiałeś je?

Usta miałem pełne sadzy.

- Może. Kawalek. Musimy porozmawiać z Rachel...

- Nie ma już *nas*. - Głos Meg był równie nieprzyjemny jak wulkaniczne gazy w Delfach. - Zrób, co musisz zrobić. To mój ostatni rozkaz.

Było to jak uderzenie drzewcem włóczni w podbródek, mimo że to ona mnie okłamała i zdradziła.

- Meg, nie możesz mi tego zrobić. — Nie byłem w stanie opanować drżenia głosu. - Zażądałaś ode mnie służby. Dopóki nic zakończą się moje próby...

- Uwalniam cię.

- Nie! - Przeraziła mnie perspektywa porzucenia. Nie kolejny raz. Nie przez tę obdartą królową śmietników, o którą zacząłem się tak troszczyć. - Przecież *chyba* nie ufasz teraz Neronowi. Słyszałaś, jak opowiadał o swoich planach. Zamierza zrównać z ziemią całą tę wyspę! Widziałaś, co chciał zrobić z zakładnikami.

- On... on nie pozwoliłby im spłonąć. Obiecał. Powstrzymał się. Widziałaś. To nie był Bestia.

Moje żebra przypominały zbyt napiętą harfę.

- Meg... Neron *jest* Bestią. On zabił twojego ojca.

- Nie! Neron jest moim ojczymem. Mój tato... mój tato wyzwolił Bestię. Rozgniewał go.

- Meg...

- Przestań! - Zakryła uszy dłońmi. - Nie znasz go. Neron jest dla mnie dobry. Mogę z nim porozmawiać. Mogę wszystko naprawić.

Jej wyparcie było tak bezgraniczne, tak irracjonalne, że nie widziałem możliwości przekonania jej. Przypominała mi boleśnie mnie samego, kiedy spadłem na ziemię - i odmawiałem pogodzenia się z moją nową rzeczywistością. Bez pomocy Meg dałbym się wtedy zabić. Teraz nasze role się odwróciły.

Postąpiłem ku niej, ale warczenie Śliwki powstrzymało mnie w pół kroku.

Meg cofnęła się.

- Między nami koniec.

- Nie może tak być - odparłem. - Jesteśmy ze sobą związani, czy ci się to podoba, czy nie.

Przypomniało mi się, że kilka dni temu powiedziała mi to samo.

Rzuciła mi ostatnie spojrzenie przez popękane okulary. Dałbym wszystko za to, żeby pokazała mi język. Chciałem iść ulicami Manhattanu z Meg kręcącą piruety na skrzyżowaniach. Tęskniłem za kuśtykaniem po Labiryncie ze związanymi razem nogami. Zadowolilibym się nawet porządną bitwą na śmieci w jakimś zaułku. Ona jednak odwróciła się i uciekła, a Śliwka podreptał za nią. Wydawało mi się, że rozplynęli się między drzewami, podobnie jak dawno temu Dafne.

Nad moją głową wiatr zabrzączał dzwoneczkami. Tym razem jednak spomiędzy drzew nie dobiegły mnie żadne głosy. Nie wiedziałem, jak długo Dodona zamierza milczeć, ale nie chciałem się tu znajdować w chwili, kiedy dęby postanowią znów zacząć opowiadać kawały.

Odwróciłem się i ujrzałem u moich stóp coś przedziwnego: strzałę z dębowym drzewcem i zielonymi lotkami.

Tam nie powinno być żadnych strzał. Nie przyniosłem ich ze sobą do gaju. Ale w moim stanie zamroczenia nie zastanawiałem się nad tym. Zrobiłem to, co zrobiły każdy łucznik: podniosłem ją i włożyłem do kołczanu.

*Nie ma taksówki  
Bla-bla-car zawodzi  
Mama mnie podwiezie*

34

### **AUSTIN UWOLNIŁ POZOSTAŁYCH JEŃCÓW.**

Wyglądali, jakby ich wyjęto z kadzi z klejem i wacikami, ale poza tym byli zaskakująco nieuszkodzeni. Ellis Wakefeld kuśtyka! dookoła z zaciśniętymi pięściami, szukając czegoś, w co mógłby walnąć. Cecil Markowitz, syn Hermesa, siedział na ziemi, usiłując wyczyścić tenisówki kością udową jelenia. Austin - spryciarz! - wyciągnął manierkę z wodą i zmywał z twarzy Kayli grecki ogień. Miranda Gardiner, grupowa domku Demeter, klęczała w miejscu, gdzie driady poniosły ofiarę, i cicho szlochała.

Palikos Paulie podfrunął do mnie. Podobnie jak jego towarzysz Pete dolną część ciała miał całkowicie z pary wodnej. Od pasa w górę wyglądał jak szczuplejsza, bardziej wycieńczona wersja swojego gejzerowego kumpla. Jego błotnista skóra była popękana jak wyschnięte koryto rzeki. Twarz miał pomarszczoną, jakby wyciśnięto z niego ostatnią kropelkę wilgoci. Patrząc na to, jak wykończył go Neron, dodałem kilka punktów do przygotowywanej w myślach listy zatytułowanej *Sposoby torturowania cesarzy na Polach Kary*.

300

- Ocaliłeś mnie - powiedział Paulie ze zdumieniem. — Niech cię uściskam!

Zarzucił mi ramiona na szyję. Jego moc na tyle osłabła, że żar jego ciała nie zabił mnie, ale niezle przetkał mi zatoki.

- Powinieneś wracać do domu — odrzekłem. - Pete się martwi, no i musisz odzyskać siły.

- Och, chłopie... - Paulie otarł z twarzy dymiącą łzę. - Tak, zaraz idę. Ale jeśli będziesz kiedyś czegoś potrzebował - pralni parowej, jakiegoś PR-u, kąpieli błotnej - masz to u mnie jak w banku.

Kiedy rozpływał się w mgiełkę, zawołałem do niego:

- Ach, Paulie! Las Obozu Herosów dostanie ode mnie dzieśnię gwiazdek w ankiecie satysfakcji klientów!

Paulie rozpromienił się z wdzięczności. Usiłował raz jeszcze mnie uściskać, ale był już w prawie dziewięćdziesięciu procentach parą wodną. Poczułem jedynie wilgotny powiew pachnącego błotem powietrza. Po czym zniknął.

Piątka herosów zgromadziła się wokół mnie.

Miranda spoglądała ku znajdującemu się za moimi plecami gajowi Dodony. Oczy miała wciąż spuchnięte od płaczu, ale zauważyłem, że ma piękne tęczy w kolorze wiosennego listowia.

- A więc te głosy, które słyszałam z tego gaju... To naprawdę Wyrocznia? Te drzewa mogą nam przekazywać proroctwa?

Wzdrygnąłem się na wspomnienie dębowego limeryku.

- Być może.

- Mogę zobaczyć...?

- Nie - odparłem. - Nie dopóki nie poznamy lepiej tego miejsca.

Straciłem już dziś jedną córkę Demeter. Nie zamierzałem żegnać następnej.

- Nie rozumiem - wymamrotał Ellis. - Ty jesteś Apollinem? Znaczy *tym* Apollinem?



- Obawiam się, że tak. To długa historia.

- Och, bogowie... - Kayla rozglądała się po polanie. - Wydawało mi się, że słyszałam wcześniej głos Meg. Czy mi się to przyśniło? Ona była z tobą? Nic jej się nie stało?

Pozostali wpatrywali się we mnie w oczekiwaniu odpowiedzi. Ich miny były tak potulne i niepewne, że uznałem, że nie mogę się przy nich rozkleić.

- Ona... żyje - wydusiłem z siebie. - Musiała odejść.

- Co? - zapytała Kayla. - Dlaczego?

- Neron - odparłem. - Meg... poszła za Neronem.

- Chwila. - Austin uniósł ręce niczym maszty. - Kiedy mówisz „Neron”...

Postarałem się jak najlepiej wytłumaczyć im, jak zostali uwięzieni przez obłąkanego cesarza. Zasługiwali na tę wiedzę. Kiedy opowiadałem o tym wszystkim, w uszach brzmiały mi wciąż słowa Nerona: „Moja ekipa burząca będzie tu za kilka minut. Kiedy Obóz Herosów zostanie zniszczony, uczynię sobie z niego mój nowy trawnik!”.

Chciałem wierzyć, że to tylko przechwałki. Neron zawsze uwielbiał groźby i szumne deklaracje. W przeciwieństwie do mnie był okropnym poetą. Posługiwał się kwiecistym językiem, jakby... no, jakby każde zdanie było pachnącym bukietem metafor. (Och, kolejne świetne sformułowanie. Zapisuję je).

Dlaczego wciąż spoglądał na zegarek? I o jakiej ekipie burzącej mówił? W myślach mignął mi przebłysk ze snu o słonecznym autobusie pędzącym ku ogromnej spiżowej twarzy.

Czułem się znów, jakbym spadał bezwładnie. Plan Nerona wydał mi się przerażająco jasny. Po unieszkodliwieniu tych nielicznych herosów, którzy bronili obozu, zamierzał spalić ten gaj. Ale to była jedynie część planu ataku...

- Och, bogowie! - powiedziałem. - Kolos.

Piątka herosów przestępowała nerwowo z nogi na nogę.

-Jaki Kolos? - zapytała Kayla. - Masz na myśli Kolosa Rodyjskiego?

- Nie - odparłem. - *Colossus Neronis*.

Cecil podrapał się po głowie.

- Kolosów neurozy?

Ellis Wakefield prychnął.

- Sam jesteś kolos neurozy, Markowitz. Apollo mówi o wielkim posągu Nerona, który stał przed amfiteatrem w Rzymie, prawda?

- Tego się obawiam - odparłem. - Kiedy my tu sobie stoimy, Neron usiłuje zniszczyć Obóz Herosów. A Kolos będzie jego ekipą burzącą.

Miranda wzdrygnęła się.

- Mówisz, że gigantyczny posąg rozdepcze obóz? Myślałam, że tego Kolosa zniszczono wiele stuleci temu.

Ellis zmarszczył brwi.

- Podobno, ale Atenę Partenos też. A ona stoi teraz na szczycie Wzgórza Herosów.

Miny pozostałych spoważniały. Kiedy dziecko Aresa mówi coś rozsądnego, to znaczy, że sytuacja jest poważna.

- W kwestii Ateny... — Austin strącił z ramienia łatwopalny kłaczek. - Czy ta statua nas nie obroni? To znaczy ona po to tam jest, prawda?

- Będzie próbowała - uznałem. — Ale musicie zrozumieć, że Atena Partenos czerpie moc od swoich wyznawców. Im więcej herosów ma pod opieką, tym potężniejsza jest jej magia. A w tej chwili...

- Obóz jest prawie pusty - dokończyła Miranda.

- Nie tylko to - odparłem. - Atena Partenos ma jakieś trzynaście metrów. O ile mnie pamięć nie myli, Kolos Nerona jest ponad dwa razy wyższy.

Ellis jęknął.

-Czyli nie są w tej samej kategorii wagowej. To nierów na walka.

Cecil Markowitz wyprostował się nieco.

- Ej, ludzie... czujecie to?

Myślałem, że może to jeden z jego hermesowych żartów. A potem ziemia zatrzęsała się znowu, choć bardzo słabo. Gdzieś z oddali dotarł do nas grzmiący dźwięk, jakby okręt wojenny tarł dnem o mieliznę.

-Powiedzcie mi, proszę, że to był grzmot — odezwała się Kayla.

Ellis przechylił głowę, nasłuchując.

-To machina wojenna. Ogromny automat wychodzący na brzeg pół kilometra stąd. Musimy natychmiast wracać do obozu.

Nikt nie polemizował z tą oceną sytuacji. Zakładam, że Ellis był w stanie rozróżnić odgłosy wydawane przez maszyny wojenne, tak samo jak ja wychwytyję fałszujące skrzypce w symfonii Rachmaninowa.

Trzeba przyznać, że herosi stanęli na wysokości zadania. Mimo iż dopiero co byli związani, utaplani w łatwopalnych substancjach i przywiązani do słupów niczym ludzkie pochodnie, zwarli szyki i stanęli naprzeciwko mnie z determinacją malującą się na twarzach.

-Jak się stąd wydostaniemy? - zapytał Austin. - Przez mrowisko?

Poczułem nagle, że się duszę, po części dlatego że piątka ludzi wpatrywała się we mnie, jakbym wiedział, co robić. Nic wiedziałem. Prawdę mówiąc, jeśli chcecie poznać pewną tajemnicę, my, bogowie, zazwyczaj nie wiemy, co robić. Kiedy żąda się od nas odpowiedzi, przeważnie mówimy coś w rodzaju tego, co powiedziała Rea: „Musisz sam to wymyślić!”. Albo: „Na prawdziwą mądrość trzeba zasłużyć!”. Nie sądziłem jednak, żeby w obecnej sytuacji to przeszło.

A poza tym nie miałem ochoty włączyć z powrotem do mrowiska. Nawet gdybyśmy wydostali się z niego żywi, zajęłoby nam to zbyt dużo czasu. A potem musielibyśmy przebiec przez co najmniej pół lasu.

Wpatrywałem się w dziurę w kształcie Vince'a w sklepieniu drzew.

- Nie sądzę, żeby któreś z was umiało latać?

Pokręcili przecząco głowami.

- Ja umiem gotować - zaoferował się Cecil.

Ellis wałnął go w ramię.

Spojrzałem znów w kierunku tunelu myrmek. Rozwiązanie pojawiło się jak głos szepczący mi do ucha: „Znasz kogoś, kto umie latać, głupku”.

To był ryzykowny pomysł. Ale w sumie rwanie się do walki z olbrzymim automatonem też nie należało do najbezpieczniejszych planów działań.

- Chyba znam sposób - powiedziałem. - Ale będę potrzebował waszej pomocy.

Austin zacisnął pięści.

- Czegokolwiek zechcesz. Jesteśmy gotowi do walki.

- Po prawdzie... nie potrzebuję, żebyście walczyli. Potrzebuję, żebyście wystukali rytm.

Moje kolejne wielkie odkrycie. Dzieci Hermesa nie umieją rapować. W ogóle.

Chwała niech będzie jego dzielnemu serduszku - Cecil Markowitz robił wszystko, co w jego mocy, ale ciągle wybijał z rytmu moją sekcję rytmiczną swoim nieskładnym klaskaniem i okropnym hałasem. Po kilku próbach zdegradowałem go do roli tancerza. Jego zadaniem miało być kołysanie się w przód i w tył i machanie rękami, co robił z entuzjazmem telewizyjnego kaznodziei. Herosi nadal wyglądali jak na wpół oskubane, łatwopalne kurczęta, ale gibali się z sercem.

Zaśpiewałem *Mamę*, wzmacniając gardło wodą i kroplami na kaszel znalezionymi w torebce Kayli. (Bystra dziewczyna! Kto zabiera krople na kaszel na trójnożny wyścig śmierci?)

Śpiewałem prosto w otwór tunelu myrmek, licząc na to, że korytarze poniosą moje słowa. Nie musieliśmy długo czekać. Ziemia pod naszymi stopami zadrżała. Śpiewałem dalej. Ostrzegłem towarzyszy, że nie mogą przerwać wybijania właściwego rytmu, dopóki piosenka się nie skończy.

Niemniej sam omal się nie zawiesił, kiedy ziemia eksplodowała. Wpatrywałem się w tunel, ale Mama nie używała tuneli. Wychodziła tam, gdzie się jej podobało - w tym wypadku wyskoczyła jakieś dwadzieścia metrów od nas, rozsypując ziemię, trawę i małe kamyki na wszystkie strony. Jej odwłok nie był już nabrzmiały, założyłem więc, że skończyła składanie najnowszego miotu larw zabójczych mrówek. Miałem nadzieję, że jest dzięki temu w dobrym, a nie głodnym humorze.

Za nią spod ziemi wynurzyło się dwóch skrzydlatych żołnierzy. Nie spodziewałem się bonusowych mrówek. (Naprawdę, *bonusowa mrówka* to nie jest coś, co ludzie lubią). Stanęli po obu stronach królowej, kołyszając czułkami.

Zakończyłem pieśń, po czym przykląknę na kolano, rozpościerając jak poprzednio ręce.

- Mamo - powiedziałem - potrzebujemy środka transportu.

Założenie było następujące: matki są przyzwyczajone do transportowania. Liczyłem na to, że mając tysiące potomstwa, królowa mrówek wykaże instynkt opiekuńczy. I rzeczywiście, Mama chwyciła mnie żuwaczkami i przerzuciła sobie przez głowę.

Cokolwiek by wam mówili herosi, nie zacząłem młócić rękami i krzyczeć ani też nie wylądowałem w sposób, który byłby bolesny dla moich delikatnych części ciała. Wylądowałem heroicznie, dosiadając karku królowej, który był mniej więcej

rozmiarów grzbietu przeciętnego konia bojowego. Krzyknąłem do towarzyszy:

- Chodźcie tu! To całkowicie bezpieczne!

Z jakiegoś powodu wahali się. Mrówki nie. Królowa wrzuciła Kaylę za mnie, a żołnierze postąpili jak Mama - każdy złapał dwójkę herosów i cisnął nimi na pokład.

Trzy myrmeki rozwinęły skrzydła z hałasem godnym wentylatorów. Kayla objęła mnie w pasie.

- To naprawdę bezpieczne?! - krzyknęła.

- Absolutnie! - Miałem nadzieję, że to prawda. - Zapewne nawet bezpieczniejsze od rydwanu słonecznego!

- Czy rydwan słoneczny omal nie zniszczył raz świata?

- Nawet dwa razy - odparłem. - A nawet trzy, jeśli liczyć ten dzień, kiedy pozwoliłem powozić Thalii Grace, ale...

- Zapomnij o tym pytaniu!

Mama wzbiła się w niebo. Na naszej drodze stał baldachim powyginanych gałęzi, ale ona nie zwróciła na niego większej uwagi niż na tonę ubitej ziemi, przez którą się przedarła.

- Kryć się! - wrzasnąłem.

Przywarliśmy do pancерnej głowy Mamy, która przedarła się przez kurtynę drzew, wbijając mi w plecy tysiące drzazg. Niemniej poczucie, że znów leciałem, było tak przyjemne, że nie przejmowałem się. Wznieśliśmy się nad las i skręciliśmy na wschód.

Przez dwie albo trzy sekundy czułem wszechogarniającą radość.

A potem usłyszałem krzyki dobiegające z Obozu Herosów.

*Nagi kolos  
Neurotyczny Neron  
Gdzie się podziały twe ineksprymable?*

**ZAWODZI MNIE** nawet moja nadprzyrodzona moc opisywania.

Wyobraźcie sobie, że patrzycie na siebie jako na trzydziestometrowy spiżowy posąg - replikę własnej wspaniałości połyskującą w świetle popołudnia.

A teraz wyobraźcie sobie, że ta absurdalnie przystojna statua wymaszerowuje z zatoki Long Island na brzeg. W ręce trzyma ster statku - głównie wielkości bombowca klasy stealth przymocowaną do prawie dwudziestometrowego kija - i Pan Olśniewający unosi ten ster, żeby zmiażdżyć Obóz Herosów.

Taki obraz powitał nas, kiedy wylecieliśmy z lasu.

- Jak to może być? - zapytała Kayla. - Co Neron zrobił... zamówił to online?

- Triumwirat ma potężne środki - odparłem. - Mieli stulecia na przygotowania. A kiedy zrekonstruowali posąg, musieli go jedynie napełnić jakąś ożywiającą magią; zazwyczaj jest to ujarzmiona siła życiowa duchów wiatru lub wody. Nie jestem pewny. To po prawdzie raczej specjalność Hefajstosa.

- Jak my mamy to zabić?

- Eee... usiłuję coś wymyślić.

Po drugiej stronie doliny obozowicze z krzykiem biegli po broń. Nico i Will brodzili w jeziorze, ewidentnie przewróceni podczas przejażdżki kajakiem. Chejron galopował przez wydmy, zasypując Kolosa strzałami. Chejron był świetnym łucznikiem nawet jak na mój standard. Celował w stawy i nitowania posągu, ale jego pociski najwyraźniej w ogóle nie zwracały uwagi automatona, z którego ramion i karku sterczało już mnóstwo strzał niczym niesforne włosy.

- Więcej kołczanów! - zawołał Chejron. - Szybko!

Rachel Dare wychynęła ze zbrojowni, niosąc pół tuzina kołczanów, i pobiegła ku niemu.

Kolos opuścił ster, żeby rozwalić pawilon jadalny, ale głownia odbiła się od magicznej bariery obozu, syjąc iskrami, jakby uderzyła w metal. Pan Olśniewający zrobił kolejny krok w głąb łądu, ale zapora oparła mu się, odpychając go z siłą godną tunelu aerodynamicznego.

Srebrna aura otoczyła Atenę Partenos na Wzgórzu Herośów. Nie byłem pewny, czy herosi to widzą, ale co jakiś czas z hełmu bogini wystrzelał promień nadfioletowego światła niczym reflektor, uderzał Kolosa w pierś i odpychał go. Wiszące na wysokiej sośnie obok posągu Złote Runo świeciło ognistą energią. Smok Peleus syczał i dreptał wokół pnia, gotów bronić swojego skarbu.

To były potężne siły, ale nie potrzebowałem boskiego wzroku, żeby wiedzieć, że nie wytrwają długo. Bariery ochronne obozu były zaprojektowane, żeby odstraszać jakieś zabłąkane potwory, mieszać w głowach śmiertelnikom i zapobiegać wykryciu przez nich doliny, a także jako pierwsza linia obrony przeciwko siłom najeźdźczym. Nieprzyzwoicie piękny trzydziestometrowy olbrzym z niebiańskiego spiżu to była zupełnie inna bajka. Kolos wkrótce przebiję się i zniszczy wszystko, co stanie na jego drodze.



-Apollinie! - Kayla dała mi szturchańca pod żebro. - Co robimy?

Poruszyłem się nerwowo, uświadamiając sobie nieprzyjemnie po raz kolejny, że oczekiwano ode mnie odpowiedzi. Moim pierwszym odruchem byłoby rozkazać jakiemuś zaprawionemu w bojach herosowi, żeby przejął dowodzenie. Czy przypadkiem to już nie weekend? Gdzie jest Percy Jackson? Albo ci rzymscy pretorzy, Frank Zhang i Reyna Ramirez-Arellano? Tak, oni nieźle by sobie poradzili.

Moim drugim odruchem było zwrócić się do Meg McCaffrey. Jakże szybko przyzwyczałem się do jej irytującej, ale jakos dziwnie sympatycznej obecności! Niestety Meg sobie poszła. Jej nieobecność była niczym Kolos deptający mi po sercu. (To była łatwa metafora, zważywszy, że Kolos właśnie deptał po mnóstwie różnych rzeczy).

Flankujący nas mrówczy żołnierze ustawili się w szyku, oczekując rozkazów królowej. Herosi spoglądali na mnie z niepokojem, a kawałki bandaży wciąż odpadały od ich ciał, kiedy pędziliśmy przez powietrze.

Pochyliłem się do przodu i odezwałem się łagodnym tonem do Mamy:

-Wiem, że nie mogę cię prosić, żebyś ryzykowała dla nas życie.

Mama zabręczała, jakby mówiła: „Masz sto procent racji!”.

-Ale może przewieziesz nas raz wokół głowy tego posągu? - zapytałem. - Na tyle, żeby odwrócić jego uwagę. A potem wysadzisz nas na plaży?

Zastukała z powątpiewaniem żuwaczkami.

-Jesteś najlepszą mamą na świecie - dodałem - i wyglądasz dziś cudownie.

To zawsze działało na Latonę. Z Mamą Mrówką też zadziałało. Poruszyła czułkami, być może wysyłając na wysokiej

częstotliwości sygnał swoim żołnierzom, i wszystkie trzy myrmęki skręciły ostro w prawo.

Poniżej nas kolejni herosi włączali się do walki. Sherman Yang zaprzął dwa pegazy do rydwanu i okrążał teraz nogi posągu, podczas gdy Julia i Alice rzucały elektrycznymi oszczepami w kolana Kolosa. Pociski lądowały w jego stawach, strzelając błękitnymi błyskawicami, ale posąg ledwie to zauważał. Tymczasem u jego stóp Connor Hood i Harley robili Kolosowi topiący pedikiur za pomocą miotaczy ognia, a bliźniacze córki Nike obsługiwały katapultę ciskającą głazami w niebiańsko-spiżowe klejnoty Kolosa.

Malcolm Pace, nieodrodny syn Ateny, koordynował atak ze zorganizowanego naprędce centrum dowodzenia na trawniku. Razem z Nyssą rozłożyli mapy wojenne na stoliku do gry w karty i wykrzykiwali współrzędne ataku, podczas gdy Chiara, Damien, Paolo i Bibie pospiesznie ustawiali balisty na łące.

Malcolm wyglądałby jak wódz doskonały, gdyby nie to, że zapomniał portek. Jego czerwone gacie tworzyły niezłą całość z mieczem i skórzanym kirysem.

Mama zanurkowała w kierunku Kolosa, aż przewróciło mi się w żołądku.

Miałem chwilę, żeby podziwiać królewskie rysy posągu, jego metalowe czoło otoczone koroną ze szpikulcami, mającymi wyobrażać promienie słoneczne. Kolos w zamierzeniu przedstawiał Nerona jako słonecznego boga, ale cesarz rozsądnie uczynił, nadając posągowi rysy przypominające raczej moje niż jego. Tylko kształt nosa i okropny zarost na szyi stanowiły znaki firmowe brzydoty Nerona.

A poza tym... czy wspominałem, że ten trzydziestometryowy posąg był całkowicie nagi? No oczywiście, że był. Bogowie niemal zawsze są przedstawiani nago, ponieważ jesteśmy istotami doskonałymi. Po co zakrywać doskonałość? A jednak wprowadzało mnie to w niejakie zakłopotanie - oglądałem

całkiem gołego siebie depczącego wszystko dookoła i walącego sterem statku w Obóz Herosów.

Kiedy zbliżyliśmy się do Kolosa, ryknąłem na cały głos:

-UZURPATOR! TO JA JESTEM PRAWDZIWYM APOLLINEM! JESTEŚ BRZYDKI!

Och, drodzy czytelnicy, bardzo trudno było wykrzyknąć takie słowa w moją własną piękną twarz, ale uczyniłem to. Tak bardzo byłem odważny.

Kolos nie lubił, gdy go obrażano. Kiedy Mama i jej żołnierze zakręcili, oddalając się, posąg zamierzył się sterem w górę.

Zderzyliście się kiedykolwiek z bombowcem? Przypomniało mi się nagle Drezno w 1945 roku, kiedy samoloty latały tak gęsto, że dosłownie nie mogłem znaleźć bezpiecznego pasa dla rydwanu. Oś jednego z kół była po tym wykrzywiona przez wiele tygodni.

Uzmysłowiłem sobie, że mrówki nie latają dość szybko, żeby uciec przed sterem. Widziałem zbliżającą się katastrofę jak na zwolnionym filmie. W ostatnim możliwym momencie wrzasnąłem:

- Nurkuj!

Zanurkowaliśmy prosto w dół. Ster jedynie musnął skrzydła mrówek - ale to wystarczyło, żebyśmy runęli w kierunku plaży. Byłem wdzięczny za miękki piasek.

Połknąłem go całkiem sporo, kiedy się rozbiliśmy.

Mieliśmy ogromne szczęście, że żadne z nas nie zginęło, aczkolwiek Kayla i Austin musieli podnieść mnie na nogi.

- Nic ci nie jest? - zapytał Austin.

- Nie — odparłem. — Musimy się pospieszyć.

Kolos wpatrywał się w nas, zapewne usiłując rozstrzygnąć, czy już umieramy w cierpieniach, czy też przydałoby nam się nieco więcej bólu. Chciałem, owszem, zwrócić jego uwagę, i udało mi się. Hurra.

Zerknąłem na Mamę i jej żołnierzy, którzy strzäsali piasek z pancerzy.

- Dziękuję. Teraz ratujcie własne tyłki. Lećcie!

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Myślę, że mrówki mają wrodzony lęk przed dużymi człekokształtnymi pochylającymi się nad nimi i zamierzającymi rozdeptać je ciężką stopą. Mama i jej gwardziści wzbili się w niebo.

Miranda spoglądała za nimi.

- Nie sądziłam, że powiem coś takiego o robalach, ale chyba będę za nimi tęskniła.

- Hej! - zawołał Nico di Angelo. Razem z Willem wspinali się na wydmy, nadał ociekając wodą po kąpieli w jeziorze kajakowym.

- Jaki mamy plan? - Will sprawiał wrażenie spokojnego, ale znałem go na tyle, żeby wiedzieć, że w środku jest nabuzowany jak akumulator.

*BUM.*

Posąg ruszył ku nam. Jeszcze jeden krok i znajdzie się na nas.

- Czy w jego stopie nie ma zaworu bezpieczeństwa? — zapytał Ellis. - Jeśli zdołalibyśmy go otworzyć...

- Nie - odparłem. - Masz na myśli Talosa. To nie jest Talos.

Nico odgarnął z czoła mokre ciemne włosy.

- W takim razie co?

Miałem wspaniały widok na nos Kolosa. Jego nozdrza były zamknięte spizem... Zapewne dlatego że Neron nie chciał, żeby przeciwnicy strzelali mu w cesarski łeb.

Zaskowytałem.

Kayla chwyciła mnie za ramię.

- Co się dzieje, Apollinie?

Strzały w głowie Kolosa. Och, bogowie. Wpadłem na pomysł, który nie miał prawa nigdy, przenigdy zadziałać. A jednak wydawał się lepszy od drugiej możliwości - zostania zmiażdżonymi przez dwutonową spizową stopę.

- Will, Kayla, Austin - powiedziałem - chodźcie ze mną.
  - I Nico - wtrącił Nico. - Mam zaświadczenie lekarskie.
  - Doskonale! - odparłem. - Ellis, Cecil, Miranda... róbcie wszystko, żeby utrzymać jego uwagę.
- Cień ogromnej stopy pojawił się na piasku.
- Już! - wrzasnąłem. - Rozsyпка!

*Jakże mila zaraza  
Byle na właściwej strzale  
Bum! Padłeś, koleś?*

**ROZSYPKA BYŁA ŁATWĄ CZĘŚCIĄ PLANU.** Udała się doskonale.

Miranda, Cecil i Ellis rozbiegli się w różne strony, wykrzykując obraźliwe słowa w kierunku Kolosa i wymachując rękami. Dało to pozostałym z nas kilka sekund, podczas których pognaliśmy ku wydmom, ale podejrzewałem, że Kolos wkrótce podąży za mną. Byłem przecież najważniejszym i najatrakcyjniejszym celem.

Wskazałem na rydwan Shermana Yanga, który nadal krążył wokół nóg posągu, na próżno usiłując porazić prądem jego kolana.

- Musimy przejąć ten rydwan!

- Jak? - zapytała Kayla.

Miałem właśnie przyznać, że nie mam pojęcia jak, kiedy Nico di Angelo chwycił Willa za rękę i wszedł w mój cień. Obaj chłopcy wyparowali. Zapomniałem o mocy podróżowania cieniem - sposobie, w jaki dzieci Podziemia potrafią wejść w jeden cień i wychynąć w innym, czasami setki kilometrów dalej. Hades swego czasu uwielbiał mnie w ten sposób zaskakiwać i krzyczeć: „CZEŚĆ!”, akurat kiedy wypuszczałem strzałę

śmierci. Uważał za zabawne, kiedy chybiałem i przez przypadek zmiatałem z powierzchni ziemi niewłaściwe miasto.

Austin wzdrygnął się.

- Nie znoszę, kiedy Nico znika w ten sposób. Jaki masz plan?

- Wy dwoje stanowicie moje wsparcie - powiedziałem. - Jeśli nie trafię, jeśli zginę... wszystko zostanie na waszych głowach.

- Ej, ej - zaprotestowała Kayla. - Co masz na myśli, mówiąc, że jeśli nie trafisz?

Wyciągnąłem ostatnią z moich strzał - tę, którą znalazłem w gaju.

- Zamierzam strzelić temu przerośniętemu przystojniakowi w ucho.

Austin i Kayla spojrzeli po sobie, zapewne zastanawiając się, czy w końcu odbiło mi pod ciężarem śmiertelności.

- Strzała zarazy — wyjaśniłem. - Zamierzam zaczarować ją chorobą, a następnie wstrzelić w ucho tego posągu. Jego głowa jest pusta, uszy to tylko otwory. Strzała powinna wypuścić dość choroby, żeby zabić siłę ożywiającą Kolosa... a przynajmniej ją unieruchomić.

- Skąd wiesz, że to zadziała? - zapytała Kayla.

- Nie wiem, ale...

Naszą konwersację przerwało nagłe ciężkie stąpnięcie Kolosa. Pognaliśmy w głąb lądu, ledwie unikając zmiżdżenia.

Za nami rozległ się krzyk Mirandy:

- Hej, brzydalu!

Wiem, że nie zwracała się do mnie, ale i tak spojrzałem za siebie. Uniósła ramiona, a z wydm podniosły się wstążki wodorostów, owijając się wokół kostek posągu. Kolos wyswobodził się bez trudu z tych więzów, ale rozzłościły go dostatecznie, żeby stanowić dywersję. Kiedy patrzyłem na Mirandę stawiającą czoła posągowi, zatęskniłem znów za Meg.

Tymczasem Ellis i Cecil stali po dwóch stronach Kolosa, ciskając kamieniami w jego golenie. Od strony obozu Pan Olśniewający był bombardowany płonącymi pociskami z balisty, trafiającymi go w nagi tyłek, co wywołało we mnie pewien odruch współczucia.

- No więc co? - zapytał Austin.

-Dobra. - Obracałem strzałę w palcach. - Wiem, co sobie myślicie. Nie posiadam boskich mocy. Wątpliwe, czy będę w stanie sprokurować czarną śmierć albo grypę hiszpankę. Niemniej jeśli zdołam strzelić z bliska prosto w jego głowę, może uda mi się spowodować jakieś szkody.

-A jeśli... nie zdołasz? — zapytała Kayla. Zauważyłem, że jej kołczan jest również pusty.

-Nie będę miał dość siły, żeby ponownie spróbować. Ty będziesz musiała wykonać kolejne podejście. Znaleźć strzałę, przywołać jakąś chorobę, strzelić, podczas gdy Austin będzie utrzymywał rydwan w równowadze.

Zdawałem sobie sprawę, że było to niewykonalne żądanie, ale oni przyjęli je w posępnym milczeniu. Nie byłem pewny, czy powinienem czuć wdzięczność, czy wyrzuty sumienia. W czasach kiedy byłem bogiem, przyjąłbym jako oczywistość to, że śmiertelnicy we mnie wierzą. A teraz... prosiłem moje dzieci, żeby znów ryzykowały życie, a nie byłem całkiem pewny, czy mój plan się powiedzie.

Dostrzegłem jakieś poruszenie na niebie. Tym razem zamiast

stopy Kolosa zobaczyłem rydwan Shermana Yanga, ale pozbawiony Shermana Yanga. Will wylądował pegazami, po czym wywlókł z rydwanu półprzytomnego Nica di Angelo.

-Gdzie są pozostali? - spytała Kayla. - Sherman i dziewczyny od Hermesa?

Will przewrócił oczami.

- Nico przekonał ich, żeby wysiedli.



Jakby na zawołanie usłyszałem dochodzące gdzieś z daleka krzyki Shermana:

- Dorwę cię, di Angelo!

- Jedźcie - powiedział Will. - Ten rydwan jest zaprojektowany dla trzech osób, a po tej podróży cieniem Nico może

w każdej chwili zemdleć.

- Nie, nie zamierzam - wymamrotał Nico, po czym zemdłał Will podtrzymał go i odciągnął na bok.

- Powodzenia! Ja dam naszemu Panu Mroku trochę red bulla!

Austin wskoczył pierwszy i chwycił wodze. Kiedy tylko Kayla i ja wsiedliśmy, skoczyliśmy w górę, a pegazy krążyły wokół Kolosa z niezwykłą precyzją. Zacząłem dostrzegać światełko w tunelu. Może zdołamy wykiwać to wielkie spiżowe ciacho.

- Dobra — powiedziałem — żeby tylko udało mi się zaczarować tę strzałę jakąś miłą zarazą.

Strzała zadygotała od lotek po grot.

*JENO SPRÓBUJ!*, powiedziała do mnie.

Staram się unikać gadającej broni. Uważam ją za niegrzeczną i rozprasającą. Artemida miała kiedyś łuk, który kłął jak fenicki żeglarz. Kiedy indziej w sztokholmskiej tawernie spotkałem boga, który był niewiarygodnie atrakcyjny, tylko jego miecz po prostu *nie potrafił* się zamknąć.

Ale zbaczam z tematu.

Zadałem oczywiste pytanie:

- Czy ty właśnie się do mnie odezwałaś?

Strzała zadrżała. (Och, bogowie. Okropny rym. Wybaczcie). TAA, *ISTOTNIE. UPRASZAM CIĘ, STRZELANIE NIE JEST MOIM ZADANIEM.*

Jej głos był zdecydowanie męski, dźwięczny i poważny, jak u złego aktora szekspirowskiego.

-Przecież jesteś strzałą - odparłem. - Strzelanie jest twoim jedynym celem. - (Och, naprawdę muszę uważać na te gry słów).

- Trzymać się! - krzyknął Austin.

Rydwan zanurkował, żeby uchylić się przed kołyszącym się sterem Kolosa. Bez ostrzeżenia Austina zostałbym w powietrzu, nadal spierając się ze strzałą.

-Jesteś pewnie zrobiona z dębu z Dodony - domyśliłem się - i dlatego gadasz?

ZAISTE, odpowiedziała.

-Apollinie! - zawołała Kayla. - Nie bardzo wiem, dlaczego gadasz do tej strzały, ale...

Z prawej rozległo się wibrujące GRZMOT!, jakby zerwany kabel elektryczny uderzył w metalowy dach. Magiczne bariery obozu rozpadły się w rozbłysku srebrnego światła. Kolos rzucał się przed siebie, depcząc jedną stopą pawilon jadalny i zamieniając go w gruz, jakby to były klocki.

- Ale już po zabawie - dokończyła Kayla z westchnieniem.

Kolos uniósł triumfalnie ster. Pomaszerował w głąb lądu, ignorując herosów, którzy biegali wokół jego stóp. Valentina Diaz wystrzeliła pocisk z balisty prosto w jego klejnoty. (Znów musiałem skrzywić się ze współczuciem). Harley i Connor Hod nadal usiłowali podpalić jego stopy, ale bez powodzenia. Nyssa, Malcolm i Chejron przeciągnęli szybko stalową linę na drodze posągu, ale nie zdołali jej porządnie zakotwiczyć.

Odwrociłem się do Kayli.

- Nie słyszysz gadania tej strzały?

Z jej szeroko otwartych oczu domyśliłem się, że odpowiedź brzmiała: „Nie, a czy halucynacje są dziedziczne?”.

-Nieważne. - Spojrzałem na strzałę. - Co zatem proponujesz, o Przemądra Strzało z Dodony? Mój kołczan jest pusty.

Grot strzały skierował się ku lewej ręce posągu.

*SPÓJRZ JENO, A POD PACHĄ JEGO ZNAJDZIESZ POTRZEBNE CI STRZAŁY!*

- Kolos kieruje się ku domkom! - wrzasnęła Kayla.

- Pacha! - powiedziałem do Austina. - Lećże... eee, leć pod pachę!

Nie jest to rozkaz, jaki często słyszy się w walce, ale Austin zmusił pegazy do lotu ostro w górę. Wpadliśmy w las strzał wystających ze szwów ramienia Kolosa, ale przeliczyłem się w kwestii mojej śmiertelnej koordynacji ręka-oko. Wychyliłem się ku drzewcom, ale moje ręce pozostały puste.

Kayla okazała się zręczniejsza. Zdołała zgarnąć całe narecze, ale krzyknęła, kiedy je wyrывała.

Wciągnąłem ją z powrotem. Jej dłonie paskudnie krwawiły od tego szybkiego chwytu.

- Nic mi nie jest! - jęknęła. Zacisnęła palce, z których kapły na podłogę rydwanu czerwone kropelki. - Bierz te strzały.

Wziąłem. Zdjąłem z szyi brazylijski szalik i podałem jej.

- Obwiąż sobie rękę - rozkazałem. - W kieszeni mojej kurtki jest trochę ambrozji.

- Nie przejmuj się mną. - Twarz Kayli była równie zielona jak jej włosy. - Strzelaj! Pospiesz się!

Przyjrzałem się strzałom i poczułem, że serce mi zamiera. Tylko jedna była niezłamana, ale jej drzewce było skrzywione. Strzał będzie praktycznie niemożliwy.

Spojrzałem znów na gadającą strzałę.

*NIE BĘDZIESZ MYŚLAŁ O TYM — wyrecytowała. — CZAR RZUCISZ NA WYGIĘTĄ STRZAŁĘ!*

Usiłowałem. Otwarłem usta, ale z głowy wyparowały mi odpowiednie słowa zaklęcia. Tak jak się obawiałem, Lester Papadopoulos po prostu nie posiadał tej umiejętności.

- Nie potrafię!

*POMOCY CI UDZIEŁĘ - obiecała Strzała z Dodony. - W TE SŁOWA ZACZNIESZ: „PRZYBĄDŹ, ZARAZO!”.*

- Zakłęcia *nie* zaczyna się od: „Przybądź, zarazo”!

- Z kim ty rozmawiasz? - zapytał podejrzliwie Austin.

- Z moją strzałą! Yy... potrzebuję więcej czasu.

-Nie mamy więcej czasu! - Kayla wskazała przed siebie owiniętą zakrwawioną ręką.

Kolos znajdował się zaledwie kilka kroków od głównego trawnika. Nie byłem pewny, czy herosi zdawali sobie sprawę, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi. Kolos był w stanie narobić znacznie więcej szkód, niż po prostu zburzyć budynki. Jeśli zniszczy centralne palenisko, świątynię Hestii, to zgasi samą duszę obozu. Dolina stanie się przeklęta i nie będzie się nadawała do zamieszkania przez kilka pokoleń. Obóz Herosów przestanie istnieć.

Uświadomiłem sobie, że poniosłem klęskę. Mój plan wymagał zbyt dużo czasu, jeśli nawet zdołałbym sobie przypomnieć, jak się robi strzałę zarazy. Oto moja kara za złamanie przysięgi złożonej na Styks.

W tej samej chwili gdzieś nad nami rozległ się głos:

- Hej, Spiżowy Zadku!

Nad głową Kolosa utworzyła się chmura mroku niczym dymek w komiksie. Spośród cieni wyskoczył włochaty, czarny, potworny pies - ogar piekielny - a na jego grzbiecie siedział młody człowiek ze lśniącym spiżowym mieczem.

Zaczął się weekend. Percy Jackson przybył na ratunek.

*Patrzcie no! To Percy  
Zdołał nam trochę pomóc  
Uczyłem go wszystkiego*

37

BYŁEM ZBYT ZASKOCZONY, żeby cokolwiek powiedzieć. Inaczej ostrzegłbym Percy'ego, co się zaraz stanie.

Piekielne ogary mają lęk wysokości. Kiedy są zaskoczone, reagują w przewidywalny sposób. W chwili kiedy wierna przyjaciółka Percy'ego wylądowała na czubku poruszającego się Kolosa, zaskowyczała i przeszła do obsikiwania głowy posągu. Kolos zamarł i spojrzał w górę, niewątpliwie zastanawiając się, co to spływa po jego cesarskich bokobrodach.

Percy zeskoczył heroicznie ze swojego wierzchowca i poślizgnął się na psich sikach. Omal nie zjechał z czoła posągu.

- Co u... Pani O'Leary, o nieee!

Piekielna ogarzyca zaszczekała przepraszająco. Austin podfrunął rydwanem bliżej, żebyśmy się mogli słyszeć.

- Percy!

Syn Posejdony spojrzał na nas, marszcząc brwi.

-Dobra, kto wypuścił tego wielkiego spiżowego kolesia? Apollinie, czy to twoja sprawka?

-Czuję się obrażony! - odkrzyknąłem. - Jestem tylko pośrednio za to odpowiedzialny! A poza tym mam plan, jak sobie z tym poradzić.

322

-Och, doprawdy? - Percy spojrzął za siebie, na zniszczony pawilon jadalny. - A jak ci idzie?

Z właściwą sobie trzeźwością umysłu pozostałem skupiony na większych sprawach.

-Jeśli mógłbyś po prostu powstrzymać tego Kolosa od za-deptania obozowego paleniska, proszę, byłoby to dobrze widziane. Potrzebuję jeszcze paru minut, żeby zaczarować tę strzałę.

Uniosłem w górę przez przypadek najpierw gadającą strzałę, ale potem tę wygiętą.

Percy westchnął.

- Oczywiście.

Pani O'Leary zaszczekała ostrzegawczo. Kolos unosił rękę, żeby pacnąć coś, co go łaskotało. Percy chwycił jeden z promieni słonecznej korony. Oderwał go, a następnie wbił Kolo-sowi w czoło. Wątpię, czy posąg był zdolny odczuwać ból, ale zachwiał się, najwyraźniej zaskoczony nagłym posiadaniem rogu jednorożca.

Percy wyrwał kolejny promień.

-Ej, brzydalul! - zawołał. - Nie potrzebujesz tych wszystkich szpikulców, prawda? Wezmę sobie jeden na plażę. Pani O'Leary, aport!

Percy cisnął promieniem jak oszczepem.

Piekielna ogarzyca zaszczekała podekscytowana. Zeskoczyła z głowy Kolosa, wyparowała w cień i pojawiła się na ziemi, skacząc za swoim nowym spiżowym patyczkiem.

Percy uniósł brew i spojrzął na mnie.

- No co? Zaczynaj czary!

Zeskoczył z głowy posągu na jego ramię. Następnie zsunął się na drzewce steru i dalej po nim, jak strażak, na ziemię. Gdybym posiadał moją zwyczajną boską sprawność fizyczną, byłbym w stanie zrobić coś takiego przez sen, ale muszę przyznać, że Percy Jackson był nawet całkiem niezły.

- Ej, Spiżowy Zadku! - krzyknął znowu. - Łap mnie!

Kolos posłuchał, obrócił się powoli i pomaszerował za Percym w stronę brzegu.

Zacząłem śpiewać, przywołując moją dawną moc boga zaraży. Tym razem słowa pojawiły się w mojej głowie. Nie wiedziałem dlaczego. Może przybycie Percy'ego dodało mi wiary.

A może po prostu nie myślałem o tym zanadto. Odkryłem kiedyś, że myślenie często przeszkadza. Jest to jedna z tych lekcji, których bogowie uczą się wcześniej w swojej karierze.

Czułem swędzenie choroby spełzającej z moich palców na strzałę. Mówiłem o mojej wspaniałości i rozmaitych straszliwych chorobach, jakie zesłałem na niegodziwe ludy w przeszłości, ponieważ... no, jestem wspaniały. Czułem, jak magia chwyta, mimo że Strzała z Dodony szeptała mi do ucha jak namolny elżbietański sufler: **MÓWIŁ BĘDZIESZ: „PRZYBĄDŹ, ZARAZO!”**.

Poniżej kolejni herosi dołączali do plażowej parady. Wy-sforowali się przed Kolosa, szydząc, rzucając w niego różnymi przedmiotami i wyzywając go od Spiżowych Zadków. Wyśmiewali się z jego nowo nabytego rogu i psich sików spływających mu po twarzy. Zazwyczaj mam zero tolerancji dla takiego zachowania, zwłaszcza kiedy ofiara wygląda jak ja, ale ponieważ Kolos był wysoki na dziesięć piętér i niszczył ich obóz, uznaję nieuprzejmość herosów za uzasadnioną.

Zakończyłem recytację. Strzałę otaczała teraz paskudna zielona mgiełka. Cuchnęła lekko olejem z barów szybkiej obsługi - dobry znak, że była nośnikiem jakiejś okropnej choroby.

-Gotowe! - zawołałem do Austina. - Zanieś mnie w pobliże jego ucha!

-Załatwione! - Austin odwrócił się, żeby powiedzieć coś jeszcze, i do nosa dostała mu się smużka zielonej mgły. Jego oczy załzawiły. Nos spuchł i zaczęło z niego cieknąć. Twarz

Austina wykrzywiła się i chłopak kichnął tak mocno, że aż się przewrócił. Leżał na podłodze rydwanu, skręcając się i jęcząc.

- Mój chłopcze! - Chciałem go chwycić za ramiona i sprawdzić, co mu się stało, ale ponieważ w obu rękach trzymałem strzały, było to niewskazane.

A FE! NAZBYT *MOCNĄ JEST TWÓJA ZARAZA*. Strzała z Dodony zamruczała z irytacją. *TWE ZAKŁĘCIE ZASYSA*.

-Och, nie, nie, nie - powiedziałem. - Kayla, ostrożnie. Nie oddychaj...

- *APSIK!* - Kayla padła obok brata.

- Co ja narobiłem?! - zaskowyczałem.

*WRAŻENIE MAM, ŻEŚ SPRAWĘ ZAWALIŁ* - odparła Strzała z Dodony, krynica nieskończonej mądrości. - *POSPIESZ SIĘ JENO I CHWYĆ WODZE W DŁONIE*.

- Dlaczego?

Myślicie pewnie, że bóg, który na co dzień powoził rydwanem, nie powinien zadawać takich pytań. Na swoją obronę powiem, że niepokoiłem się o moje dzieci leżące półprzytomne u mych stóp. Nie pomyślałem o tym, że nikt teraz nie powozi. A kiedy nikt nie trzymał lejców, pegazy spanikowały. Aby uniknąć wypadnięcia na ogromnego spiżowego Kolosa znajdującego się na ich drodze, zanurkowały ku ziemi.

Jakoś udało mi się odpowiednio zareagować. (Brawo za właściwą reakcję!) Wrzuciłem obie strzały do kołczanu, chwyciłem wodze i zdołałem zahamować nasze zniżanie się na tyle, żeby zapobiec całkowitej katastrofie. Odbiliśmy się od wydmy i po gwałtownym skręcie zatrzymaliśmy się przed Chejronem i grupą herosów. Nasze wejście pewnie wyglądałoby dramatycznie, gdyby nie to, że siła odśrodkowa wyrzuciła Kaylę, Austina i mnie z rydwanu.

Wspominałem już, że byłem wdzięczny za miękki piasek?

Pegazy poderwały się, ciągnąc poobijany rydwan ku niebu, a nas pozostawiając rozbitkami.



Chejron pogalopował ku nam, a za nim gnała gromadka herosów. Percy Jackson nadbiegł od strony wydm, podczas gdy Pani O'Leary zajmowała Kolosa grą w „głupiego Jasia”. Wątpię, czy miała szansę utrzymać zainteresowanie posągu, kiedy ten zorientuje się, że za nim znajduje się grupa gotowych do zdeptania celów.

-Strzała zarazy jest gotowa! — oznajmiłem. — Musimy ją wstrzelić Kolosowi do ucha!

Moja publiczność najwyraźniej nie uznała tego za dobrą wiadomość. Nagle uświadomiłem sobie, że rydwan zniknął. A łuk został w rydwanie. W dodatku Kayla i Austin ewidentnie zarazili się tym choróbskiem, które wyczarowałem.

- Czy to jest zaraźliwe? - zapytał Cecil.

-Nie! - odparłem. - Eee... chyba nie. To wyziewy tej strzały...

Wszyscy się ode mnie odsunęli.

-Cecil - powiedział Chejron - zabierzcie razem z Harleyem Kaylę i Austina do domku Apollina na leczenie.

-Ale oni są domkiem Apollina - marudził Harley. - A poza tym mój miotacz ognia...

-Pobawisz się miotaczem ognia później — obiecał mu Chejron. - A teraz biegiem. Dobry chłopiec. Pozostali - zróbcie wszystko, żeby utrzymać Kolosa przy brzegu. Percy i ja pomożemy Apollinowi.

Chejron wypowiedział słowo „pomożemy”, jakby oznaczało „damy po łbie ze szczególnym okrucieństwem”.

Kiedy tłum się rozproszył, Chejron podał mi swój łuk.

- Oddaj ten strzał.

Przyglądałem się potężnemu refleksyjnemu łukowi kompozytowemu, który miał pewnie pięćdziesięcio kilogramowy naciąg.

-To jest obliczone na siły centaura, a nie ludzkiego nastolatka!

- Ty stworzyłeś strzałę - odparł. - Tylko ty możesz ją wypuścić, nie zapadając na tę chorobę. I tylko ty jesteś w stanie trafić w ten cel.

- Stąd? To niemożliwe! Gdzie jest ten latający chłopak, Jason Grace?

Percy otarł z karku pot i piasek.

- Nie mamy na składzie latających chłopców. A wszystkie pegazy uciekły w popłochu.

- Może jeśli wezwiemy parę harpii i zdobędziemy linkę do latawca... - zacząłem.

- Apollinie - odrzekł Chejron - musisz to zrobić. Jesteś panem łucznictwa i chorób.

- Nie jestem panem niczego! - zawyłem. — Jestem głupim i brzydkim nastolatkiem! Jestem *nikim*!

Użalenie się płynęło strumieniem. Byłem przekonany, że ziemia rozstąpi się, kiedy nazwałem siebie *nikim*. Wszechświat przestanie się kręcić. Percy i Chejron rzucą się, żeby mnie pocieszać.

Nic z tego się nie wydarzyło. Percy i Chejron tylko wpatrywali się we mnie posępnie.

Jackson położył mi rękę na ramieniu.

- Jesteś Apollinem. Potrzebujemy cię. Dasz radę to zrobić. A poza tym jeśli nie, to ja osobiście zrzucę cię z ostatniego piętra Empire State Building.

To była dokładnie taka motywacja, jakiej potrzebowałem - zupełnie tak samo Zeus gadał do mnie przed meczami. Wyprostowałem się.

- Dobra.

- Spróbujemy wciągnąć go do wody - powiedział Percy. - Mam tam przewagę. Powodzenia.

Percy chwycił Chejrona za rękę i wskoczył centaurovi na grzbiet. Razem pogalopowali ku brzegowi morza, a Percy

wymachiwał mieczem i wykrzykiwał różne sprośności w kierunku Kolosa.

Pobiegłem ku plaży, aż znalazłem się na jednej linii z lewym uchem posągu.

Spoglądając na ten królewski profil, nie widziałem Nerona. Widziałem siebie - pomnik własnej próżności. Zarozumiałstwo Nerona było niczym więcej jak moim odbiciem. To ja byłem większym głupcem. Byłem dokładnie kimś, kto postawiłby na własnym trawniku trzydziestometrowy posąg samego siebie.

Wyjąłem strzałę zarazy z kołczanu i nałożyłem ją na cięciwę. Herosi byli znakomici w rozsypce. Nie przestawali drażnić Kolosa ze wszystkich stron, podczas gdy Percy z Chejronem galopowali wśród przybrzeżnych fal, a Pani O'Leary skakała za nimi ze swoim nowym spiżowym patyczkiem.

— Hej, brzydalu! - zawołał Percy. - Tutaj!

Następny krok Kolosa przemieścił kilka ton słonej wody, tworząc krater dość duży, by pochłonąć furgonetkę.

Strzała z Dodony paplała w moim kołczanie. WYPUŚĆ POWIETRZE - radziła. - OPUŚĆ RAMIĘ.

— Zdarzało mi się już w życiu strzelać z łuku — burknąłem. UWAŻAJ NA PRAWY ŁOKIECZ, odparła strzała.

— Zamknij się.

*I MÓWIĆ TWEJ STRZALE NIE BĘDZIESZ, BY SIĘ ZAMKNĘŁA.*

Naciągnąłem cięciwę. Mięśnie mnie paliły, jakby ktoś oblał moje ramiona wrzątkiem. Strzała zarazy nie doprowadziła mnie do omdlenia, ale jej wyziewy były dekoncentrujące. Zakrzywienie drzewca uniemożliwiało wyliczenia. Wiatr był przeciwko mnie. Trajektoria będzie zbyt wysoka.

A jednak wycelowałem, wstrzymałem oddech i puściłem cięciwę.

Strzała, obracając się, popędziła w górę, straciła rozpęd i zbczyła zbyt daleko w prawo. Serce mi zamarło. Z pewnością kłątwa Styksu nie pozwoli mi odnieść tu sukcesu.

Kiedy pocisk osiągnął najwyższy punkt i miał właśnie zacząć spadać na ziemię, pochwyił go podmuch wiatru... Może to Zefir spojrział łaskawym wzrokiem na moje żalosne starania. Strzała poszybowała do kanału usznego Kolosa i zabręczczała w jego głowie niczym automat do gier.

Kolos zatrzymał się, wpatrzony w horyzont, jakby go zamroczyło. Spojrzał ku niebu, po czym wygiął grzbiet i rzucił się do przodu, robiąc hałas jak tornado zdzierające dach magazynu. Ponieważ w jego twarzy nie było otworów, ciśnienie kichnięcia wyrzuciło gejzery oleju silnikowego z jego uszu, spryskując wydmy szkodliwym dla środowiska szlamem.

Sherman, Julia i Alice podeszli do mnie, potykając się, pokryci od stóp do głów piaskiem i olejem.

- Dziękuję za uwolnienie Mirandy i Ellisa - warknął Sherman - ale zabiję cię później za zabranie mi rydwanu. Co zrobiłeś temu Kolosowi? Jaka zaraza powoduje kichanie?

- Obawiam się, że... że wyprodukowałem raczej łagodną chorobę. Mam wrażenie, że przyprawiłem Kolosa o katar sienny.

Znacie to okropne uczucie, kiedy czeka się, aż ktoś kichnie? Posąg wygiął ponownie plecy i wszyscy na plaży skulili się w pełnym napięcia oczekiwaniu. Kolos wciągnął przez uszy całe kubiki powietrza, szykując się do następnego grzmotu.

Wyobraziłem sobie koszarne scenariusze: Kolos wykicha uchem Percy'ego Jacksona do Connecticut i nigdy go już nie zobaczymy. Kolos oczyści swoją głowę, a następnie wszystkich nas rozdepcze. Katar sienny może naprawdę przyprawić o szaleństwo. Wiem coś o tym, bo to ja wynalazłem katar sienny. Niemniej nigdy nie planowałem go jako śmiertelnej choroby. I na pewno nigdy nie spodziewałem się stawiać czoła

gniewowi potężnego metalowego automata z ciężką alergią sezonową. Przeklinałem swoją krótkowzroczność! Przeklinałem swoją śmiertelność!

Tym, czego nie przewidziałem, była skala zniszczeń, jakich herosi dokonali już na metalowych stawach Kolosa - a zwłaszcza na jego karku.

Kolos runął do przodu z potężnym AAAPSIHK! Uchyliłem się i omal nie przegapiłem chwili prawdy, kiedy głowa posągu osiągnęła pierwszy stopień odłączenia od ciała. Poleciała nad zatokę Long Island, obracając się do nas raz po raz twarzą. Uderzyła w wodę z potężnym ŁUUP! i przez chwilę unosiła się na falach. Następnie z otworu po szyi uszło powietrze i olśniewająca królewska twarz niżej podpisanego zatonąła wśród fal.

Pozbawiony głowy tułów posągu chwiał się i kołysał. Gdyby upadł na plecy, mógłby bardziej rozwalić obóz. On jednak runął do przodu. Percy zaklął tak, że nie powstydziliby się tego żaden fenicki żeglarz. Chejron i ja rozbiegliśmy się w przeciwnie strony, żeby uniknąć zmiążdżenia, podczas gdy Pani O'Leary rozsądnie rozplynęła się w mrok. Kolos uderzył w wodę, wzbijając dwunastometrowe fale po obu stronach. Nigdy wcześniej nie widziałem surfującego centaury, ale Chejron nieźle się spisał.

Huk upadającego posągu w końcu przestał nieść się echem po okolicznych wzgórzach.

Stojąca obok mnie Alice Miyazawa gwizdnęła.

— No, to szybko poszło.

Sherman Yang zapytał głosem zdziwionego dziecka:

— Co, na Hadesa, się właśnie stało?

— Podejrzewam - odparłem - że Kolos odkichał sobie głowę.

*Po kichaniu  
Leczę ludki, limeryki piszę  
Kto jest najgorszym bogiem? Ja*

### **ZARAZA SIĘ ROZPRZESTRZENIAŁA.**

Taka była cena naszego zwycięstwa — potężna epidemia kataru siennego. Do wieczoru większość herosów była zamroczona, półprzytomna i miała zatkane nosy. Cieszyłem się, że żadne z nich nie odkichało sobie głowy, ponieważ zaczynało nam brakować bandaży i plastrów.

Razem z Willem Solaceem spędziliśmy wieczór, zajmując się rannymi. Will przejął dowodzenie, co mi odpowiadało - byłem wyczerpany. Nastawiałem ręce, rozdawałem lekarstwa na katar i chusteczki oraz usiłowałem powstrzymać Harleya przed kradzieżą całych zapasów naklejek z uśmiechniętymi buźkami, którymi oblepiał swój miotacz ognia. Byłem wdzięczny za to zajęcie, ponieważ pozwalało mi nie myśleć o bolesnych wydarzeniach minionego dnia.

Sherman Yang łaskawie zgodził się nie zabijać Nica za wyrzucenie go z rydwanu oraz mnie za zniszczenie go, aczkolwiek miałem wrażenie, że syn Aresa nie wykluczał powrotu do tej idei w przyszłości.

Chejron przysłał nam lecznicze kompresy dla chorych z najcięższym katarzem siennym. Należała do nich Chiara

Benvenuti, którą wyjątkowo opuściło szczęście. Dziwnym trafem Damien White rozchorował się, gdy tylko dowiedział się, że Chiara choruje. Dostali w infirmerii łóżka obok siebie - co wydało mi się trochę podejrzane - mimo że nie przestawali dogryzać sobie, kiedy tylko wiedzieli, że ktoś ich obserwuje.

Percy Jackson przez kilka godzin zwoływał wieloryby i hipokampy, żeby pomogły mu odholować Kolosa. Uznał, że najłatwiej będzie zawlec go pod wodę, do pałacu Posejdona, gdzie może zostać wykorzystany jako rzeźba ogrodowa. Nie byłem pewny, jak powinienem się z tym czuć. Wyobraziłem sobie, że Posejdon zastąpi olśniewającą twarz posągu własnym zniszczonym, brodatym obliczem. Niemniej chciałem pozbyć się Kolosa, wątpiłem też, czy miałyby szanse się zmieścić w obozowych kontenerach na śmieci.

Dzięki uzdrowicielskim talentom Willa i ciepłej kolacji herosi, których uratowałem w lesie, wrócili szybko do pełni sił. (Paolo twierdził, że to dzięki temu, że wymachiwałem nad nimi brazylijskim szalikiem, ale nie zamierzałem się kłócić).

Jeśli chodzi o sam obóz, zniszczenia mogły być znacznie gorsze. Przystań kajakowa nadawała się do odbudowy. Kratery powstałe w miejscach, gdzie Kolos stawał stopy, dadzą się przerobić na umocnienia obronne albo sadzawki.

Pawilon jadalny został całkowicie zniszczony, ale Nyssa i Harley byli przekonani, że Annabeth Chase zaprojektuje go od początku, kiedy tylko znów tu przyjedzie. Przy odrobinie szczęścia nowy pawilon będzie gotowy przed wakacjami.

Jedne inne poważniejsze zniszczenia dotyczyły domku Demeter. Nie zauważyłem tego podczas bitwy, ale Kolos zdołał na niego nadepnąć, zanim skierował się z powrotem ku plaży. Patrząc na to z perspektywy, droga jego zniszczeń wydaje się prawie celowa, jakby automat on wyszedł na brzeg, nadepnął na domek numer cztery i wrócił do morza.

Zważywszy na to, co się stało z Meg McCaffrey, miałem kłopot, żeby nie postrzegać tego jako zły omen. Miranda Gardiner i Billie Ng dostały tymczasowe łóżka w domku Hermesa, ale w nocy długo siedziały otumanione w gruzach, a wokół nich z zimowej ziemi wyrastały stokrotki.

Mimo zmęczenia spałem niespokojnie. Nie przeszkadzało mi ciągle kichanie Kayli i Austina ani ciche chrapanie Willa. Nie miałem nawet nic przeciwko hiacyntom kwitnącym na parapacie, napełniającym pokój upajającym zapachem. Nie mogłem jednak przestać myśleć o driadach unoszących ramiona ku płomieniom w lesie, o Neronie, o Meg. Strzała z Dodony siedziała cicho w kołczanie zawieszonym na ścianie, ale podejrzewałem, że lada moment zacznie wygłaszać kolejne irytujące szekspirowskie rady. Nie radowała mnie myśl o tym, co rzec by mi mogła o przyszłych mych losach.

O świcie wstałem cicho, wziąłem łuk i kołczan oraz bitewne ukulele i ruszyłem na szczyt Wzgórza Herosów. Stróżujący smok Peleus nie rozpoznał mnie. Syknął, kiedy podszedłem zbyt blisko Złotego Runa, musiałem więc usiąść nieco dalej, u stóp Ateny Partenos.

Nie przeszkadzało mi, że nie zostałem rozpoznany. W tym momencie *nie miałem ochoty* być Apollinem. Wszystkie te zniszczenia, które oglądałem z góry... były moją winą. Musiałem być ślepy i bardzo z siebie zadowolony. Pozwoliłem cesarzom rzymskim, wliczając w to jednego z moich potomków, wzrosnąć w siłę w cieniu. Pozwoliłem, by potężna niegdyś sieć Wyroczni upadła, aż utraciłem nawet Delfy. Omal nie spowodowałem zagłady całego Obozu Herosów.

No i Meg McCaffrey... Och, Meg, gdzie jesteś?

„Zrób, co musisz zrobić - powiedziała mi. - To mój ostatni rozkaz”.

Jej polecenie było na tyle niekonkretne, że pozwalało mi pójść za nią. Poza wszystkim byliśmy przecież ze sobą związani.



Musiałem tylko ją odnaleźć. Zastanawiałem się, czy Meg celowo tak sformułowała ten rozkaz, czy też było to z mojej strony jedynie myślenie życzeniowe.

Spoglądałem na spokojną, białą jak alabaster twarz Ateny. Naprawdę nie jest ona taka blada i wyniosła - no, w każdym razie zazwyczaj. Zastanawiałem się, dlaczego rzeźbiarz Fidiasz postanowił nadać jej tak nieprzystępny wygląd i czy Atenie się to spodobało. My, bogowie, często zastanawiamy się, w jakim stopniu ludzie mogą zmieniać naszą naturę po prostu przez to, jak nas sobie wyobrażają i przedstawiają. W osiemnastym wieku na przykład nie zdołałem umknąć przed pudrowanymi perukami, jakkolwiek się starałem. Nasza zależność od ludzi jest dla nieśmiertelnych niewygodnym tematem.

Być może zasłużyłem na swoją obecną formę. Zważywszy na moją nieostrożność i głupotę, niewykluczone, że dla ludzkości jestem wyłącznie Lesterem Papadopoulosem.

Westchnąłem ciężko.

- Co byś zrobiła na moim miejscu, Ateno? Zapewne coś mądrego i praktycznego.

Atena nie kwapiła się do odpowiedzi. Wpatrywała się ze spokojem w horyzont, jak zawsze patrząc na wszystko w szerokiej perspektywie.

Nie potrzebowałem, żeby bogini mądrości mówiła mi, co mam robić. Powinienem natychmiast opuścić Obóz Herosów, zanim herosi się obudzą. Przyjęli mnie do siebie, żeby mnie chronić, a ja omal ich wszystkich nie pozabijałem. Nie mogłem znieść myśli o tym, że sprowadzę na nich dalsze niebezpieczeństwa.

Ale, och, jak bardzo chciałem zostać z Willem, Kaylą, Austinem - moimi ludzkimi dziećmi. Chciałem pomóc Harleyowi obklejać miotacz ognia uśmiechniętymi buźkami. Chętnie poflirtowałbym z Chiarą i odbił ją Damienowi... a może

raczej odbiłbym Damiana Chiarze, nie byłem jeszcze tego pewny. Pragnąłem poprawić swoje umiejętności muzyczne i łucznicze poprzez dziwaczne zajęcia zwane ćwiczeniami. Chciałem mieć dom.

*Odejdź* - powiedziałem sobie. - *Szybko*.

Ponieważ jestem tchórzem, zwlekałem zbyt długo. W dole zamigotały światła w domkach. W ich drzwiach pojawili się herosi. Sherman Yang rozpoczął poranną rozgrzewkę. Harley biegał po trawniku ze światłem naprowadzającym dla Leo Valdeza, w nadziei że wreszcie zadziała.

W końcu dostrzegły mnie dwie znane mi postacie. Nadeszły z różnych kierunków — z Wielkiego Domu i domku numer trzy - i teraz wspinały się ku mnie po wzgórzu: Rachel Dare i Percy Jackson.

- Wiem, co planujesz - oznajmiła Rachel. - Nie rób tego.

Udałem zaskoczenie.

- Potrafisz czytać mi w myślach, panno Dare?

- Nie potrzebuję. Po prostu znam cię, panie Apollinie.

Tydzień temu te słowa rozbawiłyby mnie. Śmiertelnik nie mógł mnie znać. Przeżyłem cztery tysiąclecia. Samo spojrzenie na moją prawdziwą formę zamieniłoby każdego człowieka w parę wodną. Teraz jednak słowa Rachel brzmiały całkowicie rozsądnie. W wypadku Lestera Papadopoulosa wszystko było od razu widoczne. Naprawdę nie było tu wiele do poznawania.

- Nie nazywaj mnie *panem*. - Westchnąłem. - Jestem tylko śmiertelnym nastolatkiem. Nie pasuję do tego obozu.

Percy usiadł obok mnie. Zmrużył oczy w promieniach wschodzącego słońca, a morska bryza zmierzwiła jego włosy.

- Aha, mnie też się kiedyś wydawało, że tu nie pasuję.

- To nie to samo — odparłem. - Wy, ludzie, zmieniacie się, dojrzewacie. Bogowie nie.

Percy spojrział mi prosto w oczy.

- Jesteś tego pewny? Wydajesz się bardzo zmieniony.

Chyba uważał to za komplement, ale mnie te słowa nie dodały otuchy. Jeśli stawałem się jeszcze bardziej ludzki, to był to wątpliwy powód do radości. Prawda, udało mi się przywołać nieco boskich mocy w ważnych chwilach - wybuch boskiej siły w walce z Germanami, strzała z katarem sienym jako broń przeciwko Kolosowi — ale nie mogłem polegać na tych zdolnościach. Nie bardzo nawet rozumiałem, jak je przyzywałem. Sam fakt, że posiadałem ograniczenia i nie mogłem mieć pewności, jakie one są... Cóż, to sprawiało, że czułem się znacznie bardziej Lesterem Papadopoulosem niż Apollinem.

-Trzeba znaleźć i zabezpieczyć pozostałe Wyrocznie - powiedziałem. — A nie dam rady tego zrobić, nie opuszczając Obozu Herosów. I nie mogę ryzykować życia innych.

Rachel usiadła z mojej drugiej strony.

-W twoich słowach brzmi przekonanie. Otrzymałeś w gaju przepowiednię?

Wzdrygnąłem się.

- Tego się obawiam.

Rachel objęła kolana rękami.

-Kayla mówiła, że wczoraj rozmawiałeś ze strzałą. Domyślałem się, że to drewno z Dodony?

-Chwila - wtrącił się Percy. - Znalazłeś gadającą strzałę, która wygłosiła prorocstwo?

-Nie bądź głupi - odparłem. - Strzała gada, ale przepowiednię otrzymałem od samego gaju. Strzała z Dodony po prostu wygłasza chaotycznie rady. Jest okropnie irytująca. - Strzała zaburczała w kołczanie. - W każdym razie - ciągnąłem - muszę opuścić obóz. Triumwirat zamierza opanować wszystkie starożytne Wyrocznie. Muszę ich powstrzymać. Kiedy już pokonam byłych cesarzy... dopiero wtedy będę mógł stawić

czoła mojemu dawnemu przeciwnikowi Pytonowi i uwolnić Wyrocznię Delficką. A potem... jeśli przeżyję... może Zeus przyjmie mnie z powrotem na Olimp.

Rachel obracała w palcach kosmyk włosów.

-Wiesz, że taka samotna wyprawa jest zbyt niebezpieczna, prawda?

-Posłuchaj jej - przytaknął Percy. - Chejron opowiedział mi o Neronie i tym jego dziwnym holdingu.

- Doceniam propozycję pomocy, ale...

-Ej, ej. - Percy uniósł ręce. - Żeby było jasne: nie zamierzam się z tobą zabierać. Muszę najpierw skończyć szkołę, zdać KOSM i maturę oraz uniknąć śmierci z rąk mojej dziewczyny. Jestem jednak pewny, że znajdziesz kogoś chętnego do pomocy.

- Ja z tobą pójdę - oświadczyła Rachel.

Pokręciłem głową.

-Moi wrogowie chętnie schwytają kogoś tak mi drogiego jak kapłanka delficką. A poza tym ty i Miranda Gardiner musicie tu zostać i zbadać gaj Dodony. Jak na razie jest to nasze jedyne źródło przepowiedni. A ponieważ nasze problemy komunikacyjne nie skończyły się, poznanie mocy gaju jest tym bardziej priorytetowe.

Rachel usiłowała to ukryć, ale widziałem w jej minie rozczarowanie.

- A co z Meg? — zapytała. - Spróbujesz ją odnaleźć, prawda?

Równie dobrze mogła mi wbić Strzałę z Dodony w pierś.

Spojrzałem ku lasowi - tej mglistej plamie zieleni, która pochłonęła młodą McCaffrey. Przez moment poczułem się jak Neron. Miałem ochotę spalić to wszystko.

-Spróbuję - potwierdziłem - ale Meg nie chce być odnaleziona. Pozostaje pod wpływem ojczyma.

Percy wodził palcem po stopie Ateny Partenos.

-Zbyt wielu ludzi utraciłem z powodu złych wpływów: Ethana Nakamurę, Luke'a Castellana... Omal nie straciliśmy także Nica... - Pokręcił głową. - Nie. Nigdy więcej. Nie poddawaj się w sprawie Meg. Jesteście ze sobą związani. A poza tym ona należy do pozytywnych bohaterów.

-Znałem mnóstwo pozytywnych bohaterów - odpowiedziałem. - Większość z nich pozmieniała się w bestie, posągi albo... albo drzewa... - Głos mi się załamał.

Rachel położyła dłoń na mojej.

-Wszystko jeszcze może się odmienić, Apollinie. To jest dobre w byciu człowiekiem. Mamy tylko jedno życie, ale możemy wybierać, jaka będzie nasza opowieść.

Zabrzmiało to beznadziejnie optymistycznie. Przez zbyt wiele stuleci patrzyłem, jak w kółko powtarzają się te same wzorce zachowań, a wszystko to z udziałem ludzi, którzy uważali, że są bardzo sprytni i robią coś, czego nikt wcześniej nie zrobił. Myśleli, że tworzą własne historie, ale naprawdę jedynie szli śladem tych samych, starych opowieści, pokolenie za pokoleniem.

A jednak... może ludzka wytrwałość jest zaletą. Oni najwyraźniej nigdy nie tracą nadziei. Całkiem często zdarza się im mnie zaskoczyć. Nigdy bym się nie spodziewał Aleksandra Wielkiego, Robin Hooda ani Billie Holiday. Jeśli już o tym mowa, to nie spodziewałem się też Percy'ego Jacksona ani Rachel Elizabeth Dare.

- Chy-chyba masz rację - powiedziałem.

Poklepała mnie po dłoni.

- Powtórz mi to proroctwo, które usłyszałeś w gaju.

Wciągnąłem z drzeniem powietrze. Nie chciałem wymawiać tych słów. Bałem się, że mogą obudzić gaj i zatopić nas w karkofonii przepowiedni, kiepskich dowcipów i reklam. Niemniej wyrecytowałem wiersz:

*Apollo (bóg tego imienia)  
Do jaskini błękitnej wpadł cienia  
Na ognistospizowym  
I trzyosobowym  
Śmierć i obłąd dostał do zjedzenia*

Rachel zakryła usta dłonią.

- Limeryk?

- Wiem! - jęknąłem. - Jestem zgubiony!

- Czekaj. - Oczy Percy'ego rozblęskły. - Ten wierszyk... Czy on znaczy to, co mi się wydaje?

- Eee - powiedziałem - podejrzewam, że błękitna jaskinia odnosi się do Wyroczni Trofoniosa. To była... bardzo niebezpieczna starożytna Wyrocznia.

- Nie — odparł Percy. — Chodzi mi o inny kawałek. „Na ognisto-spizowym i trzyosobowym” bla, bla, bla.

- Ach. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.

- Światło naprowadzające Harleya. - Percy zaśmiał się, aczkolwiek nijak nie rozumiałem, co go tak bawi. - Powiedział, że je nastroiłeś. To chyba zadziało.

Rachel rzuciła mu spojrzenie spode łba.

- Percy, co ty... - Na jej twarzy pojawiła się ulga. - Och.

- Było tam coś jeszcze? - zapytał Percy. - Wiesz, coś poza tym limerykiem?

- Sporo - przyznałem. - Ale tylko urywane kawałki, których nie rozumiałem. Upadek słońca, ostatni wiersz. Indiana w bananach. Szczęście nadchodzi. Coś o płonących kartach.

Percy klepnął się dłonią w kolano.

- No i proszę! Szczęście nadchodzi. Szczęśliwy to Happy, a to jest imię, przynajmniej bywa w Ameryce. - Wstał i rozejrzał się po okolicy. Utkwił wzrok w czymś na horyzoncie.

Och.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Aha, Apollinie, twoja eskorta nadciąga.

Spojrzałem w tym samym kierunku. Spomiędzy chmur wychynął potężny skrzydlaty stwór połyskujący niebiańskim spizem. Na jego grzbiecie siedziały dwie postacie ludzkich rozmiarów.

Ich lot był cichy, ale w moim mózgu rozległa się radosna fanfara Valdezinatora, głosząca dobrą nowinę.

Leo powrócił.

*Chcesz dołożyć Leo?  
To całkiem zrozumiałe  
Ciacho sobie zasłużył*

### **HEROSI MUSIELI POBIERAĆ NUMERKI.**

Nico porwał automat z baru z przekąskami i przechadzał się z nim, krzycząc:

- Kolejka po lewej! Utrzymywać porządek, ludzie!

- Czy to naprawdę potrzebne? - zapytał Leo.

- Tak - odparła Miranda Gardiner, która wyciągnęła numer jeden. I wymierzyła Leo szturchańca.

- Au - jęknął Leo.

- Jesteś świrem i wszyscy cię nienawidzimy - oznajmiła Miranda. Po czym go objęła i pocałowała w policzek. - I jeśli znów kiedyś tak znikniesz, to ustawimy się w kolejce, żeby cię zabić.

- Już dobrze, dobrze!

Miranda musiała ustąpić, ponieważ kolejka za nią wydłużała się. Siedziałem z Percym przy stole piknikowym wraz z Leo i jego towarzyszką - nie kim innym jak nieśmiertelną czarodziejką Kalipso. Mimo że Leo dostawał kuksańce od wszystkich obozowiczów, byłem przekonany, że czuł się najmniej nie-swojo przy tym stole.



Percy i Kalipso uściskali się niepewnie, kiedy się spotkali, Nie widziałem równie pełnego napięcia powitania od czasów, kiedy Patroklos zobaczył wojenny łup Achillesa imieniem Bryzeida. (To długa opowieść. Pikantne plotki. Możemy do tego wrócić później). Kalipso nigdy za mną nie przepadała, więc demonstracyjnie mnie ignorowała, ale cały czas spodziewałem się jakiegoś: „BU!” i tego, że zmieni mnie w rzekotkę drzewną. Napięcie mnie wykańczało.

Percy uściskał Leo i nawet go nie zbił. Syn Posejdona wyglądał natomiast na zdeglustowanego.

- Nie wierzę - powiedział. - Pół roku...

-Mówiłem ci - odparł Leo. - Usiłowaliśmy wysłać kolejne zwoje holograficzne. Próbowaliśmy iryfonu, wizji sennych, telefonów. Nic nie działało... Au! Cześć, Alice, jak leci? No a poza tym mieliśmy ciągle kłopoty.

Kalipso przytaknęła.

- Szczególnie trudna okazała się Albania.

Z końca kolejki dobiegł nas krzyk Nica di Angelo:

-Proszę, nie wspominajcie Albanii! Dobra, kto następny? Jedna kolejka!

Damien White szturchnął Leo w ramię i odszedł z uśmiechem zadowolenia. Nie byłem pewny, czy Damien w ogóle znał Valdeza. Ale po prostu nie był w stanie darować sobie okazji do przyłożenia komuś.

Leo pomasaował rękę.

-Ej, to nie fair. Ten facet wrócił do kolejki. No więc, jak mówiłem, jeśli Festus nie wychwyciłby wczoraj tego światła naprowadzającego, nadal latalibyśmy w kółko, usiłując wyostać się z Morza Potworów.

-Och, nienawidzę tego miejsca - powiedział Percy. - Jest tam ten wielki cyklop Polifem...

-Wiem, wiesz? - odparł Leo. - Ma coś nie w porządku z oddechem, nie?

-Chłopcy - wtrąciła się Kalipso — może jednak skupimy się na terażniejszości?

Nie spojrzała na mnie, ale miałem wrażenie, że naprawdę myślała: *na tym głupim byłym bogu i jego problemach.*

-Taa - powiedział Percy. - No więc te problemy komunikacyjne... Rachel Dare uważa, że mają coś wspólnego z tą korporacją, Triumwiratem.

Rachel udała się do Wielkiego Domu po Chejrona, ale Percy całkiem porządnie streścił wszystko, czego dowiedziała się o cesarzach i ich korporacji zła. Oczywiście nie wiedzieliśmy wiele. Kiedy kolejne sześć osób szturchało Leo w ramię, Percy opowiedział jemu i Kalipso właściwie wszystko.

Leo potarł siniaki.

-Chłopie, czemu mnie to nie dziwi, że współczesne korporacje są zarządzane przez zombi rzymskich cesarzy?

-Oni nie są zombi - poprawiłem. - I nie jestem pewny, czy zarządzają wszystkimi korporacjami...

Leo zbył moje wyjaśnienia machnięciem ręki.

- Ale usiłują przejąć Wyrocznie.

- Owszem - przytaknąłem.

- A to niedobrze.

- Bardzo.

-A zatem potrzebujesz naszej pomocy... Au! Cześć, Sherman. Skąd masz tę nową bliznę, chłopie?

Kiedy Sherman opowiadał mu o Jajcarze McCaffrey i demonicznym śliwkowym niemowlaku, zerknąłem na Kalipso. Wyglądała inaczej, niż zapamiętałem. Włosy miała nadal długie i w odcieniu karmelowego brązu. Oczy w kształcie migdałów były nadal ciemne i bystre. Teraz jednak zamiast chitonu miała na sobie nowoczesne džinsy, białą bluzkę i jaskraworóżową kurtkę narciarską. Wyglądała młodziej - na mój ludzki wiek. Zastanawiałem się, czy została ukarana śmiertelnością za opuszczenie swojej zaczarowanej wyspy. Jeśli tak, to uznałem

za niesprawiedliwe, że zachowała swoją nieziemską urodę. Nie miała ani oponki, ani trądziku.

Kiedy się jej tak przyglądałem, Kalipso wysunęła dwa palce w kierunku drugiego krańca stołu, gdzie na słońcu pocił się dzbanek z lemoniadą. Widywałem już to — jak rozkazywała swoim niewidzialnym powietrznym sługom, by przynosili jej do rąk różne przedmioty. Tym razem nic się nie wydarzyło.

Na jej twarzy odmalowało się rozczarowanie. Nagle zorientowała się, że na nią patrzę. Zarumieniła się.

-Odkąd opuściłam Ogygię, utraciłam swoje moce - przyznała. - Jestem w pełni śmiertelna. Wciąż mam nadzieję, ale...

- Chcesz się napić? — zapytał Percy.

- Ależ proszę. - Leo pierwszy sięgnął po dzbanek.

Nie spodziewałem się, że będę współczuł Kalipso. Między nami było sporo goryczy. Kilka tysiącleci temu głosowałem przeciwko jej prośbie o uwolnienie z Ogygii z powodu pewnego .. yy, zatargu między nami. (To długa historia. Pikantne plotki. Proszę, nie wracajmy do tego później).

Z jednej strony jako upadły bóg rozumiałem, jak bardzo brak mocy może wprawiać w zakłopotanie.

Z drugiej jednak czułem ulgę. To oznaczało, że nie zamieni mnie w rzekotkę drzewną ani nie rozkaże swoim powietrznym sługom zrzucić mnie z Ateny Partenos.

-Masz. - Leo podał jej szklankę lemoniady. Wyraz jego twarzy był jakby mroczniejszy, pełen niepokoju, jak gdyby... Och, oczywiście. Leo wyzwolił Kalipso z jej więzienia na wyspie. Kiedy to uczynił, Kalipso straciła swoje moce. Chłopak czuł się za to odpowiedzialny. Kalipso uśmiechnęła się, choć w jej oczach wciąż tliła się melancholia.

- Dziękuję, kotku.

- *Kotku?* - zapytał Percy.

Leo rozpogodził się.

-Aha. Ale nie chce mnie nazywać Ciachem. Nie wiem czemu... Au!

Tym razem to był Harley. Malec uderzył Leo, po czym rzucił mu ręce na szyję i się rozpłakał.

-Hej, braciszku. — Leo zmierzwił mu włosy i miał na tyle rozsądku, żeby wyglądać na zawstydzonego. - Przyprowadziłeś mnie do domu tym światłem naprowadzającym, mistrzu. Jesteś bohaterem! Wiesz, że nigdy nie zostawiłbym cię celowo, prawda?

Harley zaszlochał, pociągnął nosem i skinął głową. A następnie jeszcze raz uderzył Leo i uciekł. Leo wyglądał, jakby miał zemdleć. Harley był całkiem mocny.

-Wracając do tematu - odezwała się Kalipso - ten problem z rzymskimi cesarzami... Jak możemy pomóc?

Uniosłem brwi.

-A zatem pomożesz mi? Pomimo... no dobra, zawsze wiedziałem, że masz czułe serce i umiesz przebaczać, Kalipso. Zamierzałem częściej odwiedzać cię na Ogygii...

-Oszczędź mi tego. - Kalipso sączyła lemoniadę. - Pomogę ci, jeśli Leo postanowi ci pomóc, a on najwyraźniej ma dla ciebie sporo sympatii. Choć nie rozumiem dlaczego.

Zrobiłem wydech, który powstrzymywałem od... och, od godziny.

-Jestem wdzięczny. Leo Valdez, zawsze byłeś dżentelmem i geniuszem. Przede wszystkim stworzyłeś Valdezinator.

Leo rozpromienił się.

-Prawda? To chyba było naprawdę wspaniałe. Gdzie zatem jest ta kolejna Wyrocznia, którą... Au!

Na czele kolejki pojawiła się Nyssa. Spoliczkowała Leo, po czym nakrzyczała na niego potokiem hiszpańskich słów.

-Aha, dobrze, dobrze. - Leo pocierał policzek. - Niech cię, *hermana*, ja też cię kocham!

Zwrócił się ponownie do mnie.

-No więc ta kolejna Wyrocznia, gdzie ona według ciebie jest?

Percy stukał palcem w stół.

-Rozmawiałem o tym z Chejronem. On uważa, że ten cały Triumwirat... zapewne podzielił Amerykę na trzy części i w każdej z nich jest jeden cesarz. Wiemy, że Neron okopał się w Nowym Jorku, podejrzewamy więc, że druga Wyrocznia znajduje się na terytorium kolejnego z tych facetów, może gdzieś w środkowej części Stanów Zjednoczonych.

-Och, środkowa część Stanów Zjednoczonych! - Leo rozłożył ręce. - A zatem *torta* z masłem. Po prostu zacznijmy przeszukiwać cały środek kraju!

- Daruj sobie ten sarkazm — mruknął Percy.

-Ej, chłopie, żeglowałem z najbardziej sarkastycznymi łobuzami po wielkim morzu.

Przybili piątkę, choć nie bardzo rozumiałem dlaczego. Przypomniał mi się urywek przepowiedni, który usłyszałem w gaju: coś o Indianie. Można by tam zacząć...

Ostatnim w kolejce okazał się Chejron, którego przywiozła na wózku Rachel Dare. Stary centaur spojrział na Leo łagodnie i po ojcowsku.

-Mój chłopcze, tak się cieszę, że wróciłeś. I uwolniłeś Kalipso, jak widzę. Dobra robota i witajcie oboje! - Chejron rozłożył ramiona, żeby ich uścisnąć.

- Och, dziękuję, Chejronie. - Leo wychylił się ku niemu.

Spod pledu okrywającego Chejrona wysunęła się końska noga i kopnęła Leo w brzuch, po czym równie szybko się schowała.

-Panie Valdez - kontynuował Chejron tym samym przyjaznym tonem - jeśli jeszcze raz wytnie pan taki numer...

-Rozumiem, rozumiem! - Leo masował brzuch. - Niech to, jak na nauczyciela ma pan niezły wykop.

Rachel rozpromieniła się i odwiozła Chejrona. Kalipso i Percy pomogli Leo wstać.

-Cześć, Nico! - zawołał Leo. - Proszę, powiedz mi, że to już koniec przemocy fizycznej.

-Na razie. - Nico uśmiechnął się. - Nadal usiłujemy nawiązać kontakt z Zachodnim Wybrzeżem. Jest tam kilkudziesięciu ludzi, którzy chętnie skopaliby ci tyłek.

Leo skrzywił się.

-Taa, nie mogę się doczekać. Dobra, pewnie powinienem zadbać o kondycję. Gdzie teraz jadacie, skoro Kolos rozdeptał pawilon jadalny?

Percy wyjechał jeszcze przed kolacją.

Spodziewałem się wzruszającego pożegnania w cztery oczy, podczas którego poprosi mnie o radę w kwestii zdawania testów, bycia herosem i ogólnie życia. Jako że pomógł mi pokonać Kolosa, przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić.

On jednak wydawał się znacznie bardziej zainteresowany pożegnaniem z Leo i Kalipso. Nie uczestniczyłem w ich rozmowie, ale cała trójka doszła chyba do jakiegoś porozumienia. Percy i Leo uściskali się. Kalipso nawet cmoknęła Percy, -ego w policzek. Następnie zaś syn Posejdona wszedł do zatoki Long Island wraz ze swoim niewyobrażalnie dużym psem i razem zniknęli pod wodą. Czy Pani O'Leary umie pływać? Czy też podróżowała w cieniach wielorybów? Nie miałem pojęcia.

Podobnie jak obiad kolacja była nieformalna. Kiedy zapadł zmrok, zjedliśmy ją na piknikowych kocach ułożonych wokół paleniska, z którego promieniowało ciepło Hestii, odganiając zimowy chłód. Smok Festus węszył wokół domków, od czasu do czasu ziejąc w niebo ogniem bez widocznego powodu.

-Trochę się pokieraszował na Korsyce - wyjaśnił Leo. - I czasem tak pluje chaotycznie.

-Jak na razie nie spalił nic ważnego - dodała Kalipso, unosząc brwi. — Zobaczymy, czy cię polubi.

Czerwone klejnoty oczu Festusa rozbłysły w ciemności. Po tylu latach powożenia rydwanem słońca nie niepokoiła mnie perspektywa jazdy na metalowym smoku, ale kiedy myślałem, *ku czemu* będziemy zmierzali, w moim żołądku zaczęły kwitnąć pelargonie.

-Zamierzałem udać się na tę misję sam - powiedziałem do nich. - Proroctwo z Dodony mówi o brązowym pozeraczu ognia, ale... uważam, że nie jest w porządku, żebyście ryzykowali życie. Dużo przeszliście, żeby się tutaj dostać.

Kalipso przechyliła lekko głowę.

-Może się jednak *zmieniłeś*. To wcale nie zabrzmiało jak Apollo, którego pamiętam. Zdecydowanie nie jesteś równie przystojny jak kiedyś.

-Nadal jestem *dość* przystojny - zaprotestowałem. - Potrzebuję jedynie pozbyć się trądziku.

Prychnęła.

- A jednak nie straciłeś całkowicie ego.

- Przepraszam bardzo?

-Ludzie - przerwał nam Leo - jeśli mamy razem podróżować, postarajmy się być życzliwi. - Przyłożył łód do posiniaczonego ramienia. - A poza tym my i tak planowaliśmy udać się na zachód. Muszę znaleźć moich kumpli Jasona i Piper, i Franka, i Hazel, i... dobra, w zasadzie wszystkich z Obozu Jupiter, jak mniemam. Będzie niezła zabawa.

-Zabawa? - powtórzyłem. - Wyrocznia Trofoniosa wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wciągnie mnie w otchłań śmierci i obłądu. Nawet jeśli zdołam to *przeżyć*, moje dalsze próby bez wątpienia będą długie, straszliwe i zapewne śmiertelnie groźne.

-No właśnie — powiedział Leo. — Zabawa. Nie wiem natomiast, dlaczego cała ta misja ma się nazywać próbami

Apollina. Uważam, że powinniśmy ją nazwać raczej Triumfalnym Pochodem przez Świat Zwycięskiego Leo Valdeza.

Kalipso roześmiała się i splotła palce z palcami Leo. Może i już nie była nieśmiertelna, ale nadal posiadała niewyobrażalny wdzięk i grację. Być może tęskniła za swoimi mocami, ale wyglądała na autentycznie szczęśliwą z Valdezem - była młoda i śmiertelna, nawet jeśli oznaczało to, że w każdej chwili może umrzeć.

W przeciwieństwie do mnie *wybrała* bycie człowiekiem. Wiedziała, że opuszczenie Ogygii wiąże się z pewnym ryzykiem, ale zrobiła to z własnej woli. Nie miałem pojęcia, skąd wzięła odwagę.

-Ej, chłopie - odezwał się do mnie Leo. - Nie bądź taki ponury. Znajdziemy ją.

Poruszyłem się nerwowo.

- Co?

- Twoją przyjaciółkę Meg. Znajdziemy ją. Nie martw się.

W mojej duszy pękł balon z ciemnością. Tym razem wyjątkowo nie myślałem o Meg. Myślałem o sobie i poczułem z tego powodu wyrzut sumienia. Być może Kalipso miała rację, zastanawiając się, czy się rzeczywiście zmieniłem.

Spojrzałem na milczący las. Przypomniało mi się, jak Meg ciągnęła mnie w bezpieczne miejsce, kiedy byłem zziębnięty, przemoczony i bredziłem. Przypomniało mi się, jak dzielnie walczyła z myrmekami i jak rozkazała Śliwce zgasić zapałkę, kiedy Neron zamierzał spalić swoich więźniów - mimo że bała się uwolnienia Bestii. Muszę uzmysłwić jej, jak bardzo zły jest Neron. Muszę ją odnaleźć. Ale jak to zrobić?

-Meg zna tę przepowiednię - powiedziałem. - Jeśli powtórzy ją Neronowi, on również będzie znał nasze plany.

Kalipso ugryzła jabłko.

-Ominęło mnie całe Cesarstwo Rzymskie. Jak zły może być jeden cesarz?



-Zły - zapewniłem ją. - A on jest sprzymierzony z dwoma innymi. Nie wiemy którymi, ale lepiej zakładać, że są oni równie krwiożerczy. Mieli stulecia, żeby zebrać fortuny, stać się posiadaczami ziemskimi, zbudować armię... Kto wie, do czego są zdolni.

-Ech - powiedział Leo. - Pokonaliśmy Gaję w ile? Czterdzieści sekund? To będzie szybka piłka.

Wydawało mi się, że o ile dobrze pamiętam, *przygotowania* do walki z Gają oznaczały miesiące cierpienia i bliskich spotkań ze śmiercią. Sam Leo po prawdzie *umarł*. Chciałem mu również przypomnieć, że Triumwirat mógł spokojnie stać za naszymi wcześniejszymi problemami z tytanami i gigantami, co czyniło go bardziej potężnym niż cokolwiek, z czym Leo miał kiedykolwiek do czynienia.

Uznałem, że wspomnianie o tym wszystkim może podkopać morale grupy.

-Uda nam się - oznajmiła Kalipso. - Musi nam się udać. I uda nam się. Przez tysiące lat byłem uwięziona na wyspie. Nie wiem, ile przede mną śmiertelnych lat, ale zamierzam żyć pełnią życia i bez lęku.

- Moja dzielna *mamacita* - powiedział Leo.

- Co ci mówiłam na temat nazywania mnie *mamacital*

Leo uśmiechnął się głupkowato.

-Rano zaczniemy gromadzić zapasy. Kiedy tylko podkręcę Festusa i zmienię mu olej, możemy wyruszać.

Zastanawiałem się, jakie wezmę zapasy. Miałem rozpaczliwie mało: jakieś pożyczone ciuchy, łuk, ukulele i przesadnie teatralną strzałę.

Naprawdę trudne będzie jednak pożegnanie z Willem, Austinem i Kaylą. Oni mi tyle pomogli i przyjęli mnie jak członka rodziny znacznie lepiej niż ja ich. Oczy piekły mnie od łez. Zanim się rozpłakałem, w świetle paleniska stanął Will Solace.

-Słuchajcie, wszyscy! Rozpaliliśmy ognisko w teatrze! Czas na śpiewy. Chodźcie!

Jęki mieszały się z wiewatami, ale prawie wszyscy podnieśli się i poczłapali ku płonącemu w oddali ognisku, gdzie na tle płomieni stał Nico di Angelo, układając rzędy pianek na czymś, co wyglądało jak kości udowe.

-Uch, chłopie. - Leo skrzywił się. - Jestem okropny w śpiewaniu. Zawsze klaskam i wchodzę z refrenem nie w tym miejscu, co trzeba. Możemy sobie to darować?

-O nie. - Wstałem, czując nagły przypływ lepszego samopoczucia. Może jutro będę płakał i myślał o pożegnaniach. Może pojutrze będziemy zmierzali ku naszej zagładzie. Ale dziś postanowiłem cieszyć się chwilą wraz z moją rodziną. Jak to ujęła Kalipso? Żyć pełnią życia i bez lęku. Skoro ona może to zrobić, to tym bardziej jest do tego zdolny genialny, rewelacyjny Apollo.

-Śpiew jest dobry dla podniesienia nastroju. Nie powinieś nigdy rezygnować z okazji do śpiewania.

Kalipso uśmiechnęła się.

-Nie wierzę, że to mówię, ale chyba raz muszę się zgodzić z Apollinem. Chodź, Leo. Nauczę cię podstaw harmonii.

Razem udaliśmy się w kierunku śmiechu, muzyki i ciepłego, trzaskającego ognia.

## Przypisy

Wiersz Apollina ze strony 214 jest centonem, czyli utworem złożonym w całości z cytatów z innych dzieł. Poszczególne wersy centonu pochodzą z:

- 1 - W. Whitman, *O, kapitanie! Mój kapitanie!* [parafraza], tłum. anonimowe
- 2 - T.S. Eliot, *Pieśń miłosna Alfreda J. Prufrocka*, tłum. W. Dulęba
- 3 - E.A. Poe, *Kruk*, tłum. Z. Przesmycki
- 4 - S. Żeromski, *Popioły*
- 5 - D. Thomas, *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy*, tłum. S. Barańczak
- 6 - W. Wordsworth, *Żonkile*, tłum. A. Fulińska
- 7 - J. Donne, *Medytacja XVII*; fragment ten znany jest za sprawą książki E. Hemingwaya *Komu bije dzwon*, w której został także użyty jako motto (tłum. B. Zieliński)
- 8 - Dante Alighieri, *Boska komedia*, tłum. A. Mickiewicz
- 9 - L. Carroll, *O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra*, tłum. M. Słomczyński

## Słowniczek

Achilles - najwybitniejszy z greckich wojowników, którzy oblegali Troję podczas wojny trojańskiej; niezwykle silny, odważny i lojalny, miał tylko jeden słaby punkt: piętę  
Admetos - król miasta Feraj w Tesalii; Zeus ukarał Apollina, posyłając go na ziemię, by pracował u Admetosa jako pasterz Afrodyta - grecka bogini miłości i piękna  
Agamemnon — król Myken; główny wódz Greków w wojnie trojańskiej; odważny, ale także arogancki i przesadnie dumny  
agora - greckie określenie miejsca zgromadzeń, rynku; główne miejsce publiczne w starożytnych greckich miastach, centrum życia politycznego, artystycznego i duchowego  
Ajaks - grecki heros obdarzony niezwykłą siłą i odwagą; brał udział w wojnie trojańskiej; posługiwał się w walce wielką tarczą  
ambrozja - pokarm bogów; posiada lecznicze właściwości  
amfiteatr - owalna lub rzadziej kolistą, niezadaszona budowla przeznaczona do rozmaitych widowisk; ma siedzenia dla publiczności wokół areny  
apodesmos — pas materiału noszony w starożytnej Grecji przez kobiety obwiązany wokół piersi, zwłaszcza podczas uprawiania sportów  
Apollo - grecki bóg słońca, wyroczni, muzyki i uzdrawiania; syn Zeusa i Latony, brat bliźniak Artemidy  
Ares - grecki bóg wojny; syn Zeusa i Hery; rzymski odpowiednik: Mars  
Argo — okręt, na którym płynął Jazon wraz z towarzyszącymi mu herosami podczas wyprawy po Złote Runo  
Argonauci - grupa herosów, którzy towarzyszyli Jazonowi w wyprawie po Złote Runo  
Artemida - grecka bogini łowów i księżycy; córka Zeusa i Latony, bliźniacza siostra Apollina  
Asklepios - grecki bóg medycyny; syn Apollina; jego świątynia w Epidauros była głównym ośrodkiem medycyny w starożytnej Grecji; rzymski odpowiednik: Eskulap  
Atena - grecka bogini mądrości; rzymski odpowiednik: Minerwa  
Atena Partenos - kolosalny posąg Ateny; jedna z najsłynniejszych greckich rzeźb wszech czasów  
balista - rzymska machina oblężnicza, która strzelała dużymi pociskami do dalekich celów

Batawowie - starożytny lud zamieszkujący tereny dzisiejszych północnych Niemiec i Holandii; także germańskie jednostki piechoty w armii rzymskiej Bryzeida — księżniczka wzięta w niewolę przez Achillea podczas wojny trojańskiej; powód sporu między Achillesem a Agamemnonem, którego rezultatem było wycofanie się Achillea z walki Bunkier Dziewiąty — ukryty warsztat Leo Valdeza w Obozie Herosów, wypełniony narzędziami i bronią; ma co najmniej dwieście lat centaurowie - mityczne stworzenia o pół ludzkich i pół końskich kształtach Ceres - rzymska bogini rolnictwa; grecki odpowiednik Demeter cesarskie złoto - rzadki metal, śmiertelnie groźny dla potworów, poświęcany w Panteonie; jegb istnienie było pilnie strzeżonym sekretem cesarza Cezar August - twórca i pierwszy władca Cesarstwa Rzymskiego; adoptowany syn Juliusza Cezara (zob. także Oktawian) Chejron - centaur; koordynator Obozu Herosów chiton - grecki ubiór; zazwyczaj pozbawiona rękawów tunika spinana na ramionach broszami i przewiązywana w pasie Chrysotemis — córka Demeter, która zdobyła miłość Apollina w konkursie muzycznym Colossus Neronis (Kolos Nerona) - gigantyczny brązowy posąg przedstawiający cesarza Nerona, przerobiony następnie na boga słońca w słonecznej koronie cyklopi - pierwotny lud olbrzymów posiadających tylko jedno oko na środku czoła Dafne - piękna najada, która zwróciła uwagę Apollina; uciekając przed nim, została przemieniona w drzewo laurowe Dedal — genialny rzemieślnik, twórca kreteńskiego Labiryntu, w którym przetrzymywano Minotaura (pół człowieka, pół byka) Demeter - grecka bogini rolnictwa; córka tytanów Rei i Kronosa; rzymski odpowiednik: Ceres dimachaerus (1. mn. dimachaeri) - rzymski gladiator nauczony walki na dwa miecze Dionizos - grecki bóg wina i szaleństw; syn Zeusa; jako Pan D. dyrektor Obozu Herosów Dom Hadesa - miejsce w Podziemiu, gdzie Hades, grecki bóg śmierci, i jego żona Persefona władają duszami zmarłych

Domus Aurea - dosł. Złoty Dom, wystawna willa cesarza Nerona w Rzymie, zbudowana po wielkim pożarze drakon - ogromny, żółto-zielony węzowaty potwór z kryzą wokół szyi, gadzimi oczami i ogromnymi pazurami; pluje jadem driady — nimfy drzew dynastia julijsko-klaudyjska - dynastia rządząca w Rzymie od objęcia władzy przez Oktawiana po bitwie pod Akcjum (31 r. p.n.e.) i podboju Egiptu w 30 r. p.n.e. do śmierci Nerona (68 r. n.e.) dziewięć muz - greckie boginie literatury, nauki i sztuk, które przez stulecia inspirowały artystów i pisarzy Eol - grecki bóg wiatrów Ereb — kraina mroku pomiędzy ziemią a Hadesem Eros - grecki bóg miłości; rzymski odpowiednik: Amor, Kupidyn falanga - zwarty szyk ciężkiej piechoty Fidiasz - słynny grecki rzeźbiarz z V w. p.n.e., twórca m.in.

Zeusa Olimpijskiego i Ateny Partenosgaj w Dodonie — miejsce najstarszej wyroczni greckiej, sławą ustępującej jedynie Delfom; szum drzew gaju przekazywał przepowiednie kapłanom, którzy objaśniali je pielgrzymom Gaja - grecka bogini ziemi; matka tytanów, gigantów, cyklopów i innych potworów Germanowie - barbarzyńskie plemiona zamieszkujące w czasach Cesarstwa Rzymskiego obszar zbliżony do dzisiejszych Niemiec gorgony - trzy potworne siostry (Steno, Euriale i Meduza), o włosach z żywych jadowitych węży; oczy Meduzy przemieniają patrzącego w nie w kamień grecki ogień - pociski zapalające używane w oblężeniach i bitwach morskich, płonące również w wodzie Hades - grecki bóg śmierci i bogactw; władca Podziemia harpia - skrzydlaty stwór o półkobiecy ciele, porywający przedmioty Hebe - grecka bogini młodości; córka Zeusa i Hery, żona Heraklesa na Olimpie Hefajstos - grecki bóg ognia, rzemiosł i kowali; syn Zeusa i Hery, mąż Afrodyty; rzymski odpowiednik: Wulkan Hekate - grecka bogini magii i rozstajów dróg Hera - grecka bogini małżeństwa; siostra i żona Zeusa; rzymski odpowiednik: Junona Hermes - grecki bóg podróżników, kupców i złodziei, przewodnik dusz zmarłych, bóg komunikacji; rzymski odpowiednik: Merkury Herodot —

grecki historyk zwany „ojcem historii”, autor *Dziejów* Hestia — grecka bogini ogniska domowego; rzymski odpowiadnik: Westa Hetyci - lud zamieszkujący w XVII—XIII w. p.n.e. tereny dzisiejszej Turcji i Syrii; często prowadzili wojny z Egiptem; znani z posługiwania się w bitwie rydwanami Hiakintos - grecki heros, kochanek Apollina, który zginął podczas próby zrobienia na Apollinie wrażenia umiejętnościami w rzucie dyskiem hipodrom — stadion służący do wyścigów rydwanów w starożytnej Grecji, w Rzymie zwany cyrkiem (*circus*) hipokampy - stworzenia o ciałach pół koni, pół ryb Hypnos — grecki bóg snu ichor - złoty płyn stanowiący krew bogów i nieśmiertelnych imperator - tytuł wodza w Rzymie Iris - grecka bogini tęczy, wysłanniczka bogów jaskinia Trofoniosa — głęboka grota będąca siedzibą Wyroczni Trofoniosa; jej niezwykle wąskie wejście zmuszało wchodzących do położenia się na plecach, by zostać wciągniętymi do groty; nazywana Jaskinią Koszmarów z powodu przerażających opowieści ludzi, którzy ją odwiedzali Kaliope - muza poezji epickiej; matka kilku synów, między innymi Orfeusza Kalipso - nieśmiertelna nimfa z mitycznej wyspy Ogygii; córka tytana Atlasa; przetrzymywała przez wiele lat herosa Odyseusza karpis (1. mn. karpoi) - duch zbóż Kasandra - córka króla Troi Priama i królowej Hekuby; obdarzona darem wieszczania, ale przeklęta przez Apollina w ten sposób, że nikt nie wierzył jej prorocstwom, w tym ostrzeżeniom przed koniem trojańskim katapulta - machina wojenna używana do ciskania różnymi przedmiotami Kilke - grecka bogini magii kirys - skórzana lub metalowa zbroja składająca się z napierśnika i naplecznika, noszona przez greckich i rzymskich żołnierzy; często bogato zdobiona i kształtowana tak, by przypominać muskulaturę Klitajmestra - córka pary królewskiej Sparty; żona i morderczyni Agamemnona Kloacyna - rzymska bogini ścieków Koloseum — amfiteatr zbudowany w latach 72—96 n.e. za rządów dynastii Flawiuszy w centrum Rzymu, mieszcząco co najmniej pięćdziesiąt tysięcy widzów; miejsce walk gla-

diatorów i widowisk publicznych takich jak rekonstrukcje słynnych bitew, inscenizacje walk morskich, polowań, egzekucji, dramatów Krommyon - wioska w starożytnej Grecji, którą pustoszyła ogromna maciora, zabita następnie przez Tezeusza Kronos - najmłodszy z dwunastu tytanów; syn Uranosa i Gai, ojciec Zeusa; na polecenie matki zabił ojca; tytan losu, żniw, sprawiedliwości i czasu; rzymski odpowiednik: Saturn Księgi Sybilińskie - zbiór rymowanych proroctw napisanych po grecku; Tarkwiniusz Pyszny - ostatni król Rzymu - kupił je w VI w. p.n.e. od prorokini Sybilli Kumańskiej i rozdził się ich w niebezpieczeństwie kuretowie - uzbrojeni tancerze, którzy strzegli w niemowlęctwie Zeusa przed jego ojcem Kronosem Kyrene - dzika wojowniczką, w której zakochał się Apollo, kiedy zobaczył ją mocującą się z lwem; Apollo zamienił ją następnie w nimfę, by przedłużyć jej życie Labirynt - podziemna płatanina korytarzy, zbudowana oryginalnie na Krecie przez rzemieślnika Dedala, aby uwięzić Minotaura Laomedont - król Troi, któremu musieli służyć Posejdon i Apollo, kiedy obrazili Zeusa Latona - matka Artemidy i Apollina; bogini macierzyństwa Lepidus - rzymski patrycjusz i wódz, członek drugiego triumwiratu wraz z Oktawianem i Markiem Antoniuszem Lidia - kraina w Azji Mniejszej; według greckich podań miejsce wynalezienia podwójnego topora, pieniądza monetarnego i sklepów Luperkalia — rolnicze święto w Rzymie, obchodzone od 13 do 15 lutego, mające na celu odgonienie złych duchów i oczyszczenie miasta poprzez uwolnienie zdrowia i płodności Łowczyni Artemidy - grupa dziewcząt lojalnych wobec Artemidy, obdarzonych zdolnościami myśliwskimi i wieczną młodością, jeśli odrzucą na całe życie związki z mężczyznami Marek Antoniusz - rzymski polityk i wódz; członek drugiego triumwiratu wraz z Markiem Lepidusem i Gajuszem Oktawiuszem (Oktawianem); wspólnie pokonali zabójców Cezara; miał długi romans z Kleopatrami Marsjasz — satyr, który wyzwiał Apollina na zawody muzyczne i przegrał, za co został żywcem obdarty ze skóry Medea - wyznawczyni Hekate i jedna z największych czaro-

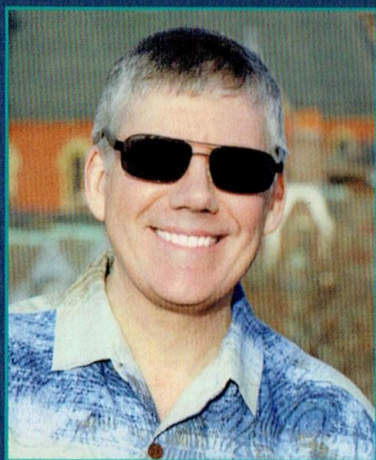


dziejek starożytnego świata Midas - król, który posiadał zdolność przemieniania wszystkiego w złoto; ogłosił Marsjasza zwycięzcą muzycznej rywalizacji z Apollinem, za co Apollo przyprowadził mu ośle usz Minos - król Krety; syn Zeusa; co roku kazał królowi Aigeusowi wybierać siedmiu młodzieńców i siedem dziewcząt jako haracz wysyłany do Labiryntu, gdzie byli pożerani przez Minotaura; po śmierci został sędzią umarłych w Podziemiu Minotaur - pół człowiek, pół byk, syn króla Krety Minosa; był uwięziony w Labiryncie, gdzie zabijał wysyłanych tam ludzi; pokonany przez Tezeusza Mitrydates VI Eupator - król Pontu, położonego na północy dzisiejszej Turcji, od ok. 120 do 63 r. p.n.e.; jeden z najgroźniejszych przeciwników Rzymu, którego w trzech wojnach mitrydatejskich usiłowali pokonać najwybitniejsi wodzowie rzymscy (udało się Pompejuszowi) myrmeka - ogromny stwór przypominający mrówkę, który zatrzymuje i paraliżuje swoje ofiary, zanim je zje; znana ze zbierania rozmaitych metali, zwłaszcza złota nagolenniki — element uzbrojenia osłaniający golenie Nemezis — grecka bogini zemsty Neron - cesarz rzymski w latach 54-68 n.e.; ostatni przedstawiciel dynastii julijsko-klaudyjskiej niebiański spiż - rzadki metal śmiertelnie groźny dla potworów Nike - grecka bogini zwycięstwa, siły i szybkości; rzymski odpowiednik: Wiktoria nimfa - żeńskie bóstwo natury ożywiającej przyrodę Niobe - córka Tantala i Dione; straciła siedmiu synów i siedem córek zabitych przez Apollina i Artemidę, by ukarać Niobe za pychę nosos (1. mn. nosoi) - duch zarazy i chorób Nowy Rzym - osada w pobliżu Obozu Jupiter, gdzie herosi żyją w spokoju, nie niepokojeni przez śmiertelników i potwory Obóz Herosów - obóz treningowy greckich herosów, znajdujący się na Long Island w Nowym Jorku Obóz Jupiter - obóz treningowy rzymskich herosów, znajdujący się między Oakland Hills a Berkeley Hills w Kalifornii Odyseusz — mityczny król Itaki, uczestnik wojny trojańskiej; bohater poematu *Odyseja* Homera Ogygia — wyspa będąca domem (i więzieniem) nimfy Kalipso Oktawian - Gajusz Oktawiusz, założyciel i pierwszy władca Cesarstwa Rzymskiego; adoptowany syn i spadkobierca

Juliusza Cezara (zob. także Cezar August) Olimp - góra będąca siedzibą dwunastu bogów olimpijskich omfalos - kamień oznaczający środek, czyli pępek, świata Orkan - imię miecza Percyego Jacksona (po grecku Anaklysmos) palikoi (1. poj. palikos) - bliźniaczy synowie Zeusa i sycylijskiej nimfy Talii; bogowie gejzerów i źródeł termalnych Pan - grecki bóg dzikiej przyrody Pandora — pierwsza ludzka kobieta stworzona przez bogów; otrzymała od każdego z nich specjalny prezent; wypuściła na świat choroby i nieszczęścia, otworzywszy jeden z tych prezentów — dzban (tzw. puszkę Pandory) Partenon — świątynia bogini Ateny na Akropolis ateńskiej Patroklos - syn Menojtiosa; najbliższy przyjaciel Achillesa od dzieciństwa; zginął w wojnie trojańskiej Pegaz - boski skrzydlaty koń; syn Posejdona jako boga koni Peleus - ojciec Achillesa; na jego wesele z nereidą Tetydą przybyli tłumnie bogowie, a kłótnia wywołana przez boginię niezgody Eris doprowadziła do wybuchu wojny trojańskiej; smok pilnujący Obozu Herosów ma po nim imię Persefona - grecka bogini, królowa Podziemia; żona Hadesa, córka Zeusa i Demeter Pierwotny Chaos - pierwsze, co istniało; pustka, z której narodzili się pierwsi bogowie podróż cieniem — sposób przemieszczania się pozwalający dzieciom Hadesa i stworzeniom Podziemia posługiwać się cieniami, by skakać w dowolne miejsce na ziemi lub w Podziemiu; powoduje u podróżujących w ten sposób ogromne zmęczenie Podziemie - rządzone przez Hadesa królestwo zmarłych, dokąd udają się na wieczność ich dusze Pola Kary - część Podziemia, gdzie ludzie, którzy za życia byli niegodziwi, odbywają wieczne pośmiertne kary za swoje zbrodnie Polifem - cyklop; olbrzymi jednooki syn Posejdona i morskiej nimfy Thoosy Posejdon - grecki bóg morza; syn tytanów Kronosa i Rei, brat Zeusa i Hadesa; rzymski odpowiednik: Neptun pretor - wybieralny urzędnik rzymski Prometeusz — tytan, który stworzył ludzi i obdarował ich wykradzionym z Olimpu ogniem, za co Zeus ukarał go przykuciem do skały Kaukazu, skąd uwolnił go Herakles Pytia - imię nadawane każdej

kapłance Wyrocni Delfickiej Pyton - potworny wąż, którego Gaja wyznaczyła do pilnowania Wyrocni Delfickiej Rea - królowa tytanów; matka Zeusa Saturnalia - święto w starożytnym Rzymie poświęcone Saturnowi (Kronosowi) satyr - greckie bóstwo lasów, o ciele częściowo ludzkim, a częściowo koźlim sica (1. mn. sicae) - krótki zakrzywiony miecz pochodzenia trackiego, używany m.in. w starożytnym Rzymie Sparta - miasto państwo w starożytnej Grecji o militarystycznym ustroju stygijskie żelazo - magiczny metal wykuwany w wodach Styksu, zdolny pochłaniać samą istotę potworów, a także ranić śmiertelników, bogów, tytanów i gigantów; działa również na duchy i stwory Podziemia Styks - rzeka stanowiąca granicę między światem żywych a Podziemiem Sybilla - prorokini Sybilla Kumańska - prorokini mieszkająca w Kurne niedaleko Neapolu; od zakochanego w niej Apollina otrzymała tysiącletnie życie, zapomniała jednak poprosić o wieczną młodość Talos - olbrzymi mechaniczny człowiek ze spiżu, strzegący wybrzeży Krety przed najeźdźcami Tantal - król zaprzyjaźniony z bogami do tego stopnia, że wolno mu było jeść z nimi przy jednym stole, dopóki nie zaczął rozpowiadać ich sekretów na ziemi; został zesłany do Podziemia, gdzie za karę stał w kałuży wody pod drzewem owocowym, nie mogąc jednak nic zjeść ani się napić Tartar - miejsce najcięższych kar w Podziemiu Tartaros - małżonek Gai; bóstwo otchłani; ojciec gigantów Teodozjusz - ostatni cesarz rządzący całym Cesarstwem Rzymskim; znany z zamknięcia wszystkich starożytnych świątyń w imperium Tracja — kraina położona na terenach dzisiejszej Bułgarii, północno-wschodniej Grecji i zachodniej Turcji trirema - grecki okręt wojenny posiadający po trzy rzędy wiosł na każdej burcie triumwirat - polityczny sojusz trzech osób lub stron Troja — miasto w Azji Mniejszej, na terenie dzisiejszej Turcji Tyche - grecka bogini dobrego losu; córka Hermesa i Afrodyty; rzymski odpowiedni: Fortuna

Tyfon - najbardziej przerażający z greckich potworów; ojciec wielu słynnych potworów, m.in. Cerbera, groźnego trzygłowego psa strzegącego wejścia do Podziemia tytani - potężne greckie bóstwa, potomkowie Gai i Uranosa, którzy panowali w Złotym Wieku i zostali obaleni przez młodszych bogów, Olimpijczyków Uranos - grecki bóg nieba; ojciec tytanów wielki pożar Rzymu — pożar Rzymu w 64 r. n.e., trwający sześć dni; plotki głosiły, że wywołał go Neron, żeby przygotować teren pod swoją nową willę Domus Aurea, cesarz jednak oskarżył o to gminę chrześcijańską wojna trojańska - mityczna wojna toczona przez Achajów (Greków) przeciwko miastu Troja po tym, jak Parys porwał Helenę od jej męża Menelaosa, króla Sparty wojna z tytanami - dziesięcioletnia wojna między tytanami a Olimpijczykami, zakończona przejściem władzy przez Olimpijczyków Wrota Śmierci - wejście do Domu Hadesa w Tartarze; brama posiada dwie strony, z których jedna znajduje się w świecie ludzkim, a druga w Podziemiu Wyrocznia Delficka - wyrocznia głosząca proroctwa Apollina Wyrocznia Trofoniosa - wyrocznia znajdująca się w jaskini Trofoniosa, greckiego herosa, który został przemieniony po śmierci we wróżbitę; znana z przerażania wszystkich, którzy jej poszukiwali Zefir - grecki bóg wiatru zachodniego Zeus - grecki bóg nieba i król bogów; rzymski odpowiednik: Jowisz Złote Runo — skóra złotego baranka, symbol władzy królewskiej; było strzeżone przez smoka i ziejące ogniem byki; wysłany po nie został heros Jazon, co poskutkowało długą wyprawą



**RICK RIORDAN** jest autorem bestsellerowych serii: „Percy Jackson i Bogowie Olimpijscy” – opartej na mitologii greckiej, „Kronik Rodu Kane”, odwołujących się do kultury egipskiej, oraz „Olimpijskich Herosów”, łączących mity greckie i rzymskie. Stworzył również przewodniki po świecie mitów, zatytułowane *Greccy bogowie według Percy’ego Jacksona* oraz *Greccy herosi według Percy’ego Jacksona*, oba ilustrowane przez Johna Rocco. Miliony czytelników na całym świecie kochają szybką akcję i humor przygodowych powieści Riordana, które przybliżają współczesnej młodzieży starożytne mity. Jego poprzednia powieść to *Miecz Lata* – pierwsza część nowej trylogii, tym razem o bogach nordyckich. Rick Riordan mieszka w Bostonie w stanie Massachusetts z żoną i dwoma synami. Więcej informacji: [www.rickriordan.com](http://www.rickriordan.com)